AS

ADOLF DYGASIŃSKI

DZIEŁA

PIERWSZE WYDANIE ZBIOROWE

TANIE

W OPRACOWANIU

WŁADYSŁAWA WOLERTA

Z PRZEDMOWĄ

Prof. AL. BRÜCKNERA

ORAZ

Z ŻYCIORYSEM NAPISANYM PRZEZ CÓRKĘ AUTORA

POWIEŚCI

XV

AS

ADOLF DYGASIŃSKI

AS

POWIEŚĆ

tervjn

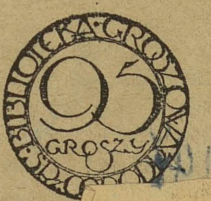

NAKŁADEM „BIBLJOTEKI GROSZOWEJ"
Warszawa, Moniuszki 11. Telefon 190-03.

KSIĄŻNICA PODLASKA im. Łukasza Górnickiego
Nr 1051 A
KS. ARCHIWALNY
w Białymstoku

Wszelkie prawa, co do tłumaczenia [illegible], zastrzeżone.
Przedruki, nieuprawnione przez wydawcę, wzbronione.

884-311.2
Miejska Biblioteka Publiczna
w Białymstoku
319

Polska Drukarnia w Białymstoku, Sp. Akc., Warszawska 59a.

ROZDZIAŁ I.

Albin Zabrzeski.—Były właściciel majątku ziemskiego i były nadleśny. — Wyżeł. — Warowanie i aportowanie. — Psy na placu Ewangelickim*) i na Zielonym). — Sześć sióstr panien. — Czarne oczy Morusieńki.**

Pan Albin Zabrzeski, warszawski elegant, jeden z takich, co to pierwszyby się nie zawahał chodzić na czworakach, gdyby mu bieżąca moda nakazywała. Przed kilku laty można go było widzieć wystawającego przy szybach różnych modnych sklepów galanteryjnych i jubilerskich. Uperfumowany, z grzywką na czole, z włosami, troskliwie przez sam środek głowy rozczesanemi, płaszczyk z pelerynką, laska o rączce z kości słoniowej — wszystko, od kapelusza aż do skarpetek, ostatni żurnal. Na to przyozdobienie swej osoby nie potrzebował wcale pracować. Dzięki spuściźnie po ojcu, mógł żyć dostatnio i w bezczynności. Takiemu dobrze na świecie: rzadkie rozrywki i przyjemności innych ludzi są to jego zwyczajne zajęcia.

Coś dziesięć lat tak przeżył i w trzydziestym piątym roku życia zaczął się odzywać do ludzi, z którymi żył bliżej: — „Słowo honoru daję, nieznośne i głupie jest życie“. Mówił to, ziewając, i tonem ofiary, która wśród poświęceń odkrywa światu nieznaną dotąd prawdę.

---

*) Obecnie plac Małachowskiego. (P. wyd.)
**) Obecnie plac Dąbrowskiego. (P. wyd.)

Zrobił się kwaśny, w rzeczywistości nic szczerze nie lubił. Do teatru uczęszczał teraz tylko przez nałóg, na balach tańczył jak z musu, w winta przegrywał lub wygrywał obojętnie, zarzucił modny obecnie sport na bicyklu i już nie chciał o nim słyszeć. Ale co tu mówić: on na piękną kobietę spoglądał przez szkiełko w oku z fizjognomją człowieka, który po raz trzeci został wdowcem.

Wśród takiego rozbicia pan Albin zaczął poszukiwać ocalenia w knajpach, gdzie niekiedy można znaleźć wesołe towarzystwo i zabawić się cudzym dowcipem. Przypadł mu jakoś do smaku ten rodzaj spokojnego sybarytyzmu na nowem *forum*. Zaglądał naprzód dosyć pilnie „Pod daszek", gdzie, jak wiadomo, jadają śniadania i kolacje dziennikarze, literaci, artyści i rozmaity naukowy proletarjat, który lubi wydać, a nie może częstokroć zarobić. Nie każdego tam ciągnie półmisek i butelka, więcej chęć spotkania ludzi, uprzyjemnienia sobie nudnego aktu odżywiania. Stosunków przyjaźni, koleżeństwa nikt zapewne nie poszukuje na tej drodze; ale spotkać się w knajpie z przyjacielem, kolegą jest równie dobrze, jak i gdzie indziej. Jeden drugiemu niemo wtedy mówi: — „Bądź moim ulubionym kwiatem podczas biesiady!"

Niczyim kwiatem nie był Zabrzeski, tylko jemu samemu przez pewien czas było tu dobrze. Śniadanie jadał przy stoliku dziennikarzy i grywał o konjak w tak zwaną „derdymałkę", co się niekiedy zaciągało do czwartej po południu. Gdy przychodził wieczerzać, zawadzał o inne jakie kolegjum, i tak mu dzień schodził.

Mężczyźni, gdy już przejdą poza okres dojrzałości i zaczynają więdnąć, w rozmowach swoich bardzo chętnie zwracają się ku płci pięknej. Niejeden sam z sobą prowadzi monologi na ten-

że temat, bodaj nie z płaczem; ale odbija się zato w towarzystwie, drwiąc wesoło z takich spraw, które go przed chwilą mocno bolały. Wiele tomów dałoby się ułożyć z dowcipów, żartów i anegdot, opowiadanych w kółku artystyczno-literackiem „Pod daszkiem", a zawsze stosowanych do rodzaju żeńskiego. Patrząc na tych, po największej części dobrze już podtatusiałych, biesiadników, musiałeś mimowolnie pomyśleć: „Co zamiera w życiu, zmartwychwstaje w pieśni". I to jest dobre, jako mały dodatek do życia.

Ta sfera jednakże nie była odpowiednia dla pana Albina, który z owem gronem ludzi, oprócz sympatji dla takich rozmów, nie miał zresztą nic a nic wspólnego. Czuł on przytem, że go tutaj lekceważą, i to wrażenie zatruwało mu rozkosz słuchania dowcipów. Kiedy nareszcie pewien złośliwy literat wyraził się o jakimś budynku, że to jest: „styl cielęcej główki z grzywką nad czołem, rozczesanej przez środek i w płaszczyku z pelerynką", Zabrzeski wziął przycinek do siebie, i zakład „Pod daszkiem" stracił gościa.

Jadał potem śniadania na Miodowej z adwokatami. Ale wśród wszystkich zawodów sybarytyzm palestry jest najmniej powabny: prawnicy jedzą i piją szybko, rozmawiają o rzeczach poważnych i najczęściej są zarozumiali, jak prorocy. W głowie przeciętnego warszawskiego adwokata tkwi zawsze podczas śniadania: ostatni proces, ostatnia partja winta, ostatnie wielkie bankructwo. Naturalnie, nie brakuje wyjątków... Między prawnikami pan Albin znowu zaczął wątpić o wartości życia i postanowił jadać śniadania samotnie.

Przeniósł się więc na plac Teatralny do Müllera, gdzie jednak nie zdołał uniknąć znajomości z niejakim panem Wincentym, byłym właścicielem majątku ziemskiego i z panem Marcinem, byłym

nadleśnym. Ci dwaj nowi towarzysze, jako ludzie bez zajęcia, mieli bardzo wiele czasu do zabicia. Opowiadali oni, że poszukują w Warszawie posad, że tutaj niedawno przybyli, że im się miasto bardzo podoba, chociaż — drożyzna i t. d. Barczyści, ogorzali, prostoduszni wieśniacy nazywali Zabrzeskiego „panem dobrodziejem“ i okazywali mu tyle szczerego szacunku, że go tem dziwnie za serce wzięli. Słuchali uważnie a śmiali się do rozpuku, kiedy im opowiadał rozmaite anegdoty, zaczerpnięte z literackiego kółka „Pod daszkiem“. Pochlebiało to wywiędłemu mieszczuchowi, że takie żubry mają dla niego uznanie, którego on gdzie indziej nie znajdował. Kiedy się bliżej już z nimi poznał, a wyczerpał prawie wszystko, co miał do powiedzenia, zaczęli oni dopiero mówić.

Doświadcza się znacznej przyjemności, czytając różne opisy i opowiadania utalentowanych autorów; ale potęguje się jeszcze zadowolenie, gdy nam ktoś żywem słowem i z talentem przedstawia obrazy przygód, których on sam osobiście doświadczał. Pan Wincenty i pan Marcin byli to zapaleni myśliwi, a w opowiadania swoje myśliwskie wkładali cały zapał, całą energję owej namiętności, co to bez względu na niewygody, niebezpieczeństwa pędzi człowieka z kniei w knieję i skazuje go na życie cygańskie. Ustaliło się przekonanie, że myśliwi sławnie kłamią. Jest to przyznanie myśliwym zdolności, jakiemi się odznaczali: Homer, Wergiljusz, Tasso, Dante, Cerwantes i inni poeci. Niech zmyśla ten, kto umie pięknie zmyślać! Naga prawda bowiem jest nieraz nudna, gdy jej sztuka nie przystroi w nadobne szaty zmyślenia.

Były ziemianin i były nadleśny posiadali ważne warunki autorstwa: szczerze kochali swój

przedmiot opowiadania, znali go nawylot i posiadali język prosty, jędrny.

Każdy wie, że mnóstwo arcydzieł niedrukowanych przepada razem z imionami swych twórców. Czyż talent i miłość tworzenia jakiego Sabały koniecznie chodzi w parze z pretensją do drukowania?

Pachniało naokoło rozpróżniaczonego paniczyka, gdy jego towarzysze żywo malowali obrazy kniej, niedostępnych wertepów, jarów w różnych porach roku. Nikt lepiej od myśliwego nie zna piękności wschodu i zachodu słońca, uroków nocy na pełni księżyca i ciemności, pełnej grozy. Cóż mówić o śmiertelnych nieraz zapasach z dzikiemi olbrzymami borów, o zgiełku psiarni, rogów myśliwskich, o huku strzałów? Tak jak przygody Robinsona ogarniają umysł dziesięcioletniego chłopca, podobnież opowiadania myśliwych podbiły zupełnie umysł Zabrzeskiego. Oni ciągle wyczekiwali na jakieś posady, ciągle ich spotykał zawód, ciągle mieli dużo czasu do zabicia i tonęli we wspomnieniach życia przeszłego. On wysysał niejako ich zapał i coraz bardziej przejmował się żyłką myśliwską.

Pod takim wpływem pozostawał pan Albin pewnie ze trzy miesiące i został czysto teoretycznym myśliwym. „Myślistwo jest bardzo przyjemną i szlachetną rozrywką; muszę się wziąć do tego sportu!“ — tak sobie nieraz myślał w duszy.

Tymczasem owi nieocenieni towarzysze śniadaniowi naprzód zaczęli kwaśnieć i tracić chęć do gawędy, następnie przestali bywać u Müllera, gdzie ich służba nazywała „ćwikami“. Po panu Wincentym i po panu Marcinie zostało tylko wspomnienie, że piewszy zjadał na śniadanie kopę kołdunów, drugi—łokieć kiełbasy z kapustą i że obaj

brzydzili się czarną kawą z likierem, a pijali węgrzyna tylko.

Gdzież się podzieli ci ludzie? Może wyjechali z Warszawy, może dostali posady i wzięli się do pracy, a może jadali śniadanie gdzie indziej.

Kiedy się teraz Zabrzeski przeniósł do Stępkowskiego i tam na śniadaniach spotkał znowu towarzyszy, ale już nie myśliwych, rozprawiał z nimi tylko o polowaniu. Przejął się zaś do takiego stopnia duchem myśliwskim, że prawdziwe i nieprawdziwe zdarzenia przedstawiał jako własne życiowe doświadczenia; co więcej, zupełnie samodzielnie tworzył nowe opowieści, anegdoty. Można go istotnie podziwiać z tego względu, iż nigdy w życiu nie był na polowaniu, lasy znał jedynie z okien wagonu kolei żelaznej i z malowanych pejzażów, a strzelał tylko do zawieszonych butelek na Saskiej Kępie, do tekturowych zwierząt w Promenadzie, do jajka na wytrysku fontanny w Bellevue. Jego ciekawe opowiadania wytworzyły atoli w umysłach nowych towarzyszy niezłomne przekonanie, iż mają do czynienia ze znakomitym myśliwym, w co ostatecznie i on sam uwierzył zczasem. Żeby opinji takiej nadać poważny charakter, począł uczęszczać do strzelnicy, gdzie usilnie wprawiał się w celne strzelanie. Następnie poszedł jednego dnia do magazynu Ronczewskiego i sprawił sobie tam wszystko, czego myśliwy potrzebuje, naturalnie, oprócz rzetelnie myśliwskiego animuszu. Kupił więc odtylcową dubeltówkę z dwiema parami luf i w mahoniowem pudle, ładunki pierwszego gatunku z prochem cesarskim, torbę myśliwską, trąbkę, świstawkę, kordelas, flaszkę na wódkę i co tam jeszcze. Jakkolwiek nie zarzucił ani grzywki, ani rozczesywania włosów przez środek głowy, nosił teraz jednak niekiedy bury strzelecki kapelusz z piórkiem i polecił krawcowi, aby mu sporządził myśliwskie ubranie.

U wszystkich znajomych dowiadywał się, czy kto nie ma na zbycie dobrego wyżła, a gdy go zawodziły te poszukiwania, podał do *Kurjera* treściwe ogłoszenie: „Chcę kupić rasowego i dobrze ułożonego wyżła". Kto posiada dobrego psa, przypadkiem tylko zmuszony, może go mieć do sprzedania; przeto różni ludzie, zgłaszający się z wyżłami, usiłowali wetknąć panu Albinowi psy pokojowe, które umiały wykonywać najrozmaitsze sztuczki: jeden skakał przez kij i na zawołanie „ciepło!" zrywał czapkę z głowy, inny znowu wyciągał z kieszeni chustki do nosa, nosił za panem laskę i t. d. Mnóstwo było do zbycia tych psich błaznów, a Zabrzeski ciągle się wahał. Nareszcie przyszło mu do głowy, że najlepiej będzie nabyć młodego wyżła i albo go własną pracą ułożyć, albo oddać gdzie na naukę. Wpadł mu zaś był w oko bardzo przyjemny z powierzchowności, fertyczny, czarny, jak kruk, ponter, imieniem As.

Bywają ludzie z bardzo krewkim temperamentem; ale największy nawet narwaniec-człowiek nie daje się porównać z psem warjatem, zwłaszcza gdy pies okazuje wesołość, ochotę. Gdy się zdarzy taki sangwiniczny wyżeł, wpadający w szały, potrzebuje on wytrawnej ręki wychowawczej, aby go uczyniła dobrym, mądrym psem myśliwskim— i to we właściwym wieku. As stanowił ideał psa-szaleńca. Sprzedał go był jakiś mieszkający na Sewerynowie emeryt, który miał sześć córek, i te z młodym wyżłem wyprawiały w domu takie hałasy, że stary nie mógł się oddawać swej nałogowej poobiedniej drzemce. Tyranizowany przez córki, nie śmiał im zabronić swawoli zgiełkliwej i przemyśliwał tylko, jakby się tu pozbyć nadzwyczajnie hałaśliwego psa. Otóż, kiedy wyczytał

w *Kurjerze* ogłoszenie pana Albina, nikomu nic nie mówiąc, wyprowadził potajemnie z domu Asa i sprzedał go szczęśliwie.

Zabrzeski niebawem sprawił sobie książkę o układaniu wyżłów i systematycznie rozpoczął domową edukację psa, polegającą na nauczaniu warowania i aportowania. Wyraz „waruj!“ był teraz ciągle na ustach pana Albina. Jednakże As, który wiek szczenięcego żywota spędził między pannami, karmiony przysmakami i pieszczony do zbytku, uważał sobie takie „waruj!“ za proste wezwanie do figlów i w odpowiedzi na to szczekał zapalczywie, wyskakując jak szalony przed swym nauczycielem. Stosownie do przepisów książki, nauczyciel przyciskał nieraz ucznia ręką do ziemi, z ogromnym naciskiem wykrzykując:—„Waruj, waruj!“. Ale skoro tylko ręka pofolgowała, As się natychmiast zrywał i w dwójnasób wynagradzał sobie takie przymusowe zahamowanie energji. Co tu począć?

Książka radziła, ażeby — w razie, gdy nie skutkują środki łagodne i pies okazuje upór — użyć sposobów surowych, to jest zastosować powszechnie znaną, a słusznie przez długi czas cenioną metodę patyka. Chociaż nie fachowy pedagog, Zabrzeski wiedział, że ból, doświadczony na własnej skórze, obudza pożyteczne uczucia obawy, która zkolei rzeczy wiedzie do posłuszeństwa czyli do zaniechania uporu. Zdawałoby się, że to spostrzeżenie psychologiczne jest prawdą niezaprzeczoną i że trzeba nie mieć oleju w głowie, aby się zrzec tak skutecznego środka, a jednak...

Nie wskórawszy nic a nic w pierwszym tym dziale domowej edukacji, nauczyciel uznał za rzecz właściwą przystąpić do działu drugiego, to jest do niezmiernie trudnej nauki aportowania. Dla psa flegmatyka, z usposobieniem leniwem, warowanie niewiele nastręcza trudności, gdyż spoczywa ono już w usposobieniu: pies-próżniak i bez nauki kładzie brzuch na ziemi, głowę — między wyciągnięte przednie łapy i leży. Wyżeł z żywym, gorącym temperamentem ma już we krwi niejako aportowanie. Oh, As okazywał aż nadto pochopności do chwytania w zęby wszystkiego, co się nadarzyło. Gdy raz znalazł na sofie otwartą książkę o układaniu wyżłów, wlazł z nią pod sofę i tam doszczętnie podarł, pogryzł. Za to otrzymał znowu chłostę szpicrózgą i wprawdzie nie utracił chęci do brania w zęby innych przedmiotów, ale sam widok książki napełniał go nieopisaną trwogą. Pokazuje się, że aby odduczyć, trzeba bić za każdą rzecz; aby nauczyć, bicie często nie pomaga. Mocna wiara w uogólnione teorje prowadzi wychowanie psów na manowce: psy—są to indywidualności.

Pan Albin też coś jakby pojmował, iż spełnianie rozkazu „waruj!“ brzmi dla Asa ponuro, przechodzi poniekąd jego siły; tymczasem „aport!“ pobudza go do czynności. Za podnoskę do aportowania miał posłużyć okaz wypchanej wiewiórki, stary grat, wyciągnięty z pomiędzy rupieci. Naszemu wyżłowi aż się ślepie zaiskrzyły, gdy pan jego z wyrazem „aport!“ na ustach trzymał w ręku wiewiórkę.

Owe lekcje tak wypełniały czas Zabrzeskiemu, że teraz później jadał śniadania, wcześniej powracał do domu z kolacyj, wstawał regularnie o ósmej z rana i zaraz się zabierał do lekcyj z wyżłem.

Już po upływie dwóch dni nauki wydało się panu Albinowi, że As zrobił znaczne postępy w aportowaniu, gdyż jakkolwiek nie odnosił jeszcze panu podniesionego przedmiotu, pozwalał go sobie jednak odbierać. To też trzeciego dnia rano, nauczyciel, dumny z osiągniętych rezultatów a pełen nadziei na przyszłość, pod najlepszą

wróżbą rozpoczął swoją pracę. Za pierwszem rzuceniem podnoski i na zawołanie „aport!“, As z właściwą sobie skwapliwością i zwinnością poskoczył, ślizgając się po woskowanej posadzce, o którą stukały jego pazurki. Pełen zapału, pochwycił w zęby upragniony przedmiot, ale ani myślał odnosić go panu, tylko co tchu zmykał gdzieś tam na tyły mieszkania. Właśnie o tej porze służący Franciszek powynosił z mieszkania na dziedziniec meble, aby z nich kurze wytrzepać, i zostawił tylne drzwi otwarte, co pozwoliło wyżłowi swobodnie wymknąć się z domu.

— As, do nogi!... As, aport!...—wołał Zabrzeski, stanąwszy w negliżu przy lufciku.

Pies spojrzał parę razy w okna pierwszego piętra, jakgdyby drwił z krzyków swego mistrza, a potem wyciągnął się pod pompą według przepisów o warowaniu i, trzymając między przedniemi łapami wypchaną wiewiórkę, zaczął ją pracowicie patroszyć.

Krzyk pana Albina posłyszał trzepiący meble Franciszek i chciał wyżła zawrócić do mieszkania. To mu się nie udało, gdyż zbieg porwał podnoskę i, z podniesionym wgórę ogonem, bardzo raźno, ochoczo derdnął za bramę. Zaraz na ulicy spotkał go inny pies, pudel z pochodzenia, właśnie kończący obwąchiwanie węgła domu, a teraz zaciekawiony w najwyższym stopniu przedmiotem, niesionym przez Asa w zębach. — „Coby to mogło być takiego?“...

Ponieważ Zabrzeski mieszkał przy Erywańskiej,*) przeto wyżeł, wydostawszy się na ulicę, niedaleko miał plac Ewangelicki, dokąd też żwawo się puścił, a za nim pędził w derdy ów rozciekawiony pudel, pragnący namiętnie zajrzeć

*) Obecnie ul. Kredytowa (Przyp. wyd.).

zbliska Asowi w zęby. Za psami, w odległości kilkunastu kroków, podążał służący Franciszek z trzepaczką w ręku, złowrogiem spojrzeniem w oku i przekleństwem na ustach:

— Bodaj jasne pioruny spaliły taką służbę!...

Mało kto może zwrócił uwagę na to, że plac Ewangelicki jest oddawna ulubionym punktem zbornym psich schadzek, szczególniej w godzinach porannych. W porze letniej, jak tylko się rozpocznie dzienny ruch miejski, można się tutaj przyjrzeć wielce uciesznym scenom psich figlów. Właśnie i teraz wyprawiał tam harce, skoki, pląsy jakiś nadzwyczajnie zwinny mopsik z ogonkiem, w kółko zakręconym, i w obróżce z dzwoneczkami. Za współzawodnika w turnieju popisowym miał ten psi akrobata atletę—ogromnego popielategp doga z obciętemi uszyma, w szerokiej metalowej obroży z monogramem swego pana. Kilka innych psów, w charakterze widzów, zdawało się brać żywy udział w widowisku: opasły, gruby w karku i pysku, z obwisłemi policzkami buldog; delikatny, wątłej budowy charcik, na którym, mimo ciepłych promieni słońca, drżała febrycznie skóra przywykła do pokojowej atmosfery; pudel przez nożyce na lwa wystrychnięty; wyżeł, co sfilistrzał w mieście, używając ze swym panem tylko raz na dzień przechadzki od domu do knajpy; nareszcie jakiś mieszaniec, skrobiący się nieustannie tylną łapą po wełnistym karku.

Niektóre z nich stały, inne przysiadły na ogonie, przyległy na brzuchach, a z ich fizjognomij można było wyczytać, że gdyby tylko posiadały ludzkie dłonie, z pewnością biłyby mopsikowi oklaski. Inteligencję i pełną wdzięku zręczność malców widocznie psy nawet cenią wyżej, aniżeli brutalną siłę olbrzymów.

Pojawienie się na placu Asa i pudla, nieustan-

nie Asowi zaglądającego w zęby, przerwało wesołą zabawę. Wszystkie psy, ile ich tam było, zwróciły ciekawe oczy na przybyszów, a każdy zdawał się wzrokiem zapytywać:

— Co też ten wyżeł może nieść w zębach?

Niebawem wielki dog pierwszy przyskoczył do Asa, nastroszył się okrutnie i musiał mu warknąć do ucha jakąś brutalną groźbę, gdyż młody wyżeł bojaźliwie spuścił ogon, pokornie się przypłaszczył i jednocześnie wypuścił z zębów wiewiórkę. W tejże chwili lotem strzały przyskoczył mopsik, chwycił upuszczoną podnoskę i pognał z nią w cwał przez plac, a za nim popędziły teraz wszystkie psy, nie wyłączając Asa i przybyłego z nim pudla. Cała ta gromada obiegła naokoło kościół, poczem zjawiła się znowu na placu, naprzeciwko pałacu Kronenberga. Już ten, już ów zaskakiwał drogę mopsowi, który jednakże umiał się zawsze zręcznie wywinąć, a w ostatnim razie uchodził popod brzuchami psów większych.

Żywym ruchem roiło się to psiarstwo; z wiewiórki na wszystkie strony wyłaziły jakieś kłaki, a co ją który pies dopadł, skubnął, potem się zatrzymywał, smakował i usiłował wypluć pakuły, oblegające mu podniebienie.

Tak się tutaj rzeczy miały, kiedy niespodziewanie wtargnął na plac Franciszek, uzbrojony w trzepaczkę do mebli. Fizjognomja człowieka, pełna goryczy, jego chód niecierpliwy, ruchy niespokojne i ta trzepaczka, wyglądająca jakoś podejrzanie w rękach ludzkich, wszystko to sprawiło, że As, jakby poczuwając się do winy, zaczął rejterować. Inne psy widocznie pozostawały w niepewności, co czynić, i wyczekiwały dalszego przebiegu wypadków. Atoli mopsik naraz wypuszcza z pyska podnoskę, odważnie naciera na Franciszka i szczeka zapalczywie. Pozostałe psy, zachęcone

przykładem, tak dalece nabrały otuchy, że nawet As, dezerter, zawrócił i dopiero cała ta psiarnia opadła służącego, zuchwale nań nacierając, zajadle go oszczekując na różne głosy. Zaskoczony Franciszek używał trzepaczki, jako broni odpornej, przytem, idąc tyłem, wycofywał się z trawnika, pewny, że skoro dotrze do głównej alei placu, psy zaniechają dalszej napaści. Biedak zapomniał, że aleję główną oddzielają od trawnika pręty grubego drutu, przeciągnięte między drewnianemi słupkami! Skoro więc w swojem cofaniu się natrafił nareszcie nogami na ową zdradliwą przeszkodę, poderwany znienacka, padł tyłem jak długi na główną aleję, nakrywając się nogami. Nie przewrócił on wprawdzie przechodzącej tamtędy właśnie jakiejś otyłej niewiasty, ale upadkiem swoim narobił jej takiego strachu, że baba wrzeszczała, jak opętana. Powstały stąd zamęt usposobił psy do odwrotu, do czego może się też przyczynił i widok stójkowego, który już nadchodził w groźnej postawie.

Cała czereda z mopsikiem na czele, powywieszawszy języki, puściła się drogą poza kościołem; następnie przebiegła wskok ulicę Erywańską między snującemi się dorożkami i wypadła na plac Zielony, obiecujący daleko więcej swobody.

Markotny, bo potłuczony, Franciszek powrócił do domu, gdzie krótko a węzłowato oświadczył Zabrzeskiemu, że on godzi się tylko do obsługiwania panów, nie myśli zaś na stare lata zbijać psy po mieście, gdyż od tego są stróże, posługacze i inne podlejsze gatunki człowieka. Potem usiadł w przedpokoju i wymrukiwał, że go przepłacano, aby przyjął służbę w ogrodzie Zoologicznym, a nie chciał, ponieważ uważa sobie za ostatnie upodlenie usługiwanie zwierzętom.

Pan Albin, człowiek mało stanowczy, zmilczał,

KSIĄŻNICA PODLASKA im. Łukasza Górnickiego

udając, iż nie słyszy tych przemów i przycinków; wypytał się tylko służącego, gdzie obecnie As przebywa, i sam osobiście wyruszył na obławę.

Na Zielonym placu było nadzwyczajnie wesoło. Tym razem w przedstawieniu główne role przypadły Asowi i pudlowi. Oba psy w odległości jakich trzydziestu kroków przywarowały jeden naprzeciwko drugiego i bacznie spoglądały sobie w oczy. Nagle As powstał i, czając się, szedł noga za nogą w kierunku pudla, ażeby go niby też to znienacka napaść. Ta psia zabawa jest jakby prototypem znanej gry dzieci „bawmy się w zająca". Mędrszy bierze zwykle na się w tej zabawie rolę głupiego, a tak się zachowuje, jakgdyby rzeczywisty głupiec był bardzo mądry.

— As, do nogi! — krzyknął Zabrzeski, a głos jego rozkazujący na miejscu stropił wyżła i zupełnie mu odebrał chęć do dalszej zabawy.

Przyzwany w chwili, kiedy właśnie miał się rzucić na rzekomego zająca, a potem go ścigać, wypłoszywszy z kotliny, As, spiorunowany znanym sobie głosem, wstydliwie wtulił ogon pod siebie i, ciągle się oglądając, kłusował w przeciwległą okolicę placu, byle jak najdalej od pana. Pudel jednakże nie stracił przytomności umysłu, chociaż występował w roli lękliwego zająca; przez chwilę rzucał bystro oczyma to na wyżła, to na przybyłego człowieka, jakgdyby sobie chciał wytworzyć należyty sąd, o co takiego może tu chodzić. Widocznie zrozumiał wszystko i na tej zasadzie postanowił działać, gdyż truchtem pobiegł do Asa i stanął obok niego. Zabrzeski znowu, podobnie jak znaczna większość ludzi, miał przekonanie, że głupiego psa człowiek zawsze może podejść chytrością swego rozumu; nieznacznie więc zbliżał się, a udawał takiego, który nie ma zamiaru ani interesu tych dwóch psów niepokoić.

Wszystkie zresztą psy, ile ich tam było, wietrzyły widać jakąś zdradę, gdyż poczęły się z placu wynosić, zachowaniem swojem dając mniej więcej do zrozumienia:—„Skoro nie można przewidzieć, co za zamiary ma w duszy ten oto człowiek, przeto na wszelki wypadek lepiej się stąd oddalić".

Również i As miał chętkę drapnąć, bo skwapliwie zerkał oczyma za pierzchającymi towarzyszami; ale go widocznie przykuwała do miejsca wiara w przyjaźń i rozum pudla, gdyż pozostał.

Co się teraz pan Albin zbliżył na jakie dwadzieścia kroków odległości od obu psów, pudel zaraz brał nogi za pas i gnał na przeciwległy bok placu, a za nim podążał wyżeł. W taki sposób Zabrzeski obszedł trzy razy naokoło plac Zielony i dopiero się stuknął w czoło ozdobione grzywką, gdyż zrozumiał nareszcie, iż pudel demoralizuje Asa.

— Czekajcież, nicponie, pokażę ja wam! — zawołał i skinął na stojącego przy hotelu Francuskim posłańca, któremu wydał polecenie w tych słowach:

— Ten czarny pies należy do mnie i trzeba go koniecznie oddzielić od tamtego białego pudla!

Dwaj ludzie, jeden w kapeluszu, drugi w czerwonej czapce, obaj uzbrojeni w laski, stanęli teraz naprzeciwko dwóch psów, ażeby rozerwać ich przyjacielski związek.

Pudel, jak się zdaje, odrazu zrozumiał, że co dwaj nieprzyjaciele, to nie jeden, że więc nie należy się silić na wynajdywanie chytrych środków obrony na małej przestrzeni placu, ale trzeba sobie zdobyć większe terytorjum. Pudel rzucił się w Rysią ulicę, pozostawiając towarzysza wśród nieprzyjaciół. Głupio się musiało zrobić na sercu Asowi, gdy stracił przyjaciela i przewodnika, a pan jego przyzwał teraz do pomocy aż dwóch nowych

posłańców. Tymczasem pudel obiegł tylko naokoło przez Marszałkowską i niebawem zjawił się poza łańcuchem obławy, szczekaniem uwiadamiając wyżła o fortelu. Usłyszany głos sprzymierzeńca dodał wyżłowi otuchy. As rozpędził się, uderzył na słabszy punkt czat nieprzyjacielskich, a choć w przelocie dostał od Zabrzeskiego kijem, złączył się jednak z pudlem. Obaj druhowie puścili się teraz kłusem około cukierni Sztengla, przez krótką tylko chwilę przystanęli na rogu przy domu Blocha, porozumiewawczo spojrzeli sobie w oczy, a potem w cwał uderzyli na bramę ogrodu Saskiego. Nie zdobyli tu sobie jednak wejścia, ponieważ baczny policjant energicznie zagrodził im drogę, przyczem pudel otrzymał potężne pchnięcie piętą.

Z tej przeszkody niewiele sobie widać nasze psy robiły, gdyż podniosły wgórę ogony i pobiegły jeden obok drugiego na plac Ewangelicki, stanowiący, jak wiemy, rodzaj psiej resursy. Nie był to czas stosowny do oddawania się zabawie, połączonej z ruchem fizycznym, gdyż czerwcowe słońce wysoko już jaśniało na niebie, żarem swym piekąc ziemię. Kompanja, która teraz przebywała na placu Ewangelickim, składała się głównie z takich psów, co to nie mają gdzie głowy schronić i prowadzą nocny sposób życia, a w upalne dni letnie wysypiają się po placach w cieniu drzew i krzewów—psy bez oznaczonego sposobu do życia, zawsze głodne, gotowe kraść lub przyjąć pierwszą lepszą służbę bez namysłu. Te sponiewierane przez nędzę wywłoki, o ile im los pozwoli ujść ręki oprawcy, żyją nieraz miłosierdziem kucharek, młodszych, nianiek, dzieci; niekiedy grzą w śmieciach jaki stary trzewik; są nieśmiałe, bojaźliwe i przed każdym człowiekiem z pokorą merdają uniżenie ogonem. Jeżeli człowiek pędzi

taki tryb, nazywa się go upadłym, spodlonym; psa można nazwać jedynie nieszczęśliwym. Kilku takich nieboraków, poziewając i z wyrazem obojętności w oku, spoglądało na Asa i pudla, które wyglądały zuchwale, butnie, jakgdyby świadomie dumne, iż prowadzą walkę z ludźmi.

Wkrótce atoli nadbiegli tu także spoceni, pełni skwapliwości posłańcy, co szli za zbiegami jak woda, mając w odwodzie pana Albina. Na ten widok przywykłe do ludzkiego prześladowania psy-żebraki okazały niepokój i jaki taki począł dźwigać swoje zemdlałe kości. Pudel, zająwszy najbardziej odkryte stanowisko, odrazu spostrzegł, że nieprzyjaciele nie zaniechali pogoni i, niedługo się namyślając, poskoczył w ulicę Erywańską wraz z Asem, a z Erywańskiej pognał na plac Zielony. Psy odkryły drogę Kolumba, dobrze teraz wiedziały, że z placu Zielonego łatwo się można dostać znowu na Ewangelicki i tak—wkółko.

Doprowadzony do ostateczności, Zabrzeski jeszcze raz krzyknął straszliwym głosem:

— As, do nogi!

W odpowiedzi na to, oba psy poszły w ulicę Rysią.

Zgrzytnął zębami pan Albin, zły, że wszystkie jego usiłowania rozbiły się o psią przebiegłość. Głodny, zziajany, chmurny, oświadczył posłańcom, iż ich wynagrodzi sowicie, jeżeli mu tylko wyżła dostawią do domu. I poszedł na śniadanie do Stępkowskiego.

Przechodząc przez ogród Saski, ze zdziwieniem spotkał tu pana Wincentego, dawnego towarzysza śniadań od Müllera, i z miejsca opowiedział mu wszystkie swoje zajścia z Asem.

— Ja myślę — mówił stary myśliwy — że pan bierzesz się do nieswoich rzeczy. Ułożenie wyżła, zwłaszcza w starszym wieku, nie jest łatwe.

To twierdzenie swoje uzasadniał pan Wincenty różnemi znanemi sobie przykładami. Szli, postawali, rozmawiając ciągle, i nareszcie, gdy już wyszli na plac Teatralny, Zabrzeski jął zapraszać miłego towarzysza na „wódeczkę“ do Stępkowskiego.

— Nie, nie pójdę—odrzekł pan Wincenty, porównywając swój zegarek z ratuszowym. — I tak się już spóźniłem, a Marcin z każdym dniem staje się drażliwszy... Właśnie czeka na mnie u Brajbisza i, jeżeli pan chcesz, proszę na gorzałkę, przyczem pogadamy o Asie.

Pan Albin nie sądził, aby mu Brajbisz zastąpił Stępka, ale poszedł przez grzeczność i w nadziei znalezienia skutecznej rady co się tyczy układania wyżła.

Rzeczywiście, pan Marcin blisko już od godziny siedział w ogródku głodny i zły, bo nie mógł jeść, nie wypiwszy kieliszka wódki, a wódki znowu za nic w świecie nie piłby w pojedynkę. Niegdyś pożeracze kołdunów i kiełbasy, jedli teraz sztukę mięsa z ogórkiem, a węgrzyna zastępowało piwo. Potoczyła się żywa rozmowa o wyżłach i ich przysposabianiu do polowania; tylko pan Marcin miał jakiś cierpki humor: ni stąd, ni zowąd przypinał łatki Warszawie, mówiąc:

— Warszawskie łgarstwo, warszawskie błazeństwo!... Nikomu słowa nie dotrzymać, a ciągle dawać „słowo honoru“, to czysto po warszawsku!

Zabrzeski się nawet parę razy zarumienił nieco, biorąc do siebie niektóre przycinki, a w duszy sobie myślał:

„Co się stało z tym człowiekiem? Taki uprzejmy, grzeczny był dawniej!“

Wysapawszy się i zjadłszy ogromny gnat sztuki mięsa z rurą, pan Marcin częściej się odzywał, a gorycz też jego przemówień zmalała cokolwiek.

— Muszę panu przedewszystkiem powiedzieć — mówił do Zabrzeskiego — że „As“ nie jest to właściwa dla wyżła nazwa! Jakieś asy, winty Fausty, bardy—mogą być dobre dla mopsów, pinczerów, pudlów i innej psiej mieszczańskiej hołoty, ale nie dla psa myśliwskiego! Następnie, imię wyżła powinno być dwuzgłoskowe, aby pies pojmował, że się go istotnie nazywa... Jedną jedyną samogłoskę może myśliwy z łatwością niedbale wymawiać, co psa tropi tak samo, jak człowieka... Skoro więc wprowadzasz pan do myślistwa karciarstwo, nazwijże swojego wyżła przynajmniej As-pik!

— Pedantyzm, posunięty do drobiazgowości!— odezwał się pan Wincenty.

— Lepiej być pedantem, aniżeli fanfaronem, lekkoduchem! — powiedział z naciskiem były nadleśny, poprawiając sobie włosy, które mu nieustannie odsłaniały łysinę, narażoną przez to na dokuczliwość much

— Jak na myśliwego, masz za dużo pedantyzmu i przesądów — rzekł były dziedzic tonem, z którego znać było, że domawiając ostatnich słów, żałował, iż je wymówił.

— Za dużo pedantyzmu i przesądów, jak na myśliwego? — zapytał pan Marcin, spoglądając jadowitym wzrokiem na swojego towarzysza.—A czy to mój pedantyzm i moje przesądy wylęgły się w kolanie czy łokciu, że o nich z lekceważeniem mówi mój kolega myśliwy?... Mnie się zdaje, iż one powstały w mózgownicy, gdzie się wpisuje wszystko, czego człowiek myślący doświadcza w ciągu życia. O, panie Wincenty, znać na tobie kilkumiesięczny pobyt w Warszawie!... Spudłowałeś już dzisiaj dwa razy: uczynkiem, boś się o godzinę spóźnił na stanowisko, i — językiem,

mierząc do zwierzyny, do której nie należy strzelać.

Powiedziawszy to, pan Marcin nawpół z uśmiechem, nawpół poważnie zwrócił się do Zabrzeskiego z temi słowy:

— Myśliwy powinien siebie ułożyć przedtem, nim chce wyżły układać! A cóż to jest ułożenie myśliwego? Jego pedantyzm i przesądy! Przesądy musi mieć rolnik, żeglarz, rybak; przesądy są koniecznością wszędy, gdzie człowiek szczerze i z przejęciem się pracuje.

— Szczerość i przejęcie się pracą może sobie człowiek zostawić, pedantyzm i przesądy—odrzucić, a będzie pracował z tym większym rezultatem — mruknął pan Wincenty.

— Mówisz czysto po warszawsku! Słowo w słowo, jak ten szlifibruk w okularach, który mię przed kilku dniami chciał gwałtem ubezpieczyć na życie. Ja mu powiadam: —„Panie, to jest niemoralnie, ażeby żona, dzieci, krewni wyczekiwali na śmierć ubezpieczonego w nadziei zagarnięcia po nim spadku! A on mi odpowiada:—„Przesądy, przesądy, przesądy! Trzeba raz przełamać przesądy i iść z duchem czasu, z postępem!"— Innym razem dałem się wciągnąć na jakiś wieczór, gdzie miano jakoby o czemś bardzo ważnem rozprawiać. Patrzę, występuje jegomość chudy, zdechlak, wysuszony w bibule, i pali przemowę o oszczędności, przezorności. Kiedy ten skończył, występuje drugi i przedstawia różne przykłady oszczędności we Francji, Anglji, w Niemczech, mówi, że, odkładając dziennie złotówkę, można mieć za trzydzieści lat tyle a tyle, za czterdzieści—jeszcze więcej... Zapytuję kogoś, co to wszystko znaczy, i odpowiadają mi:—„Będziemy się zapisywali do przezorności, składając codziennie po złotówce".— A i poto się zbierać? Przecież ja

tę sztukę znam dawno, a jeżeli nie odkładam, to dlatego, że nie mogę i nie chcę robić oszczędności niedorzecznej, bo na własnym organizmie. —„Działalność kolektywna jest cechą czasów nowożytnych, precz z przesądami jednostek!"—wrzasnął mi nad uchem jakiś elegant... Otóż do tego zmierzam, że co jest przesądem dla takich krzykaczy, stanowi dla mnie zasadę życia.

— O pedantyzmie i przesądach w myślistwie była mowa, a ty, Marcinie, w zapale Bóg wie dokąd zajechałeś! — zrobił uwagę były właściciel ziemski i, zwracając się do pana Albina, tak mówił:—Mój przyjaciel twierdzi, naprzykład, i upiera się przy swojem twierdzeniu, że wyżeł, którego bodaj raz dotknęła ręka kobiety, jest już zupełnie stracony dla myśliwego. Ponieważ nie mogę pojąć, co za związek zachodzi między kobietą, wyżłem i myślistwem, nazywam to przesądem i będę tak nazywał!...

— No ale ja rozumiem bardzo dobrze, a to nawet mogę zgóry przepowiedzieć, że taki pies bawidamek jest niezawodnie przez naturę upośledzony!... Do niewiast zbliżają się i lgną wyżły z dolnym wiatrem, nicponie, noszące łeb nisko, które się co chwila zatrzymują i tak głośno węszą w tropach, jakgdyby tabakę niuchały... Jest to moja obserwacja, nie żaden przesąd! Pytajcie się natury, nie mnie, dlaczego wytworzyła ten związek między kobietą a wyżłem!... Ho, ho, wyrazem „przesąd" nikt mnie nie stropi, gdyż ja wolę swoje własne przesądy, aniżeli cudze prawdy! Co się zaś tyczy pedantyzmu, to punktualność, drobiazgowość w myślistwie...

Tu pan Marcin machnął lekceważąco ręką, jakby chciał powiedzieć:—„Głupim niema co o tem mówić", nie dokończył zdania, zapalił zgasłe cygaro i zamilkł.

Zabrzeski zwracał się teraz z zapytaniami, dotyczącemi wykształcenia Asa, i otrzymywał odpowiedzi głównie od pana Wincentego. Dopiero przy pożegnaniu, gdy się mieli rozchodzić, przemówił też i pan Marcin, jakoś już udobruchany.

— Niechże się już nazywa i As, choć mi to przypomina pierwsze litery wyrazu *asinus*!... Tylko żeby się na nim taki prognostyk — *nomen-omen* — nie sprawdził, daję panu dobrą radę: jest w Kościejowej Wólce leśniczy, niejaki Benedykt Ochota, ogromny majster, można śmiało powiedzieć: profesor od układania wyżłów; oddajże mu pan swego wyżła na wyćwikę, a za dobry skutek poręczam!... Ale widzisz pan, ja jestem pedant, nie lubię nic robić pstrum-brum; więc proszę tu zaraz zapisać sobie adres: „Benedykt Ochota w Kościejowej Wólce, ostatnia poczta Skierniewice". Możecie się porozumieć listownie czy osobiście, jak pan woliszl...

Kiedy nareszcie pan Albin po tem pożytecznem dla siebie śniadaniu wrócił do domu, zastał tam już wszystkich trzech posłańców, którzy mu teraz na wyścigi, jeden przez drugiego, opowiadali zajmującą historję swoich przygód z Asem. Najciekawszy atoli z tego wszystkiego był koniec. Jak się pokazało, oddzielili oni naprzód pudla, obili go i odpędzili; a wtedy wyżeł, strudzony niezmordowaną pogonią, uchodząc przed obławą, zapędził się aż na Sewerynów. Tam — opiewało sprawozdanie posłańców—wpadł do sieni jednego domu i naraz stał się tak śmiały, jakby na swoich własnych śmieciach: biegał po podwórzu, szczekał, wpadał do różnych sionek, ujadał. Wkrótce też ukazały się jakieś panie i zaczęły go witać z ogromną radością, wołając:

— Asiunio, Asiunio, kochany Asiunio!

Wówczas najenergiczniejszy z posłańców śmiało się postawił i otwarcie zażądał od tych pań, aby wydały wyżła, którego ściganie kosztowało już tyle trudów. Zadziwił się atoli posłaniec, gdy owe panie nietylko nie uwzględniły jego słusznego, jak mniemał, żądania, ale okryły go obelgami i zagroziły przyzwaniem policji.

— Niesłychane rzeczy! — zawołał ze zgrozą pan Albin. — Cóż to znowu? Kto śmie przywłaszczać sobie moją własność?...

I zapalony gniewem, wzburzony, pośpieszył co tchu na Sewerynów, gdyż powątpiewał nieco o prawdziwości zeznań posłańców i postanowił je osobiście sprawdzić.

W samej rzeczy, As, uchodząc przed natarczywymi posłańcami, schronił się na Sewerynów do domu emeryta, którego córki z niezmierną radością powitały ulubionego psa, nakarmiły przysmakami i okryły pieszczotami.

Najstarsze trzy nosiły imiona: Luta, Guta i Niuta; średnie — Anusia i Franusia; najmłodszą, najprzystojniejszą zwano Morusieńka. Luta, przeszło czterdziestoletnia dziewica, nazywana w domu „aniołem—stróżem rodziny", trzęsła całem gospodarstwem, ubierała się w jasne barwy, paliła namiętnie papierosy, należała pośrednio do Towarzystwa Przyjaciół Zwierząt i lubiła często powtarzać:

— Moim obowiązkiem jest poświęcać własne szczęście dla dobra ojca i młodszego rodzeństwa.

Tylko jeden ojciec wiedział, że Lucie zaczął się piąty krzyżyk, ale się z tem nigdy nie odzywał, siostry zaś zawsze ją uważały jako pannę w sam raz na wydaniu, a nie wychodzącą zamąż dlatego tylko, że „teraz takie czasy — mężczyźni się nie żenią".

Guta chorowała na literatkę i cała rodzina uwielbiała ją jako „inteligencję", która zawsze

stanowczo rozstrzygała kwestję, jak: „Kto pisze lepiej — Syrokomla czy Kraszewski?“ Obecnie wszystkie siostry wpadały w zdumienie i nie mogły odgadnąć, dlaczego As na widok książki w rękach Guty ze strachem krył się po kątach, trwożliwie pomrukując. Było to wspomnienie chłosty, otrzymanej od pana Albina za pogryzienie książki o układaniu wyżłów — wstręt,dający się łatwo usprawiedliwić.

Kiedy się tutaj zjawił Zabrzeski, As, przybrany w błękitną wstążkę z kokardą na szyi, siedział na kanapie między Lutą i Gutą, a inne panny zbliżały się do niego nieustannie, głaskały rączkami, nazywały pieszczotliwie „Asiuniem“, o mało go nie całowały. Panu Albinowi natychmiast się przypomniały uwagi byłego nadleśnego o demoralizowaniu psów myśliwskich przez kobiety. Wyżeł też, ujrzawszy swego pana i wychowawcę, przypomniał sobie widać rozmaite z nim zatargi, gdyż w okamgnieniu się porwał z tego ogrójca rozkoszy i wskok dał nura pod kanapę.

Domyśliły się zapewne panny, że nieznajomy gość jest tym, którego posłańcy wypominali jako właściciela wyżła; Luta bowiem natychmiast oceniła trafnie przestrach Asiunia i szepnęła Gucie na ucho:—„To niezawodnie ten przywłaściciel, tyran!“—Guta niebawem powtórzyła to samo na ucho Niucie i wieść się rozeszła.

Widok licznego grona kobiet uspokoił jakoś pana Albina, który w sposób wielce uprzejmy zaczął niebawem usprawiedliwiać swoje przybycie, a następnie uzasadniać prawa własności wyżła. Czyniąc to, spotkał się niejednokrotnie z pięknemi, wielkiemi i czarnemi oczyma Morusieńki. Umyślnie czy przypadkiem, najmłodsza z sióstr zajęła miejsce niedaleko okna, przez które pro-

mienie słońca padały na jej głowę i prześlicznie ją oświetlały, nadając niezwykle uroczy blask hożym licom, a—granatowy odcień lśniącym, kruczym warkoczom. Wyglądała jak nadludzkie zjawienie świętej.

Najniezawodniej ta okoliczność sprawiła, że gość przedłużał tutaj swój pobyt i pod wpływem uroczych oczu Morusieńki począł nawet rozwodzić się o takich rzeczach, które z daną sprawą, nie miały żadnego związku. Co tu długo mówić? Nasz myśliwy uległ sile wzroku niewieściego i zdemoralizował się podobnie, jak jego wyżeł. Atoli Luta i Guta dały mu wnet do zrozumienia, że zrobiły dla niego wielkie już ustępstwo, przyjmując nieznajomego mężczyznę w domu, gdzie są same kobiety, że więc on, pan Albin, powinienby to umieć ocenić i co żywo się wynosić.

Gość, jakkolwiek dobry kawałek filistra, nie był, widać, jeszcze skończonym nosorożcem, gdyż pociski, wymierzone przez dwie stare panny, ugodziły go w serce; ale kiedy znowu spojrzał w te wielkie, wyraziste oczy Morusieńki, dostał jakgdyby zawrotu głowy, ciężaru w nogach, zaplątania języka. Chciał powiedzieć, że mu sprawi przyjemność pozostawienie Asa w tym mianowicie domu; chciał koniecznie wyjechać z jakim nadzwyczajnie grzecznym komplementem, co to w nim ciągle się powtarzają wyrazy: „Uważam sobie za *nieskończenie* miły obowiązek... Będę się czuł *nieograniczenie* szczęśliwym“. Pragnął właśnie tak przemówić, a powiedział, że się dobrowolnie zrzeka swojej własności, że tem bardziej nie ważyłby się *teraz* myśleć o dochodzeniu praw swoich na drodze sądowej...

Luta nie pozwoliła mu już kończyć i, wyjąwszy z ust papierosa, zawołała z twarzą, zapłonioną od gniewu:

— Jakiejże to własności pan się zrzekasz?... Dochodzenie praw na drodze sądowej? Owszem, bardzo prosimy! A to doskonałe! Kupić psa od jakiegoś złodzieja i oddanie go właścicielowi uważać za łaskę!

Obie najstarsze siostry powstały teraz z kanapy, a za niemi uszykowały się niebawem trzy inne—i ta niewieścia falanga wyraźnie sprawiała takie wrażenie, jakgdyby chodziło o wyparcie wspólnego nieprzyjaciela. As także wychylił głowę z pod kanapy. Tylko jedna Morusieńka nie opuściła swego miejsca pod oknem, a w spokoju pełnych rysach dziewiczej twarzy przebijało niejakie pomieszanie; przynajmniej tak się wydawało panu Albinowi.

Wśród nieprzerwanego potoku słów, wypadających z ust „anioła-stróża rodziny“ i „inteligencji“, Zabrzeski nie miał możności przemówić ani słówka na swoją obronę. Najprzód Luta wytrajkotała wszystko, co tylko wiedziała o sądowej odpowiedzialności, przyczem nie omieszkała nadmienić poważnie o stosunkach swoich z Towarzystwem Przyjaciół Zwierząt. Potem zabrała głos Guta i na poczekaniu zacytowała przypadek kary sądowej, świeżo spadłej na jakiegoś winowajcę, który podpadł pod kodeks zwierzęcej kryminalistyki. Jednocześnie wszystkie pięć ławą zbliżały się coraz więcej do pana Albina; a on w pomieszaniu składał nieustannie ukłony i z kapeluszem w ręku krok za krokiem cofał się tyłem, przesyłając spojrzenia Morusieńce. Kiedy nareszcie uderzył piętą o drzwi przedpokoju, uważał za właściwe skłonić się z wielkiem uszanowaniem i rzucić okiem w kierunku okna po raz ostatni.

Wyszedł, a za drzwiami jeszcze słyszał wielki gwar niewieści, zmieszany teraz z triumfalnem poszczekiwaniem Asa.

Dopiero po wyjściu Zabrzeskiego Morusieńka opuściła swe miejsce pod oknem. Można przypuszczać, że dlatego siedziała tam tak uparcie, ponieważ starsze siostry uważały ją za małoletnią, mimo skończonych lat ośmnastu i przynajmniej w domu nie pozwalały jej nosić długiej sukienki. Niby kwiat z pączka, wyglądała dziewczyna ze swego pensjonarskiego ubrania, usiłując całą pełnią kształtów dziewiczych rozedrzeć ten wąski powszędy worek barwy ciemno-orzechowej. Ramiona, ściśnięte wąskiemi rękawami, sprawiały zaczerwienienie i obrzęknięcie bardzo kształtnych rączek; piersi, zapięte pod szyję, zbyt widocznie wznosiły się i opadały; ale najbardziej ze wszystkiego raziła krótkość sukni pensjonarskiej, gdyż Morusieńka ukończyła pensję przed dwoma laty, nadzwyczajnie rosła i rozwijała się fizycznie, a ciągle nosiła tę samą odzież. Otóż, wobec osób obcych wstydziła się tego ubioru i ciągle siedziała w jednem miejscu. Zresztą, starsze siostry nazywały ją „smarkaczem“,nie pozwalały jej nigdy zabierać głosu przy gościach, a i bez gości nie powinna była wyjawiać swego zdania, gdyż to oznaczało—podług Luty i Guty—złe wychowanie. Nieraz, kiedy zaczęła mówić, starsze siostry spoglądały na nią surowo i niechętnie, a As jej się wtedy przypatrywał ze zdziwieniem.

Od niejakiego czasu atoli Morusieńka buntowała się przeciw despotyzmowi starszych sióstr; coraz częściej bowiem spoglądała w zwierciadło i ciemno-orzechowa sukienka stawała jej się coraz wstrętniejsza. Chciała ona koniecznie chodzić w długiej sukni nietylko do kościoła, do Saskiego ogrodu, ale i w domu.

Rzecz szczególna, skoro gość już odszedł, a panny pozostały same i robiły spostrzeżenia

nad temi odwiedzinami, milcząca dotąd Morusieńka niespodziewanie odezwała się w te słowa:

— Jestem pewna, że on ma jakąś podstawę upominania się o Asa, skoro tu przyszedł!... Być może kupił psa od złodzieja, a kto wie, czy nie od papy?... Wyście się bardzo źle zachowywały z tym nieznajomym: jakieś cierpkie przycinki, wymówki!... Przez cały czas nie pozwoliłyście mu się wytłumaczyć. Co on sobie pomyśli?

Ta uwaga dziewczyny, wypowiedziana dosyć cichym, nieśmiałym głosem, wywołała straszliwy rejwach. Wszystkie razem otwarły usta, łajały Morusieńkę, powtarzając nieustannie „smarkacz". Nareszcie, gdy ją już dobrze zgromiły, zaczęły nielitościwie szydzić, jakoby usiłowała zwrócić na siebie wszelkiemi sposobami uwagę Zabrzeskiego, co Guta w uniesieniu nazwała „bezczelną kokieterją." Teraz piękne oczy dziewczyny napełniły się obfitemi łzami i wybuchło owo łkanie, które u płci pięknej stanowi cechę równie charakterystyczną, jak i język.

Te krzyki, płacze sprowadziły tu ojca, który gdzieś poza kuchnią zajmował oddzielny pokoik. Córki w jaskrawych barwach przedstawiły emerytowi całe zdarzenie, odnoszące się do odzyskania wyżła, a przytem oskarżyły „smarkacza" Morusieńkę. Głównie przemawiała Luta, dzielnie ją popierała Guta, inne dorzuciły swoje. Starzec, jakkolwiek się bał swych córek i był u nich takim samym pantoflem, jak niejeden mąż u swej żony, tym razem jednakże ujął się za „smarkaczem", a potępił „anioła-stróża rodziny" i „inteligencję". Co więcej, ku nadzwyczajnemu zdziwieniu i zgorszeniu starszych córek, oświadczył, że istotnie on sam Asa sprzedał, że więc prawy właściciel musi go niezwłocznie odzyskać. Luta, Guta i Niuta powstały teraz na ojca, wyrzucając

mu samowolę, despotyzm i chciały go zakrzyczeć. Ale widać, że cierpliwość dobrodusznego staruszka wyczerpała się nareszcie, gdyż poczerwieniał z gniewu, tupnął nogą i zawołał:

— Hola, moje panny, na oszusta się wykierować nie pozwolę!... Pies należy do tego, kto go ode mnie kupił i basta!

To rzekł i wyszedł z pośpiechem, ponieważ wiedział dobrze, iż nad kobiecym uporem nie odnosi się tak łatwo zwycięstwa.

Luta natychmiast dostała spazmów z biciem serca; ratowały ją wszystkie siostry, nie wyłączając Morusieńki, wśród nadzwyczajnych szlochów. As rozłożył się w kłębek na fotelu i z wielkim spokojem spoglądał na wszystko, co się działo. Już cały ten dzień był bardzo żałosny.

Emeryt musiał jeszcze nazajutrz stoczyć z córkami zaciętą walkę i dopiero potem, wziąwszy na sznurek wyżła, zaprowadził go na Erywańską, ponieważ uważał sobie za obowiązek, ażeby osobiście przeprosić pana Albina.

Zabrzeski, któremu w tej chwili wywietrzały z głowy myślistwo i wyżeł, a zato czarne oczy Morusieńki nie dawały spokoju, przyjął starca z wyszukaną grzecznością i po kilkakroć powtórzył, że dozna *„niewysłowionej* rozkoszy, jeżeli panny zechcą uważać Asa i nadal, jako swego własnego psa".

Atoli pan Swojewski—tak się zwał emeryt z Sewerynowa—ani słyszeć nie chciał o tem, ażeby wyżeł znowu powrócił do jego domu. Pan Albin rozmyślnie przeciągał rozmowę, prosił staruszka siedzieć, częstował go cygarem, mając ciągle na pamięci, że to jest rodzony ojciec pięknych czarnych oczu. Jakoż rozwiązał się język emerytowi i nastąpiły owe dobroduszne wylania, o które tak łatwo u ludzi gadatliwych i naiwnie myślących.

— Ja—mówił stary nawpół z uśmiechem—od

trzydziestu lat przywykłem sypiać po obiedzie, a te moje dziewczyny rozpieściły psa, swawolą z nim... Ah, gdybyś pan wiedział, jak to jest przykro nie mieć na starość spokojnego kącika!

Zabrzeski więc nalegał grzecznie, ażeby jego As przynajmniej w godzinach przedobiednich służył pannom za rozrywkę; ale stary się na to nie chciał zgodzić i odszedł.

Mało który z mężczyzn nie wie, co to jest opętanie przez piękne oczy. Nie myślimy opisywać tego stanu duszy, ponieważ każdy człowiek odczuwa go po swojemu. Pan Albin nosił czarne wielkie oczy w swoim mózgu i stamtąd patrzyły one nań nieustannie: widywał je w powietrzu, na niebie, na suficie, na swych białych, jak śnieg, mankietach, a nawet—kiedy zamknął oczy. Polowanie, lekcje z wyżłem, wszystko to wywietrzało mu z głowy pod wpływem owych oczu.

As, wyciągnięty pod stołem, śledził nieraz ruchy swego pana, jakgdyby się obawiał, czy znowu jakie warowanie i aportowanie nie wejdzie na porządek dzienny. Widząc atoli, iż pan głęboko o czemś się zamyśla, pies polował na przelatujące muchy, szczękając zębami. Czasem mu się tu sprzykrzyło, wyłaził wtedy z pod stołu, przeciągał się, ziewał i w braku towarzystwa do zabawy wymyślił sobie igraszkę, która polegała na obracaniu się wkółko i usiłowaniu schwycenia w zęby własnego ogona.

ROZDZIAŁ II.

Polowanie z wyżłem po ulicy. — Zatarg Asa z przekupką. — W której z trzech kocha się pan Albin? — Najserdeczniejsze kółko.—Szewc Kąskiewicz.—Żebrak Pyta.—Wyrok sądu i skutki jego.—Scena miłosna na ulicy.—Ryszard Lwie-Serce. — Miłość także się sprzykrzy.

O wiele więcej, niż Zabrzeski, zajmował się teraz Asem służący Franciszek, który za każdą

psotę wymierzał wyżłowi karę, zwłaszcza w nieobecności pana, a prócz tego nie skąpił mu ustnych nauk, zaprawionych całą gderliwością i żółcią starca, niezadowolonego z życia. Pies bowiem skwapliwie uprzątał rogale, bułki, serdelki, wypijał mleko, śmietankę, a przytem bardzo lubił gryźć różne przedmioty, zaprawiając sobie młode zęby do przyszłych czynów. Franciszek sprawił sobie był raz nowe kalosze i strzegł je, jak oka w głowie, gdyż nawet w czasie zbyt wielkiego błota nie wychodził w nich na ulicę, aby nie straciły połysku. As dobrał się do owych kaloszy i pogryzł, porozrywał. Skargi, zanoszone do pana po każdem przestępstwie psa, pozostawały teraz bez żadnych skutków i Franciszek z goryczą powtarzał:

— Cóż tu dziwnego, że się taka bestja z każdym dniem bardziej uzuchwala?

Atoli pan Albin zapatrywał się obecnie na Asa z innego punktu widzenia; mianowicie też uważał on psa niejako za pośrednika, który go łączy z domem, gdzie przebywają czarne oczy. Istotnie, jest to brutalne, gdy człowiek w epoce zakochania się bije psa, którego pieściła luba dziewica. W miłości jest moralność *sui generis*: współzawodnika można postrzelić, sprzymierzeńca się głaszcze.

Dumając tak z głową potężnie zagwożdżoną czarnemi oczyma, Zabrzeski stworzył nareszcie plan, przynoszący mu zaszczyt, jako początkującemu myśliwemu. Brał on codziennie Asa na łańcuszek i wychodził z nim jakoby na przechadzkę, żywiąc nadzieję, że wcześniej czy później musi nareszcie spotkać Morusieńkę. Stanowiło to przedsięwzięcie rodzaj polowania z wyżłem, ponieważ pies, spostrzegłszy czy poczuwszy swoją niedawną jeszcze panią, niezawodnie zapragnąłby ją powitać; pan Albin, naturalnie, nie stawiałby temu

żadnych przeszkód i zyskałby sposobność zbliżenia się do swego ideału. Niektórzy zakochani puszczają się jeszcze na niedorzeczniejsze hazardy.

As częstokroć zupełnie niespodziewanie skoczył, szarpnął się, jak szalony, i wtedy gwałtownie zabiło serce pana Albina, mniemającego, iż pies rwie się do którejś z sześciu panien Swojewskich. Niestety, po największej części powodem niepokoju wyżła bywał inny jakiś pies, spostrzeżony w oddaleniu!

— Przecież one muszą nieuchronnie z domu wychodzić! — mówił Zabrzeski sam do siebie, obkładając ulice, przyległe do Sewerynowa, więc stanowiska, na które musi zawsze wyjść zwierzyna, ruszona ze swej kotliny.

— Cierpliwość przezwycięża wszystko! — myślał pan Albin, przypominając sobie, że tę maksymę zna z wzorów kaligraficznych.

Podczas tych przechadzek z Asem on sobie przypominał rozmaite rzeczy. Będzie temu cztery lata, zasadzał się w podobny sposób przy rogu alei Jerozolimskich i ulicy Marszałkowskiej na niejaką Wandzię, z którą się przypadkiem zaznajomił na stacji kolei warszawsko-wiedeńskiej przed samem odejściem wieczornego pociągu ku Granicy. Żegnała kogoś, podobno narzeczonego, ze łzami i upuściła chustkę do nosa; on był szczęśliwym znalazcą, odprowadził właścicielkę chustki do domu, a przytem dowiedział się, że ma ojca, matkę, siostry i narzeczonego. Coś przez dwa tygodnie upatrywał Wandzi w tamtych okolicach, aż ją nareszcie spostrzegł z werandy cukierni Zawistowskiego i odnowił znajomość. Skończyło się na tem, że jedli na kolację raki, a rozczarowało go naoczne sprawdzenie, że Wandzia nie miała ani ojca, ani matki, ani sióstr, ani narzeczonego

i że jej na imię było Zuzia. Ale teraz zupełnie co innego: jest ojciec, są siostry, kto wie—może i narzeczony... Oh nie, nie! Narzeczonego sobie wcale nie życzył.

Maksyma z wzorów kaligraficznych dobrze mówiła. Niekiedy w klasie pierwszej malec dowiaduje się rzeczy, pożytecznych w dojrzałym wieku męskim. Jednego dnia Zabrzeski spostrzegł zdaleka Morusieńkę, idącą do kościoła z Gutą i Niutą. Dodajemy tu nawiasem, że rodzina nazywała Niutę „gołąbkiem". Rzecz godna uwagi, iż „smarkacz" dziewczyna także spostrzegła Zabrzeskiego i jakby odniechcenia przesłała mu spojrzenie, zdające się mówić: — „Byłam pewna, że cię tu spotkam".—Przechodziły przez plac Kopernika; on był przy samym rogu Oboźnej i odrazu puścił Asa ze smyczy. Oswobodzony wyżeł miał już atoli upatrzonego psa, który troskliwie obwąchiwał rogi pomnika wielkiego astronoma, i natychmiast poskoczył ku niemu, sprawiając srogi zawód swemu panu. Dobry rzut oka może wiele rzeczy ogarnąć od jednego razu, resztę dopowie tak zwana domyślność serca. Wchodząc na balkon przed drzwiami kościoła, Morusieńka tak właśnie rzuciła okiem i jakgdyby uśmiech zadowolenia przebiegł po jej ustach. Oby jej to wszystko nie zakłócało modlitwy!

Teraz trzeba było pojmać wyżła, który, znudzony jednostajną, przymusową przechadzką, pragnął pohulać i wcale nie myślał wracać „do nogi". Wezwany przez swego pana, popatrzył nań zdziwionym wzrokiem, potem pobiegł na Nowy Świat i, po drodze zawiązując stosunki ze spotkanemi psami, a mimo to nie pozwalając się dopędzić Zabrzeskiemu, wpadł na Ordynackie i dostał się na Sewerynów. Znowu pies! Tych psów wszędzie pełno i wyżeł nie mógł się opędzić zawieraniu

coraz to nowych stosunków. Człowiek człowieka mija obojętnie; psi altruizm nie pozwala na obojętność. Właśnie teraz w bramie stał jakiś psina, barwą przypominając pierniki, z bujną czupryną na łbie, z brodą, wąsami, bokobrodami. Spoglądał na ulicę z taką miną, jakgdyby sobie zadawał pytanie:—„Czy oprócz wystraszania pcheł z kudłów jest jeszcze co do zrobienia na tym świecie?“ — Wtem nadbiegł As z całym zapałem psa, który dobrze używa życia. Fertnęły się wdzięcznie dwa psy około siebie, jakgdyby sobie wzajemnie składały grzeczny ukłon na powitanie. Psia ceremonja, widać, wymaga, ażeby głowa każdego z dwóch witających się była blisko miejsca, gdzie jest ogon drugiego.

W tejże bramie miała pewna przekupka swój sklepik, handlując z ościennemi domami. Na długim stole leżało świeżuteńkie pieczywo i stały brudne słoje z cukierkami, podobnemi do świeczek stearynowych w szafirowe i purpurowe pasy; przepadają za tą łakocią muchy, dzieci i niektóre kucharki, młodsze. Kiedy się dwa psy witały z sobą, przekupka w drugim końcu stołu zawierała bardzo ważne przymierze z kucharką, która się zaklinała, że bez względu na zakaz swej pani, nie gdzie indziej, tylko właśnie tu, w bramie, będzie kupowała chleb, bułki, sól, drzewo na podpałkę i tym podobne artykuły. Dwie te niewiasty jeszcze się były nie porozumiały co do wszystkich punktów traktatu, a dwa psy zaledwie skosztowały rozkoszy obcowania, gdy delikatny węch Asa podrażniła woń świeżych kajzerek. Uczuł głód i może sobie pomyślał, że przyjaźń przyjaźnią, a o sobie nie trzeba nigdy zapominać, bo się wspiął na stół przedniemi łapami i chwycił w zęby ciepłą jeszcze kajzerkę. Ale i najzręczniejszy pies nie zdoła ukraść tak zręcznie, jak człowiek: As zwalił na ziemię słój ze słodyczami. Zgiełk tłuczonego szkła sprawił, że przekupka i kucharka raźno poskoczyły za wyżłem, który—nie głupi czekać—zmykał teraz do domu, gdzie mieszkał emeryt Swojewski z sześciu córkami. Żółty psina wypadł też z przekupką i kucharką przed bramę, udawał, że jest bardzo zły: szczekał groźnie, drapał ziemię wszystkiemi czterema nogami, coś jakgdyby się strasznie gorszył i odgrażał:—„Dałbym ja tobie, żebyś nie był szczęśliwie uciekł!“

Zrobił się teraz przed bramą jarmark, gdyż około przekupki i kucharki zaczęły się zbierać dzieci, chłopaki, zwane łobuzami, zatrzymywały się przechodzące młodsze. Naraz kucharka radośnie klasnęła w dłonie i zawołała:—„Wiem, wiem!...“—Poczem podała do wiadomości całego zgromadzenia, że ów bezecny pies, co narobił tyle szkody, pochodzi z tejże samej kamienicy, gdzie i ona mieszka, że nadto jest on własnością niejakich panien Swojewskich, sióstr, których jest tak dużo, iż nikt w kamienicy nie może się ich doliczyć.

Zgromadzenie uchwaliło teraz, ażeby panny Swojewskie natychmiast wynagrodziły przekupce szkodę, przez psa zrządzoną:—„Niech nie wypuszczają na ulicę takiego szkodnika!“ — Jakoż pokrzywdzona przekupka niebawem osadziła „na chwileczkę“ w swoim kramiku sprzymierzoną kucharkę, sama zaś w towarzystwie niektórych świadków podążyła do mieszkania emeryta, powtarzając nieustannie:

— Ooo, znam ja te muńki! Za grosz u mnie nic nie kupią... Choćby mi nawet nie zapłaciły za szkodę, to im aby nawymyślam, co się zmieści... Ma być na świecie chrześcijański handel!

Tymczasem Zabrzeski, o ile mógł, podążał za wyżłem i, gdy wychodził z Ordynackiej na Dynasy, mignął mu się tylko w oczach As, skręcający

na Sewerynów. Pan Albin nie miał już teraz najmniejszej wątpliwości, dokąd pies jego poszedł. Przystanął, ażeby się namyśleć, co należy przedsięwziąć. W każdym razie chciało mu się korzystać ze zdarzonej sposobności wejścia w bliższe stosunki z rodziną „czarnych oczu". Najprzód miał zamiar czekać, dopóki nie ujrzy Morusieńki, wracającej z kościoła; ale potem znowu przyszło mu do głowy, że byłoby może lepiej iść zaraz teraz i ująć sobie Lutę nadzwyczajną grzecznością, powiedzieć jej naprzykład:

— Pani, racz mię w niewysłowionej swej dobroci uważać jedynie za strażnika i opiekuna Asa!... Niech mię pani zaszczyci swojem zaufaniem, a będę się uważał za prawdziwie szczęśliwego.

Czyby się to jednak nie dało powiedzieć jeszcze lepiej, tak, żeby kobietę za serce istotnie ująć?...

Bijąc się tak z myślami, przybył na Sewerynów właśnie w chwili, kiedy przekupka ze świadkami i pretensjami wyruszyła do mieszkania emeryta.

Pozostała, jako zastępczyni, kucharka siedziała już przy kramiku w bramie i, chrupiąc cukierek z rozbitego przez Asa słoja, bardzo głośno rozmawiała o pannach Swojewskich, o wyżle, o szkodzie, którą poniosła przekupka. Ta przejrzysta rozmowa zaciekawiła Zabrzeskiego, a zaledwie rzucił pytanie, już się dowiedział o sprawkach wyżła i o ich następstwach.

Los mu wybornie sprzyjał. Aby zostać bohaterem, dosyć było iść, zrobić siebie odpowiedzialnym za uczynki psa, wynagrodzić szkodę i uwolnić panny Swojewskie od natrętnej przekupki.

Potężny pojedynek na języki odbywał się między Lutą a przekupką. Miejscem, gdzie się potykały, był przedpokój; ale odgłos walki wybiegał do sieni, rozlegał się w całym domu, nawet na ulicy. Świadkowie przybyli stali wprawdzie za drzwiami, słyszeli jednak dobrze przebieg rozprawy i bili przekupce brawo, ilekroć energiczniej dotknęła Lutę.

Z dumą zwycięzcy przeszedł między tą hołotą pan Albin i śmiało do drzwi zadzwonił. Na widok mężczyzny, kroczącego z wielką pewnością siebie, niektórzy świadkowie uważali za właściwe zemknąć, inni spoważnieli. Kiedy mu drzwi otwarła Franusia, witał ją najuprzejmiejszym ukłonem; następnie, założywszy jedną rękę za klapę surduta, a w drugiej trzymając z wdziękiem kapelusz, stanął w odległości trzech kroków przed rozindyczoną Lutą, skłonił się trzy razy z wielkiem uszanowaniem, ale i godnością, i rzekł:

— Honor, obowiązek nakazały mi przybyć tutaj, ażeby odeprzeć brutalną napaść, którą szanowna pani znosi tak niesprawiedliwie, dając jedynie przez to dowód swojej anielskiej dobroci i nadludzkiej cierpliwości.

Powiedziawszy to, zwrócił się teraz do przekupki i mówił tonem wielkiego pana:

— Na ile się ocenia szkoda, zrobiona w kramie przez mojego wyżła?

Ta uroczystość w mowie, ruchach sprawiła, że przekupka straciła przytomność umysłu i zaczęła bojaźliwie jakoś bąkać:

— Szkoda... hm, szkoda niemała!... Wielki słój... buldegony!... Pewnie z rubla, a kajzerki tam i inne...

Pan Albin wydobył trzy ruble i podał je przekupce, poczem sam otwarł drzwi, mówiąc z przyciskiem:

— Proszę się zaraz wynosić!

Zupełnie stropiona baba wyszła, ale zaraz za drzwiami znowu szeroko rozpuściła gębę:

— Wiem ja, wiem — wołała — co znaczy taki przyjaciel, który za szkodę panieńskich psów płaci—ho, ho, ho!...

Zachowanie się Zabrzeskiego nietylko ujęło, ale rozrzewniło Lutę, a najwięcej jej się podobała wyniosłość, z jaką pan Albin za drzwi wyprosił babę, która przed chwilą była jeszcze tak zuchwała. To też dziewica, anioł-stróż rodziny, ze łzami w oczach po trzykroć podawała rączkę swemu rycerzowi, który za każdym razem powtarzał:

— Uważam to sobie za niewysłowione szczęście, iż mi los pozwolił odebrać z ust pani podziękowanie... Właściwie ja to mam obowiązek być pani nieograniczenie wdzięcznym, ponieważ raczyłaś pani poczytać mi za zasługę to, co mi zrobić nakazywał honor i cześć, którą dla pani żywię.

Jakoś wkrótce potem trzy inne siostry powróciły z kościoła, a ich fizjognomje na widok Zabrzeskiego wyrażały zdziwienie, które u Morusieńki miało charakter zdziwienia przyjemnego. Naturalnie, rycerskie zachowanie się pana Albina pozyskało trzy nowe wielbicielki. On zaś, zawsze skromny czy udający skromnego, grzecznie się tylko kłaniał i mówił, że jest „niewypowiedzianie szczęśliwy".

Odtąd As należał do dwóch domów: zamieszkiwał stale na Erywańskiej, niestale na Seweryнowie, gdzie go już teraz znała robocza ludność tej dzielnicy nie z najlepszej strony.

Pies atoli tracił coraz więcej na wziętości u sześciu panien Swojewskich, w miarę tego, jak jego pan w ich łaski się wdzierał i zyskiwał codziennie wyższe uznanie. W domu emeryta niejednokrotnie można było teraz słyszeć wyrażenie: „wyżeł pana Albina". Zabrzeski również tem więcej zapominał o Asie, im bardziej wzrastała jego miłość dla Morusieńki, w której z każdym dniem odkrywał nowe wdzięki, nowe zalety.

Dziwnie to niekiedy układają się sprawy naszego życia, gdy przerozmaite względy niewolą człowieka, ażeby do upragnionego celu nie dążył drogą prostą, lecz—bocznemi ścieżkami.

Pan Albin, chcąc sobie zapewnić możność widywania Morusieńki, musiał się starać nieuchronnie o względy Luty i Guty, które były paniami domu. Sadził on się na okazywanie grzeczności obu tym pannom, okazując im względów daleko więcej, aniżeli nawet Morusieńce. Wiedział czy przeczuwał, że byłyby one nadzwyczajnie niebezpieczne, gdyby się zwróciły przeciw niemu, i usiłował je sobie wszelkiemi sposobami zjednać, ująć. To jego zachowywanie się wytworzyło bardzo osobliwą dwuznaczność: dwie starsze siostry, już dlatego samego, że starsze, poczęły sobie tłumaczyć zabiegi pana Albina, każda na swą własną korzyść. Co więcej, Morusieńka, obdarzona bardzo przenikliwym wzrokiem i niepospolitą domyślnością serca, ona nawet miewała przelotne chwile wątpliwości. Niewdzięczna, nie umiała ocenić, że on przecież tylko dla niej, dla niej jednej, przymusza się do odgrywania roli niezmiernie uciążliwej!...

Dopóki sympatja panien Swojewskich zwracała się ku Asowi, w domu panowała harmonja i każda z sześciu sióstr, nie budząc uczucia zazdrości w innych, mogła sobie psa zjednywać. Teraz nietrudno było dostrzec, że Luta i Guta prowadzą z sobą milczącą wojnę, gdyż każda z nich mniej więcej tak myślała:

— Onby tylko mnie jedną kochał, gdyby nie siostra moja!...

Zabrzeski otrzymał od panien Swojewskich

zaproszenie, ażeby stale bywał u nich w soboty, ponieważ w dni te wieczorem „zbiera się zwykle kilka osób na herbatę — serdeczniejsze kółko". Prócz tego najprzód Luta, następnie Guta powiedziały mu poufnie i w sposób nadzwyczajnie znaczący, iż dla takich jak on gości „drzwi i serca domu stoją zawsze otworem". Stary wieczorami ciągnął zwykle pasjansa, a córki dotychczas, nawet w soboty, nie odrywały go od tej czynności; ale teraz, ile razy pan Albin był na herbacie, Luta nagliła ojca do pokazania się gościowi, co, podług jej zdania, nadawało domowemu życiu charakter rodzinny. Guta nie dawała się pod tym względem prześcignąć starszej siostrze i również wyciągała ojca z jego izdebki, mówiąc pieszczotliwym głosem:

— Tatuńciu, tatuńciu, trzebaż coś robić dla swoich córek! Nieobecność kochanego ojczulka wystrasza nam gości z domu!...

Dziwiła emeryta tkliwość córek, które przedtem wbrew przeciwnie z nim się zachowywały. To też kiedy pierwszy raz wystąpił na takim wieczorze z herbatą i zastał tutaj pana Albina, bardzo się zamyślił, co to ma za znaczenie. Nagle, jakgdyby mu się w głowie rozświeciło, spojrzał na Zabrzeskiego i zaraz potem na Morusieńkę, która spiekła raki; widocznie odgadywała, o czem ojciec myśli i dlaczego na nią spojrzał. Jest instynkt ojcowski, a nikt lepiej od córki nie zdoła sięgnąć głęboko w duszę ojca. Ze wszystkich córek swych Swojewski najbardziej kochał „smarkacza". Prawdopodobny bieg myśli emeryta był taki: „Jeżeli ten młody człowiek przyszedł tutaj dla którejś z moich córek, mógł to uczynić jedynie z powodu najmłodszej". Ha, może też staremu ostatni pasjans coś podpowiadał! Dosyć na tem,

że pod wpływem jego spojrzenia Morusieńka spłonęła.

„Najserdeczniejsze kółko osób", bywających zwykle na sobotnich herbatach u panien Swojewskich, właściwie ograniczało się do liczby dwojga. Bywał tu najregularniej bratanek emeryta, student trzeciego kursu medycyny, zwany przez panny Zdobciem, ponieważ miał imię Zdobysław, i sąsiadka, pani Konstancja Garlewska, od dwudziestu pięciu lat już żyjąca w separacji z mężem.

Zdobcio Swojewski był to chłopiec wesoły, trzpiotowaty, powiadał, że w soboty zwykle nie jada obiadów, ponieważ wieczorem jest pewny wyżerki u swych siostruń. Chodził często do teatru, naśladował wybornie aktorów i czasami przez cały wieczór bawił panny, używając zwrotów, wyrywanych na chybił-trafił z rozmaitych utworów scenicznych.

Pani Garlewska miała nerwowy tyk w prawym policzku, a lewem znowu okiem ciągle mrugała, co chwila roniąc łzę z niego, i to jej nadawało fizjognomję osoby stale wzruszonej; mówiła przez nos tak niewyraźnie, że prócz nosowego bąkania żadnego dźwięku nie mogło ucho słuchacza dobrze rozróżnić. A jednak biada temu, kto się dostał na język pani Konstancji!

Zabrzeskiemu sobotnia herbata nie przypadła do smaku, gdyż Zdobcio, wpadłszy na temat miłości, bezładnie przytaczał oświadczenia i wyznania różnych kochanków ze znanych sobie sztuk teatralnych. Już to się zwracał do Morusieńki i patetycznie deklamował:

„On, co znając kobiece finty i obroty,
„Igrał był z kokieterją, a żartował z cnoty;
„On, który zwykle bywał zanadto zuchwały,
„Czemuż przy tobie siedzi drżący i nieśmiały?"

To znowu, nachyliwszy się do Guty, mówił:

— Słuchaj, Hortensjo, nie chcę ci prawić morałów, ale źle robisz, igrając z podobnemi uczuciami. Powiadam ci, jak przyjaciel, dotąd byłaś tylko lekkomyślną, ale będziesz nieszczęśliwą, jeśli się nie zatrzymasz.

Do Luty zaś stosował z jakiejś francuskiej komedji:

— Przeminęły już lata, w których się żenimy naoślep, pozostaje tylko zawrzeć małżeństwo z rozsądku, a niesłychanie trudno znaleźć kobietę, którąby rozsądek zaślubić pozwolił.

Ten trzpiot nie chciał zapewne nikogo dotknąć, a ciągłem odzywaniem się w taki sposób narobił wiele przykrości. Pan Albin postanowił sobie unikać, o ile można, „najserdeczniejszego kółka".

Codziennie około godziny jedenastej przyprowadzał teraz Zabrzeski Asa na Sewerynów i przed miejscem zamieszkania córek emeryta oswobadzał psa z łańcuszka. O wpół do trzeciej punktualnie znowu się tu zjawiał, aby zabrać wyżła, którego niewidzialna ręka także punktualnie wypuszczała z domu. Czas był dlatego tak wyliczony, ażeby i panny mogły się z psem ubawić, i emeryt bez przeszkód odbył swą poobiednią drzemkę. Niech nikt jednak nie myśli, że właściciel psa za swoją uczynność nie odbierał żadnej nagrody! Zarówno kiedy przyprowadzał Asa, jako też, gdy po niego przychodził, zawsze spotykał w oknie parę pięknych, czarnych oczu. Oprócz Morusieńki nikt w domu jakoś sobie nie zdawał jasno sprawy z tego, skąd się tu As bierze i gdzie się podziewa.

Dawniejsza też troskliwość o psa, dbałość wyziębła teraz. Panny Swojewskie prawie już nie zwracały nań uwagi, a pan Albin i Morusieńka pamiętali o nim o tyle tylko, ile im obojgu leżało

na sercu porozumiewanie się oczyma przez okno. To zapomnienie przez ludzi otwarło swobodzie Asa bardzo obszerne pole. Biegał tu i owdzie, wypowiadając wojnę wszystkim spotykanym kotom; ścigał zapalczywie kury samopas chodzące, a jeśli były zamknięte w kojcu, to stawał do takiego kojca, jak do zwierzyny, lub przy nim warował, dopóki go nie odpędzono; nazawiązywał wiele znajomości z licznemi psami ościennemi.

Ale od czasu pamiętnego zajścia z przekupką w bramie nasz wyżeł zwracał na się szczególną uwagę pewnego żebraka, który w tem odludnem ustroniu, chroniąc się zapewne przed bacznością policji, dni całe spędzał pod przeciwległym parkanem w zaułku, którędy się z Sewerynowa schodzi ku Oboźnej. Wszyscy mieszkańcy znali Pytę, wiedzieli, że jest kaleką, i przeto litościwsze gospodynie, kucharki oddawały mu nieraz różne ochłapy, spadłe ze stołu. W braku zajęcia Pyta z całym spokojem umysłu robił spostrzeżenia nad mieszkańcami Sewerynowa i nad przechodniami, którzy się tutaj pojawiali stale, jak naprzykład Zabrzeski. Historja zatargu Swojewskich z przekupką i zakończenie tej sprawy dały żebrakowi do myślenia.

— Gdyby mię ten niespokojny, przez wszystkich mych przyjaciół nielubiony pies pokąsał, musiałby mi ktoś za to zapłacić—mówił Pyta sam do siebie i, ile razy spostrzegł Asa, zawsze go drażnił, usiłował pobudzić do wściekłości.

Pies wprawdzie szczekał, dopadał, nigdy się jednak nie posunął tak daleko, żeby na żebraku spróbować swoich zębów. Tylko weszło to wnet w jego zwyczaj, że skoro wypadł przed dom, zawsze już naprzód pędził pod parkan i zapalczywie oszczekiwał ową kupę brudnych, zrudziałych i wypłowiałych łachmanów, w których się

poruszało ciało ludzkie barwy może jeszcze szpetniejszej od łachmanów. Już ten, już ów zwracał uwagę na zapędy wyżła, mówiąc:

— Co to za szelma pies, biednemu człowiekowi nie daje spokoju!

Przekupka zaś nieraz na takie szczekanie stawała przed swoją bramą i wołała zdaleka na cały głos:

— Pyto, a chwyćcież za kamień, rozbijcie łeb temu łajdakowi! Będziecie mieli zasługę przed Panem Bogiem!

Wtedy żebrak odpowiadał jej płaczliwym i stękającym głosem:

— Moja pani, czy ja też to, nieszczęśliwy kaleka, mam siły, żeby się z miejsca dźwignąć albo kamieniem cisnąć?... Niech sobie tam szczeka na biednego, żeby jeno nie kąsał!

Raz na krzyk taki, zrobiony przez szczekanie Asa i łajanie przekupki, wyszedł też przed dom z warsztatu swego szewc Kąskiewicz i jego żona, kobieta znana na Sewerynowie z tego, że męża objadała i bardzo utyła. Za tem stadłem małżeńskiem wysypało się czworo drobnych dzieci—wszystko chciwe jakiego widowiska. Kąskiewicz, widząc, co się dzieje, miał sobie za święty chrześcijański obowiązek ukarać wyżła, który napada na bezbronnego kalekę; podszedł przeto nieznacznie do Asa, a ztyłu trzymał ukrytą potężną trzcinę. Tymczasem tak prędko, tak niezręcznie się zmierzył i uderzył, że psa chybił, a z wielkim rozmachem ugodził trzciną swoją otyłą małżonkę, która szła za nim niepostrzeżona i właśnie mu się nawinęła pod rękę. Szewcowa upadła na ziemię z ogromnym wrzaskiem i ciężarem swoim przygniotła pięcioletniego synka. Wrzask baby, płacz dziecka sprawiły, że wyżeł niezwłocznie pierzchnął. Od tego czasu Kąskiewicz stał się zawziętym wrogiem nietylko Asa, lecz całej rodziny emeryta. Byli tacy, którzy na własne uszy słyszeli, jak po tem zdarzeniu pani szewcowa przy zamkniętych drzwiach ogromnie wytrzaskała majstra w warsztacie, i dlatego w niedzielę nie wychodził z domu ani do kościoła, ani nigdzie. Ten miał się za co na psa gniewać. Różnych takich i tym podobnych pretensyj do Asa dosyć urosło tam na Sewerynowie.

Musiał Pyta pomiarkować, że już był czas, aby go wyżeł nareszcie pokąsał, gdyż jednego dnia, kiedy As na niego napadł ze szczekaniem, dziad narobił ogromnego krzyku, lamentu: wrzeszczał wniebogłosy, łez nie skąpiąc. Na taki nadzwyczajny hałas garną się ludzie zewsząd. Kucharki z zakasanemi rękawami, młodsze, czeladź warsztatowa z głowami odkrytemi, w fartuchach i bez fartuchów, góral z wiązką łapek na myszy, to znowu taki, co handluje słomiankami, inny z pękiem baloników, jeszcze inny, co lody obnosi, żydówka z koszykiem rzodkiewek, kościarka i szmaciarka — wszyscy pędzili do Pyty, który się darł, jak opętany, pokazywał okrwawione łachmany, rany na nodze i rękach, ciężko oskarżając Asa *coram populo*. Zgroza ogarnęła ten cały tłum, posypały się obelgi, przekleństwa, wymierzone do psa; kobiety i młodzież ogarnął fanatyzm jednocześnie litości i zemsty: ogłaszano na nieobecnego wyżła wyrok śmierci; więcej umiarkowani, rozsądniejsi, doradzali żebrakowi oddanie sprawy do sądu.

— Z zabicia psa — mówili — nie będzie żadnego pożytku, a sąd oto przyzna niezawodnie wynagrodzenie i przynajmniej się taki nieborak odrobinę zapomoże.

— Ehe, którędy! — rzekł cicho na ucho Kąskiewiczowi ślusarz z Sewerynowa. — Pyta to

rybal Znam ja go!... Gardło dałbym, że on sobie sam tych ran narobił! Ciężko za takim świadczyć w sądzie!

— Co pan mówisz, panie Trzaskalski? — zapytał szewc z groźną powagą, jakby dotknięty w najdroższych swoich interesach. — A choćby też nawet i tak było, to djabli panu do tego! Niech korzysta, skoro ma rozum! W każdym procederze człowiek za korzyścią przecie goni!

— I to jest prawda, niech korzysta! Ma się rozumieć, niech korzysta — co mi tam do tego!

Upłynęło chyba z pół godziny, zanim się ten tłum począł rozchodzić.

W tym czasie, kiedy sprawa Pyty wchodziła na drogę sądową, Luta zaczęła się rozczarowywać do Zabrzeskiego, a „smarkacza" podejrzewać i śledzić z chytrością właściwą zazdrosnej kobiecie. Czy jej czyste przeczucie coś podszepnęło, czy może i wpadła na jakieś wyraźniejsze dane, dosyć, że była na tropie potajemnych, więc tem samem zakazanych stosunków najmłodszej siostry z panem Albinem. Jako „anioł-stróż rodziny", a właściwie jako zawiedziona w uczuciach, Luta nie spuszczała z oczu „smarkacza". Jednakże Morusieńka, choć młodsza od siostry, a może dlatego, że młodsza, była jeszcze chytrzejsza i z całą przytomnością umysłu miała się na baczności.

Bardzo się musiał zdziwić Zabrzeski, gdy przybywszy pewnego pięknego dnia na Sewerynów, zamiast pięknych czarnych oczu ujrzał w oknie złośliwie uśmiechnięte i zacięte usta Luty. Zmieszało go to cokolwiek, ukłonił się jednak bardzo grzecznie, spuścił psa z łańcuszka i, żeby się uwolnić od niemiłego wrażenia, poszedł na śniadanie do Lijewskiego. O wpół do trzeciej znowu przyszedł po psa i znowu w oknie

stała Luta, zdająca się przemawiać: — „Teraz już wszystko wiem, odgadłam!"

Nazajutrz pan Albin postanowił nie chodzić na Sewerynów, chociaż go to kosztowało bardzo wiele, i nie poszedł. Mimo to As już przywykł, zwlókł się, uciekł z domu i sam poszedł na Sewerynów, a następnie o oznaczonej godzinie wrócił na obiad do domu. Trzeciego dnia było zupełnie to samo. W podobny sposób jeszcze jeden dzień minął i potem już Zabrzeski nie mógł wytrzymać.

— Niech się dzieje, co chce, a muszę ją zobaczyć! — powiedział sobie, wziął psa na łańcuszek i poszedł.

Tym razem w oknie stała Morusieńka, tylko jakaś posępna, zamyślona. Jeszcze ją widział, kiedy przyszedł zabrać wyżła, i wydawało mu się wtedy, że jakiś znak dawała mu ręką.

Wrócił do domu, usiadł, pogrążył głowę w obu dłoniach i myślał, a ciągle jedno tylko pytanie go oblegało: — „Na czem się to wszystko skończy?" — Ocknął się z zamyślenia i spostrzegł leżącego naprzeciwko Asa, który uważnemi oczyma wpatrywał się w swego pana, jakgdyby chciał odgadnąć jego myśli. — „Szczęśliwy pies!"—mruknął pan Albin i znowu mu się narzuciło pytanie: — „Na czem się to wszystko skończy?"

W duszy tego człowieka żyło tylko uczucie czy namiętność, nie pozwalająca na żadną logiczną działalność wyższego rzędu. Widnokrąg takiego duchowego stanu można porównać do widnokręgu podróżnika w pustyni lub na morzu: piasek i piasek, woda i woda, kobieta i kobieta. Czyż już nic więcej niema na świecie? Owszem, jest jeszcze pytanie:—„Kiedy i jak się to wszystko skończy?"

Prawa odwieczne działają i tak czy inak muszą

się spełnić, a człowiek mniema, że to on działa, czuje, myśli... Ostatecznie, on jest tylko zadowolony lub niezadowolony; bieg wypadków pcha go w jednym albo drugim kierunku. I nikt a nikt nie jest tak mądry, aby posiadł klucz logiki szczęścia i nieszczęścia, aby konsekwentnie przewidział, ku jakiemu kresowi zmierza. Głupi ma nawet pod tym względem wyższość nad mądrym: głupiec nie tak często błądzi, zato mądry nigdy popełnionych błędów swoich nie opłakuje.

Nie będziemy tu opisywali przebiegu sprawy sądowej, wytoczonej przeciw emerytowi o pokąsanie przez Asa żebraka i kaleki Szymona Pytaja, zwanego pospolicie Pytą. Świadkowie byli wiarogodni, począwszy od szewca Kąskiewicza, a kończąc na przekupce z bramy, dowody też— całkiem oczywiste. Ojca sześciu córek skazano wyrokiem sądowym na zapłacenie Pycie pewnej sumy pieniężnej i poniesienie kosztów procesu. Grzeczność, przyzwoitość towarzyska nie pozwalały na wprowadzenie w tę sprawę Zabrzeskiego, istotnego właściciela wyżła. Ale też stary narobił zato w domu piekła!... Zemdlała Luta, zemdlała Guta, zemdlała Niuta i o mało nie zemdlała Morusieńka, a ojciec wpadł w jakiś szał, biegał po pokoju, sapał, wykrzykując:

— Dosyć mam tego psa! Już mi kością w gardle stanął! Słowo honoru daję, słowo honoru — w łeb mu strzelę, jeżeli się tylko pokaże w moim domu!... Słyszycie, mówię jasno—w łeb strzelę!...

Szczęściem Asa nie widział, gdyż Morusieńka nosiła już teraz długą suknię i, siedząc na krzesełku, zalewała się łzami, a nóżkami tak psa przygniotła, że się nie mógł ruszyć. Jakie to szczęście, że nie zemdlała!

Nareszcie stary wybiegł do swojego pokoiku, gdzie wydobył jakiś bardzo stary, zardzewiały

pistolet, który nabił równie starym prochem, starą kulą i nałożył aż zielony od starości kapiszon. Prawdopodobnie broń nie zagrażała najmniejszem niebezpieczeństwem; Swojewski jednak włożył pistolet w kieszeń surduta i, tak uzbrojony, groźny wrócił do córek. Ten ojciec, zwykle malowany i pod pantoflem córek będący, naraz odzyskał energję, ukazał się w świetle strasznie surowej powagi. Naturalnie, w czasie jego nieobecności chwilowej z pośpiechem wypchnięto za drzwi Asa. Kiedy teraz panny spostrzegły wyglądający z kieszeni ojca straszny oręż, nadzwyczajna trwoga ogarnęła ich dziewicze serca. Zemdlałe powróciły do przytomności i wszystkie padły na kolana, błagając starego, żeby się rozbroił. Jakgdyby chciał się zemścić za deptaną przez nie powagę ojcowską, zachowywał ciągle bardzo groźną postawę, a od czasu do czasu macał ręką kolbę pistoletu, co przerażało córki. Pisk, łkanie, szlochy niewieście — nic nie pomagało. Naraz Swojewski zwraca się do Morusieńki, wyciąga ku niej wskazujący palec i z wielkim naciskiem w te słowa przemawia:

— Tyś powinna wiedzieć, dlaczego ja tego psa zabić muszę!

I trzy razy powtórzył: „zabić muszę". Morusieńka zakryła twarz rękoma i wybuchnęła płaczem, podobnym do kwilenia dziecka. Słowa te wywarły na nią takie wrażenie, jakgdyby rozgniewanemu ojcu nie o samego psa chodziło, ale jeszcze i o coś innego.

Wtem z przedpokoju doleciał odgłos dzwonka. Porwały się panny, prędko otarły łzy z zaczerwienionych od płaczu oczu i spokojnie pousiadały w kątach. Ktoś przyszedł—i do przedpokoju na przyjęcie podążył sam ojciec. Była chwila

oczekiwania, w której Morusieńka śmiertelnie pobladła.

— Jeżeli, dajmy na to, przypadkiem zadzwonił pan Albin i przyszedł z Asem?... Nie, nie, chwała Bogu!

W przedpokoju dał się słyszeć wesoły głos Zdobcia. Naprzód witał stryja słowami z „Consilium facultatis", później, śpiewając „Jeszcze raz, jeszcze raz..." z „Ptasznika z Tyrolu", spieszył do panien, aby im oznajmić, że dzisiaj niemożna dostać biletów na „Carmen". Gniewna i poważna fizjognomja starego, wystraszone zafrasowane miny panien—wszystko to zadziwiło Zdobcia. Zaczął przemawiać słowami Szumbalińskiego z „Posażnej jedynaczki": — „Jakiż konkurent o moje niebożątka się zgłosi?" — A kiedy i to nikogo tu nie rozweselało, przysiadł się do Morusieńki i na ucho zapytał, co takiego zaszło. Okiem i ruchem ukazała mu pistolet w kieszeni ojca. — „Ooo, źlee!" — poszepnął Zdobcio, poczem zbliżył się do stryja, rzekomo całował go w rękę na pożegnanie, a jednocześnie wyciągnął z kieszeni pistolet. Spostrzegł to emeryt, zmarszczył się i, położywszy rękę na ramieniu młodzieńca, rzekł głosem bardzo poważnym, surowym:

— Mój kochany, nie zawsze można żartować!... Są rzeczy, które nie znoszą żartów...

— Ej, stryjek dziś taki surowy, kto to widział! —odrzekł Zdobcio.

— Tak jest, jestem surowy, bo takim być muszę, bo innym dziś być nie mogę, bo ojciec rodziny ma obowiązek być surowym, jeśli widzi, że dzieci mogą kiedyś płakać na jego dobroć, że... że... bo... bo...

Zaciął się stary, jakieś słowo nie mogło mu przejść przez gardło, odebrał pistolet z rąk Zdobcia i szybkim krokiem poszedł do swego pokoju.

Odetchnęły teraz panny Swojewskie, a Morusieńka mimowolnie zbliżyła się do okna i rzuciła okiem w nadziei, że ujrzy Zabrzeskiego. Nie było go, już widać zabrał wyżła i poszedł do domu. To lepiej, lepiej się tak stało! Oby jutro nie przyprowadzał Asa, póki nie przycichnie ta burza ojcowskiego gniewu!

— Żeby też o psa robić takie sceny w domu! —zawołała Guta, przerywając milczenie.

— Ależ to nie o psa chodzi ojcu! — odpowiedziała Luta, wzruszając ramionami i wskazując okiem Morusieńkę, zwróconą ku oknu.

— I coprawda, ojciec się zupełnie słusznie gniewa... Przecież to jasne jak słońce, że się „smarkacz" bałamuci.

Chociaż te słowa ostatnie powiedziano głosem cichym, Morusieńka je słyszała i spłonęła, jakby ją kto wrzątkiem oblał.

Najmłodsza siostra zrozumiała teraz, że ma w domu wszystkich przeciwko sobie. Przez całą noc nie spała i rozmyślała nad tem, co robić należy w takiem położeniu. Źle jest, kiedy się kobieta zastanawia, myśli.

Wydawało się Morusieńce, że koniecznie powinna dać panu Albinowi jakiś znak, ażeby nie przychodził już z wyżłem na Sewerynów, i taki plan ułożyła:

„Ponieważ wiem, o której on tu godzinie przychodzi, przeto wybiegnę kilka minut przedtem, a gdy go spotkam, powiem te tylko słowa:—„Na miłość Boga, nie przyprowadzaj pan już do nas Asa, gdyż może być nieszczęście!"—Tyle mu powiem i natychmiast wrócę do domu, bo wiem, że to nie jest przyzwoicie rozmawiać z mężczyzną na ulicy".

Dziewczyna zapaliła się do swego przedsięwzięcia, uważała je za niezbędne, chwalebne—i na-

zajutrz w oznaczonym czasie niepostrzeżenie wymknęła się z domu.

Jakoż niebawem na Krakowskiem Przedmieściu, przy samym rogu Oboźnej, spotkała pana Albina z wyżłem. As się łasił do niej, merdał jej ogonem, jego pan złożył ukłon nadzwyczajnie uprzejmy. Morusieńka otwarła usta, chciała wypowiedzieć ostrzeżenie, ale przedtem się obejrzała niespokojnie i nagle szkarłat oblał twarz jej całą: na przeciwległym chodniku ujrzała Lutę, która ją bacznie śledziła. W najwyższem pomieszaniu, zupełnie nie wiedząc, co robi, z pośpiechem rzuciła się w ulicę Oboźną, ażeby tamtędy powrócić do domu. Zabrzeski, oczarowany wdziękami dziewicy, którą przestrach jeszcze piękniejszą uczynił, pośpieszył za nią i kiedy już skręcała w odludną uliczkę, wiodącą z Oboźnej na Sewerynów, przemówił w te słowa:

— Pozwól mi, pani, abym ci uczynił wyznanie, od którego życie moje zależy!

Strwożyło to dziewczynę jeszcze bardziej, gdyż była pewna, że Luta za nimi podąża. Doznała zawrotu głowy, czuła, że jej się ziemia z pod nóg usuwa, wytężyła wszystkie siły, ażeby przyśpieszyć kroku, gdy się nagle potknęła, jęknęła—„Ah!“ —i upadła.

Powszechnie wiadomo, że zakochani umieją korzystać z każdego przypadku.

Lekuchno i w okamgnienia Zabrzeski postawił Morusieńkę na nogach, błagał ją jednocześnie, zaklinał, ażeby się go nie obawiała, i przy tej sposobności złożył niezmiernie gorący pocałunek na pięknej rączce bez rękawiczki. Wyrwała mu się, jak ptaszek strwożony, biegła co tchu, a przed nią wyskakiwał, radośnie poszczekując, As, który skorzystał z chwili i razem z łańcuszkiem wymknął się swojemu panu.

Odebrawszy tyle niespodziewanych a silnych wrażeń, przystanął teraz pan Albin, jak człowiek, który nieuchronnie potrzebuje chwilki czasu, aby sobie powierzchownie zdać sprawę z tego, co tak nagle zaszło. Nie miał na to czasu, gdyż właśnie spostrzegł przechodzącą mimo Lutę. Chwycił się za kapelusz, zdjął go do ukłonu; ale ona miała fizjognomję sztywną, pogardliwą i przeszła, jakgdyby go wcale nie widziała, podążając za Morusieńką i Asem.

Ta niespodzianka najzupełniej stropiła Zabrzeskiego; nie jadł wcale śniadania, lecz poszedł prosto do domu na Erywańską. Usiadł i przebiegał myślą dzieje swojego uczucia. Wszystko poszło z Asa; marny pies może jednak w życiu człowieka odegrać znaczną rolę.

Rzecz dziwna, zakochani ludzie mają najwyższą skłonność do rozmyślań, a wcale nie są zdolni myśleć; oglądać myślą swojej własnej duszy. Dusza ta jest wprawdzie jakby cyrkiem czy teatrem, gdzie sobie najrozmaitsze uczucia urządzają przedstawienia, ale zupełnie brakuje widzów.—„No i cóż dalej? Na czem się to wszystko skończy?“

Tymczasem na Sewerynowie było istne piekło. Dopiero teraz się wydało, że Luta to nieustannie podżegała starego, ażeby się uzbroił w ojcowską powagę i dał dobrą naukę „smarkaczowi“. Proces o pokąsanie przez Asa Pyty dolał tylko oliwy do duszy emeryta, zaniepokojonego o najmłodszą z córek. Luta bowiem wyraźnie powiedziała ojcu, że Morusieńka jest bardzo zalotna, może łatwo zostać kokietką, pójść po drodze zgubnej dla siebie i rzucić „cień na całą rodzinę“. Czy to była zwyczajna złośliwość starej panny, gotowej każdemu dokuczyć, czy fortel, ażeby w taki sposób Zabrzeskiemu przeciąć drogę zabiegów względem „smarkacza“, a napędzić go ku sobie, czy nareszt-

cie istotna troskliwość o nienaganne postępowanie i dobre imię najmłodszej siostry? Pytań tych nikt zapewne nie zdoła rozstrzygnąć stanowczo. Wszystkiego bowiem w pobudkach działania „anioła-stróża rodziny“ mogło być po odrobinie.

Po doznanej przygodzie ulicznej z panem Albinem, Morusieńka przed drzwiami mieszkania odzyskała przytomność, nie wpuściła za sobą wyżła, tylko weszła sama, usiadła spokojnie i, czego dotąd nigdy nie robiła, zaczęła czytać książkę: „Żywoty znakomitych Polek“.

Wkrótce wpadła za nią Luta, jak bomba, zatrzymała się chwilkę i powiedziała z gorzkim uśmiechem:

— Pięknie, bardzo pięknie!...

Skinęła na Gutę i Niutę i wszystkie trzy poszły do ojca.

— Ojcze, jest źle, bardzo źle!—zawołała Luta, wchodząc do pokoju.

Emeryt z przerażeniem spojrzał na najstarszą córkę i trwożliwym głosem spytał:

— Co się stało?

A ona zaraz zaczęła w najstraszniejszych barwach przedstawiać, że Morusieńka miała umówioną na ulicy schadzkę z Zabrzeskim, że się wraz z nim schroniła na odludną ulicę, gdzie słuchała jego miłosnych wyznań, że nareszcie upadła, a on ją podniósł i całował. Guta i Niuta dodawały niemało okropności temu opowiadaniu swojemi wykrzykami, ruchami rąk i twarzy.

— Niech ojciec radzi! Niech ojciec radzi! — wykrzykiwały nagwałt trzy stare panny.

Zdawało się, że starca opuściła dzisiaj owa energja i stanowczość, którą okazywał wczoraj jeszcze, uzbrojony w pistolet. Pobladł nadzwyczajnie, miał łzy w oczach, usta mu drgały, nogi się chwiały pod nim i wyrzekł tylko:

— Tak, tak, trzeba złemu zaradzić! Nieszczęście!

Swojewski miał w Warszawie przyjaciela z lat dawnych, kolegę biurowego, dziś jak i on emeryta, Ryszarda Bodzęckiego, którego koledzy przezwali byli niegdyś Ryszardem Lwie-Serce. Nie lwie, ale prawe ludzkie serce posiadał ten człowiek, jeden z takich, co się to o nich mówi: —„Można na nim polegać, jak na Zawiszy!“ — Bodzęcki, przeszło siedemdziesięcioletni starzec, ostatki życia swojego poświęcał obecnie rozmyślaniom nad tem, jak ulepszyć ustawy w różnych towarzystwach dobroczynnych, ażeby wsparcia otrzymywali tylko rzeczywiście ubodzy ludzie; a z pomiędzy wszystkich stowarzyszeń w Warszawie najwyżej stawiał Archikonfraternię Literacką, której był członkiem. Chudy, kościsty, zawsze wyprostowany, miał wzrok surowy, wyraz pociągłej zmarszczonej twarzy niezwykle ostry. Mimo starości nie był gadułą, lecz mówił zawsze krótko, zwięźle, wyraźnie.

Do niego to przybył Swojewski z ojcowskim bólem w sercu i bez żadnych ogródek wyznał otwarcie, co zaszło, a na zakończenie dodał ze wzruszeniem:

— Dajże mi radę, Ryszardzie, co mam przedsięwziąć!

„Ryszard Lwie-Serce“ uważnie wysłuchał całej przemowy kolegi, żądał wyjaśnienia co do niektórych szczegółów, poczem rzekł:

— Zawsze się działy takie rzeczy i zapewne dziać się będą; na to niema lekarstwa,— żaden ojciec, żadna matka nie upilnuje! Swoją drogą ty nie możesz tego brać lekko i owego zalotnika musimy do odpowiedzialności pociągnąć... Kto pannie naznacza schadzkę, oświadcza jej się i całuje ją przy wyznaniu miłosnem, ten się nieodwołalnie

musi z nią ożenić!... No, a gdyby odmówił, powinieneś się z nim koniecznie strzelać, jako obrońca honoru swojej córki.

Emeryt spuścił głowę, usłyszawszy wyrok sprawiedliwego kolegi, i odrzekł:

— Słusznie mówisz, niema żadnego innego wyjścia! Niech się żeni albo będzie miał ze mną do czynienia!... Cóż robić? Dla dobra rodziny trzeba się nawet dać zastrzelić, jeśli potrzeba....

Pan Ryszard okazał się bardzo uczynny i przyjął na siebie obowiązki pierwszych zagajeń w tej drażliwej sprawie o honor Morusieńki.

Zabrzeski ciągle był czegoś niespokojny, oczekujący i, choć już było po szóstej, nie jadł jeszcze śniadania. Nareszcie otrząsnął się z bezmyślnej zadumy i pomyślał, że bez względu na wszystko, człowiek koniecznie jeść musi. Przyzwał Franciszka i zapytał go, czy nie wie, co się dzieje z Asem. Służący odpowiedział:

— Trudno taką bestję pilnować na każdym kroku!

Franciszek skłamał, chciał bowiem ukarać wyżła za jakąś nową psotę i zamknął go w ciasnej komórce, oczekując wyjścia z domu pana Albina.

Wtem ktoś zadzwonił; służący pośpieszył do drzwi i, widząc jakiegoś gościa, który gotów pana dłużej jeszcze w domu zatrzymać, a tu aż ręka świerzbi, żeby psu „skórę wytatarować", odrzekł:

— Niema pana w domu — i drzwi przybyłemu zamknął przed nosem.

Bodzęcki — on to był bowiem — dopiero nazajutrz rano porozumiał się z panem Albinem.

Rozmowa trwała bardzo krótko, a o jej treści najlepiej świadczyło to, że się Zabrzeski ożenił z Morusieńką. Otóż i w taki sposób można się też ożenić.

Gdy już panna Swojewska została panią Zabrzeską, wnet cicha, spokojna dziewczyna zmieniła się na wielce ruchliwą i energiczną mężatkę, okazując nieustannie tkliwą miłość mężowi. I było to, co bywa zwykle: naprzód — „dwie dusze w jednem ciele", potem duszy płci męskiej robi się ciasno, a dusza żeńska trzyma ją obiema rękoma za poły.

Dawniej panu Albinowi ciągle się nastręczało pytanie: — „Na czem się to wszystko skończy?" — Obecnie, jeśli wpadł w zadumę, stawało przed nim pytanie:—„Czy ja jestem szczęśliwy?" — Sam sobie odpowiadał:—„Zdaje się, że jestem".—Później wahał się, co sobie odpowiedzieć; jeszcze później odpowiedź brzmiała: — „Zdaje się, że szczęścia niema na świecie".— Ona zyskała swobodę, on ją stracił. Uwolniła się od tyranji rodzinnej sióstr i została sama tyranką męża. Jako pannie było jej źle na Sewerynowie, a sądziła, że mężowi powinno być dobrze na Erywańskiej. Miłość ich, nie przeplatana żadnem innem uczuciem, nie przerywana obowiązkami, w które człowiek wkłada kawałek duszy, stawała się chlebem powszednim, a nie przysmakiem. Zabrzeski usiłował nieraz wydobyć się z domu; ale żona inaczej pojmowała święty małżeński związek. — „Kocham cię i chcę być zawsze z tobą" — mawiała. Ten piękny klejnot zaczynał być kamieniem młyńskim u szyi.

Zmęczony, przesycony miłością pan Albin znowu zwrócił uwagę na Asa, gdyż zachciało mu się teraz polować. — „Ach! wyrwać się na cały dzień z domu w pola, w lasy!" — Odnalazł adres Benedykta Ochoty i postanowił osobiście odwieźć wyżła na naukę.

— Bardzo dobrze, to i ja z tobą pojadę!— zawołała żona.

— Strzęsiesz się, moja duszko, lepiej w domu zostań.

Na nic się nie zdały wszystkie przedstawienia i jednego dnia młoda para wsiadła na pociąg kolei, aby dojechać do stacji najbliższej od Kościejowej Wólki, poczem trzy mile jeszcze podróżowali końmi.

ROZDZIAŁ III

Sarmata i filozof.—Ajnemerowa, jej dzieci, Wiktusia — Olfąs, psi mentor.—As się wykierował na łapikurę.—Gospodynie i wyrocznia.—Awans.—Kury Ajnemerowej. — Jasnowidząca.—Dziękowanie za służbę.—Rosół Sarmaty.—Kara i ucieczka.—Gdzie się Olfąs schronił?

Wyobrażenia, poglądy pana Ochoty na cele wychowania psów bardzo się podobały i Zabrzeskiemu i jego małżonce; obojgu im się wydawało, że nie można było zostawić Asa w lepszych rękach. Zbójecka—tak się zwała rezydencja leśniczego — leżała w lesie, odległym przeszło o pół mili od Kościejowej Wólki. Był tutaj duży dom drewniany, ozdobiony od frontu wielkim łbem dzika; obok— inny budynek, stanowiący stajnię, chlew, kurnik, drwalnię; po drugiej stronie przystawka, a wszystko to otoczone naokoło drewnianym parkanem z tarcic.

Sam pan Ochota, chłop olbrzym, z długiemi czernionemi wąsami, z brwiami, sprawiającemi wrażenie ostu. Liczył zgórą lat pięćdziesiąt i nosił przed sobą wypukłość, która przypominała kopkę siana lub kopiec graniczny. Mimo to okazywał dużo krewkości, energji, co przypisywał piciu na czczo piołunówki. W rozmowie bardzo często powtarzał:

— Ja, chwalić Boga, jestem sobie Sarmata!

Nie było to u niego pojęcie etnograficzne, ale

pojęcie zucha, któremu pod każdym względem dopisują siły fizyczne; przez „Sarmatę“ rozumiał więc Ochota uosobienie zdrowia i wytrzymałości. Drżeli przed nim okoliczni złodzieje leśni, nazywając go „zbójem ze Zbójeckiej“, bo biada temu z nich, który się dostał w srogie łapy „Sarmaty“. Sarmatą nie był w takiem znaczeniu słowa młodszy kilka lat od Benedykta brat jego Julek, łysy, żółty, jak wosk, na twarzy, niskiego wzrostu i chudziutki. Starszy brat nazywał młodszego „filozofem“.

Harmonja między temi dwoma Ajaksami była doskonała: siła fizyczna uznawała inteligencję, a inteligencja żyła na koszt siły fizycznej, gdyż Julek, skończony próżniak, nic a nic nie robił w domu brata. Młodszy Ochota imponował swojemu otoczeniu nietylko nadzwyczajnemi pomysłami, ale także i językiem, którego tutaj nikt po największej części nie rozumiał. O złodzieju mawiał: — „Psiakrew komunista!“—Smutnego człowieka nazywał mizantropem, kłamstwo—improwizacją, złość—irytacją, głupstwo—herezją. Przytem mawiał niekiedy o ludziach „z niższem poznaniem“, dając do zrozumienia, że on sam jest „człowiekiem z poznaniem wyższem“. Tylko Julkowi dzięki pojawiały się na Zbójeckiej pytania, świadczące o głębszej przenikliwości umysłu ludzkiego, jak naprzykład: „Wierzyć czy nie wierzyć, że dusza po śmierci ciała błąka się i straszy?“ Sarmata nigdyby się nie odważył na własną rękę coś stanowczego orzec pod tym względem, mówiąc:

— Do takich zamysłowatych rzeczy trzeba mieć głowę Julka! On filozof, on co innego, zna różne takie kawałki...

Trzeba wiedzieć, że pan Benedykt miewał dni takie, w których go napadało niezwykłe pragnienie piołunówki; wtedy odosobniał się zupełnie w swojej izbie i pił dopóty, póki go „nie ominęło“,

co trwało niekiedy trzy, cztery dni. Mawiano wówczas w domu, że „pan słabuje". Gdy raz tak chorował, weszła do niego w nocy gospodyni, wiedziona zapewne troskliwością o zdrowie pana. Ochota widać jej nie poznał, przestraszył się widma w bieli, porwał wiszącą na ścianie dubeltówkę i wypalił do kobiety. Na szczęście w naboju był szrut kaczy; skończyło się na wybiciu zębów i zeszpeceniu twarzy gospodyni.

Ta gospodyni nazywała się Ajnemerowa, a dzierżyła na Zbójeckiej ster zarządu gospodarstwa domowego i każdej prawie nocy albo widziała, albo słyszała, że „coś chodzi". Straszyło tam na Zbójeckiej. Ajnemerowa pochodziła z Galicji i, jak podanie głosi, była wdową po strażniku rogatkowym — *Einnehmer* — stąd poszło później jej nazwisko. Przed osiemnastu laty była podobno bardzo powabną niewiastą, przynajmniej sama tak twierdziła; ale obecnie ani śladu wdzięków: wysoka, chuda, rozczochrana wiedźma z twarzą cygańską, pokrytą bliznami.

Miała Ajnemerowa przy sobie dwoje dzieci: dwudziestoletniego syna Olfąsa (zapewne Alfonsa) i dwudziestoczteroletnią córkę Polusię. Olfąs, długi, cienki drągal, odznaczał się czubatą głową z rudemi włosami, dużym nosem, jakby przełamanym w środku i skrzywionym w prawą stronę, ustami przypominającemi otwór słoika, z których wyglądały zęby, podobne do zajęczych. Powoli i ociężale chodził na długich a płaskich stopach, nieustannie poprawiając krótkie, lecz szerokie spodnie, które na jednem tylko ramieniu utrzymywał kawałek krajki.

Główną siłę roboczą w całym domu stanowiła Polusia, dziewka rumiana, silna, zdrowa i pracowita. Oprócz tych wymienionych osób znajdowało się jeszcze na Zbójeckiej dziecko, pięcioletnia

Wiktusia, o której pochodzeniu nikt nigdy nie mówił, choć przecie musiała mieć ojca i matkę.

Zabrzeski ułożył się o warunki i zostawił Asa w domu Ochoty; a pani Zabrzeska poleciła go szczególnej opiece Ajnemerowej, gdyż, jak mówiła, wyżłowi temu zawdzięczała swoje szczęście małżeńskie. Gospodyni na Zbójeckiej z miłym uśmiechem przyjęła zapewnienie młodej mężatki, że dobra opieka nad Asem będzie oddzielnie wynagrodzona.

Właściwie mówiąc, Sarmata nie posiadał żadnego oryginalnego sposobu układania wyżłów; ale Julek każdemu mówił:

— Mój brat ma swoją własną metodę! Mój brat nie trzyma się niczyjej metody!

I stąd powstało, że ludzie mówili o metodzie pana Benedykta, nie zdając sobie sprawy, co to jest metoda wogóle i w szczególe. Nawiasowo nadmieniamy tutaj, że „filozof" i innych wyrazów nadużywał w podobny sposób: polityką nazywał grzeczność, krytyką—obmowę.

Ta metoda starszego Ochoty była bardzo prosta, brał on z sobą wyżła w pole, a powróciwszy do domu, wołał Olfąsa i oddawał mu psa pod wyłączną opiekę:

— Tylko żeby mi dobrze „dociągał", „wypychał" jak należy—rozumiesz, kondlu?...

Olfąs to więc był tutaj rzeczywistym pedagogiem, który wyuczał psy warować, aportować, szukać zguby, chodzić przy nodze i t. d. Jeżeli zaś zaszła potrzeba, on je także oduczał od różnych psom niedozwolonych nałogów. Gdy wyżeł włóczył nos po ziemi, nauczyciel zakładał mu widelki, zniewalając do górnego wiatru. Innym razem należało psa wyprowadzać w pole na otoku i w koralach, aby go zmuszać do należytego dociągania po zwietrzeniu zwierzyny. Uczeń Olfąsa

musiał wybornie rozumieć znaczenie wyrazów: „sa-tu, dalej, nazad, fuj, szukaj, aport, zguba, lekko, pst"; nadto musiał pojmować rozmaite tony i sposoby poświstywania czy pogwizdywania.

Ciężką szkołę przechodził pies, którego chłopak ten wziął w swoje ręce! Ale on tylko oddawał psom to, co sam odbierał od ludzi.

Pierwsza Ajnemerowa bardzo nie lubiła syna i głośno wyjawiała zdanie:

— Wiem ja, wiem dobrze, co za ziółko jest ten obieś, gotowy sprzedać rodzoną matkę!

Polusia też „żarła się ząb za ząb" z bratem i nienawidziła go równie, jak matka.

— Na wilka jacy patrzy, abo na innego, jeszcze gorszego zwierza—mawiała.

Wiktusia, ile razy się oddaliła od domu a spotkała gdzie na ustroniu Olfąsa, zawsze uciekała z przerażeniem, powiadając, że się „boi okrutnie, aby jej czego złego nie zrobił". Panowie Benedykt i Julek uważali go też za istotę, nie mającą ani żadnych moralnych uczuć, ani fizycznego czucia nawet. I wszystkie, jakie tylko są, obelżywe, wzgardliwe przezwiska stosowano tam na Zbójeckiej do Olfąsa. A ile razy on dostał od Sarmaty po grzbiecie harapnikiem, ile go nakopano nogami, wydarto za łeb, za uszy, nabito w gębę! Już matka, już siostra zanosiły nań skargi, za co brał wały.

— Dosyć tego kondla zobaczyć, a już się bić chce, aż ręka świerzbi! — odzywał się pan Benedykt, gdy Julek powiadał, że to jest *„in summo gradu* figura antypatyczna".

Łatwo zrozumieć, że Olfąs też nikogo nie kochał i, o ile mu tylko pozwalało bezpieczeństwo własnej skóry, na wszystkich wywierał swą nienawiść. Już to najmniejszej rzeczy nie można było zostawić bez zamknięcia, gdyż kradł on wszystko, co mu tylko pod rękę podpadło: pieniądze, kawałek chleba, mięsa, szmatę jaką, nóż, szrut, proch, kapiszony. Jeśli się przypadkiem dorwał do flaszki z gorzałką, wysączał ją do dna, a po każdej znaczniejszej kradzieży miał zwyczaj na krótszy lub dłuższy czas zmykać do lasu. Wracał, odbierał srogą karę i przy sposobności znowu robił swoje; ale nigdy nie przyznał się do winy, choćby go do śmierci bito.

— Coby to był za charakter, żeby szelma chciał być uczciwym! Słowo honoru daję, bohater—mówił nieraz filozof.

Tem lepiej ćwiczył pan Benedykt chłopaka w nadziei zrobienia bohatera.

Ten brudny nędzarz, skrobiący się nieustannie w plecy, był postrachem psów, które brał pod swój dozór i władzę. Pod jego wpływem najgorętsze nawet wyżły stawały się uległemi flegmatykami, a powolne nabierały ognistego temperamentu. Tajemnicę owego wpływu stanowił przedewszystkiem bat, następnie—rozmaite tortury, wymyślane przez Olfąsa w celach wykształcenia, a nie pozostawiające psu żadnego innego wyjścia, jak tylko bezwarunkową uległość. Może atoli i różne narzędzia męczarń nie wywarłyby pożądanego wpływu na niejedno zwierzę, gdyby nie sama indywidualność tego chłopaka, jakaś wola, zacięcie niewzruszona, nieubłagana, dzikie i zimne okrucieństwo, wyglądające z każdego jego ruchu i przerażające każdego psa nieopisaną trwogą. Miał on zwierzęcy instynkt w odgadywaniu przyczyn zwierzęcego uporu, a ludzką zmyślność w wynajdywaniu środków karnych. Ażeby zrozumieć to jego dzikie okrucieństwo, trzeba go było widzieć, gdy z gniazd ptasich nawybierał pełne kieszenie piskląt; potem spokojnie, z uśmiechem zadowolenia, dusił w palcach jedno po drugiem,

piekł na patyczkach nad roznieconym w polu ogniem i zjadał.

Gdy Olfąs spojrzał w oczy psa swemi piwnemi oczami, pies brał ogon pod siebie, kurczył się, przylegał na ziemi i kornie spełniał rozkazy—rzekłbyś—jeden drugiemu zajrzał głęboko w duszę. Wśród ludzi syn Ajnemerowej wyglądał jak idjota, nieczuły na wszelkie wrażenia, będące skutkiem obcowania z bliźnimi. Widok i głos pana Benedykta zdawał się go paraliżować, odbierać mu przytomność umysłu. Zupełnie inną już istotą stawał on się na samotności albo mając do czynienia z psami. Biada wyżłowi, który nie chciał szukać zguby, aportować, iść w wodę i doprowadził Olfąsa do niecierpliwości!

Ten psi mentor miał swój własny słownik na oznaczanie wyżłów, które posiadały jakieś niepożądane właściwości. Pies, wąchający po ziemi, zwał się podług tego słownika „mysiarz"; jeżeli stawał do lada ptaszka—„skowroniarz"; gdy się rzucał w pogoń za wypchaną zwierzyną, był to „świniarz". Do każdego z tych przezwisk Olfąs dodawał epitet zdobiący—„ścierwo".

Bywały czasy, w których na pensjonacie u pana Benedykta kształciło się jednocześnie kilka wyżłów, i wtedy Julek z dumą się odzywał, że jego brat jest „specjalistą, mającym sławę europejską". Obecnie był tu tylko jeden As, zwany potocznie przez otoczenie „psem warszawskim".

— Nie jest to bez *ale*, jeżeli już Warszawa psy do nas przysyła!—mówił filozof, wyprowadzając wniosek z faktu pojawienia się Asa na Zbójeckiej.

Ajnemerowa otaczała względami warszawskiego psa, gdyż—według obietnicy pani Zabrzeskiej—spodziewała się „wdzięczności", jeżeli wyżeł po odbytej edukacji wróci do domu mądry, zdrowy

i niechudy. Olfąs odrazu spostrzegł, że matka tego psa nadzwyczajnie wyróżnia. Swoją drogą As miał poza sobą bogatą przeszłość stosunków z płcią piękną i posiadał właściwe sobie sposoby wkradania się w serce niewieście. Wszystko to gotowało mu niełaskę pedagoga, tem bardziej, że pies warszawski był jednocześnie mysiarzem, skowroniarzem i świniarzem, a oprócz tego pozyskał przydomek „ścierwa lizucha". Im atoli dokuczliwszą była metoda Olfąsa, z tym większym sentymentem zwracał się pies do Ajnemerowej, Polusi, nawet i Wiktusi. Przedtem nim As przybył na Zbójecką, używał tutaj niewieścich względów Awans, rosły, łaciasty wyżeł z rasy, która obecnie zupełnie wyszła z mody; ale że pies ten był już bardzo stary i nie okazywał najmniejszej pochopności do nadskakiwania, więc teraz dano pierwszeństwo zręcznemu warszawiakowi. Kobiety niestałe są w swych uczuciach.

Częstokroć nawet kijem wypędzano teraz Awansa z izby, gdyż gospodyni twierdziła, że rozpuszcza on pchły nadzwyczajnej wielkości, które w nocy spać jej nie dają. Do tej hipotezy o pchłach skłoniło Ajnemerową głównie odezwanie się pana Benedykta, który publicznie zrobił raz Julkowi taki wyrzut:

— Chodzisz oto filozofować między baby, niczego ich nie nauczysz, a pchły tylko do mnie znosisz, i ja potem w domu wysiedzieć nie mogę; pijawki tak nie dokuczą, jak te bestje!

Na Zbójeckiej były aż trzy teorje co do powstawania owych pasorzytów. Sarmata otwarcie utrzymywał, że pchły pochodzą z płci pięknej, a stają się wtedy dopiero dokuczliwe, kiedy przejdą na psa lub mężczyznę.

— Kobieta pcheł nic a nic nie czuje, choćby

ją obsiadło największe mrowisko — powiadał Benedykt.

Zdaniem Ajnemerowej pchły pochodzą tylko z psów, rozchodzą się po świecie i są dokuczliwe tak dla mężczyzn, jak dla kobiet. Julek, jako filozof, chciał być oryginalny, więc się nie zgadzał na żadną z tych teoryj; ale nie chciał też zbijać przekonań brata, a znowu praktyczne względy odżywiania nakazywały mu pozostawać w przymierzu z gospodynią i przeto twierdził:

— Pchły powstają głównie z trocin i paprochów siana, a mogą też powstawać z psów, z kobiet.

To pewna, że w tej części mieszkania, którą zajmowały Ajnemerowa, Polusia i Wiktusia, pchły były bardzo wielkie, bardzo dokuczliwe i niezmiernie liczne.

— Gryzą bestje, jak kuny — mawiał starszy Ochota.

Za pośrednictwem Polusi do uszu Ajnemerowej dochodziły wieści, jakoby Olfąs podczas lekcyj w polu tak katował Asa, aż się w Kościejowej Wólce ludzie litowali, słysząc skomlenie wyżła. Opowiadano, że okrutny nauczyciel krępował Asa własnemi spodniami, wieszał go na gałęzi drzewa i strasznie ćwiczył batem. Skrępowany i za grzbiet zawieszony pies nie miał żadnego punktu oparcia, a jego oprawca bił, potem odpoczywał i znowu bił. Gospodyni niebawem zaniosła skargę do najwyższej instancji; ale Sarmata, wysłuchawszy jej, rzekł:

— Niema w tem nic złego, kiedy się bije takiego psa albo człowieka, co z posłuszeństwa będzie miał kawałek chleba: tylko na dobre mu to wyjdzie!

Żeby zaś słowom swoim nadać większą siłę,

pan Benedykt przywołał Olfąsa, schwycił go swoją olbrzymią łapą za ucho, zakręcił silnie i spytał:

— A co, boli?

Chłopak ani pisnął, tylko zmrużył oczy, wyszczerzył zęby i skurczył się cały.

— Łajdaku, to ty musisz psa wieszać, kiedy go ukarać trzeba.

I z temi słowy starszy Ochota, podbiwszy Olfąsa piętą, jak piłkę, wyrzucił za drzwi.

Ajnemerowa zaś, Julek i Polusia radzili we troje, że „takie państwo z Warszawy pewnie nie potrzebuje psa do zajęcy, które przecie w mieście można łatwo na targu kupić, jeno więcej im chodzi o różne takie „polityczne“ sztuki dla zabawy“.

Młodszy Ochota basował babom, gdyż mu było z tem dobrze: dogadzały mu we wszystkiem. Obecnie nawet miał on ważny powód do schlebiania, gdyż pod jesień zabito na Zbójeckiej wieprza, a filozof przepadał za słodką kiszką z kaszą i rodzynkami. Sprawy tego porządku były w ręku Ajnemerowej, która mogła to robić w domu, co chciała, a niczem się łatwiej nie dała ująć, jak pochlebstwem—i gdy ją kto pocałował w brudną rękę. Uśmiechała się wówczas bardzo wdzięcznie, okazywała skłonność do ustępstw.

Kary, które As otrzymywał z ręki swego mentora, uwieńczył przynajmniej dobry skutek; wyżeł bowiem okazywał nareszcie całkowitą uległość i roztropność w spełnianiu rozkazów Olfąsa. Mówmy wyraźnie. Chłopak wychodził z psem i podążał polami w kierunku ludnej, zamożnej wsi—Kościejowej Wólki. Stojąc na wzgórzu, zdaleka śledził on bystremi oczyma, co się naokoło tej wsi dzieje. Wyobraźmy sobie sielski krajobraz w pogodny dzień jesienny. Wzdłuż drogi ciągnie się długa wieś; w jasnem słońcu pięknie odbijają bielutkie ściany chat, spoglądających na zielone błо-

nie, po którem uwija się gromada różnobarwnego bydła rogatego, koni, owiec, gęsi, a na strumieniu tu i owdzie pluska się, nurkuje stadko białych i szarych kaczek. Na tyłach chat—złote rżyska, porozdzielane miedzami, ciągną się ku lasowi i to, co tutaj krajobrazowi dodaje wdzięku, ruchu:— na rżyska powychodziły poza chaty gromadki kur ze swemi kogutami... Właśnie z całego krajobrazu tylko te kury obchodziły Olfąsa. To grzebiąc, to poszukując żeru, a nigdy się zbytecznie od chat nie oddalając, spokojne domowe ptaki chodziły sobie po rżysku. Skoro je As tylko zoczył, przykurczał się tak, że go zaledwie w bróździe można było spostrzec, podchodził chyłkiem, pełzał na brzuchu, nareszcie wyskakiwał nagle, chwytał upatrzoną kurę i wskok pędził z nią do swego mistrza, przyczajonego gdzie bądź za krzakiem tarniny. Polowanie kończyło się roznieceniem ognia w boru, upieczeniem i zjedzeniem kury. Daleko łatwiejsze bywały łowy na kaczki, które z biegiem strumienia nieoględnie precz poza wieś odpływały. Gęsi również nie stanowiły trudnej zdobyczy.

Spostrzegły to niebawem gospodynie z Kościejowej Wólki, że codziennie przepada gdzieś już kura, już gęś, już kaczka; ale wobec faktu takiego zachowywały się podobnie jak ludność starożytnej Grecji: zapytywały o przyczynę i radę wyroczni. Wyrocznią w Kościejowej Wólce była stara baba, niejaka Wypychowa, lekarka, wróżka, zażegnywaczka, której mądrość polegała głównie na tem, ażeby nic nie robić, a zawsze mieć się czem pożywić. Pytana o przyczynę znikania ze wsi drobiu, życzyła sobie, aby jej zostawiono siedem dni czasu do namysłu. Skoro ten przeciąg czasu upłynął i siedem nowych sztuk przepadło, gospodynie pośpieszyły do wróżki znowu z zapa-

sami chleba, sera, jaj, kaszy, grochu i otrzymały odpowiedź mniej więcej taką, jaką Grekom dawano w Delfach.

— Ptak nie ptak, zwierzę nie zwierzę, może cosik gorszego jeszcze, a zawdy trza dawać baczenie od Zbójeckiej.

Przez takie powiedzenie wróżka ukazywała na położenie lasu, jako prawdopodobne miejsce pobytu potwora, pobierającego haracz z Kościejowej Wólki. Rozumie się — pożeracz ptaków tylko w boru mógł przemieszkiwać.

Tymczasem na Zbójeckiej warszawski pies, który zrazu był w takich wielkich łaskach u płci pięknej, zaczął coś stawać się istotą podejrzaną, a zaczęło się od małej rzeczy. Jednego dnia rano Ajnemerowa, Polusia, a za niemi i Wiktusia poszły do krów, które noc przepędzały pod zamknięciem aż na dwie kłódki. Wchodzi do krowiarni pierwsza Ajnemerowa, krowy się na nią oglądają, porykują, a wtem z pod żłobu wyłazi As, przeciąga się w najlepsze i ziewa.

— Dla Boga świętego, skądże się tu zaś wziął ten pies?—powiada gospodyni do córki.

— Miastowy taki, to pewnie kóli większej wygody i ciepła wlazł między krowy—odrzekła Polusia.

— Czy ty, głupico, nie pamiętasz, żem go wczoraj wypędziła stąd przed zamknięciem krowiarni i wyszedł z nami?

— Juści, prawda, mamusiu!... Gdzieżbym nie miała pamiętać?...

— Kiedy pamiętasz, to nie gadaj, że wlazł... Z czegóż mu się ślepie tak świecą?...

Ajnemerowa żywiła niezłomne przekonanie, iż zły duch, ile razy mu się zechce niepokoić ludzi, włazi albo w czarnego kota, albo w czarnego psa. Niespodziewane pojawienie się w krowiarni wyżła

obudziło jej podejrzliwość; ale nie była pewna siebie, czy psa wypędziła z krowiarni na noc, czy nie. W takiej samej niepewności pozostawała także Polusia, jednak wolała matce przyświadczyć, niż się z nią spierać.

Nie można powiedzieć, że warszawski pies z powyżej przedstawionego powodu zasłużył sobie na prześladowanie ze strony kobiet; bynajmniej, tylko teraz pozostawiano go coraz wyłączniej opiece Olfąsa, od którego zależało wreszcie i karmienie wyżła.

Głód, miłość, brak swobody — wieczne przyczyny cierpień życiowych. Zwykle wesoły, poszczekujący As zaczął posępnieć, spoglądać ponuro i pożądliwemi oczyma badać, czy gdzie nie leży jakiś kawałek czegoś, mającego wartość. Ta jego mina, te różne zachcianki, pokusy utwierdzały gospodynię w podejrzeniach, odnoszących się do czarnych psów i kotów. Sama Ajnemerowa za nic w świecie nie wypędziłaby takiego psa ze swej izby, gdyż mógłby się potem zemścić; ale polecała to czynić istocie niewinnej, do anioła zbliżonej, nad którą zły nie ma jeszcze żadnej siły — Wiktusi. Dziecko spełniało wolę gospodyni bardzo skrupulatnie i z przyjemnością.

Nasz pies, zupełnie zaniedbany przez swego opiekuna, używany przezeń jedynie jako łapikura i nieraz surowo karany, a przytem wypędzany gorliwie z kuchni i izby gospodyni, byłby się targnął na własny ogon, gdyby wiedział, że go to nasyci. Okruchy i ochłapy, które pozostawały z ludzkiego stołu, już Wiktusia uprzątała bardzo starannie, a Awans, jakkolwiek pies stary i gnuśny, zawsze od początku obiadu był już przed drzwiami na stanowisku, zabezpieczającem mu gruntowe kości i odpadki. Jako pies miejscowy, znający nawylot ordynek domu, czuł on, że prawo kości służy mu tak bezsprzecznie, iż najmniejszej kostki gotów był bronić do wyłamania sobie ostatniego zęba. Stanowczość, z jaką ów starzec zjadał twarde szczątki pańskiego obiadu, była tak wielka i miała w sobie tyle powagi, że As spojrzał tylko i widział bezsporność praw Awansa. Cienko śpiewał!... Nieraz znalazł starą kość wybielałą, czaszkę końską lub baranią, brał to w zęby, kładł się na ziemi i chrupał. Dobre i takie naiwne łudzenie samego siebie!

W takiem położeniu rzeczy wyżłowi pozostawały tylko tajne i bardzo ryzykowne drogi zaspakajania głodu, jak naprzykład—upatrzyć chwilę dobrą, wpaść piorunem do kuchni, porwać tam bodaj z garnka flak jaki i — w nogi. Udawało się niekiedy, a w takim razie już Olfąs bezwarunkowo odbierał plagi; bo któż inny mógł ukraść tak zręcznie? Jemu było obojętne dostać wały raz więcej czy raz mniej w życiu. Innym razem mógł znowu As dostać harapnikiem za niego i rachunki się wyrównały. Jakoż nastąpiło to niebawem.

Nie udały się jednego dnia łowy w Kościejowej Wólce; baby bowiem spostrzegły wyżła, uchodzącego z gęsią ciężką, opierającą się psu resztkami życia, rzuciły się w pogoń i As musiał porzucić zdobycz, ażeby ujść z psią duszą. Widząc rabusia, zmykającego ku Zbójeckiej, gospodynie ogłaszały triumf Wypychowej.

Urwało się łatwe i korzystne polowanie, a nawet obawa przejmowała Olfąsa, czy mieszkańcy z Kościejowej Wólki nie zwrócą się do pana Benedykta z żądaniami wynagrodzenia strat, poniesionych w kurach, kaczkach i gęsiach. Oj, dostałby on wtedy za opiekę nad wyżłem!...

Ale takiemu, który przywykł do smacznych kąsków, na samo ich wspomnienie idzie do ust ślinka. Któżby wrażenia takiego nie doznał na

widok pięknych kur Ajnemerowej? Okazałe, tłuste, obiecywały one rozkosze zadowolenia najwybredniejszemu smakoszowi! Starszy Ochota, spojrzawszy nieraz na te kury, połknął ślinkę i zwracał się do gospodyni, mówiąc:

— Zjadłbym talerz dobrego rosołu z kurzyny— tylko żeby to było, jak ja lubię!... Esencjonalne— z pięć ziarek pieprzu, trochę bobkowego liścia, kawałeczek imbieru, a po wierzchu niech sobie pływa natka z pietruszki!

Jeżeli Ajnemerowa była w dobrym humorze, co filozof przez pochlebstwo nazywał „anielskim humorem", odpowiadała:

— Cóżby zaś nie?... Toć wszystek drób jegomościn!

I niebawem gotował się taki rosół w oddzielnym garnuszku, a z całej kury nie mogło go być więcej, broń Boże, niż dwa talerze. Ale czasem baba miała muchy w nosie, chciała dokuczyć jegomości i wtedy ze złością odpowiadała:

— Ja kur nie stwarzam, jaj nie będę wysiadywała i tego, co zostawione na chowanie, nie myślę w brzuchy wkładać!

Wtedy pan Benedykt odchrząknął tak mocno, aż się w lesie rozległo, szedł do swojej izby i wypijał dwa kieliszki piołunówki, aby utwierdzić swój sarmatyzm.

Olfąs zpodełba spoglądał na wałęsające się około domu kury i, jak od zmory, nie mógł się uwolnić od myśli, ciągle mu podszeptującej: — „Zjadłbym taką pieczoną kurę!" — Teraz wystarczało pokazać tylko Asowi palcem jedną z kur i iść sobie do lasu, a wyżeł resztę sam załatwiłby, gdyż brał kury tak cicho, lekko, zręcznie, bez najmniejszego hałasu... Chłopakowi chodziło jedynie o to, że brak kury w domu ściągnie nań podejrzenie;

i otóż pytanie: ile batów można dostać za zjedzenie takiej kury, to jest, czy się opłaci?

Natura ciągnie wilka do lasu; przeto jednego dnia przepadła w gospodarstwie bardzo jajonośna, biała kura, jedna z tych kur ukochanych, jedynych na kwoki, zawsze nieodstępnie towarzyszących swemu kogutowi. Żałość ogromna! Trajkotała gospodyni, trajkotała Polusia, a filozof pykał fajeczkę, słuchał i od czasu do czasu postawił wniosek. Opinja wahała się tym razem co do prawdopodobnego winowajcy, gdyż Ajnemerową mocno uderzała okoliczność, że zginęła kura ulubiona i biała, a w domu znajduje się pies czarny. Nie wypowiedziała ona głośno swej uwagi, jednakże z mniejszym naciskiem, niż Polusia, oskarżała Olfąsa. Przed wieczorem atoli sądy zyskały bardzo ważną podstawę, ponieważ z nauki powrócił do domu tylko wyżeł, a jego nauczyciel już nieobecnością podkreślił swą winę. Do późnej nocy przeciągnęły się rozprawy o zuchwalstwie przestępstwa; a kobiety gorycz swojego oburzenia w małej tylko części złagodziły nadzieją kary, którą Sarmata poprzysięgał wywrzeć na grzbiecie złoczyńcy w imię sprawiedliwości.

— Za taką kurę śmiało można oddać koguta i dwie inne kury! — mówiła Polusia do matki w chwili, kiedy już klęknęła do pacierza przed udaniem się na spoczynek nocny.

Ajnemerowa nic na to nie odpowiedziała, raz— że ją pod noc zawsze męczyła czkawka, następnie—że, mimo wszystko, nieustannie narzucał się jej umysłowi związek między zniknięciem z domu białej kury a obecnością w domu psa czarnego.

Nazajutrz, od samego rana, gospodyni zabrała się do nadziewania kiełbas i kiszek; Julek uprzyjemniał jej to zajęcie opowiadaniem o krajach,

gdzie się rodzą rodzynki, ryż, cynamon, pieprz i inne rzeczy, potrzebne w kuchni; Wiktusia klęczała na ławce przy oknie, śliniła sobie palce i rysowała niemi różne figury po szybach. Naraz mała porwała się, przybiegła do Ajnemerowej i poczęła jej z zapałem opowiadać, iż widziała w tej chwili przez okno, jak czarny pies pochwycił w pysk czarną kurę, aż się z niej pióra posypały, i poszedł do boru.

Na wieść o tem zrywa się gospodyni od kiełbas, kiszek, bierze w rękę garstkę kaszy, wybiega przed dom, nawołuje:—„Tiu, tiu, tiu, tiu!“—Odgłos ten sprowadził niebawem do jednego punktu wszystkie kury i teraz je dopiero Ajnemerowa przeliczyła wzrokiem parę razy. Istotnie, znowu brakowało jednej sztuki i właśnie tej, którą Wiktusia wymieniła, czarnej kury. Wróciła, a stając przed filozofem z założonemi rękoma, rzekła:

— Już tam jak mnie tknie co takiego, to choćby ludzie nie wiem co mówili, zawsze na moje wyjdzie!... Zaraz mówiłam wczoraj:—„Olfąs Olfąsem, wiadome rzeczy, że obieś, rodzonąby matkę sprzedał; ale mi się nie podobał ten warszawski czarny pies!...—I widzi pan, żem przeczuła!...“

Julek wprawdzie nie słyszał, żeby gospodyni mówiła wczoraj coś podobnego, jednakże nie myślał zaprzeczać. Założył sobie jedną nogę na kolanie drugiej, stuknął kilka razy fajeczką o obcas, wytrząsnął na podłogę popiół i, nakładając świeżą porcję tytuniu, rzekł:

— Ma się rozumieć! Bywają takie osoby jasnowidzące, które to i owo przewidzą, przepowiedzą.

— Mój panie — ciągnęła dalej Ajnemerowa — i nikt tego zaś nie widział, jeno Wiktusia, to małe dziecko, co jest bez najmniejszego grzechu... A wczoraj znowu nikt tego nie przewidział, jeno ja jedna... Cóż pan powiesz na to?

Gospodyni była teraz tak szczęśliwa z siebie, że w chwilowem zapomnieniu o stracie dwóch kur brudna jej twarz rozjaśniła się, wypogodziła, a oczy błyszczały.

— Jasnowidzenie, słowo uczciwości daję, jasnowidzenie! — rzekł Julek, pragnąc w duszy, aby gospodyni zasiadła do roboty, ponieważ właśnie przypadała kolej nadziewania słodkich kiszek z rodzynkami.

Ona jednakże znajdowała się w tym duchowym stanie, w którym człowiek niezbędnie pragnie, aby go podziwiano, i wyprawiła Wiktusię w poselstwie do Sarmaty, żeby „koniecznie przyszedł, bo jest bardzo ważny interes“. Pan Benedykt oświadczył, że nie myśli przychodzić, bo się jeszcze nie pozbył pcheł, które wczoraj z sobą zabrał, siedząc wieczorem między babami.

— Oho, jegomość zacznie pewnie od dziś słabować! — rzekła gospodyni, znacząco spoglądając na Julka.—Gdzież ma być dnia dzisiejszego sprawiedliwość jaka?

Potem się zwróciła do Wiktusi z pytaniem:

— Cóż jegomość robi?

— A chodzi se po pokoju i tak butami mocno wali w podłogę, aż człowieka strach zbiera!

— I nic ci więcej nie powiedział?

— Powiedział, a jeno:—„Obetrzej sobie, smarkulo, tę świeczkę pod nosem, bo jak ja ci ją kiedy utrę, to ci będzie niezdrowo!“—Straszniem się zlękła!...

Tak jest, Sarmata okrągłe dwa dni „słabował“, a tu jeszcze trzecia kura przepadła; Olfąs do domu nie powrócił i „było w domu urwanie głowy, sprawiedliwości zaś nie było żadnej“. Dopiero trzeciego dnia, około dziesiątej z rana, uchyliły się drzwi od izby gospodyni i dał się słyszeć basowy głos Benedykta Ochoty.

— Zjadłbym rosołu z kurzyny, tylko żeby był esencjo...

Jeszcze nie dokończył wyrazu, gdy Ajnemerowa rozwarła już gębę:

— Oho, kurzyny! A jakże, kurzyny!... W takim domu akurat być może kurzyna. Czy tu czuje kto jaką sprawiedliwość?... Tu nietylko kurzyny, ale wszystkiego braknie niezadługo!...

Potokiem sypały się wyrazy, zdania niedokończone, a od czasu do czasu brzęknął rzucony ze złością na ziemię nóż, pogrzebacz lub stuknął pchnięty nogą stołek. Sarmata ciągle wystawał pod drzwiami, słuchał, podparłszy bok jedną ręką, uzbrojoną w harapnik, a drugą pokręcał wąsy czernione. W tem położeniu zastała go w sieni Polusia, która posłyszała z krowiarni krzyk mamusi i pędziła, ciekawa, co się dzieje.

— Polusiu, co się tu takiego stało? — spytał dziewczyny pan Benedykt, jak człowiek, który powrócił z jakiejś dalekiej podróży.

Tylko takiego pytania potrzeba było Polusi, żeby zaczęła wrzeszczeć na wyścigi z mamusią; aż nareszcie ogłuszony i zniecierpliwiony Sarmata tupnął nogą, uderzył przytem harapnikiem w podłogę i krzyknął strasznym głosem:

— Cicho, do krocset tysięcy!

I natychmiast obie kobiety umilkły, tylko Wiktusia, przestraszona w izbie głosem pana Benedykta, spadła z ławki na ziemię. Wiedziano, iż gdy się jegomość tak niecierpliwi, klnie, tupie, to chociaż już wyszedł z izby, ale jeszcze „słabuje“ i broń Boże mu się sprzeciwiać.

Teraz Sarmata uchylił znowu drzwi i piorunującym głosem huknął: — „Rosołu!“ — Potem odwrócił się do wystraszonej Polusi z temi słowy:

— Gadaj mi porządnie wszystko, co się tu stało!

Dziewczyna opowiedziała, że warszawski czarny pies kury z domu w bór wynosi, że Olfąs jeszcze nie wrócił, że ona musi Kasztana poić, czyścić, karmić, że mamusia przy takiej robocie około zabitego wieprzka ma tyle utrapień, a tu w domu niema żadnej sprawiedliwości.

Pan Benedykt usiadł teraz w ganku, oparł oba łokcie na poręczy ławy, wyciągnął przed siebie grube, jak kłody, nogi w długich butach i myślał o czemś, chrząkając co chwila.

Nareszcie wstał, poszedł do swojej izby, nalał sobie lampkę piołunówki, wypił, zdjął z nad łóżka róg myśliwski, wyszedł z nim na ganek i zaczął trąbić potężnie. Głos rogu poleciał w bór, rozlegając się echem. Starszy Ochota zawsze tak trąbił, ile razy chciał zwołać borowych czyli strażników leśnych, aby im ogłosić jakąś wolę swoją, i pierwszy z nich, który posłyszał trąbienie, miał obowiązek na swoim własnym rogu zkolei otrębywać hasło dalej. Potem schodzili się wszyscy na Zbójeckiej i odbierali rozkazy. Skończywszy tę czynność, leśniczy przez jakiś czas nasłuchiwał w kierunku boru. Wkrótce też bliżej i dalej dały się słyszeć odpowiedzi na rogach, co było znakiem, że służba leśna znajduje się na stanowiskach i słyszy wezwanie swego zwierzchnika.

Sarmata znowu usiadł, oczekując zapewne na rosół z kurzyny, a może i na przybycie borowych. Wtem z izby gospodyni wyszła na ganek jakby procesja: na czele postępowała Ajnemerowa z surową, ale i pełną godności fizjognomją; druga z rzędu,—Polusia, miała twarz czerwoną jak burak, a na twarzy jakby desenie na marmurze, brudne ęsy floresy od łez rozmazanych; nareszcie—Wiktusia, nieuczesana, nieumyta i z palcami w ustach.

— Dziękuję jegomości za osiemnaście lat służ-

by!—mówiła gospodyni głosem drżącym, nie zniżając się do żadnego ukłonu.

Gdy to powiedziała, wystąpiła zaraz Polusia, która, sapiąc ogromnie i łkając, złożyła głośny pocałunek na olbrzymiej łapie leśniczego, a jednocześnie Wiktusia cmoknęła go w wystawione kolano, zostawiając na niem ślad taki, jakby sobie nos otarła.

— Co, co, co, co?—spytał pan Benedykt, niby człowiek, który się nagle ze snu ocknął.

— Pocóż tu mamy zawadzać? Jegomość sobie znajdzie lepszą i wierniejszą gospodynię... Dziękuję jegomości za służbę swoją i za wszystko, za wszystko...

Głos Ajnemerowej słabł, wzruszenie ją dławiło, nareszcie się zacięła i z ust jej dało się tylko słyszeć jakby chlipnięcie łyżki płynu. Musiało to być bardzo wzruszające, skoro Polusia w tej chwili zatkała sobie usta fartuchem i wybuchnęła rozgłośnem łkaniem, a za nią beknęła wniebogłosy Wiktusia. Lament był tak wielki, że mu zawtórował raz, drugi i trzeci indyk na podwórzu, a nawet Awans, leżący zdala od ganku i zwykle wrażliwy tylko na szczęk łyżek, nożów, widelców, wzniósł teraz z leżyska głowę, aby zobaczyć, co się dzieje w ganku. Filozof, który od rana wyszedł do lasu, gdzie sobie ścinał szakłaki na cybuszki, właśnie teraz wrócił podczas owej sceny płaczu; obiecywał sobie kiszkę z rodzynkami, a tu zastał łzy, płacze, czułości. Starszy Ochota spojrzał na brata wzrokiem wymownym, mającym znaczyć: — „Zlitujże się, uspokój te kobiety, wybaw mię z kłopotu!"—Dla Julka sprawy takie nie były nowością, gdyż dziękowanie za służbę powtarzało się parę razy corocznie. Zaraz też wziął Ajnemerową pod rękę i prowadził ją do izby, mówiąc:

— Kto widział, żeby taka kobieta, którą tu wszyscy adorują, okazywała słaby charakter?

Gospodyni ogromnie to lubiła, gdy ją filozof otaczał taką troskliwością, i nabierała wtedy chęci do otwierania mu swojego serca w mocnem przekonaniu, że niema na świecie nic ciekawszego i godniejszego uwagi nad jej własne uczucia. Izba gospodyni była pełna korzennej woni: pieprzu, majeranku, kolendru, imbieru, bobkowych liści, przypominając wchodzącemu tutaj świeżo nadziane kiełbasy, kiszki, marynujące się szynki, nogi, głowizny, boczki i t. d. To też Julek oblizał się przy wejściu w progi owe, jako człowiek, pewny nagrody za swoje szlachetne usiłowania. Ale oto Ajnemerowa poskoczyła nagle, załamała boleśnie ręce, potem stanęła jak skamieniała Niobe i zawołała z przerażeniem:

— Mój Boże, mój Boże!... Tyle pracy przepadło!

Przybiegli do niej Julek, Polusia i Wiktusia, przeczuwając coś bardzo złego. Gospodyni stała nad nieckami, które widocznie jakaś siła zwaliła na ziemię z ławy pod piecem. Obok niecek poniewierały się w śmieciach trzy kiszki, brutalnie rozszarpane, a zresztą wszystko, co było na tych nieckach, przepadło bez śladu, w tym czasie oczywiście, kiedy na ganku trzy kobiety usiłowały wzruszyć Sarmatę wybuchami żalu. Z wyrzutem spojrzał filozof na gospodynię, jakgdyby chciał powiedzieć:—„Oj ty, niedobra kobieto! Potrzebaż ci było wyprawiać te bezpożyteczne komedje, ażeby mię narazić na tak ciężką stratę?" — Polusia zrobiła uwagę, że drzwi izby były nawpół uchylone i ktoś wszedł przez sień od tyłu domu. Straty były nadzwyczajne: nie licząc kiszek, przepadł wieniec świeżo dziś rano nadzianych kiełbas. No, a gdzież winowajca? Gdyby był w domu Olfąs,

to Ajnemerowa sama rzuciłaby się nań, oberwałaby mu „kudły“ ze łba, drapałaby go teraz, choćby nawet nie był on sprawcą tego dzieła, byle nasycić uczucie zemsty za zmarnowanie pracy. Tymczasem Olfąs gdzieś przepadł i to niewiadomo z jakiego powodu, gdyż czarny warszawski pies przecież kury podchodził. Może ten sam pies dobrał się do kiełbas? Jest to bardzo prawdopodobne... O tych kiełbasach i kiszkach nie można mówić jegomości. — „Wyprawiacie mi beki — powiedziałby—a w domu żadnego dozoru niema!“— Niezawodnie nakląłby strasznie. Coprawda, miałby za co.

Takie mniej więcej myśli przewinęły się w głowie gospodyni, aż nareszcie rzekła:

— Mówcie sobie, państwo, co chcecie, a ja zawsze powiadam, że są na świecie rzeczy różne takie... Ja tam jestem prosta kobieta, ale pamiętam dobrze, jak nieboszczka moja matka zawsze powiadała: — „Lepiej we wszystko wierzyć, niż w nic!”

— Eeee, tak znowu mówić nie można!—zawołał z goryczą w głosie filozof, któremu zawiedzione nadzieje dodawały teraz bodźca opozycji, a gospodyni poczęła go już drażnić jako pozioma inteligencja.

— Tylko ludzie z niższem poznaniem mogą wierzyć w głupie gusła i zabobony—mówił z naciskiem i fizjognomją człowieka o coś obrażonego— ale kto ma wyższe pojęcie, ten sobie nic nie robi z ciemnego pospólstwa.

Takie powiedzenie Julka wychodziło na to: — „Mało sobie robię z twoich przekonań, ponieważ mi nie możesz dać kiszki z rodzynkami!“

I gospodyni odczuła dosyć dotkliwie lekceważenie. Byłoby może już przyszło do jakiego poważniejszego zatargu, gdyby nie okoliczność, że

rosół z kurzyny właśnie się uwarzył i Polusia rozłożyła serwetę na kawałku stołu, poczem poszła prosić na rosół pana Benedykta. Sarmata już był rozpoczął jakieś narady z dwoma przybyłymi borowymi, ale że za nic w świecie nie wziąłby do ust zimnego rosołu, przeto zostawił u drzwi podwładnych, wpadł do swej izby, palnął znowu kubek piołunówki i przyszedł do Ajnemerowej na rosół. Własną ręką wygarnął z garnka całą jego parującą zawartość na białą salaterkę, gdy druga taka salaterka pełna z czubem sypkich kartofli należała również do uczty. Nie był to rosół w ścisłem znaczeniu tego słowa, ale — kurze mięso ze swoim ekstraktem i z kartoflami. Gospodyni powiadała, że lubi patrzeć, jak jegomość się posila. Rzeczywiście, jeżeli cudzy apetyt może widzowi sprawiać zadowolenie, to Sarmata dawał wyborne widowisko.

Podczas tego Ajnemerowa i Polusia krzątały się ciągle, przechodząc z izby do śpiżarni, do kuchenki, co im nie przeszkadzało wieść bardzo ożywionego sporu o to, którego miesiąca i dnia wylęgło się w tym roku pierwsze gąsię. Wiktusia, siedząc w kącie, towarzyszyła wzrokiem każdej łyżce, pochłanianej przez pana Benedykta; to samo czynił Awans, który przysiadł na ogonie i tylnych łapach, a frontem wyprostował się do swego pana. Julek pykał fajeczkę, spoglądając przed siebie z miną człowieka, którego oblegają ważne zadania. Ze szmerów, rozlegających się tu w izbie, można było rozróżnić namiętne chlipanie Sarmaty i nieustanne kłapanie pantofli Ajnemerowej, całkowicie przyklapanych na piętach.

Nagle Awans zwrócił głowę ku drzwiom od sieni i wydał z siebie przeciągłe warczenie. Wszyscy mimowolnie spojrzeli w tym kierunku i z niemałem zdziwieniem spostrzeżono czarnego psa

warszawskiego. Oparty przedniemi łapami na progu izby, z nastawionemi uszyma, z podniesionym ogonem, As spoglądał ruchliwemi oczyma po obecnych w izbie, jakgdyby chciał zbadać, co też za wrażenie sprawi jego pojawienie się tutaj. Czarny bez odmiany, cały lśniący, miał pies w tej chwili coś istotnie demonicznego w sobie. Jego bezczelna śmiałość wystąpienia wobec ludzi, którzy go oskarżali o ciężkie przestępstwa, nadzwyczajnie uderzyła gospodynię i jej córkę. Z ust obu kobiet wyrwał się jednocześnie okrzyk:—„Ooo!"— Stanęły i patrzały.

— Aha, to łapikura!—rzekł pan Benedykt, właśnie doskonale teraz usposobiony do nienawiści wszelkich istot, okazujących skłonność dzielenia się z nim kurzyną. Wyżeł miarkował coś niedobrego, gdyż parę razy spojrzał poza siebie, jakgdyby w obawie, aby mu odwrotu nie zagrodzono. Starszy Ochota zrozumiał skrupuły Asa i rzekł półgłosem do obecnych:

— Róbcie tak, jakbyście go wcale nie widzieli!

Z temi słowy rzucił na ziemię kostkę z nogi kury. Zrobił się zgiełk, gdyż do kości oba psy poskoczyły gwałtownie; ale As był zręczniejszy, z pyska już wyrwał przeciwnikowi zdobycz i natychmiast z nią uszedł na ganek.

— Wstydź się, Awans!... Durniu stary, nie daj sobie kości odbierać!—przemawiał Sarmata, a stary pies, uszczęśliwiony, że pan nareszcie do niego mówi, merdał obciętym ogonem i grzecznie się szastał.

Za chwilę wyżeł czarny znowu się zjawił na progu, a pan Benedykt znowu rzucił między psy kostkę. Tym razem Awans chwycił już przeciwnika za kark i rozpoczęła się zażarta psia walka, w czasie której jegomość rozkazał Polusi wybiec i drzwi od sieni pozamykać. Wnet potem Sarmata miał już Asa uwiązanego na harapniku, jak na smyczy, a ciągle powtarzał:

— Trzeba go będzie teraz od kur odzwyczaić raz na zawsze!

I dopiero głosem stanowczym, gniewnym wydał Polusi rozkaz, ażeby mu natychmiast przyniosła kurę. Już się byli zeszli wszyscy borowi i każdy z ciekawością oczekiwał widowiska oduczania wyżła od polowania na kury domowe. Ta powszechna ciekawość pobudzała też instynkt srogości starszego Ochoty, który, niezależnie od wszystkiego, chciał nadto przekonać i Ajnemerową, że nie jest prawdą jej twierdzenie, jakoby „żadnej sprawiedliwości w domu nie było". Kiedy nareszcie przyniesioną kurę przymocowano Asowi na szyi pod samym pyskiem, wtedy polecił pan Benedykt jednemu z borowych trzymać psa, uwiązanego na harapniku za kółko od obróżki, drugiego zaś uzbroił w inny harapnik i kazał mu bić wyżła, co się zmieści, powtarzając:—„A wara od kur, a wara!"

Rozległy się odgłosy strasznej chłosty i żałosne skomlenie psa, zmieszane ze skrzeczeniem szamotającej się kury.

— Bij lepiej, nie żałuj bata!... Pięćdziesiąt musi dostać!—krzyknął od ganku leśniczy.

Oprawca pomnożył usiłowania, lepiej dołożył ręki. Wyżeł zawył, szarpnął się strasznie, podskoczył; bat znowu świsnął, dojmował jak rozpalone żelazo. Pies dobył ostatnich sił, rzucił się rozpaczliwie i tym razem usiłowanie nie było bezskuteczne. Cóż się stało? Kółko obróżki pękło wskutek szarpnięcia czy się też może urwało, a borowy, trzymający oburącz Asa na harapniku, upadł nawznak i aż się nogami nakrył. Wyzwolony pies, z kurą u szyi, buchnął teraz całym pędem w bramę i tyle go już tylko widziano.

Na trzeci dzień po tem wypadł odpust w parafji i Polusia, powróciwszy z kościoła, opowiadała matce, że różni okoliczni ludzie widzieli czarnego psa z kaczką czy czemś innem w pysku, jak pędził na złamanie karku ku Skierniewicom. Gdyby się zaś ktoś popytał był ludzi z okolic Grodziska i precz ku Warszawie, dowiedziałby się, że tenże pies przebiegał i tamtędy poprzez pola, pastwiska. Trudno opowiedzieć, jakich przygód doświadczał As w ciągu swojej podróży; ale to pewna, że na drugi dzień po ucieczce ze Zbójeckiej był już przed wieczorem na Sewerynowie, gdzie go spostrzegł pierwszy Kąskiewicz i, pokazując ludziom palcem, wołał:

— Ooo, patrzcie państwo, znowu komuś coś ukradł!... Ciekawe rzeczy, z czem on tak zmyka?

Przed drzwiami mieszkania emeryta stanął nareszcie zdrożony ogromnie pies pątnik, a kiedy skrobnął kilka razy po drzwiach łapą, otworzyła mu Luta. Nie było tu już teraz dla Asa tych pieszczot, co niegdyś; panny powitały go dosyć obojętnie, gdyż wyjście zamąż najmłodszej Morusieńki powarzyło im humory, a wyżeł brał w tem wszystkiem przecież niemały udział. Dziwiły się tylko nadzwyczajnie, widząc pod szyją psa przywiązany sznurkiem do obróżki kawałek jakiegoś mięsa; kura bowiem nie miała ani łba i szyi, ani nóg i skrzydeł, ani pierza — wszystko się starło, zniszczyło podczas podróży; tylko sznurek wpił się jakoś w resztki ciała i jako tako je utrzymywał.

— Że też ci Zabrzescy tak nie dbają o psa swojego!—rzekła Guta.

— Któż tam ma w domu o co dbać?... Morusieńka? Ten smarkacz nigdy gospodynią być nie może! —powiedziała Luta.

— Coprawda, to Albin się ogromnie złapał!— wtrąciła Niuta.

— Ba, przecież on się nie myślał żenić—nie o nią się starał!... Ja wszystko zrobiłam!—odrzekła Luta, wzdychając, jak przystało na anioła-stróża rodziny.—Ale tam szczęścia domowego nie będzie.

Gdy one tak rozmawiały, wyżeł chwiejnym krokiem wlazł pod kanapę i przez dwadzieścia cztery godziny nikt go stamtąd wypędzić nie zdołał.

A cóż się stało z Olfąsem? Pan Benedykt polecił borowym, ażeby nań urządzili obławę w lesie; ale go nadaremnie szukano w boru, gdyż on dzień spędzał w sianie, zakopany pod strzechą krowiarni, a w nocy na żer wychodził i kradł, co mu pod rękę wpadło. Wkrótce też po ucieczce Asa skradziono z komina na Zbójeckiej wędzące się schaby i pięć czy sześć najgrubszych kiełbas. Los zrządził, że i tym razem Wiktusia, „dziecko niewinne, prawie anioł", wykryła schronienie Olfąsa, a stało się to w sposób następujący. Dziecko, zwyczajnie jak dziecko, łaziło tu i owdzie po podwórku, zbierając już to kogucie piórka, już kamyki do zabawy; otóż, pewnego dnia po południu, zajęta taką czynnością Wiktusia, wałęsająca się pod ścianami krowiarni, usłyszała stłumiony kaszel, który pochodził jakby ze strzechy. Przestraszona doniosła o tem Ajnemerowej, a ta znowu— panu Benedyktowi. Winowajcę pojmano i wymierzono mu karę bardzo srogą, a może za srogą.

Olfąs nietylko się nie poprawił, ale nawet raz, spotkawszy Polusię na samotności, zapowiedział jej i poprzysiągł, że jeśli jeszcze kiedy słówko piśnie, podwodząc u matki lub jegomości na niego, to się będzie musiała pożegnać z życiem...

— Strzeż się, psio-duszo, bo ja takiego ścierwoskiego życia dłużej nie ścierpię.

ROZDZIAŁ IV

Mąż chce uciec od szczęścia.—Polowanie.—Deska zbawienia.—Żony są łatwowierne.—Stronnictwo żony i stronnictwo męża.—Przechadzka w Łazienkach. — W czasie deszczu na Patelni. — Nieprzyjaciele mężów i nieprzyjaciółki żony. — Zatarg małżeński.—Ogród zoologiczny podług Franciszka.—Rurkiewicz i pan Iwiński.—Zwierzęta i bard dzikich.—Zgon Rurkiewicza.

Ostatecznie znalazł się As na Erywańskiej, gdzie obecnie zaszły rozmaite zmiany: rozszerzono mieszkanie, powiększono służbę.

— Tylko jedna kobieta przybyła do domu, a roboty ma człowiek dziesięć razy więcej!—mówił Franciszek, który też, ujrzawszy wyżła, powitał go splunięciem i temi słowy:—„Jeszcze ciebie tylko brakowało!"—Pies zdawał się oddawna dobrze pojmować, że ani marzyć nie można o jakichś zażylszych stosunkach z tym służącym, starym dziwakiem; nigdy też nie dokładał najmniejszych usiłowań, nie poświęcił jednego merdnięcia ogonem, aby sobie zjednać Franciszka.

Zato pani Zabrzeska powitała Asa pieszczotami, pozwoliła mu lizać swą rączkę, leżeć u nóg swoich, dawała mu cukru. Świeżo przyjęta do usług dziewczyna Rózia, widząc, że do serca pani przez psa trafić można, tak przywiązała Asa do swej spódniczki, iż dzielił on czas między nią a panią i dzięki tym względom prowadził życie dostatnie. Pan Albin znajdował się w tym okresie małżeńskim, w którym mąż od czasu do czasu powiada sobie:—„Trzeba nieuchronnie, choć na jakie dwie godziny codziennie, uciec od tego domowego szczęścia".—Atoli skrępowany, oprzędzony złotą i jedwabną siatką miłości, używał tego spokojnego domowego życia, co to herbata, obiad, przechadzka, teatr, nawet czytanie *Kurjera* — wszystko wspólnie z małżonką. Już był na drodze stanowczego porozumienia się w tym przedmiocie

z żoną, miał zamiar powiedzieć jej, że musi, powinien żyć poza domem także, gdy go powstrzymała okoliczność nieprzewidziana. Morusieńka czuła jakieś bóle głowy, mdłości, nerwowy niepokój— i wezwany lekarz oświadczył, że wszyscy w domu powinni okazywać bezwarunkową uległość względem pani Zabrzeskiej: „broń Boże w czemś jej się sprzeciwiać, krępować wolę, narzucać przekonania!" Należało się więc zastosować do przepisów lekarza i o jakichś planach mężowskiej niezawisłości nie było mowy.

Mijały dnie, tygodnie, Morusieńka ciągle niedomagała; mówiła do męża: — „mój złoty", on do niej:—„mój aniołku" — i żyli tak, przytuleni jedno do drugiego, nie mając nawet o czem rozmawiać z sobą. Jeżeli mu bardzo zapachniało powietrze, wtedy się odzywał:

— Byłoby zdrowo dla Asa, żeby się trochę przewietrzył!

— Wyborna myśl!—odpowiadała żona, ubierała się czem prędzej i wychodzili na wspólną przechadzkę.

— Czy ja już nigdy sam na świat nie wyjdę?— stawiał sobie w duszy pytanie pan Albin, a żonie zwracał głośno uwagę:

— Mój aniołku, możebyś dziś w domu została? Przymrozek, wiatr zimny!

— Owszem, mój złoty, lekarz powiada, że dla mnie zawsze jest bardzo zdrowo chodzić.

To monotonne życie przerywało się niekiedy odwiedzinami sióstr z Sewerynowa, z któremi stosunki pani Zabrzeskiej były bardzo dyplomatyczne. Jako mężatka, pani swego domu, uważała się ona poniekąd za wyższą istotę, czego jej siostry nie mogły przebaczyć. Daleko szczerzej żyła Morusieńka z panią Konstancją Garlewską, ową rozwódką, sąsiadką Swojewskich, co to należała do

„najserdeczniejszego kółka osób", bywających na sobotnich herbatach. Garlewska, była mężatka, miała wpływ na Zabrzeską i udzieliła jej niejednej „zdrowej" rady, dotyczącej postępowania z mężem. Emeryt nadzwyczajnie rzadko odwiedzał córkę mężatkę, gdyż miał przekonanie, że to małżeństwo skojarzył tylko wymową swoją „Ryszard Lwie-Serce."

Miały się tak rzeczy, kiedy ze Zbójeckiej przybył tutaj Julek. Pan Benedykt polecił mu najprzód list wystylizować i wykaligrafować, a następnie z listem tym jechać do Warszawy.

— Wiem — mówił — że ani za twoje pióro, ani za gębę między ludźmi się nie powstydzę. Łam sobie głowę, mędrkuj, filozofuj, a pieniądze mi wymolestuj i przywieź!

Treść listu opiewała przedewszystkiem trudności, z jakiemi musiała walczyć „powszechnie uznana metoda" starszego Ochoty, zanim się pies włożył i przywykł do „najlepszego systematu". Następowało w liście szczere wyznanie: „Nie jestem ja z tych materjalistów, którzy tylko o kieszeni myślą", ale wyliczone koszty nauki, utrzymania Asa i wynagrodzenie szkód, przezeń zrządzonych, stanowiły taką mniej więcej sumę, jaką płacą rodzice za syna w którymś z droższych warszawskich zakładów wychowawczych.

Pocieszał się pan Albin, że, mając teraz wytresowanego w dobrej szkole wyżła, znajdzie zawsze już pretekst wyrwania się z domu w pole, zwłaszcza, że Sarmata napominał w swym liście, ażeby As „pola nie zależał". Prawda, iż teraz była zima; ale przecież taki wytrzymany w domu mąż nie zważa na żadną porę roku i może z wyżłem zawsze polować. Jakoż pewnego dnia, ubrany po myśliwsku, stanął przed swą połowicą i rzekł:

— Mój aniołku, niema rady, koniecznie muszę

dziś z Asem zapolować, gdyż się boję, aby pola nie zależał!

I, nie dając żonie przyjść do słowa, okrywał ją tysiącznemi pocałunkami, a potem prędko wyszedł.

— Przecież, przecież nareszcie! — mówił oddychając całą piersią.

Ale doszedł tylko do Łazienek i zawrócił do miasta. On, taki znudzony życiem przed ożenieniem się, uczuł w sobie teraz niezmierną ochoczość. Nie wiemy tego, gdzie i jak się bawił; skoro jednakże z polowania wrócił do domu dopiero nad ranem, to się musiał bardzo dobrze bawić.

Gdyby wszyscy mężowie byli zupełnie szczerzy i wyznawali przed żonami to, co robią w ich nieobecności, nie doczekałoby ani jedno stadło małżeńskie srebrnego wesela. Gdyby wszystkie żony zdołały utrzymać swych mężów w zależności od siebie, już w kilka pokoleń rodzaj ludzki posiadałby wyłącznie kobiece zalety, wady i kobiecą logikę. Świadomie czy nieświadomie pan Albin pracował nad tem, aby się doczekać srebrnego wesela, a jednocześnie przechować w rodzaju ludzkim męskie zalety, wady i męską logikę. Coraz częściej wychodził z Asem na polowanie i często gęsto przynosił nawet do domu zająca, którego, jak powiadał, własnoręcznie zastrzelił. Żona narzekała na te wycieczki, miewała często z tego powodu łzy w oczach, omdlenia; ale on był tak tkliwy, „mój aniołku" z ust mu prawie nie schodziło, a przytem dowiódł jasno, jak na dłoni, że to nieuchronnie, nieodwołalnie dla jego zdrowia potrzebne. Chociaż więc pani Konstancja Garlewska, osoba znacznie wyrozumialsza dla mężczyzn, niż dla kobiet, wyraziła się wątpliwie o polowaniach, które po skończonym karnawale trwają jeszcze i w poście, Morusieńka jednak odpowiadała:

— O nie! Może inni mężowie są tacy; ja swego Albina jestem zupełnie pewna!...

Jednego razu mocno się zachwiało stanowisko myśliwego, a to z powodu kucharki, która uparcie dowodziła, że zastrzelony wczoraj przez pana zając nie żył już co najmniej od dwóch tygodni i bezwarunkowo na stół go podawać nie można. Logika męska jest, jak wiadomo, wyższa od żeńskiej: kto się nie zająknie, nie zarumieni, mówi głosem pewnym siebie, postawione zarzuty zbija z lekceważeniem i żartami, ten z pewnością mówi prawdę. Zabrzeski ostatecznie przekonał i teraz żonę na swoją korzyść, bo „cóż taka głupia kucharka może wiedzieć o polowaniu?"

Kobiety siedzą w domu i nie mają o tem pojęcia, że w każdym a każdym miesiącu roku można polować na jakąś zwierzynę: to kuropatwy, to kaczki, słonki, gęsi, kurki wodne, przepiórki i t. d. Jeżeli nie wolno strzelać do samiczek, strzela się do samców. Swoją drogą zaś kuny, łasice, wydry, dzikie koty płci obojej strzelać można zawsze. Przykrzyło mu się życie, gdy był kawalerem; nudził się w domu przy żonie, kiedy się ożenił; teraz ciągle polował, polował i wcale mu się nie sprzykrzyło.

— Bardzo jestem zadowolony z Asa, nieporównany pies w polu! — mawiał pan Albin.

— Mój złoty, weź mię kiedy z sobą na polowanie!—nalegała żona.

— Jak się ociepli, mój aniołku! — odpowiadał Zabrzeski.

Ociepliło się, nadeszła wiosna i mąż z dnia na dzień zwlekał:

— Jutro, mój aniołku, jutro!

Dobrze teraz Asowi było w domu. U pani zawsze był w wielkich łaskach; nieraz mówiła nawet do męża:

— Żebyś mi przynajmniej Asa zostawiał! Samej jednej tak nudno...

— Czekaj, aniołku, i o tem pomyślałem! Psa ci zostawię, a będę polował z naganką.

Rózia też, im lepiej poznawała wyżła, tem więcej go lubiła, nazywała „swoim Asiuńkiem, przylepką". Kucharka, chociaż gderliwa i swarliwa niewiasta, obdarzała jednak psa swemi względami, ponieważ codziennie dwa, trzy razy ją odwiedzał, a łasił się, a nadskakiwał, a przymilał na wszelkie psie sposoby.

— Jak takiego gałgana nie lubić, kiedy—czysty cukierek?

Dla pana Albina był on znowu nieodzowny, gdyż z jego pomocą można było uciekać od szczęścia małżeńskiego i stopniowo włożyć kochającą żonę do obchodzenia się bez męża. Później tak przywykła, że sobie uważała za niemałe szczęście, jeżeli jej w domu choć pies pozostawał. Jeszcze później Zabrzeski wcale nawet nie udawał, że wychodzi na polowanie, a ona i tak nic nie mówiła. Tylko pani Garlewska coraz częściej bywała i coraz dłużej przesiadywała, obznajmiając Morusieńkę z ludźmi i ze wszystkiem, co ludzie w Warszawie robią. Na tej też podstawie społecznych stosunków obie kobiety połączyły się związkami serdecznej przyjaźni i były „na ty" ze sobą. As i Garlewską zupełnie sobie zjednał.

Ze starego porządku rzeczy w niegdyś kawalerskim domu przy ulicy Erywańskiej pozostał jedyny Franciszek, który, rozmyślając nad zaprowadzonemi zmianami, doszedł do przekonania, że wszystko to, co jest, od psa się zaczęło. Okazywał on Asowi jawnie swą nieprzyjaźń, tem bardziej, iż w taki sposób dokuczał jednocześnie Rózi, kucharce i pani, co mu sprawiało pewne zadowo-

lenie. Stary sługa niekiedy głośno wybuchał żółcią w zatargu swym bądź z młodszą, bądź z kucharką.

— Inaczej bywało w tym domu dawniej! Człowieka uważali tutaj, a teraz jeno pies, pies, pies. Jak mi kiedy cierpliwości świętej zbraknie, to pójdę do pana i powiem: albo ja, albo pies!

Potem szedł do przedpokoju lub siadał gdzie w kącie i pomrukiwał:

— On chyba tego nie widzi, co się w domu dzieje... Trzy baby, jak obory jedna w drugą, o psie tylko myślą, żeby mu było dobrze. Bo czy oneby tu były, żeby nie pies? Wszystko się zaczęło od tej bestji, od psa, i na psie idzie! Ja przecie doskonale pamiętam, kiedym się na placu Ewangelickim nawznak przewalił i odrazu sobie powiedziałem:—„Oj, narobi ten pies bigosu".—Może nie narobił? Zaraz się potem pan musiał ożenić... No, a teraz znowu musi z domu uciekać. Do czegóż to dojdzie? Kłótnie, swary, kwasy, płacze, choroby, nieład, nieporządek—Jezus Marja! Czy nam tutaj źle we dwóch było? Żył sobie uczciwie, opływał we wszystko, jak pączek w maśle; ale mu się nagwałt psa zachciało i ma teraz! Na polowanie niby chodził, dobre mi polowanie!... Toć ja ją znam, tę kuropatwę—Wandzię czy tam Zuzię—ooo, mądra szelma!... Całe polowanie odbywa się u niej na Wspólnej, a teraz, kiedy się na świecie ociepliło, to—w Marcelinie. Już z drugim zawrotem do niej przylgnął; taka nie popuści... Spotkałem ich kiedyś oboje, jak wsiadali do dorożki, i on się bardzo wystraszył, woła mię zaraz do siebie:—„Franciszku —powiada—tylko w domu ani „mru-mru" o tem, żeś mię tu spotkał!"—A cóż mnie do tego? Czym ja to kobieta, żebym miał zaraz wypaplać wszystko, co widzę albo co myślę?

Morusieńka parę razy go wyłajała za złe obchodzenie się z Asem; wysłuchał i nic nie odpowiedział, a wnet potem, jak doniosła Rózia, trzcinową trzepaczką od mebli znowu obił wyżła.

— Bardzo cię proszę, mój mężu—mówiła Zabrzeska, która od niejakiego czasu przestała nazywać męża „swoim złotym"—skarć też Franciszka, zapowiedz mu, żeby mię słuchał i nie ważył się bić Asa.

Pan Albin przyzwał do siebie starego i napomniał dosyć surowo:

— Ty sobie tu, widzę, za dużo pozwalasz! Psa bić nie wolno, skoro pani zabrania.

— Ja go też tak wytłukłem, żeby pani nie słyszała, a nie moja wina, że ta Rózia, jeszcze od psa gorsza, zaraz donosi. Czy mnie, proszę pana, nawet psa uderzyć nie wolno?...

Między kawalerskim służącym a jego panem istniały liczne węzły; oni się dobrze rozumieli wzajemnie. Zabrzeski mógł gromkim głosem i z rzekomą złością łajać Franciszka, który śmiał się z tego w duszy, a nawet sobie myślał:

„Nic nie szkodzi, niechby mi czasem uczciwie naklął, żeby te baby widziały, że między nami niema żadnej zmowy".

Gdy znowu Franciszek stawiał się hardo, pan Albin wiedział bardzo dobrze, że to nie jest rzeczywista hardość, tylko szczere zaufanie w dobre serce pana.

„One sobie mogą na mnie skarżyć, donosić, a ja i tak, ile razy wypadnie, zawsze psu skórę zepsuję" —myślał w duszy nieugięty Franciszek.

W domu więc przy ulicy Erywańskiej stronnictwo żony skupiło się około Asa, a z niem do walki śmiało występował jedyny stronnik męża, stary służący. Jeżeli przypadkiem Franciszek wszedł cicho do pokoju, a pies warknął, podejrzewając, że ktoś obcy się skrada, to za warknięcie takie wcześniej czy później był kij w robocie.

— On łajdak powinien znać ludzi swojskich, co nie od dzisiaj są w tym domu!

Było to w połowie czerwca. Po wielce nieznośnych dziennych skwarach ludność Warszawy z nadzwyczajnem upragnieniem poszukiwała wieczorami orzeźwiającego wytchnienia pod gołem niebem. Wszystkie ogrody i ogródki, aleje Ujazdowskie, park w Łazienkach, Saska Kępa roiły się wtedy od ludzi. Jednego takiego wieczoru również i Zabrzeska używała świeżego powietrza razem z prawie nieodstępną już teraz przyjaciółką swoją, Garlewską; As znajdował się także w ich towarzystwie. Miły chłód Łazienkowskiego parku sprawiał, iż się jakoś nie chciało opuszczać tej ustroni, chociaż już jedenasta godzina wybiła i w oddaleniu dawał się słyszeć niekiedy przeciągły huk grzmotu. Bardzo ożywiona pani Konstancja opowiadała właśnie zajmującą, bogatą w zdarzenia historję swego pożycia z mężem i od czasu do czasu przeplatała to opowiadanie wykrzykiem:

— Ah, moja droga, gdybym po raz wtóry wyszła zamąż, wiedziałabym już teraz, co mam robić.

— Daj mnie radę, której, jak widzisz, bardzo potrzebuję!—rzekła cichym głosem towarzyszka.

— Toby ci się na nic nie przydało, gdyż koniecznie potrzeba samej takie rzeczy przeżyć...

— I ty, Kociu, mając dowody, że on cię zdradzał, byłaś obojętną?

— Gdzie tam! Wyrabiałam najstraszniejsze sceny zazdrości, jemu swoją drogą, a jej swoją. Popełniłam największe w świecie głupstwo, jakie tylko być może!

— Jakto głupstwo? Więc mężowi wolno bezkarnie być niewiernym?

— Daję ci słowo honoru, że wszyscy mężowie bez wyjątku są to skończone łajdaki! Jeżeli

więc wszyscy są jednakowi, niema powodu wymagać, ażeby jeden był od nich odmienny.

— Na czemże się skończyło?

— Niestety, postawiłam na swojem! Rozłączyłam go z Heleną, z którą stosunek jego wcale nie był dla mnie niebezpieczny; moglibyśmy byli dotąd wcale się nie rozwodzić... Porzucił Helenę, ponieważ mu się także sprzykrzyła, a wkrótce potem poznał Lucynę i ze mną się dla niej dopiero rozwiódł.

— Okropność! Jednakże mój Albin nigdy się tego nie dopuści!

— Eh, moja Morusieńko, za żadnego z nich nie ręcz! Ja ci tylko powiadam, że trzeba koniecznie samej takie rzeczy przeżyć, żeby potem mieć rozum... Dzisiaj poniewczasie, mocno żałuję, żem go nie słuchała, kiedy mówił:—„Żono, nie rób bez potrzeby scen i awantur, które do niczego nie prowadzą!"

— Chybabym już była podła, nie miała żadnego temperamentu!

— Trzeba koniecznie samej wszystko przeżyć, żeby potem mieć rozum... Czy ty myślisz, że mi teraz lepiej na świecie przez to, żem miała temperament? On także nie siedzi na różach!

Tak rozmawiając, obie kobiety już zasiadały na ławkach, już znowu chodziły. Wtem powiał chłodny wiatr i bliski grzmot głośno się rozległ. Było to hasło dla wszystkich do tłumnego opuszczania Łazienek. O znalezieniu w takim razie wolnej dorożki ani myśleć, i znaczna większość tych spóźnionych musiała pieszo wracać do miasta, a w ich liczbie dwie przyjaciółki, zmuszone nieustannie niepokoić się o wyźla, który w ciemności łatwo kogo innego mógł wziąć za swoją panią. Wpobliżu tak zwanej „Patelni" zaskoczył je nagły deszcz, spadający w grubych kroplach

i przeplatany błyskawicami, których Morusieńka nadzwyczajnie się obawiała. Jak kto mógł, wdzierał się teraz na ową „Patelnię“ i usiłował pod werandą schronić głowę przed grożącą ulewą. Jacyś dwaj nadzwyczajnie usłużni młodzieńcy nietylko znaleźli miejsce dla Zabrzeskiej i Garlewskiej, ale niebawem postarali się dla nich i o krzesełka.

— To są nieprzyjaciele mężów! — szepnęła na ucho swej towarzyszce pani Konstancja.

Morusieńka rzuciła okiem i spostrzegła, że jeden z tych dwóch, włożywszy w oko szkiełko, bardzo pilnie jej się przygląda.

Ile razy się zbierze takie przypadkowe towarzystwo uchodzących przed deszczem, można wtedy być świadkiem najrozmaitszych scen i dowoli się nasłuchać półsłówek, dwuznaczników, dowcipów, które najczęściej jaki student wesoły puszcza w obieg, pobudzając obecnych do śmiechu. Tak też było i tutaj: deszcz lał jak z cebra, a zgromadzenie pod werandą aż wargi gryzło, aby nie wybuchnąć śmiechem z powodu komiczno-filozoficznych uwag jakiegoś żartownisia na temat deszczu, kuracji wodnej Kneippa i znowu — błyskawic, elektryczności w knajpie.

Naraz wśród strumieni deszczu, przyćmiewających blask latarń na „Patelni“, ukazały się dwie kobiece postaci pod parasolami, z których woda obficie ściekała. Żwawo wbiegły one pod werandę, zwinęły parasole i jedna z nich, bardzo przystojna, nawet piękna, roztargnionem okiem, jakby odniechcenia, obrzuciła zgromadzenie. Przez chwilę panowało milczenie, każdy z obecnych zdawał się robić spostrzeżenia nad przybyłemi, a Garlewska poszepnęła na ucho Zabrzeskiej:

— Przypatrz się, jak nieprzyjaciółki żon wyglądają!

Morusieńka spojrzała w kierunku dwóch nieznajomych i tylko przypadkiem spotkała się ze wzrokiem tej, która była piękniejsza. Szybko odwróciła głowę i cichym głosem odrzekła towarzyszce.

— Ta wspaniała blondynka istotnie groźnie wygląda, jako nieprzyjaciółka...

Powiedziawszy to, Zabrzeska uczuła w sobie jakąś nieprzepartą chęć czy ciekawość, aby się lepiej przyjrzeć owej niebezpiecznej piękności, i znowu zwróciła ku niej oczy. Właśnie teraz As zbliżył się do tej kobiety, przystanął, coś jakgdyby węszył, potem skoczył radośnie, oparł się na niej przedniemi łapami, szczeknął parę razy uszczęśliwiony, co zwykle czynił, gdy spotkał poufałego przyjaciela-człowieka, łasił się, radował bez miary i końca.

— O As, As, mój dobry piesek!... Co ty tu robisz? — mówiła piękna kobieta, usiłując powstrzymać wybuchy psiej radości, a jednocześnie znowu potoczyła okiem po zgromadzonych, jakgdyby szukała kogoś jeszcze.

Wszyscy z zajęciem przyglądali się temu widowisku, najgłówniej zaś Morusieńka, która nie mogła zrozumieć zrazu, skąd taka poufała znajomość Asa z nieznaną jej kobietą. Z niepokojem odwróciła głowę do Garlewskiej i rzekła:

— Kociu, czyś ty widziała?

— Ba, przyglądam się przecież z nadzwyczajną ciekawością!

— I cóż na to mówisz? — zapytała Zabrzeska głosem drżącym, a serce jej silnie biło i twarz zbladła.

— Da się to objaśnić, moja droga, bardzo łatwo! Przypomnij sobie tylko codzienne polowania swego męża — to jest właśnie zwierzyna... Ja ci zaraz mówiłam, że taki mąż, który codziennie

poluje w karnawale i w poście... Ale moja Morusieńko, koniecznie trzeba samej przeżyć wszystko, żeby potem mieć rozum. Oni wszyscy tacy!

Zabrzeskiej uderzyła krew do głowy, uczuła, że na krzesełku mało dla niej miejsca: złość, zawiść, obraza, upokorzenie, wstyd, zawód gorzki —wszystko to były uczucia, z któremi kobieta nie może się pomieścić na tak małej przestrzeni, jak krzesełko. Porwała się też z wielką nagłością, jakkolwiek jeszcze deszcz lał na dobre, i rzekła:— „Pójdźmy!"—Ruch ten widocznie nie uszedł uwagi Asa, który się ciągle jeszcze z lubością pocierał o suknię spotkanej przyjaciółki, a teraz stanął przy swej prawej pani, chcąc jakoby zaznaczyć, że można na świecie mieć różne stosunki, jednakże ten domowy stosunek jest główny z wielu względów.

— A szkoda, że odchodzimy! — powiada Garlewska, klapiąc się po wodzie na „Patelni".—Słyszałam, jak ci dwaj młodzieńcy, którzy obok nas stali, zaczęli właśnie rozmawiać o panu Albinie i tej pannie Wandzi... Toby ci się było przydało, Morusieńko.

Ale Zabrzeska nic nie odrzekła, pędziła pośpiesznie, tak, iż przyjaciółka z trudem za nią podążała. Jakoś szczęśliwie nawinęła się wreszcie dorożka. — „Wolna?" — „Wo-olna!" — Chciał i As wsiąść, cóż, kiedy go Morusieńka zepchnęła parasolką; musiał biec przed końmi, ze szczekaniem rwąc im się do pysków.

— Najprzód — na Sewerynów, potem — na Erywańską.

— Dwa kursa i po północy—rubelka panny dadzą?—pytał dorożkarz, nie ruszając z miejsca, dopóki nie usłyszał zapewnienia:

— Jedź!

Pani Konstancja wysiadła na Sewerynowie,

jej przyjaciółka — na Erywańskiej*), gdzie służba i oświetlone mieszkanie oczekiwały na panią.

Morusieńka, nie zrzuciwszy z siebie przemoczonego okrycia, nie zdjąwszy nawet kapelusza z głowy, wbiegła do pokoju, padła na sofę i siedziała jak martwa, bez ruchu; tylko z silnie zarumienionej twarzy i błyszczących oczu zdał się ogień tryskać. U nóg jej, podług swego zwyczaju As się ułożył w kłębek. Rózia chciała panią rozebrać, gdyż w takich „sflażonych sukniach można się jeszcze choroby nabawić"; ale usłyszała rozkaz krótki:

— Wypędź stąd psa, zamknij drzwi i idź spać!

Niełatwo to wypędzić z pokoju rozpieszczonego wyżła; służąca musiała go ciągnąć za kark, za uszy.

— No, no, musiało się stać coś bardzo osobliwego, skoro już tego gagatka za drzwi wyrzucają! Dawno to trzeba było zrobić... Ciekawym, co też takiego ten bestyjnik przeskrobał? A może gdzie na wizycie wstydu pani narobił, porwał co ze stołu—a co tam dla niego znaczy?

Takie uwagi robił Franciszek, a przytem rozgrzał samowar, bo „skoro pani na deszczu przemokła, to się powinna napić gorącej herbaty". Ale samowar sapał na stole, a stary sługa nie śmiał ani wejść do pokoju, ani do drzwi zapukać i zaprosić panią na herbatę. Usiadł przeto w przedpokoju i, rozmyślając, dlaczego As popadł w niełaski, zasnął w najlepsze. Śniło mu się, że pani Zabrzeska płakała rzewnemi łzami, rozpaczała nadzwyczajnie, ponieważ wyżeł oszpecił nieczystością i poplamił jej najpiękniejszą suknię.

Pan Albin wrócił tej nocy do domu przed drugą, wcześniej niż zwykle. Kiedy otwarł drzwi pocichu kluczem od zatrzasku i spostrzegł Franciszka, drzemiącego, trącił go w ramię, zapytując:

*) Obecnie ul. Kredytowa (przyp. wyd.).

— Dlaczego jeszcze nie śpisz i lamp w domu nie zgasisz?

Stary najprzód ziewnął, następnie potarł ręką czoło, jakgdyby chciał zebrać myśli i rzekł:

— Coś się tu stało, tylko nie wiem, co takiego... Nastawiłem samowar; ale pani tam sama siedzi... Gniewy na psa jakieś... Sam się pan pewnie najlepiej dowie.

Zabrzeski niezwłocznie pośpieszył do żony i zastał ją siedzącą nieruchomo na sofie, jak posąg, w kapeluszu, w okryciu, z którego ociekająca woda utworzyła kałużę na posadzce.

— Mój aniołku, co się stało? Czyś chora? — zapytał mąż z troskliwością.

W odpowiedzi na to żachnęła się Morusieńka i, trzepocąc obiema rękoma, wołała zmienionym, piskliwym głosem:

— Nie, nie! Proszę się do mnie nie zbliżać!... Ja nie chcę!...

Teraz Franciszek niby też to uprzątał ze stołu zastawę do herbaty, a coraz zbliżał się ku drzwiom pokoju pani, nadstawiał ucha, ażeby z jakichś posłyszanych wyrazów rozwiązać sobie trapiącą jego umysł zagadkę, o co mianowicie rozgniewała się dziś pani Zabrzeska na wyżła. As też widać zwietrzył powrót pana do domu i pragnął zaznaczyć swoją przychylność, gotowość o każdej porze do usług, gdyż wyszedł właśnie z ciemnego korytarzyka, oddzielającego kuchnię od jadalnej izby, stanął pod drzwiami, poza któremi dawały się słyszeć odgłosy małżeńskiej rozmowy, i podsłuchiwał, podobnie jak jego nieprzyjaciel Franciszek. Stary tym razem psa nie odpędzał, ażeby przypadkiem nie zdradzić własnego podsłuchiwania. Rozmowa obojga małżonków toczyła się żywo; niekiedy tylko przerywało ją owo niewieście kwilenie, które świadczy zawsze o głębokim żalu,

choćby z bardzo błahej przyczyny, a zdolne jest skruszyć nawet najtwardsze męskie serca.

Psa bardzo zajmowało to, że za drzwiami słyszał często wymawiane swoje nazwisko „As". Franciszkowi znowu mocno zależało na tem, ażeby pochwycić przyczynowy związek pomiędzy psem a gniewem i żalem pani. Imię „Wanda, Wandzia" i wyrazy: „podczas deszczu, na „Patelni", witał ją, mój wstyd wobec ludzi" i t. d. były dostateczne dla bogatego w doświadczenie umysłu, ażeby wyprowadzić stąd wniosek:

— Dobryś, to ten szelma, widzę, wszystko przed panią zdradził!... Tu nigdy przy nim nie będzie spokoju!

Potem w pokoju pani Zabrzeskiej przycichła rozmowa, a rozlegały się tylko odgłosy płaczu, szlochania, co tak znudziło Asa, że się nareszcie położył pod drzwiami i, ziewnąwszy parę razy, zaczął drzemać. Służący też popatrzył chwilę na demonicznego psa, który już tyle nieszczęść na dom sprowadził, pokiwał głową i poszedł spać do swej izdebki w ciemnym korytarzyku. Jednakże zaszłe wypadki tak rozbudziły władzę myślenia u Franciszka, iż długo, długo nie mógł zasnąć, ponieważ rozważał nietylko to, co się stało, ale także—co może nastąpić w przyszłości. Słyszał wyraźnie, jak już z rana pan Albin wychodził z pokoju żony, przy progu potknął się na Asie, o mało nie upadł i zaklął. Pies, zapewne połechtany obcasem, wydał przeraźliwy skowyt i z pod drzwi pokoju pani przeniósł się w korytarzyk, gdzie z jaki kwadrans czasu dreptał, kichał, ziewał, aż sobie nareszcie znalazł legowisko.

Myśli o psie stały się prawdopodobnie powodem, iż Franciszek wspomniał o ogrodzie Zoologicznym, gdzie mu kiedyś ofiarowano posadę, któ-

rej nie przyjął — „onby miał zwierzęta obsługiwać?"... Polecił jednakże na to stanowisko swego przyjaciela od serca, Błażeja Rurkiewicza, człowieka, nie mającego szlachetnych przesądów na tym punkcie, u kogo się służy. Rurkiewicz głośno wyznawał zasadę:—„Mnie się u nikogo służyć nie chce; ale skoro potrzebuję kawałka chleba, mogę się zgodzić do Lucypera, byle płacił."—Taki mógł iść na służbę do ogrodu Zoologicznego—„zupełnie inny człowiek."—„A gdyby też tak Asa oddać Błażejowi?... Onby go dobrze schował!... Wrzuciłby go do klatki na żer lwom czy innym okrutnym bestjom i koniec... Uwolniłoby się dom od takiego gałgana, ostatniego szelmy, szkodnika... Prawdę powiedziawszy, od czasu, jak się pan ożenił, nikt w tym domu nie myśli o domu... Może ona — pani?... Phi!"—W tym punkcie swych rozmyślań Franciszek usnął i zaczął tak potężnie chrapać, że As wstał, przeszedł do jadalnego pokoju, stamtąd do salonu, gdzie wlazł na aksamitną kanapę, i dopiero się wygodnie rozciągnął.

Morusieńka też nie spała i w zgorączkowanej przez silne wrażenia, przez bezsenność, głowie powstała myśl opuszczenia na zawsze mężowskiego domu. — „Jestem tu przecież zupełnie niepotrzebna!"—mówiła sobie w duszy i raniuteńko, kiedy jeszcze wszyscy spali, cicho wymknęła się z domu. Rzadko kiedy atoli człowiek może mieć bezwarunkową pewność, że za parę godzin, za godzinę, nie będzie żałował swego postanowienia i nie nada swym myślom innego kierunku. Gdy się Zabrzeska znalazła na Mazowieckiej, już ją poczęło trzeźwić pierwsze pytanie:—„Dokąd pójdę?"—Trzęsła się na samą myśl zamieszkania znowu z siostrami—brr!...—„Czyż mogę mieszkać sama, oddzielnie, nic a nic nie posiadając?" — Szła

dalej przez ulicę Berga*) i myślała:—„Jestem jego żoną, on moim mężem, nie ulega to żadnej wątpliwości. Czyż mąż i żona mają być zawsze gruchającemi gołąbkami?"—Wyszła na Krakowskie Przedmieście i zwróciła się ku Saskiemu placowi.—„Jeżeli to prawda, co Kocia mówi, że wszyscy są tacy, że innych mężów niema?... Wczoraj ja mu tylko dokuczałam, on mię ciągle przepraszał i nie dałam mu się przeprosić."— Otwarto właśnie Saski ogród; weszła tam, ciągle prowadziła sama z sobą rozmowę w myśli, ochłodła, wytrzeźwiała i powiedziała sobie nareszcie:—„Los nas połączył, gdyż tylko los łączy ludzi; musimy żyć wspólnie! Nie będę mu się narzucała, ale go też i nie porzucę... Jedno drugiemu musi, widać, wiele wybaczać".

Około dziewiątej z rana już wróciła na Erywańską, rzuciła się mężowi na szyję i ona pierwsza zaczęła go przepraszać.

Może w godzinę po wyjściu z domu pani Zabrzeskiej wstał Franciszek, aby porobić w domu porządki. Nie widząc w korytarzu Asa, odrazu powziął podejrzenie, że ten gałgan i nicpoń pewnie się gdzie po meblach rozwala. Przechodząc mimo, stary spostrzegł drzwi od pokoju pani naoścież otwarte, a przez okno, od wczoraj niezamknięte, wiało świeże poranne powietrze. Wszystko to bardzo go zadziwiło. Nie miał on prawa wchodzić do pokoju Zabrzeskiej, gdy go nie wzywano; ale taką pustkę zdaleka odczuwał tam, że wsunął głowę i zajrzał. Franciszek mniej zwracał uwagi na nieobecność pani, na nietkniętą pościel, a głównie uderzyła go w oczy niezaschła jeszcze kałuża przy sofie, powstała wskutek spływania wody deszczowej z okrycia Morusieńki. Ten nieporządek przypisał on niezwłocznie Asowi, chwycił

*) Obecnie ul. Traugutta (przyp. wyd.).

się obiema rękoma za głowę i rzekł poważnie: — „Jakiż porządek może kiedy być w takim domu?“

Atoli nadzwyczajne już jego zgorszenie jeszcze bardziej wzrosło, kiedy, wszedłszy zkolei rzeczy do salonu, zastał tutaj na aksamitnej kanapie, barwy zielonej, wyżła, leżącego sobie wygodnie na prawym boku, z nogami przed siebie wyciągniętemi. As, jak tylko posłyszał, że ktoś wchodzi, podniósł dosyć leniwie głowę i spojrzał. Widok zawziętego nieprzyjaciela, zjadliwie spoglądającego i zaciskającego obie pięści, musiał być dla rozespanego psa bardzo nieprzyjemny, gdyż zawstydzony w okamgnieniu zsunął się ze wspaniałego posłania i wpakował się głęboko pod kanapę.

Teraz Franciszek pomyślał:—„Pani niema w domu, młodsza — daleko i śpi jeszcze... Dziś albo nigdy, trzeba zrobić koniec z tym gałganem!“ — Spojrzał na zegarek, punkt szósta. — „Dobrze!“— Zamknął drzwi od salonu, poszedł do swojej izdebki. Niezadługo powrócił, niosąc worek i kłębek grubego szpagatu. Pies uchodził, krył się — wszystko napróżno! Ze skrępowanemi nogami, ze związanym pyskiem, drżący na całem ciele, wyżeł niebawem znalazł się w worku.

Wkrótce potem przed ogród Zoologiczny zajechała jednokonna dorożka, a z niej wysiadł służący pana Albina i, trzymając oburącz worek, w którym więziony pies wił się gwałtownie, kręcił, poszedł szukać przyjaciela swego, Błażeja Rurkiewicza.

Musimy tu jeszcze objaśnić, z jakiego punktu widzenia zapatrywał się Franciszek na ogród Zoologiczny. Podług niego była to karna kolonja zwierząt, które w różnych miejscach i czasach dopuściły się rozmaitych przestępstw względem ludzi, a przeto, jako istoty zbrodnicze, musiały pokutować w tem więzieniu. Onby wyśmiał takiego,

wyszydził, któryby mu opowiadał o jakichś innych celach więzienia zwierząt za żelaznemi kratami. Podobnie jak oprawca łowi psy i przetrzymuje je gdzieś tam, w Czarnym Dworze, tak samo inni oprawcy łowią tem bardziej szkodliwe lisy, kuny, wilki, lwy i inne.

„A jeśli takiemu popadnie w ręce zając, sarna, kuropatwa czy dziki gołąb, to też chwyci. Bo skoro się raz zbestwił na tamtych srogich dzikusach, nie przepuści już potem żadnemu niewiniątku... Niema się zaś czemu dziwić, że różne próżniaki i półgłówki chodzą to to oglądać. Cóż im tam zabraniać, skoro płacą?“

Na samym wstępie do ogrodu Zoologicznego stropił Franciszka widok murzyna; stary bowiem wziął go za małpę, która „uciekła z klatki i mogłaby wypłatać jakiego psikusa“. Rurkiewicz, chłop ogromny w fartuchu długim, z miotłą, osadzoną na potężnym drągu, powitał przyjaciela szczerem podaniem ręki, ale i z fizjognomją, zdającą się przemawiać:—„Bardzo mało mam czasu, żeby się tobą zajmować!“ — Spojrzał na worek, w którym się widocznie coś żywego ruszało, i spytał żartobliwie:

— Przyniosłeś nam lwa czy tygrysa?

— Ej nie!... Macie tu psa, ale takiego gałgana, że obstoi za trzy wilki!... Bestja—szkodnik skończony i koniecznieby go trzeba rozumu nauczyć!

Stary był pewny, że wymienione przezeń przymioty podnoszą stopień kwalifikacyj Asa do ogrodu Zoologicznego.

— No, a nie narobi on nam tu aby szkody, nie zeżre jakiego niedźwiedzia albo słonia? — mówił Błażej z żartobliwym uśmiechem, ukazując dwa rzędy silnych, zdrowych zębów, którychby mu wilki mogły pozazdrościć. Potem, widząc, że Franciszek aż się poci, ponieważ nie może utrzymać ła-

dunku, Rurkiewicz chwycił worek olbrzymią łapą, podniósł, zarzucił go sobie na plecy i rzekł:

— Niechże tam będzie i pies!... Dzikie zwierzęta nam zdychają, może się swojskie będą chowały. Bóg ci zapłać, Franku, i za psa! Napisze mu się na klatce „wilk" albo „z Afryki" — i będzie!

To rzekłszy, Rurkiewicz pożegnał przyjaciela i między zwierzęta skierował kroki, od których się ziemia trzęsła. Kiedy przechodził mimo oddziału klatek z wilkami, zatrzymał się przed jedną z opróżnionych, wysypał Asa z worka i przyzwał pomocnika swego, Józka, może ośmnastoletniego chłopaka, któremu polecił umieścić wyżła w próżnej klatce.

— Tu się psa nie powinno wsadzać—rzekł Józek—przecież tu na klatce stoi napis *lupus!*

— A oprócz *lupus* niema jeszcze innego napisu?

— Jest—*canis!*

— No, widzisz, ośle, ja czytać nie umiem, a i tak wiem, że *canis lupus* znaczy po niemiecku *pies* i *wilk*... Skoro zatem wilk zdechł, mógł się pies zostać!

— Słusznie pan Rurkiewicz mówi! — odrzekł Józek.

Chłopak miał już ponieść Asa do wilczej klatki, kiedy nadszedł pan Iwiński, jeden z głównych opiekunów ogrodu Zoologicznego, człowiek bardzo wymowny i niezmiernie dbały o los zwierząt. Jemu to powierzono, że tak powiemy, moralną stronę utrzymania zwierząt w tym zakładzie. Widząc wyżła, skrępowanego jak baran na rzeź, Iwiński zbliżył się czem prędzej i, założywszy wtył ręce, z miną pedagoga poważnie zapytał:

— Józek, co ty wyrabiasz?

— Pan Rurkiewicz, proszę pana, kazał mi tego psa wsadzić do wilczej klatki i... Zaraz mówiłem, że skoro *lupus*, to...

— Mój kochany, nie o klatkę chodzi; pies może być w wilczej klatce, bo raz, że to jest jedna i ta sama rodzina, a powtóre, każdy ma oczy i, choć napis jest *lupus*, nikt psa za wilka nie weźmie. Zresztą, gdyby nawet wziął, cóż to wielkiego?... Ale kto śmie tak strasznie, nielitościwie pastwić się nad tym psem? Kto mi tu skrępował zwierzę, z którem wyłącznie obcować trzeba z jak największą łagodnością, dobrocią?... Pytam, kto?

— Nie wiem tego! Jakiś znajomy pana Rurkiewicza przyniósł psa w worku i...

— Rurkiewicza?... W worku? Aha! Gdzie jest Rurkiewicz? Zawołać tu Rurkiewicza!

I wnet potem Błażej ze swoją miotłą w ręku stanął przed zwierzchnikiem, który, gładząc przysiwiałą brodę, tak przemawiał:

— Mój Rurkiewicz, oddawna już dochodzą mnie słuchy, że ty bardzo niewłaściwie postępujesz sobie ze zwierzętami!

— Czy panu o tego psa chodzi? Świeżuteńki transport i nie moja wina, że go tak powiązali! Podobno dobry kanarek!

— Widzisz, widzisz! Zaraz jakieś podejrzenia względem zwierzęcia, fanatyzm, chęć prześladowania.

— Gdzież tam, proszę pana! Ile razy koło tego bestyjstwa przechodzę, to o mało czapki nie zdejmuję...

— Nie o to chodzi, mój Rurkiewicz. Czapki możesz zupełnie nie zdejmować; tylko widzisz, zasady religji, moralności wymagają od człowieka, żeby był dobry dla zwierząt... Józek, nie odchodź, słuchaj, co ja tutaj mówię, bo się o tem skądinąd nie dowiesz! — zawołał pan Iwiński, spostrzegłszy, że chłopak zabiera psa i chce odejść. Teraz zwierzchnik zwrócił się do Józka i zapytał:

— Czy zwierzę ma taki rozum, jak człowiek?

— Takiego akurat nie ma, proszę pana; one mają jeno „jękstęk"—odpowiedział chłopak, który był bardzo pojętny, prawie napamięć umiał niektóre przemowy Iwińskiego i władza nadzorcza ogrodu Zoologicznego duże nadzieje w nim pokładała.

— Człowiek zatem—ciągnął daléj zwierzchnik, wpatrując się w skrępowanego dotąd Asa — jest istotą rozumną i jako taki powinien okazywać dla zwierząt litość, wyrozumiałość, względność. Moralna wyższość człowieka wystąpić powinna w całej okazałości przy jego obcowaniu ze zwierzętami—rozumiecie?... Tylko tym sposobem mamy obowiązek panować nad żywą przyrodą królestwa zwierzęcego, nie zaś przez tyranję i okrucieństwo...

Tu się zastanowił pan Iwiński, a Błażej chciał widocznie skorzystać z takiego zawieszenia mowy i już się odwrócił, aby odejść.

— Rurkiewicz, dokąd idziesz?—rzekł zwierzchnik z surową powagą.

— Śpieszę się do niedźwiedzi, bo czegójś okrutnie porykają!

— Zatrzymaj się tutaj, słuchaj, co mówię! Niedźwiedzie z pewnością więcej zyskają na twojem uszlachetnieniu, niż żebyś je jak najlepiej nakarmił—rozumiesz?...

— Ooo, proszę pana, te dwa hamany tam w jamie okrutnie są żerte! Całe szczęście, że samiec i samica, boby, jak amen w pacierzu, zeżarł jeden drugiego.

Powiedziawszy to, Błażej poskrobał się w głowę i, obiema rękoma wsparty na drągu miotły, słuchał dalszej przemowy, która tak brzmiała:

— Nietylko sami macie obowiązek postępować zgodnie z zasadami religji i moralności, ale także —sumiennie czuwać, ażeby ci, którzy tu z miasta przychodzą, nie dręczyli zwierząt, nie drażnili.

Przekonacie się, zobaczycie potem, że zwierzęta, gdy się z niemi szlachetnie obcuje, nie są tak bardzo złe, jak się to niejednemu na oko wydaje...

Zapewne długo jeszcze byłby tak przemawiał pan Iwiński, gdyby nie to, iż spostrzegł przed klatką z małpami murzyna, który, nabrawszy w usta wody, pryskał nią w oczy pawjanowi i doprowadził go do wściekłości. Ta okoliczność przyśpieszyła wyzwolenie Rurkiewicza, Józka, a i biednego Asa, który się już teraz nie mógł ruszać. Błażej ze złośliwym uśmiechem na ustach pośpieszył spełniać swe obowiązki i, gdy przechodził około klatek, gdzie były lwy, tygrysy, pantery, lamparty, spojrzał i głośno się odezwał:

— Kizie, kizie, moje niewiniątka, psie dusze, jakie toto wszystko grzeczne!... Pan Iwiński nakazuje, żeby z wami postępować podług religji, to się znaczy, żebyście huncwoty regularnie pościły w piątek i sobotę!

Jakgdyby w odpowiedzi na te słowa, wspaniały tygrys bengalski ryknął potężnie i zaczął biegać po klatce, co było hasłem ruchu, niepokoju po innych klatkach wielkich kotów.

Nieznośne próżniacze życie prowadził teraz As w wilczej klatce. On, taki energiczny, ruchliwy, wylegiwał się całemi dniami, drzemiąc lub bezmyślnie wodząc oczyma po snujących się przed klatką ludziach. Może tam i bywali jacy jego znajomi; ale w ogrodzie Zoologicznym, gdzie jest tyle zwierzęcych znakomitości, mało kto na pospolitego psa zwraca uwagę. Bardzo rzadko kiedy jakaś litościwa osoba wrzuciła mu przez szczeble kawałek chleba albo piernika. Za sąsiadów miał on po jednej stronie wilczycę, którą zabrano od dzieci; po drugiej — pięć młodych lisków, rodzeństwo wydarte rodzicom. Nikt z ludzi nie pomyśli, aby takie zwierzęta drapieżne, karmiące się mię-

sem, mogły być smutne. Litość idzie w parze z użytecznością. Bywały i w ogrodzie Zoologicznym dni wesołe — naturalnie, że tylko dla ludzi wesołe; zwierzętom, tym jedynym istotom, potrzebującym tu rozweselenia, nikt nie mógł ani też nie myślał wyprawić zabawy. Sprowadzano niekiedy huczną muzykę, przy której dźwiękach tłumy z miasta używały rozrywki. W niektóre dni świąteczne urządzano tam nawet dla dzieci zabawy z tańcami. Dobrzy rodzice, chcąc sprawić przyjemność grzecznym Maniusiom i Jasiom, wiedli je wtedy na muzykę. „Niech sobie dzieci potańczą!“ Ostatniemi bowiem czasy robi się wiele, bardzo wiele, aby te nasze piękne kwiatki wydały owoce. Ponuro zachowywały się zwierzęta, słysząc odgłosy trąb i zgiełkliwe krzyki ludzkiego szczęścia. Tygrysy w niespokojnych susach tam i nazad przebywały szczupłą przestrzeń swego więzienia, a niekiedy uderzały o kratę z taką siłą, że się trzęsła cała klatka. Lwy, chociaż to przecie nie istotne lwy pustyni, waliły się ogonami po bokach i rykiem dawały znać biesiadnikom, że w bliskości szczęścia istnieje niedola. Zasapany niedźwiedź kiwał się z mrukiem i kręcił, jakgdyby usiłował uniknąć tego huku, brzęku, hałasu.

Innym razem zjawił się w ogrodzie Zoologicznym cudzoziemiec, przedsiębiorca, wystawiający za biletami napokaz ludzi nawpółdzikich. Wtedy tłum gości wzrastał, ponieważ powszechnie twierdzono, że uczyć się poglądowo etnografji jednocześnie z zoologją jest bardzo użytecznie. Cywilizowanym bliźnim dzicy bliźni przedstawiali się bardzo malowniczo, zwłaszcza w oświetleniu sztucznych ogni. Puhacz rozpościerał wówczas skrzydła, powiewał niemi, jak skrzydłami wiatraka i pohukiwał smętnie:—„pu-u-hu-u“. — Hiena brała ogon pod siebie, jeżyła włos na grzbiecie, odzywała się

wyciem, podobnem do śmiechu: tak podobno wyje na wolności, gdy ją zaleci woń trupa. Wilk kilkakrotnie przysiadał na ogonie, wznosił pysk wgórę i wyć zaczynał; ale wyć umiał tylko w niebo, pokryte gwiazdami—i urywał... Wtem wystąpił z gromady dzikich jakiś ich bard, miał w ręku drewno o dwóch strunach, usiadł na ziemi, położył swą lirę na podołku, zagrał i zaśpiewał. W jego pieśni było coś z mruku niedźwiedzia, coś z hukania puhacza, ze śmiechu hieny, wycia wilka i ryku lwa. Pieśń ta poleciała między klatki i wydało się teraz zwierzętom dzikim, że ktoś odgadł wszystkie ich smutki, cierpienia, że im opowiada to, co one czują: słyszane dźwięki nie były dla nich obce. Nawet dogorywający już szakal porwał się z miejsca, gdzie leżał, i suchym, chrapliwym głosem szczeknął kilka razy, a lew potężnie zagrzmiał, jakby w pustyni. Kiedy dziki artysta posłyszał ów ryk króla pustyni, ogień zaświecił mu w oczach, głos jego nabrał siły: natura przemawia prosto i dwaj niewolnicy cywilizacji odrazu się porozumieli.

Ogród Zoologiczny przedstawiał na małą skalę to, co przedstawia cała kula ziemska: podbój przyrody przez człowieka. Filozof, artysta może doznawać smutnych wrażeń, widząc, że swobodny człowiek dręczy zwierzę zamknięte, a przeto zawsze i bezwarunkowo zmuszone ulec. Okratowane klatki potężnych olbrzymów nie usposabiają szlachetnego serca do wesołości. Obecne wymagania moralności i dobrego smaku budzą pewną odrazę, gdy się słyszy w tem miejscu niedoli ostatniej wybuchy szalonego śmiechu rodziców i dzieci. Ale cóż robić?... I to jest widać prawem nieubłaganem, że—biada zwyciężonym!

As, który dotychczas obcował tylko z ludźmi albo z psami, przez ludzi włożonemi w różne na-

łogi, cenne dla człowieka, począł tutaj odczuwać, iż posiada na świecie bliźnich. Słyszał nieustannie w nocy smutne wycia, ponure ryki zwierząt, stęsknionych przez niewolę, chorych albo i umierających. Przepełniało go to taką jakąś goryczą, że i u niego wycie zaczynało stanowić potrzebę psiej duszy. Kiedy noc nadchodziła, a rozległy się na przerozmaite głosy zwierzęce skargi, jęki, okrzyki, ogarniał go wtedy dziwny smutek, niewoląc do wtórowania wyciem temu lamentowi. I stróża, który miał obowiązek baczyć na zwierzęta w porze nocnej, zdejmowała również jakaś nieopisana trwoga i żałość, jakgdyby mu się zdarzyło oczekiwać na wielkie nieszczęście. Tu As wyć się nauczył na całe życie.

Gdzie się toczy walka, tam i zwycięzcy nieraz podatek krwi płacą. Rurkiewicz mimo napominań pana Iwińskiego wcale się nie odznaczał łagodnością w stosunkach ze zwierzętami; był on dla nich o tyle tylko wyrozumiały i względny, o ile się ich obawiał. Szczególniej też nie robił sobie żadnej ceremonji z parą niedźwiedzi, pomieszczonych w obmurowanym naokoło dole, mającym wyobrażać jakoby jaskinię.

„Robiąc tam porządki", nie przedsiębrał częstokroć potrzebnych środków ostrożności; ale nadmiernie ufny w swą siłę, w razie niezadowolenia którego z dwojga zwierząt, odwracał swą miotłę, aby drągiem „zamalować misia w zęby". Bywało różnie: czasami niedźwiedzie miały skłonność do uległości, a Błażej był w bardzo złym humorze; innym razem znowu—wprost przeciwnie. Pewnem jest jednak, że osadzona na grubym i długim drągu miotła trwogą przejmowała jedne zwierzęta, inne pobudzała do gniewu. Aż nareszcie jednego dnia rano tak się złożyły okoliczności, że Rurkiewicz był z czegoś bardzo niezadowolony, a niedźwiedzie też chodziły dokoła słupa, wbitego w samym środku dołu, i ze złością porykiwały:—„e-eee, e-eee!"

Ponieważ żadna strona nie była skłonna do ustępstw, przeto zatarg wnet wybuchnął i pierwsza niedźwiedzica „oberwała drągiem między ślepie tak, że pewnie zobaczyła wszystkie gwiazdy na niebie". Tymczasem niedźwiedź przycupnął rudą masą swego cielska pod murem, przyłożył gruby łeb do prawej łapy i z otwartym pyskiem, błyskając białemi kłami, boczył się, złowrogo spoglądał małemi oczkami na zajście swej połowicy ze stróżem. Nagle, jakgdyby się w nim ocknęło uczucie solidarności czy też—odezwała się jakaś osobista uraza, poskoczył szybko na czterech łapach ku Błażejowi, który równie szybko zrejterował. Bądź że czasu zabrakło, bądź z powodu zapomnienia, Rurkiewicz nie zawarł za sobą drzwi, oddzielających go od zwierząt i, zanim zdołał przybrać obronną podstawę, miś oskalpował mu całkowicie czaszkę i zadał niebezpieczne rany na ciele. Niedźwiedzica ze swej strony pochwyciła w zęby miotłę, uszła z nią do klatki i tam poszarpała, pogryzła na wióry, na trzaski.

Biedny Błażej wnet potem wyzionął ducha w szpitalu, zwiększając liczbę ofiar walki człowieka z przyrodą. Ale i ta jedna chwila triumfu, raczej krwawego odwetu zwierząt w ogrodzie Zoologicznym, na złe im tylko wyszła, ponieważ oprawcę Rurkiewicza rozstrzelano. Wyrok może i nie był sprawiedliwy, jednakże któżby bronił życia zwierzęcia, które wydarło życie człowiekowi?

ROZDZIAŁ IV

Podczas obiadu w Mączynie. — Trzy życzenia Miecia.—Kawa, ciastka i egzamin. — Co znaczy pies w lwiej klatce? — Szewc i jego parasol.—Miecio staje po stronie Asowego stronnictwa. — Trzecie życzenie.—Na ulicy i w hotelu. — Na dworcu kolei Terespolskiej. — Konduktor, który godzi przepisy z wymaganiami podróżnych.

Bardzo spokojnie przechodziło życie mieszkańcom dworu w Mączynie: zawsze jedni i ci sami ludzie, zawsze jedne i te same ich czynności, spełniane podług zegara. Dwa razy dziennie w oznaczonych godzinach schodzili się wszyscy do stołowego pokoju, aby dopełnić obrzędu, zwanego obiadem i kolacją. Przez chwilkę czasu oczekiwano tu, dopóki nie usiadła pierwsza hrabina, a potem każdy zajmował swoje uprzywilejowane stanowisko za stołem. Jedna tylko panna Marja lubiła się opóźniać.

Zwykle przy zupie panowało stanowcze milczenie. Siedm osób, trzymając w rękach jak najpoprawniej łyżki, dosyć gorliwie zajmowało się przelewaniem płynnego pokarmu z talerzy w organizmy. Po stronie stołu od drzwi wchodowych znajdował się dział damski: hrabina, panna Marja, i jej uczenica, panna Zofja, panna Henryka, cudzoziemka, niegdyś bona, a obecnie stały gość domowy. W dziale męskim, po przeciwnej stronie stołu: hrabia, pan Tomasz, nauczyciel, i uczeń jego pan Karol. Było to właśnie po zupie w sobotę, a jakoś mniej więcej w połowie czerwca. Kornel, stary służący, który od pięćdziesięciu lat obsługiwał dom w Mączynie, zbliżył się uroczyście do stołu i na tacy podał list hrabinie. Rzuciła tylko okiem, poznała widać pismo, gdyż z radością zawołała:—„Od Miecia!"—Trzeba zaś wiedzieć, że Miecio był to młodszy syn, którego w zeszłym roku oddano na naukę do Warszawy, jako trzecioklasistę. Hrabina z niecierpliwością rozdarła kopertę, i w miarę tego, jak list odczytywała, fizjognomja jej wyrażała coraz wyższy stopień uszczęśliwienia.

— Chwała Bogu!—rzekła nareszcie, rozpromieniona.—Egzaminy poszły mu doskonale, wszystkie trójki i czwórki, poczciwy mój chłopiec!... Promocja do czwartej klasy pewna! Chwała Bogu, chwała Bogu!

I z temi słowy podała list hrabiemu do odczytania.

— A mnie to głównie cieszy, że Miecio, wyjeżdżając z domu, pod słowem honoru przyrzekł mi być pilnym i dotrzymał słowa—powiedział hrabia.

Jeszcze się obiad nie skończył, a matka już powzięła postanowienie, ażeby jechać do Warszawy i zrobić synowi przyjemną niespodziankę.

— Teraz już po egzaminach, ma dosyć wolnego czasu—mówiła—mogę się z nim codziennie widywać. Skoro się tak dobrze spisał, trzeba mu to przecież wynagrodzić... Dziś jadę do Warszawy i sama przywiozę Miecia na wakacje.

Hrabina była osobą stanowczą, przeto tego samego dnia, około siódmej wieczorem, czwórka karych powiozła ją do stacji kolei żelaznej, a nazajutrz o godzinie trzeciej po południu Miecio już był u mamy w hotelu Europejskim. Zawsze wesoły, rumiany, okrągły, blondyn z niebieskiemi oczyma, ucieszył się nadzwyczajnie z owej macierzyńskiej niespodzianki! Ponieważ chodziło o to, aby chłopcu zrobić jeszcze większą przyjemność na zakończenie roku szkolnego, przeto matka rzekła:

— Mój synu, dzień dzisiejszy jest twój, wybierz sobie jakąś przyjemność, rozrywkę... Może teatr?

— Proszę mamy—odrzekł Miecio z uśmiechem zadowolenia, ale i z rozwagą — czy ja sobie mam wybrać tylko jedną przyjemność?

— Wybierz dwie, trzy nawet, byleby przyjemności godziwe, dozwolone.

— Oh, proszę mamuni, ogromnie dozwolone!... Naprzykład, chciałbym teraz napić się kawy i zjeść tyle ciastek, ile mi się podoba. Potem poszedłbym do ogrodu Zoologicznego, bo słyszałem, że tam są bardzo piękne lwy... A co się tyczy tej trzeciej przyjemności, niech mi mama pozwoli, żebym się namyślił.

Prawie jakgdyby na skinienie czarodziejskiej różdżki pierwszemu życzeniu Miecia stało się zadosyć. Niebawem ukazały się na stole: cała porcja kawy i może z tuzin ciastek od Lursa. Miękkie briosze, twarde makaroniki i ulubione przez młodzież szkolną papatacze szybko znikały z tacy, a w krótkich przerwach Miecio z miną bohatera, który odbył zwycięską kampanję, opowiadał matce swoje egzaminowe przygody.

— Z arytmetyki—mówił—ogromnie się bałem reguły łańcuchowej, tymczasem wyciągnąłem piętnaste pytanie z algebry—prawidło na znaki w mnożeniu—i odrazu mu bez namysłu powiadam: *plus* przez *plus* — *plus*, *minus* przez *minus* — także *plus*, a reszta wszystko — *minus*. Wziął i napisał mi czwórkę.

Po tem opowiadaniu powrócił do swej kawy i ciastek, z których teraz już tylko dwa zostały na tacy.

— Najpierwszy był egzamin z łaciny — mówił znowu — kazał mi objaśnić zdanie: *Homo magna habet instrumenta ad obtinendam adipiscendamque sapientiam*... Ściąć się nie mogłem, gdyż *gerundium i gerundivum* umiem najlepiej. Powiedział mi dobrze i zapisali tróję.

Skończywszy opowiadanie, Miecio spojrzał na pozostałe dwa ciastka, a oczy jego zdawały się tę myśl wyrażać: „Cóż te samotniki mają sobie

tak leżeć? Przecież one należą do towarzystwa tamtych, których byt przeciąłem zębami“... Jeszcze chwilkę odpoczął, potem westchnął i wyciągnął rękę ku ciastkom.

— Synu, żeby ci te ciasteczka nie zaszkodziły! — rzekła hrabina.

— Gdzież tam, mamuniu! Ja po egzaminach mam ogromny apetyt.

Przyszła kolej na spełnienie drugiego życzenia Miecia, który, uszczęśliwiony tem, co już osiągnął, rozmyślał teraz nad postawieniem trzeciego swego życzenia i postawił pytanie:

— A czyby mi mamunia kupiła ostrogi, gdybym prosił?

— Kupiłabym, synu, ale co ci po ostrogach? W szkole nie możesz przecie ostróg nosić, a w domu dostaniesz wierzchowca, dopiero kiedy przejdziesz z klasy piątej do szóstej.

Miecio pomyślał sobie, że tymczasem mógłby nosić ostrogi w kieszeni; jednakże zrzekł się ostróg i już nie nalegał, rozmyślając, jakieby tu inne postawić życzenie. Ogromnie pragnął mieć wąsy i wiedział, że wąsy wtedy rosną, kiedy się je goli... Cóż, kiedy jakoś nie śmiał prosić mamy o brzytwy! Zresztą i scyzorykiem można się ogolić.

Mimo utrudzenia hrabina pojechała z synem do zwierzyńca, aby lwy oglądać. W ogrodzie Zoologicznym zaszły niejakie zmiany. Ponieważ zdechł lew, a z prowincji przysłano w podarunku aż cztery wilki, przeto z polecenia zarządu Józek przeniósł Asa do lwiej klatki z napisem *felis leo*. Trudno wyjaśnić, dlaczego wyżeł okazywał obecnie weselsze już usposobienie. Może z powodu znaczniejszej obszerności lwiej klatki, może dlatago, że za sąsiadkę o ścianę miał lwicę, a może też i zżył się już tak ze swoją niewolą, iż ją począł uważać jako całkiem normalny tryb zwierzęco-psiego ży-

wota. Jakkolwiek ciągle jeszcze jakieś tęskne marzenia zdradzał nocnem wyciem, jednak w dzień zasiadał częstokroć na ogonie, podnosił wgórę uszy, jak za swoich dobrych czasów, i w tej postawie zwracał na się uwagę rozmaitych zwolenników zwierząt.

Przy niedzieli tłumy ludzi przybywały do Bagateli—tak się zwie miejscowość, gdzie był ogród Zoologiczny przed niedawnemi czasy. Każdy gość, wiedzący z zoologji tyle, że łacińska nazwa *leo* znaczy *lew*, zatrzymywał się przed klatką Asa, wodził mimowolnie oczyma to po napisie, to po wyżle i niejeden odchodził, wzruszając ramionami. Bardziej atoli filozoficzne umysły, ludzie tacy, którzy wszędzie widzą myśl jakąś, a choć nie widzą, to jej szukają, różni myśliciele łamali i suszyli sobie głowy pytaniem:—„Co znaczy pies w lwiej klatce? Byłażby to jaka przenośnia?“ — Napróżnobyś takiemu tłumaczył, iż rzeczy tak należy brać, jak są. Jeden nawet ze stalszych bywalców w zwierzyńcu wykładał to w następujący sposób:

— Widzicie, państwo, ten oto pies jest mlecznym bratem lwów, ponieważ mamką była wyżlica, jego rodzona matka.

Taka odpowiedź na pytanie najzupełniej zadawalniała niektórych i szli sobie dalej, unosząc przekonanie, że stanowi ona dostateczną przyczynę pobytu Asa w lwiej klatce.

Właśnie tej samej niedzieli przed kratą Asowej klatki znalazł się także szewc z Sewerynowa, Kąskiewicz, który tutaj przybył z żoną, dwoma synkami i córeczką. Pan majster, ubrany odświętnie, parasolem pokazywał malcom dzikie zwierzęta, powtarzając od czasu do czasu;

— Przypatrzcie się, bo wam się to kiedy przyda!

Okazała małżonka żuła pierniki, ziewała i mówiła:

— Niema nic godnego widzenia! Lepsza zabawa na Saskiej *Kiempie*, a tu ani się *pobujdać*, ani karuzeli!...

Kąskiewicza uderzył widok Asa; parę razy poprawił sobie na głowie cylinder, jakgdyby w ten sposób chciał w swym mózgu wzbudzić dawniejsze wspomnienia. Im dłużej się zaś psu przyglądał, tem lepiej ożywiały się obrazy, drzemiące w mózgu gdzieś pod progiem świadomości. Naraz zwrócił się żywo do żony, która właśnie oceniała okiem ubranie jednej znajomej z Aleksandrji, i rzekł głośno:

— Magdalena, widzisz ty, to przecie pies Swojewskich, ten As szelma, co pokąsał Pytę i com cię raz przez niego, łajdaka, zdzielił kijem!... Pamiętasz, Magdalena, tyś się wtedy przewaliła?...

Gdy te ostatnie słowa mówił, wykonał ręką ruch ku twarzy: widocznie w tej chwili zaswędział go policzek, na który onego czasu pani Kąskiewiczowa tłuściuchną swoją rączką przyłożyła małżonkowi kilka dotkliwych kataplazmów.

Szewc postanowił zemścić się teraz i, wsunąwszy między kraty parasol, począł nim szturchać wyżła. As zachował się tak, jakby wiedział, że przebywa w lwiej klatce: chwycił zębami silnie za parasol, wydarł go Kąskiewiczowi z ręki, wciągnął wewnątrz i szarpał na kawałki. Z tego powodu zrobiło się przed klatką w okamgnieniu ogromne zbiegowisko. Jedni stanęli po stronie Asa i wykrzykiwali:

— Dobrze pies zrobił! Poco go drażnić?

Inni trzymali znowu z szewcem, a oburzali się na psa:

— Jak to może być, żeby człowiekowi, który

tu wszedł, kupiwszy bilet za *swoje własne pieniądze*, nie było wolno nawet psa trącić!

Bóg wie, na czemby się ów spór skończył, gdyby nie to, że nadszedł pan Iwiński i odrazu wziął grzecznie pana majstra nabok, aby mu powiedzieć kazanie o występku dręczenia zwierząt. Kąskiewiczowa nieustannie się odgrażała, że już nigdy noga jej nie postanie w tym zakładzie i „dziesiątemu jeszcze powie, żeby też nie bywał, skoro się tu nie umieją obchodzić z kundmanami".

Oburzenie jej tem bardziej jeszcze wzrosło, gdy Józek, wszedłszy do klatki od tyłu, wyniósł stamtąd resztki parasola, pogięte pręty, odebrane Asowi, i rzekł, wręczając je pani majstrowej:

— To ci pies ze zdrowemi zębami, jak lampart!...

Pan Iwiński nie mógł dojść do porozumienia z Kąskiewiczem; nadaremnie pokazywał mu tablicę, opiewającą, że religja, moralność i pedagogika zabraniają pastwienia się nad zwierzętami. Szewc odpowiadał:

— Święta prawda, ale to jest pies z Sewerynowa, nazywa się As i nie może należeć do takiego interesu, gdzie się pieniądze płacą za oglądanie... Ja także swoje własne psy chowałem i biłem, skoro tylko mi się spodobało!

Obaj zacietrzewieni wrócili przed klatkę, gdzie stronnictwo Asa zrobiło manifestację, wołając:— „Zuch As!... Brawo As!... Brawo!"

Słysząc ciągle wymawiane swoje nazwisko, wyżeł merdał dziękczynnie ogonem, a wszystko to, razem wzięte, zwiększało gorycz rodziny Kąskiewiczów. W oczach pana majstra As, którego imię rozlegało się dzisiaj po całym ogrodzie Zoologicznym, wyglądał zupełnie tak, jak ów pudel, co to z niego powstał Mefistofeles.

Kiedy się w zwierzyńcu na Bagateli rozgrywały powyżej opisane wypadki, przebywała tam podówczas także hrabina z Mączyna i syn jej, Miecio. Matka—rozumie się—unikała burzliwego zbiegowiska, usuwała się od ścisku ludzi przed klatką z wyżłem; zato syn brał czynny udział w wypadkach. Jak tylko zrozumiał, o co chodzi, rzucił się odrazu z zapałem trzynastoletniego młodzieńca na stronę Asowego stronnictwa, bił bez upamiętania huczne oklaski wyżłowi. Chcąc w dalszym ciągu jak najwyraźniej zaznaczyć swoje sympatje, Miecio wrzucił psu za kratę dwa wieńce obwarzanków i duży kawałek piernika. Była to chwila, w której doprowadzona do ostateczności Kąskiewiczowa wybuchnęła strasznym gniewem na męża, ponieważ ją „od wczoraj namawiał na te zwierzęta". Ruchy, które wykonywała, miały w sobie coś tak groźnego, że pan majster położył uszy po sobie i drapnął ze stanowiska, ażeby go przypadkiem wobec ludzi nie spotkało to, czego na pewno mógł się spodziewać w ognisku rodzinnem i w cztery oczy. Inni ludzie zaczęli się też rozchodzić, gdyż pies, jako pies, nie zajmował ich bynajmniej. Nareszcie przed klatką pozostał jeden tylko Miecio, który teraz dopiero wchodził z Asem w poufalsze stosunki: wsuwał rękę za kratę, głaskał psa po łbie, po pysku, a pies jego rękę lizał. Wśród takich okoliczności zrodziło się w duszy chłopca pragnienie, dające się wyrazić temi słowy: — „Przecież mam prawo żądać jeszcze od mamy, aby się spełniło moje trzecie, ostatnie życzenie... Otóż, gorąco pragnę posiadać tego Asa".

Istotnie, taki towarzysz na wakacje—prawdziwa rozkosz. Coprawda, w Mączynie były psy, ale jakieś poważne, powolne, bez temperamentu.

Hrabina, istna ofiara uczuć matki, obszedłszy po kilka razy wokoło ogród, zbliżyła się nareszcie do syna, zamyślonego przed klatką, i rzekła:

— Mieciu, czas na nas wracać do domu!

W odpowiedzi na to wezwanie Miecio przedstawił swoje trzecie życzenie; ona mu zaś odrzekła:

— Życzenie twoje, synu, jest niemożliwe do spełnienia, gdyż ogród Zoologiczny nie jest rynkiem na psy!...

Miecio spuścił teraz nos na kwintę i milczał; ale i hrabina wyglądała coś tak, jakgdyby ją trapiło niezaspokojone życzenie syna. Sumienie dobrej matki zdawało się jej czynić wyrzuty: „On zrobił wszystko, co do niego należało, uczył się dobrze, złożył egzaminy, promocję ma pewną— a ja?... Za to, że dotrzymał ojcu słowa, że przeniósł tyle trudów, kupiłam mu tylko kawy, kilka ciastek i przywiozłam go tu do zwierzyńca. Moja odmowa musi być dla niego bardzo przykra, żal mi chłopca! Właściwie mówiąc, nie wymaga on nic nadzwyczajnego, chce mieć psa. Każdy chłopiec lubi psy—rzecz wiadoma".

Ona także lubiła konie i psy, a szczególniej też konie kare, psy czarne. As, pies piękny, rasowy i czarny bez odmiany, bardzo jej się podobał. „Dlaczegożby się nie miał bardzo podobać Mieciowi?"

Matka i syn, milcząc, znaleźli się przy bramie ogrodu Zoologicznego i tu hrabina niespodziewanie zwróciła się do odźwiernego z tem zapytaniem:

— Czy można w zwierzyńcu kupić jedno ze zwierząt?

— Oh, proszę pani, my, broń Boże, zwierząt nie sprzedajemy, my je tylko chowamy, żeby się państwo miało czemu przypatrywać! Zresztą—dodał, wahając się — ja sam dobrze nie wiem... Może powiedzą w kancelarji.

Miecio natychmiast spostrzegł, że jego papiery idą znowu wgórę, przeto wypogodził w okamgnieniu gorzko kwaśną fizjognomję, rozejrzał się jed-

nym rzutem oka, spostrzegł napis „wchód do kancelarji zarządu" i, poskoczywszy naprzód ze skwapliwością, zawołał:

— Proszę mamuni, tędy, tędy się idzie!

W biurze zarządu, porozumiawszy się, o co chodzi, sekretarz wziął z półki wielką księgę, w której każde zwierzę, zaciągnięte pod odpowiednim numerem, miało swój opis, szukał, rozważał, wreszcie z wielką powagą oznajmił, że w tej sprawie dopiero nazajutrz po południu można uzyskać odpowiedź. Bodaj czy ta niepewność nie była dla chłopca gorszą jeszcze, niż stanowcza odmowa.

Mniejsza o warunki, pod jakiemi Asa uwolniono z ogrodu Zoologicznego, dosyć na tem, że pies, wypuszczony z zamknięcia, uczuł w sobie nadzwyczajną ochotę życia: opanował go istny szał biegania, wyskakiwania, rzucania się na wszystkie strony, wesołego oczekiwania swojej swobody. Ponieważ zaś przepisy szkolne wymagały, ażeby Miecio jeszcze przez cały tydzień uczęszczał do szkoły, i tylko przed wieczorem parę godzin mógł bawić u matki, przeto hrabina miała na głowie ogromnie ciężkie zadanie utrzymania w karbach wyżlej energji. Już samo przewiezienie psa w dorożce ze zwierzyńca do hotelu stanowiło trud niemały. As szarpał się nieustannie, usiłował wyskoczyć na ulicę, a przytrzymywany na sznurku, już to zasiadał obok swej pani, już się wspinał na jej kolana i hałaśliwie szczekał. W dodatku nieszczęście chciało, że w przejeździe około placu Zielonego posłyszał dźwięki katarynki; przypomniało mu to, widać, muzykę z czasu pobytu w ogrodzie Zoologicznym, gdyż natychmiast jął żałośnie wtórować, nawpół szczekając, nawpół wyjąc. Ludzie postawali na ulicy, z podziwem przyglądali się temu osobliwemu psu, który to wył, to poszczekiwał w dorożce — rzecz prawdziwie rzadko sły-

szana i widziana. Niektórzy mieli na ustach uśmiech złośliwego zadowolenia, radzi oczywiście z tego, że jakiś bliźni ma z niespokojnym wyżłem tyle utrapienia. Człowiek, nie mający odwagi cywilnej, aby stawić czoło i lekceważyć opinję ulicznych gapiów, byłby się niezawodnie wyrzekł Asa, wyrzuciłby go z dorożki. Hrabinę krzepiła myśl, iż to robi dla syna. To też gdy przed wieczorem Miecio przybył do matki, obcowanie z wesołym i niezmiernie zręcznym Asem sprawiło mu tyle rozkoszy, iż, rozpromieniony, zawołał w uniesieniu:

— Ah, mamo, jakże jestem szczęśliwy!

Ponieważ rzeczywiście był szczęśliwym, wynagrodziło to najzupełniej trudy i kłopoty matki. Chłopiec, który był u kresu rocznego kursu szkolnego, odbył egzaminy, miał pewność promocji, spokojnych wakacyj, i ten pies, co się właśnie wydostał z okratowanej klatki, stanowili jak najzupełniej dobraną parę. Brakowało tu tylko artysty, ażeby uchwycił tę chwilę szczęścia i pędzlem ją odtworzył. Któż inny mógłby się pokusić, aby rzetelnie zrozumieć niewinne i proste uczucie?

Najniespodziewaniej atoli wśród owej uciechy, gdy As szalał, a Miecio śmiał się do rozpuku, przybywa telegram, wzywający hrabinę do niezwłocznego powrotu. Sprawiło to takie wrażenie, jakgdyby w dzień pogodny czarna chmura nagle zaćmiła słońce. Niema rady, trzeba koniecznie wracać do Mączyna, zabrać Asa, a Miecia jeszcze na sześć dni zostawić w Warszawie!

— Żeby mi to mamunia zostawiła Asa! — odezwał się chłopiec smętnym głosem.

— Nie, synu, nie! Coby na to powiedział pan profesor, pani profesorowa, gdybyś im psa do domu przyprowadził?...

Powiedziawszy to, matka żegna syna, udając przed nim, że ma twarde męskie serce, zabiera

wyżła i spieszy do powozu, aby podążyć na dworzec kolei Terespolskiej. Ciągnięty na sznurku, As się opiera i nieustannie wymienia spojrzenia z towarzyszem, który w krótkim czasie złożył dowody, że jest bardzo a bardzo przyjemny. Osadzony teraz w zamkniętym powozie, nasz wyżeł wyglądał tylko oknem, a przesuwające się przed jego oczyma przedmioty prawdopodobnie sprawiały mu rozrywkę, gdyż był jakiś spokojny. Ale już na dworcu kolei wywoływał oburzenie, ponieważ się zrywał na widok każdego nowoprzybyłego pasażera i bardzo hałaśliwie szczekał. Najgłówniej gniewało i oburzało to szczekanie jakiegoś garbusa, który mniemał, że pies spostrzega jego garby na przodzie i na grzbiecie, wyróżnia go wśród innych, a swojem szczekaniem zwraca nań uwagę całego zgromadzenia. Jakaś znowu bardzo szczupła i blada pani za każdem odezwaniem się Asa zatykała sobie rękoma uszy, przytulała do kolan troje drobnych dzieciaków, ubolewając nieustannie:

— Kto widział wprowadzać takiego złego psa tam, gdzie są dzieci i kobiety?

Małe spoglądały wystraszonemi oczyma na buńczucznego wyżła, a jedno, może trzechletnie bobo, z którego ubrania niktby nie poznał, syn czy córka, zwracało się kilkakrotnie do matki z zapytaniem:

— Mamusiu, czy ten pies zjada dzieci?

W sali, gdzie się gromadziła znaczna ilość ludzi, wyżeł sprawiał wrażenie jakiegoś nadzwyczajnego pasażera, co sobie może wiele pozwalać. Gdy się raz wyrwał z rąk swojej pani, unosząc długi sznurek, nie można już było mieć nadziei, ażeby go utrzymać w jakichkolwiek karbach posłuszeństwa. Szczególniejszą uwagę zwracał on na posługaczów, znoszących tutaj walizy

i przerozmaite pakunki. Istotnie, bardzo osobliwie wygląda człowiek, obciążony jak muł, i zdaje się nieraz, jakgdyby masa rozmaitych rzeczy sama przez się wykonywała ruchy dowolne. Właśnie jeden z takich wszedł na salę, niosąc walizę na plecach, inną na ramieniu, jakiś tłumok na głowie, a na piersiach i po obu bokach wisiały pakunki z parasolem, laskami, paskami spięte poduszki skórzane, kołdry, okrycia letnie i t. d. Ta postać tak uderzyła Asa, iż z namiętnem szczekaniem rzucił się w susach na ową masę rupieci. Natarcie psa zachwiało równowagę piramidy, ugniatającej człowieka, i wszystko to z łoskotem poczęło się walić na ziemię. Jakież było zdziwienie Asa, gdy wśród zwalisk tej góry ujrzał stojącego zwyczajnego człowieka, któremu czoło świeciło się kroplami potu, w oczach błyszczały iskry gniewu, z ust zionęły przekleństwa, a nogi wyrażały pochopność do kopnięcia. Przekonawszy się naocznie, że kuferki, skrzynki, pudła i paczki nie poruszają się same, wyżeł co tchu zrejterował, a zmęczony wybrykami, wskoczył na aksamitną kanapę, gdzie nareszcie postanowił wytchnąć, i legł tam z wywieszonym językiem. Wnet go atoli spostrzegł odźwierny, baczny strażnik porządku na sali, i żwawo sunął, aby psa spędzić z kanapy.

— A pójdziesz ty stąd!

As w odpowiedzi na to wezwanie warknął tak srogo, wyszczerzył takie straszne zęby, że sługa kolejowy zaraz się cofnął, machnął ręką i tylko zdaleka wymrukiwał przepis:

— Tutaj nie wolno psom rozkładać się po kanapach!...

Nareszcie posługacz, mający pod dozorem rzeczy hrabiny, kupił bilet dla pasażera-psa, umieścił Asa zgodnie z wymaganiami przepisów i po-

ciąg ruszył ku wielkiemu zadowoleniu hrabiny, ogromnie udręczonej tą psią swawolą. Jednakże już na samym początku podróży — nowe nieprzewidywane utrapienie. Szczelnie zamknięty teraz wyżeł musiał sobie widać przypomnieć niedawny pobyt w zwierzyńcu, zdjęła go nadzwyczajna żałość, którą też zaczął wyrażać jękami wycia i skowytu. Do samego Brześcia rozmaici pasażerowie nieustannie nalegali na konduktora, domagali się koniecznie, ażeby „coś zrobił“ z psem, który jednych oburzał, innych przerażał, jeszcze innych rozrzewniał i budził w ich duszach strach przesądny „Podróż, rozpoczęta wśród psiego wycia, z pewnością nie skończy się pomyślnie“. Ze wszystkich stron dawały się słyszeć głosy:

— Panie konduktorze, panie konduktorze! Na miłość Boga, trzeba coś z tym psem zrobić!.. Uszy puchną!...

Byli i tacy, którzy bez ogródki wykrzykiwali:

— Ja płacę i nie chcę słuchać psiego wycia!

Konduktor biegał, jak oparzony, wysłuchiwał z jednakową cierpliwością skarg i okrzyków oburzenia, a nie wiedział, co właściwie ma począć. Ponieważ pies miał bilet, przeto służyło mu prawo podróży koleją; no, a wycia trudno mu było zabronić. Owszem, przewodnik pociągu stukał kilka razy do psiego przedziału, wykrzykując groźnie.

— Ej, ty tam, bestjo, siedź mi cicho, nie trap ludzi!

Nic to jednak nie skutkowało. Dopiero na stacji w Brześciu błysnęła konduktorowi w głowie szczęśliwa myśl, pozwalająca pogodzić przepisy służby z wymaganiami podróżnych. Znalazł się dla hrabiny zupełnie oddzielny przedział w pierwszej klasie i tam też As mógł mieć teraz pomieszczenie. Wprawdzie przepis brzmi wyraźnie, że do przedziałów ludzkich na żaden sposób nie wolno

w wprowadzać; ale konduktor wyjątkowo w tym
nym tylko razie postanowił sobie być krótko-
ązącym stróżem prawa.
— Niech pani każe psu położyć się pod ka-
ą — mówił — a ja udam, że nic nie widzę! Mo-
już raz będzie święty spokój.
Wszyscy byli zadowoleni, nie wyjmując Asa;
głównej zaś radował się służbisty konduktor,
ry sam przed sobą udawał, iż psa nie widzi.
Wśród takich to przygód dobiła się nareszcie
bina do Mączyna, gdzie As wszystkim bardzo
zrazu podobał. Służba oglądała go z ciekа-
ścią, powtarzając coś przez cały tydzień:
— To jest pies z Warszawy, nie taki, jak te
ze brysie!

ROZDZIAŁ VI

Pałac a miasteczko. — psy-przybłędy i Apolinary. — Trzy
ksy. — Łucja. — Florentyna. — Wybryki Asa. — Pani Pela-
— Romans wśród kwiatów. — Zabawa w guwernantkę. —
Karpowicz. — Wyżeł traci opiekunkę. — Zatarg Asa z Łu-
— Przygoda Francuzki. — Co robić, będąc głodnym? — Łój
apota. — As traci przyjaciela Pafa. — Sprawa o sarninę. —
wagi o prześladowaniu zwierząt. — Wędrówka Asa do mia-
steczka i zajście z psami.

Mączyn jest to miasteczko nad Ikwą, wsławio-
przez lutnię Słowackiego. Składa się Mączyn
dwóch części, rozdzielonych przez rzekę: na le-
m brzegu, wśród wyniosłych drzew parku, znaj-
je się biały pałac, na prawym — właściwe mia-
eczko, skromniuchne, obnażone, na którego ryn-
zdaleka już widać krowy, psy, trzodę chlewną
drób rozmaity. Grobla z mostem obie te części
czy, ale tylko w czasie suszy i mrozu; najczę-
iej ogromne błoto, rodzaj gęstego garusu, na
awo i na lewo ścieka do Ikwy, a pieszy wędro-
iec musi się poważnie zastanowić, nim przedsię-

weźmie przeprawę z jednej strony rzeki na drugą. Stwardniałe błoto grobli odznacza się nadzwyczajną przylegalnością, a ma zawsze taką głębokość, że ściąga z nóg buty, choćby nawet były z cholewami za kolana.

Sama Ikwa posiada wszystkie właściwości rzeki pierwotnej, w pełnem znaczeniu tego słowa: wodę bystrą, głęboką, choć bezbrzeżnie rozlaną, obfitość ryb i raków. Fale te poruszają koła wielkiego młyna w Mączynie, unoszą wiosną na swym grzbiecie drzewo ku morzu, a mogą też posłużyć za grób dla zrozpaczonego lub pijanego.

Ludność, ażeby się skomunikować z pałacem, używa głównie własnych nóg; mieszkańcy pałacu w porze błotnej przebywają tę przestrzeń przy pomocy koni lub czółnem. Tak się ma przeto dwór do miasteczka, jak jazda i marynarka do piechoty. Jeszcze trafniej byłoby powiedzieć: życie miasteczka schodzi podług Starego Testamentu, w pałacu—podług Nowego.

Znamy już poczęści mieszkańców pałacu w tym składzie, jak zasiadają do stołu; innych uwydatni nam dalszy ciąg opowiadania. Trzeba tu jednak zaznaczyć, że do pałacu, oprócz jego własnego budynku, należą oficyny, różne domki w ogrodzie, oranżerja i tak zwany „tempel", to jest letni pałacyk, sprawiający na widzu wrażenie świątyni. Również tutaj zaliczyć wypada fabrykę, szereg większych i mniejszych domów, szop, gdzie sapie i świszcze machina parowa, jęczą młoty kowali, warczą, zgrzytają rozmaite koła zębate i niezębate; a wszystkie te dźwięki zlewają się w jakąś dziwaczną melodję, którą pozwalamy sobie nazwać marsyljanką przemysłu. Wypala się tutaj cegła, wyrabiają odlewy żelazne, szruby, dziury w żelazie i t. d.

Przy takim dworze pełno jest żywych stwo-

rzeń, o których można powiedzieć na pewno to jedno: „jedzą". Ów dobry dwór stanowi jakoby misę, co do niej z większemi lub mniejszemi prawami zasiada gromada głodnych i bez skrupułu bierze posiłek. Zwyczajnie, jak to bywa przy pełnej misce: czasem syty próżniak objada głodnego pracownika, a nieraz nawet sam gospodarz tylko ślinkę łyka, taką myślą pocieszając się jedynie: „Ha, przynajmniej inni zaspokoili głód za moim stołem!"

Żyje tutaj mnóstwo proletarjatu, począwszy od much i myszy, a kończąc na ludziach. W tę stronę zwracają się pożądliwe oczy żebraków, próżniaczych włóczęgów i złodziejów zarówno ze świata ludzkiego, jak zwierzęcego, a każdy taki ma w duszy myśl utajoną: „Gdzież się pożywię, jeżeli nie w tej oto śpiżarni?..."

Po każdym jarmarku, odpuście zjawiają się przy kuchni dworskiej jakieś psy nowe, zbiedzone, które z całą obłudą pokornie uniżonych nędzarzy ofiarują swoje rzekome usługi ludziom, a psom dworskim—przyjaźń. I zawsze tam coś kapnie. Niekiedy przybłęda tego rodzaju, *canis novus*, zręcznie umie podbić sobie serca, zawładnąć umysłami otoczenia i zczasem zajmuje wcale poczesne stanowisko gwoli zazdrości różnych domowników. Atoli najczęściej ciąży na biedaku piętno niewiadomego pochodzenia: ludzie, kopiąc go pogardliwie nogą, wyrzucają za drzwi, psy zębami psują mu wełnę; nikt nie chce przypuścić do misy i nędzarz, aby istnieć, musi się uciekać do sposobów, surowo przez prawo wzbronionych.

Wreszcie nadchodzi taka chwila, kiedy w okolicy zjawia się pies wściekły albo się nawet nie zjawia, tylko ludzie opowiadają, że się gdzieś zjawił, że biega i kaleczy. Ludzie przy dworze zwracają wtedy baczną uwagę na psy-przybłędy, jako

materjał nadzwyczajnie podatny do wścieklizny. Apolinary, służący pałacowy, ponieważ służył niegdyś w wojsku austrjackiem, więc bierze na siebie w takich razach obowiązek obrony dworu nietylko od psów rzeczywiście wściekłych, ale i mogących się wścieknąć, podejrzanych o zamiar wścieklizny. Przybłędy mają minki pokorniutkie, skromne, aż do poniżenia wszelkiej psiej godności; że jednak z powodu głodu są łakome, ponieważ noszą ogony nisko i brzydko patrzą, ponieważ pochodzą Bóg wie skąd, przeto trzeba je uważać za niebezpieczne.

Ze strzelbą na ramieniu, z fizjognomją dobroczynnego bohatera, uwalniającego ludzkość od strasznych potworów, odbywał Apolinary corocznie polowanie na psy, któreby się wściec mogły. Chociaż były wojak, pudłował tak haniebnie, jakgdyby nigdy nie miał w ręku broni palnej. Niejednokrotnie dziesięć wystrzałów zaledwie wystarczało Apolinaremu, ażeby z psa-przybłędy wystraszyć mizerne życie. Można sobie wyobrazić, co za skowyty boleści, jakie wycia przerażenia wydawał taki strzelany nędzarz, zanim opuścił smutny padół płaczu! Inne psy naokoło słuchały z niepokojem trwogi huku strzałów i jęków współ-psa, a ciarki zgrozy je przechodziły. Rycerz psi miał jednak mężne serce...

W takie to rojowisko ludzi, psów, różnych domowych zwierząt dostał się nasz As, pies z Warszawy. Świat jego najbliższych bliźnich przedstawiały przy pałacu w Mączynie trzy wielkie czarne psy, z których każdy miał na piersiach biały kwiatek i białe palce u nóg, znaki należenia niezaprzeczenie do jednej rodziny. Puf, Pif i Paf byli synami matki Ledy, z rasy psów z góry św. Bernarda, i ojca Murata, doga.

Największego z nich, Pufa, służba dworska

przezwała „słoniem" z powodu ociężałości budowy fizycznej i flegmatycznego temperamentu.

Puf, z przydomkiem „słoń", przyszedł wprawdzie na świat współcześnie z braćmi, posiadał jednak wszystkie cechy pierworodnego syna rodziny: przewagę wzrostu, siły i powagi charakteru. Ogromny ten flegmatyk miał niesłychany wpływ na braci, warczeniem uśmierzał wszelkie ich zatargi, a jeżeli im chodziło o kawałek chleba, zabierał go sobie bez ceremonji i zjadał.

Pif odznaczał się ogonem, przełamanym w samym środku, i dlatego nie mógł go nigdy całego wznieść do góry: zadarty ogon wyglądał, jak cepy. Wieść głosiła, że kalectwa takiego nabył Pif w zaciętym boju o płeć piękną. Dobroduszny dla ludzi, tchórz na widok kija w ręku człowieka, był pies ten bardzo wytrwały w swoich upodobaniach, nienawiściach i uprzedzeniach względem psów innych.

Co się tyczy Pafa, odznaczał on się wesołem usposobieniem, naturą serdeczną, wylaną do tego stopnia, że jakkolwiek fizycznie bardzo ciężki, z lada kundlem gotów był wdać się w zabawę, swawolić, stroić psie figle.

Owe trzy ciężkie psy wylegiwały się zwykle na górnym schodzie pod kolumnadą pałacu w Mączynie i, obojętne na wszystko, co się dokoła nich działo, sprawiały wrażenie rzeźbionych sfinksów, dodanych ku większej ozdobie gmachu. Poważną ich nieruchomość zakłócały niekiedy tylko pasorzyty, a wtedy już ten, już ów pies, skrobiąc się tylną łapą, mruczał lub piszczał, utyskiwał na życiowe dolegliwości. Często gęsto atoli pasorzyt dokuczał psu, zaszywszy się gdzieś w takie miejsce, skąd go pies własnemi zębami wygryźć ani pazurami wygrzebać nie zdołał; wówczas brat bratu spieszył z pomocą, pożyczał mu swoich zębów do

walki z drobnym, lecz straszliwie nieznośnym wrogiem. Zdarzały się też wypadki, że bracia, zwłaszcza Pif z Pafem, w uniesieniach gniewu brali się za bary i staczali zawzięte walki, o których krwawości świadczyły ich podziurawione, powystrzępiane uszy i mnogie blizny po całem ciele.

Podczas pierwszych dni pobytu Asa w Mączynie trzy psy, posiadające dotąd wyłączny przywilej wylegiwania się pod kolumnadą pałacu, z nieufnością spoglądały na przybysza, który wyglądał jakoś nazbyt butnie; nieraz otaczały go wkoło, obchodziły, a obwąchiwując po wsze miejsca, głuchem warczeniem zdradzały mocne niezadowolenie. As—zupełnie jakgdyby wiedział, że wszystko zależy od tego, jak się kto odrazu postawi w nowych warunkach bytu. Bynajmniej go nie przerażały ani jakieś tam warczenia, ani wyszczerzanie zębów, ani dumnie wystawione wgórę psie ogony; on zdawał się lekceważyć te objawy nieprzyjazne i z dobrą miną psa, obytego w życiu, całem swem zachowaniem wyrażał taki mniej więcej pogląd:

— Wszystko to nieraz już na świecie widziałem i z doświadczenia wiem doskonale, że pies psa gotów utopić w łyżce wody!

O wiele mniejszy wzrostem, okazywał zato jak najwyraźniej umysłową wyższość i nigdy a nigdy nie stracił fantazji wobec takich zaczepek, nigdy tchórzliwie nie podwinął pod siebie ogona. Może to, może względy państwa, okazywane wyżłowi, a może tchórzowatość Pifa, przyjacielskość Pafa i flegmatyczność Pufa zjednały Asowi wkrótce uznanie u tych psów poważnych. W związku trzech braci on czwarty, obcy, nie tylko nie stanowił najmniejszego rozdźwięku, ale stał się tu nawet koniecznym, jako czynnik, uruchomiający te mumje. Szczególniej zaś pozyskał sobie szczerego, dobrodusznego Pafa, któremu wnet mógł bezkarnie za-

kładać łapy na szyi albo go zębami macać po żebrach, przeskakiwać przezeń, jak przez kij, słowem, kołki na łbie ciosać. Z pewnym rodzajem ojcowskiego pobłażania pozwalał dryblasowaty Paf żywemu, ruchliwemu i niespokojnemu Asowi na przerozmaite wybryki, którychby nigdy nie przepuścił płazem żaden inny pies równie rasowy, okazały, a umiejący się szanować. Przy Asie rozruszały się wielkie psy i coraz częściej puszczały się na wyprawy przeciw różnym czworonożnym, które śmiały wtargnąć w obręb pałacowego dziedzińca; wyżeł zawsze w takich razach szedł na czele.

Potomstwo Ledy i Murata pozostawało pod opieką praczki Łucji, kobiety dobrej, uczciwej, pracowitej, a o te psy niezmiernie dbałej. Asem, czy to na żądanie pani hrabiny, czy z własnej chęci, zajęła się garderobiana, panna Florentyna, osoba, która w panieństwie spędziła już trzydzieści kilka wiosen i była kwiatem, poczynającym więdnąć bez nadziei odrodzenia.

Leżące od frontu pałacu trzy psy pomimo swojej ociężałości nigdy nie omieszkały powstać, ile razy zdaleka spostrzegły Łucję zmierzającą z pałacowych suteren ku oficynie, gdzie się znajdowała kuchnia, pralnia i śpiżarnia. Najprzód Puf, za nim Pif, a na ostatku Paf sznurkiem derdały do swojej opiekunki, jedynie, aby jej wyrazić swój szacunek i wdzięczność, jako karmicielce; załatwiwszy tę sprawę, niebawem powracały na stanowisko przed pałacem.

As, pieszczony zrazu do zbytku przez Florentynę, wrósł niejako w garderobę i wiódł tam między służebnemi niewiastami żywot zepsutego niewieściucha. Do garderoby wolno mu było wchodzić o każdej porze dnia i to bądź drzwiami, bądź oknem, a w garderobie mógł się bezkarnie rozkładać po łóżkach, stołkach; gdy mu się podobało, mógł się wspiąć na tylnych łapach i pierwszą lepszą dziewczynę liznąć po twarzy. Swawolny, psuty pieszczoch, kiedy się wyrwał z garderoby, mniemał, że i na świecie wolno mu wyrabiać, co zechce. Częstokroć wypadał na dziedziniec z ogromną ochotą, żądzą psoty, a spotkawszy jaką nieznajomą kobietę, obrywał na niej spódnicę. Innym razem zdzierał żydom czapki z głowy, dziurawił chałaty, a nie, to się rzucał na stado indyk, rozpędzał je na cztery wiatry, podskubawszy jedną, drugą. Z krzykiem pierzchały przed nim kury, wzlatując na parkany, dachy, drzewa. Puf, Paf i Pif patrzyły z początku na taką rozpustę z niejakiem zdziwieniem, później porywał je szalony temperament Asa i od czasu do czasu brały także czynny udział w napastowaniu ludzi, trapieniu domowych zwierząt.

Kobiety, mające dozór nad kurnikiem i domowem gospodarstwem wogóle, poczęły niebawem sarkać, utrzymując, iż pies warszawski buntuje inne psy, a z tego powodu drób ma nadzwyczajnie ścieśnioną swobodę. Stąd to pomiędzy panią Pelagją, naczelną gospodynią śpiżarni i drobiu w Mączynie, a panną Florentyną, garderobianą, niegdyś serdecznemi przyjaciółkami, wybuchnęły bardzo przykre niesnaski: najprzód ostra wymiana słów w oczy, potem obustronne oczernianie się za oczy i otwarta wojna domowa, której odgłosy obijały się niejednokrotnie o uszy hrabiny i hrabiego. Zawiść ta doszła do szczytu, gdy As w przystępie wyuzdanej swawoli udusił najokazalszego indyka i najbardziej jajorodną kurę. Przypomniały mu się lekcje Olfąsa. Gorzej jeszcze, gdy nastąpiły również pełne znaczenia szkody w drobiu. I była taka chwila nawet, w której się zachwiało stanowisko wyżła przy dworze; sfery bowiem, ma-

jące stanowczy wpływ na przebieg spraw tego rodzaju, zadawały sobie pytanie:—„Do czego dojdzie, jeżeli pies nie zmieni swego postępowania?"

No, ale Miecio był wtedy na wakacjach i chociaż go As zawiódł, uciekając ciągle do garderoby, on jednak stanął w obronie wyżła. Przycichły mowy o przestępstwach Asa, a jednocześnie kury i indyki, nauczone przezorności smutnem doświadczeniem, trzymały się teraz zdala od dziedzińca, gdzie im zagrażało spotkanie z niebezpiecznym wyżłem.

Tymczasem stopniowo przygotowywała się zmiana stosunków. Okna garderoby wychodziły na ogród, a drzwi znajdowały się naprost mieszkania pana Wiktora, ogrodnika, z zamiłowaniem oddającego się szlachetnej sztuce hodowania kwiatów. Wyskoczywszy oknem z garderoby, As spotykał zwykle na kwietniku ogrodnika; wybiegłszy znowu przez drzwi, jako wścibski, wpadał częstokroć po sąsiedzku do mieszkania pana Wiktora. Nikogo to nie zadziwi, że pies zawiązał poufalsze stosunki z człowiekiem, którego kilka razy dziennie spotykał na drodze swego życia. Przytem ogrodnik był to człowiek łagodny, uprzejmy i kawałek poety, co nasz wyżeł umiał ocenić i wyzyskać. Garderobiana pragnęła niepodzielnie posiadać przychylność Asa, wyglądała za nim często, a widząc go w towarzystwie ogrodnika, słodkim głosem przyzywała do siebie. Wyżeł, przyzywany, to podbiegał ku oknu, to znowu w podskokach wesoło wracał do pana Wiktora między kwiaty. Sceny takie powtarzały się coraz częściej, trwały coraz dłużej i nareszcie panna Florentyna poczęła więcej uwagi zwracać na ogrodnika, niż na Asa. Chybaby oczu nie miała, gdyby postąpiła inaczej! Kiedy rankiem otwarła okno garderoby, świeże i wonne powietrze biło ku niej z kwietnika; rzu-

cały jej się w oczy kwiaty o prześlicznych barwach, zdobne brylantami rosy, a między kwiatami widziała człowieka, oblanego promieniami porannego słońca ,i sprawiającego wrażenie opiekuńczego bóstwa kwiatów. „Ah, gdybym była jednym z tych kwiatów, które on hoduje!"—mogła sobie pomyśleć i zapragnąć panna Florentyna. A miała do tego prawo, ponieważ była rzeczywiście kwiatem, potrzebującym uprawy ogrodnika. Któraż kobieta nie jest kwiatem? Dla kwiatów, gdy więdną, lepiej się dostać bodaj w zielnik botanika, niż schnąć i kruszeć na słotach, marznąć wśród mrozów.

W ten sposób za pośrednictwem psa powstał romans uczuciowy, jeden z tych, na które się patrzy codzień z obojętnością, a odczytuje się je w książce ze łzą, wiszącą na oku. Jednakże w miarę tego, jak pan Wiktor przenikał coraz głębiej w serce panny Florentyny, As coraz bardziej tracił jej łaski. Gdyby to nie był dwór bardzo ludny, nasz wyżeł rychło zszedłby tu na psa bez przyjaciela, co mu się już nieraz w życiu zdarzało.

Szczęściem dla Asa było, że w Mączynie istniały znaczne usiłowania wychowawcze i to zarówno w pałacu, jak w templu, w oficynach: pełno dzieci i wychowawców płci obojej. Tylko niech nikt nie sądzi, że jakiś żeński lub męski pedagog zwrócił na psa uwagę i przypuścił do obcowania z sobą! Ludzie tego cechu tępieją umysłowo, lodowacieją uczuciowo i po pewnym przeciągu czasu stają się obojętni na przedmioty tak pospolite, jak zwierzęta. Człowiek—przywykły ciągle wyrokować, łamać wolę i upodobania dzieci, a narzucać im swoje własne, łatwo się staje krótkowidzem, który w świecie nic nie widzi, nie kocha—oprócz siebie. Zato świeże, wrażliwe umysły dzie-

ci i ich zawsze szczere, dobre serca poszukują dla siebie przedmiotów wychowawczych w świecie zewnętrznym, poza książkami i kajetami w różnokolorowych okładkach. A nic się malcom tak nie rzucało w oczy, jak ten As, pies nadzwyczajny, co ruchem swoim ożywiał głównie dziedziniec w Mączynie. Mianowicie też podczas wakacyj szkolnych roiła się dziatwa około pałacu; pod ową porę bowiem zjeżdżała tutaj rodzina profesora Kernera z Warszawy i wtedy na obszernym dziedzińcu, po wszystkich jego ścieżkach, można było widzieć uśmiechnięte twarzyczki, słyszeć wesoły szczebiot dzieci. Rozumie się, że w takiem położeniu rzeczy Asowi nie brakowało przyjaciół. Marysia, Stefuś, Romcio, Tadzio, Antoś—wszystko cztero,-pięcio,-sześcio,-siedmiolatki—wyborne towarzystwo, do którego pies lgnął bardzo ochoczo, a malcy odpłacali mu wzajemnością.

— Ja będę *mademoiselle*—mówiła Marysia—a ty, Asie, będziesz się u mnie uczył i musisz mnie we wszystkiem słuchać!

No i wyżeł z całą uległością pozwalał się dziewczynce tak dręczyć, jak różni wychowawcy w spódnicach dręczą swoje wychowanice; czasem tylko ziewał.

Częstokroć w takiej zabawie pedagogicznej uczestniczyły także trzy wielkie psy, wyobrażając dla dzieci uczniów płci obojej. Marysia stale bywała nauczycielką-*mademoiselle*, Tadzio odgrywał rolę papy, Stefuś—mamy, Antoś zasiadał między psami, jako uczeń, i składał dowody, że jest dobrym kolegą; Romcio, siedząc ztyłu za psami, wyręczał je w odpowiedziach, ilekroć tego wymagało pytanie nauczycielki. Usadzano wtedy cztery psy i Antosia rzędem na jednym ze schodów, a przed każdym uczniem leżała otwarta książka

francuska albo niemiecka. As nosił imię Maniusi, Puf—Frani, Pif był Adasiem, Paf—Stasiem.

Marysia rozpoczynała nauczanie od zalecenia, aby się uczniowie nie garbili, aby siedzieli prosto i uważali, a Romcio pociągał ztyłu tego i owego, zniewalając do przybrania właściwej pilnemu uczniowi postawy.

— Maniu, powiedz, jak po niemiecku chleb!

Na to siedzący ztyłu za psem Romcio odpowiadał:

— *Das Brot.*

Jeżeli uczeń nie dawał odpowiedzi na pytanie, nauczycielka przybierała groźną minę i zwracała się do mamy z taką skargą:

— Proszę pani, Maniusia jest uparta, zupełnie się opuszcza w naukach i wcale mię nie chce słuchać!

Wtedy Stefuś, wyobrażający mamę, nastrajał się poważnie i występował do psa z nauką moralną:

— Bój się Boga, Maniu, co ty wyrabiasz? Zaraz mi przeproś *mademoiselle* i przyrzecz jej, że się poprawisz!

Następowała ceremonja doprowadzenia Asa—zwykle za uszy—do zadąsanej niby to nauczycielki, która się wreszcie dawała przebłagać i dalej odbywała lekcje.

Za córkami w takich razach ujmował się ojciec, przemawiając do matki:

— Czego ty, moja żono, chcesz od Maniusi? Dziewczyna dobra, robi co może... Tylko ta *mademoiselle* jest nieznośna ze swemi skargami i dlatego jej Maniusia nie słucha.

— Ja wiem—odpowiadała matka—że Maniusia jest dobra dziewczyna, *mademoiselle* nieznośne panisko; ale skoro się *mademoiselle* przede mną poskarżyła, Maniusia musi ją przeprosić.

Kiedy znowu przewinił któryś z rzekomych chłopców, nauczycielka zanosiła skargę do papy, a ten łajał Stasia czy Adasia, mniej więcej w takie słowa:

— Jakto, znowu dzisiaj nie umiecie rozmówek niemieckich?... *Mademoiselle* powiada, że żaden nie wie, co znaczy *guten Morgen*... Oj, wy, niedobre chłopcy! Straszne rzeczy nie wiedzieć, co znaczy *guten Morgen*! Doczekacie się tego, że którego dnia za karę nie pozwolę wam siedzieć przy stole.

Ujmowała się czem prędzej za synami mama i tak strofowała papę:

— Dlaczego ty, mój mężu, ciągle marudzisz na Stasia i Adasia? Czy nie widzisz, że to są dobre chłopcy, a tylko *mademoiselle* jest zła, nieznośna?

— Ja wiem—odpowiadał papa—że Staś i Adaś są bardzo dobre chłopcy, a *mademoiselle* jest zła i nieznośna; ale skoro się *mademoiselle* przede mną poskarżyła, oni ją muszą przeprosić... Gdzie ja będę szukał innej guwernantki?

Zdarzały się też wypadki, kiedy zniecierpliwiona Marysia kazała któremu psu stać w kącie za karę i łajała go, używając wyrazów takich samych, jakie słyszała z ust swojej nauczycielki:

— Siedzisz, jak bałwan, i ani się ruszysz! Jesteś podobna do cielęcia, które tylko beczeć umie!

To znowu wiodła swoich uczniów na przechadzkę, prowadząc z nimi konwersację niemiecką i powtarzając nieustannie:

— Męczę się dla waszego dobra, chcę wam dać rozum, a wy, głupcy, nie umiecie tego ocenić. Ach, życie mi już przy was zupełnie obrzydło!

Naturalnie, psy się ogromnie nudziły tą zabawą dzieci, ale okazywały taką samą cierpliwość i wytrzymałość, jak dzieci podczas lekcyj ze swemi guwernantkami. Gdy się jednak na dziedzińcu

albo za bramą pojawił jakiś przedmiot żywy, godny psiej uwagi, As zrywał się natychmiast od lekcyj i ze szczekaniem pędził co tchu sprawdzić prawa pobytu tej istoty w okolicach pałacu. Inne psy wcale się do lada czego nie kwapiły, tylko na miejscu wyczekiwały, co za skutek wydadzą Asowe zwiady. One to nieraz już sprawdziły, że ten wyżeł warjat zapala się na widok wrony, a nawet na marnego wróbelka gotów jest do upadłego szczekać.

Niekiedy atoli urywał się z uzdy w stajni koń, nazwiskiem Karpowicz, i wpadał na dziedziniec; w takich razach *mademoiselle* nie zdołała już ani jednego ucznia przy lekcji zatrzymać. O, bo Karpowicz co innego! Dzieci Ledy i Murata, tak obojętne zwykle, jeśli ich As nie podniecał, wpadały jednak w zapał wojenny, gdy spostrzegły Karpowicza. Miały one dawne rachunki z tym koniem, który je ogromnie lekceważył, a każdy z trzech braci nieraz od niego kopytem oberwał pamiątkę.

Karpowicz był to sobie stary szkapa, który na starość jadł w Mączynie chleb łaskawy, a tylko czasami używano go do drobnych posług przy dworze. Ale nie należał on bynajmniej do rzędu owych niedołężnych staruszków, którzy w kalectwie i dolegliwości spędzają swoją sędziwość; przeciwnie, Karpowicz sprawiał wrażenie krzepkiego ćwika-starca z minionego pokolenia, co to do późnych lat przechowuje fizyczną dzielność i umysłową trzeźwość, a o którym się zwykło mawiać:—„Choć stary, ale jary"—„Stary, a niejednegoby młodego przeskoczył."

Puf, Pif i Paf wiedziały, że krowa, cielę, bezrogi czworonóg, nawet każdy inny koń za pierwszem ich szczeknięciem i natarciem w popłochu uchodzą; przeto trzy pałacowe psy niechętnie robiły wyprawę na tak lękliwego przeciwnika. Co

innego Karpowicz, stary zuch, który w niczem miał psi zawziątek! Wpadłszy po junacku na dziedziniec, z ogonem, wgórę zadartym, zabierał on się czem prędzej do sianożęcia, gdyż trawa bujna, piękna, smaczna i zapewne miękka dla starych zębów, obficie porastała przed dworem. Posilał się szkapa, nic a nic nie zważając na to, że go nieraz otaczały cztery psy, zawzięcie ujadające, a nie mające jednak nigdy tyle śmiałości, aby dopaść i zębem chwycić. Już tą pogardliwą obojętnością doprowadzał koń swoich przeciwników do ostateczności, widocznie drwił sobie z nich, jakgdyby miał przekonanie, że „pies szczeka, wiatr niesie".

Psy najniezawodniej uważały Karpowicza za zuchwalca, którego koniecznie należało upokorzyć, gdyż zawsze napadały nań z ogromną zajadłością, srożyły się do upadłego, jakgdyby nie traciły nadziei, że go raz nareszcie zdołają poskromić i sromotnie z dziedzińca wypędzą. Te trzy sfinksy, leniwe w każdym innym przypadku, na jego widok zawsze z gorączkowym pośpiechem pędziły z pod pałacu, jakby im gniew skrzydła do nóg przyprawił i rozpoczynały nagankę. A Karpowicz—nic, tylko chrupał zębami i ogonem od much się oganiał. Dopiero, kiedy psy podostawały już chrypki, spieniły się od złości, a jemu sie uprzykrzyła ta zaciekła wrzawa, wtedy stulał uszy, zadzierał wgórę ogon, łeb spuszczał nadół i po rycersku, w susach uderzał na psa, który był najbliżej. Napadnięty zmykał w ogromnym przestrachu, koń zaś gnał za nim, groźnie waląc kopytami o ziemię. Podczas tego harcu, Karpowicz wierzgał straszliwie, dając nieprzyjacielowi do zrozumienia, że przystęp i od tyłu wcale nie jest bezpieczny. Zapasy owe kończyły się zwycięstwem konia, mniej lub więcej krwawem; najczęściej jeden z psów, uchodząc z pola walki, kulał i spokojnie wracał pod pałac, gdzie potem bardzo troskliwie wylizywał ranę. Często jednak koński kułak zawadził o psi łeb, a wtedy oszołomiony ciosem zapaśnik przez jakiś czas trząsł uszyma w przekonaniu, że taki ból można z głowy wytrząsnąć, i jednocześnie wrzeszczał wniebogłosy:—„a-uu, a-uu!"

Tymczasem w uczuciach panny garderobiany coraz mniej miejsca było dla Asa, a ostatecznie poczęto go nawet kijem przepłaszać i odstręczać od wszystkiego, co tchnęło garderobą. Obecność bowiem choćby najprzyjemniejszego i bardzo ulubionego psa może człowiekowi być czasem nie na rękę. I wtedy się go odpędza:—„A pójdziesz! A do budy!"—Jeżeli pies nie słucha, jeżeli jest tak przywiązany do swojego przyjaciela-człowieka, że go nie chce opuścić, bierze się nań kija...

Stosunki panny Florentyny z ogrodnikiem przybrały wkrótce charakter poufałości, który nie dozwala, ażeby dwa serca, przepełnione uczuciami i mające sobie wiele do powiedzenia, znosiły jakiego bądź świadka. Rzeczywiście, pies nie jest pożądanym świadkiem miłosnych oświadczeń, zwłaszcza też pies z upodobaniami Asa, który w jakiejś ważnej, stanowczej chwili uniesień mógłby, naprzykład, warknąć lub szczeknąć. Takie tajemnicze, lube, pełne uroku wyznania można wyszeptywać, mając za świadków tylko—rozśpiewanego słowika, szmer strumienia, kwiaty, księżyc i gwiazdy; ale przecież i bez tego obejść się łatwo. Cienisty szpaler, altana, ustroń jakaś samotna, były, są i będą po wszystkie czasy przybytkami par zakochanych. Pies, wrażliwy na najmniejszy szmer, węszący zdaleka, słowem, trzymający na straży ciągle uszy, nos, oczy, a gotów oszczekiwać swoje drobiazgowe spostrzeżenia, może łatwo sprowadzić na miejsce miłosnej schadzki kogoś niepotrzebnego, którego

ucieszy takie odkrycie. Z tego powstają potem przy dworze bajki, obmowa.

Więc panna Florentyna, osoba wcale już nie lekkomyślna, chociaż gorąco zakochana, dawała teraz Asowi ciągle do zrozumienia, że sobie bezwarunkowo nie życzy pozostawać z nim na tej stopie poufałości, na jakiej dotąd żyla. Nasz wyżeł z początku nie dowierzał zmianie, nie pojmował, czem sobie zasłużył na takie przejście garderobiany z czułości do wstrętu. Częstokroć wieczorem pobiegł do ogrodu za swą przyjaciółką, a odpędzany, przystawał na ścieżkach i z oddalenia spoglądał, jakgdyby chciał wyrozumieć przyczynę jej dziwnego postępowania.

Widział on, że po niejakim czasie nadchodził pan Wiktor z kwiatkiem w ręce, z kwiatkiem w dziurce od guzika, nadskakujący; i następnie ta para ludzi wśród szeptów zapuszczała się w głąb ogrodu. Pies zwolna pomykał za nimi jeszcze nieco dalej, ponieważ z tego, co dotąd spostrzegł, nie mógł żadnego zadawalającego wniosku wyprowadzić. Że atoli pan ogrodnik szedł z laską i często się oglądał, a doświadczenie życiowe nauczyło Asa, aby takim ludziom z laskami nigdy nie dowierzać, przeto instynkt zachowawczy brał zwykle górę i pies wracał do domu. Jeden jedyny raz tylko pozwolił się unieść uczuciu przywiązania psiego do panny Florentyny w przekonaniu, że jej zrobi bardzo miłą niespodziankę, gdy, nieoczekiwany, nagle przed nią wystąpi z gąszczu krzewów. Długo potem czuł swędzenie w tych miejscach na ciele, których wtedy dotknęła gibka trzcinka pana Wiktora. Ostatecznie wyżeł znienawidził ogrodnika, a rozczarował się względem garderobiany.

Wzgardzony w taki sposób, As czuł wyraźnie, że mu się w Mączynie grunt usuwa pod nogami, zwłaszcza, gdy po skończonych wakacjach i dzieci

stąd powyjeżdżały, a te, które zostały w miejscu, *mademoiselle* zapędzała do roboty, nie dając im czasu na miłe stosunki z wyżłem. Chadzał więc przed pałac, gdzie było niejako psie *forum*, i tu nakłonił niekiedy Pafa do zabawy, pragnąc sobie gorycz pożycia z ludźmi osłodzić temi wybrykami szału z pod szubienicy: chciało mu się nieraz jeść, płakać, a on figlował. As był psem bardzo lekkomyślnym, jako wyżeł prawdziwie rasowy i źle wychowany.

Innym razem znowu zasiadał warszawski pies między trzema sfinksami i z górnego schodu przed pałacem przyglądał się rozmaitym ludziom, jakgdyby rozważał, do kogo teraz wypadało mu zwrócić swe uczucia, ażeby sobie przy dworze pozyskać sprzymierzeńca. Gdyby to mógł zjednać sobie taką panią Pelagję, klucznicę! W jej rękach był zarząd chleba, nabiału, mięsa, przeróżnych wędlin, tłuszczów, zwierzyny. Cóż, kiedy wyżła obciążała wina morderstwa kilku sztuk drobiu, które istotnie udusił i kilku innych, które uduszono już na jego rachunek! A pani Pelagja była tak zacięta w swoich upodobaniach i niechęciach, miała przytem w domu taką powagę, że gdy jej przyszło coś do głowy, to się uparła i nawet panu hrabiemu nie chciała wydać śmietanki do herbaty. Jakże tu dopiero myśleć, ażeby taka kobieta mogła psu winę przebaczyć? Zresztą, ona już przypuściła do łask swoich zwyczajnego kondla, czarnego, z białem podgardlem, z ogonem, w kółko nabok zakręconym, lizusa, z niskim służalczym charakterem. Zaszczycony łaskami kobiety z takiem znaczeniem, pies ten był niezwykle śmiały, odważał się szczekać na różnych mieszkańców pałacu i na psy pałacowe. Prawda, że tylko zdaleka szczekał, jednak szczekał.

Na pańskim dworze nie skąpiono nikomu głod-

nemu kawałka chleba; ale kto chciał tutaj żyć, koniecznie musiał mieć jakieś stosunki, musiał chleb dostawać z czyjejś ręki, jeżeli go przypadkiem kraść nie zamierzał. Brak takiej mianowicie chlebodawczej ręki pociągał to następstwo, że można było nieraz bardzo cienkim głosem śpiewać, szczególniej też będąc psem. Jeżeli się nikt za tobą nie wstawił, nie zalecił, aby na ciebie obiad wydano, nie pomyślał, żeś głodny, że nie należysz do żadnego stołu, to mogłeś marnie zginąć.

Psy pałacowe miały opiekunkę, nieocenioną Łucję; Szumlas, ów dworak z kondlów, miał—Pelagję; Mars i Rudek, dwa psy, które utrzymywały straż już przy stajni, już przy oborze, cieszyły się względami stangretów, dziewek; Cybulka, maleńka suczka, podobna do świnki morskiej, trzymała się wyłącznie nogi Makarka, stangreta hrabiego. Różne zaś psy przybłędy tak sumiennie pilnowały każdziuteńkiej kosteczki, wyrzuconej z kuchni, i taką w tem rzemiośle już miały wyćwikę, że się tam przy nich mucha pożywić nie zdołała. Służący je bili i kopali, inne psy skubały, szarpały, kaleczyły, a te biedaki z całym żebraczym cynizmem trwały na zajętem stanowisku.

Wśród takich stosunków wyżeł nasz, zaniedbany przez pannę Florentynę, znalazł się narazie w dosyć przykrem położeniu. Niedokarmiony raz i drugi, garnął się do niewiast. Kiedy bowiem chodzi o dzieła miłosierdzia, kobietę łatwiej wzruszyć, niż mężczyznę; ale, jeżeli kobietą kierują jakieś poboczne względy, uprzedzenia, jest ona wtedy daleka od litości, a może stać się okrutną.

W obcowaniu z ludźmi As zdobył sobie to doświadczenie, że zawsze w trudnych życiowych przypadłościach, ile razy mu przychodziło wybierać między płciami, zwracał się do człowieka w spódnicy, bez wąsów i z długiemi włosami.

Otóż i teraz rozpoczął umizgi do praczki Łucji, która nadzwyczajnie punktualnie, gorliwie spełniała obowiązek opieki nad trzema braćmi-sfinksami; dzięki temu psy nie miały nigdy potrzeby drżeć przed przyszłością i wyglądały—niczem karmione na rzeź cielaki. Bez żadnego dopominania się żywność dochodziła je codziennie w godzinie oznaczonej, ponieważ zacna niewiasta pamiętała o tem i sama podstawiała porcje psom pod pyski. Troszczyła się zaś nietylko o pożywność i smakowitość strawy, ale—i o zdrowotność. Dobierała potrawy właściwe, a przygotowywała je tak starannie, że najwybredniejszy pies-smakosz nie miałby tu prawa skarżyć się na kuchnię — palce lizać.

Musiał to As zbadać i należycie ocenić, skoro jednego razu uderzył w koperczaki do panny Łucji, żwawo podrygując i przymilając się uprzejmem merdaniem ogona, a jednocześnie przysuwając się coraz bliżej do miski.

— Widzisz go, jaki elegant!—krzyknęła z gniewem praczka, która miała urazę do Asa o to, że będąc ulubieńcem garderobiany, dosyć ją lekceważył.—Czy to ty, warszawski paliwodo, nie masz swojej Florki?

I z temi słowy zdjęła czem prędzej z nogi przyklapany trzewik, ażeby odpędzić od miski psa, który z całą namiętnością i pośpiechem głodomorka wielkiemi łykami wciągał w siebie kwaśne mleko z kawałkami chleba. Uderzony w nos twardą podeszwą w chwili tak ważnej, As się oburzył, warknął złośliwie, pochwycił zębami trzewik i upuścił go w miskę z kwaśnym mlekiem... Trzeba było widzieć, w jaką złość popadła teraz ta dobra osoba!... Pierwszy oręż, który w uniesieniu wpadł jej pod rękę, była to leżąca na blasze żelazna dusza do prasowania; ale dusza, widać, je-

szcze nie ostygła i poparzyła palce praczce. Stąd jeszcze gwałtowniejsza zawziętość. Zanim się Łucja dobrała do pogrzebacza, As już pochłonął całą porcję mleka, przygotowaną dla przyjęcia Pafa, który zboku dobrodusznie przyglądał się zajściu. Wyżeł, rozumie się, dał nura, aby uniknąć spotkania z pogrzebaczem. Szalona z gniewu kobieta wywarła złość swą na Pafa, palnęła go porządnie, wykrzykując:

— Oj ty, gamajdol... Pies, jak stodoła, i pozwolił, żeby mu taki pędziwiatr sprzątnął obiad z przed nosa!...

To zajście pamiętne wykopało raz na zawsze otchłań między wyżłem i praczką; pies uczuwal dotkliwie brzemię życia, do którego utrzymania koniecznie jeść trzeba. Z pomiędzy wszystkich ludzi w Mączynie najczęściej rzucała mu się w oczy panna, ale stara panna, Henryka, Francuzka, która przed kilku laty zajmowała w pałacu stanowisko bony. Sprawiała ona na Asie tak osobliwe wrażenie, że gdyby był człowiekiem, niezawodnie postawiłby jej pytanie:—„Co panią trapi? Dlaczego pani jest smutna?"

Rzeczywiście, trudno dociec, jaki był powód smutku panny Henryki. Zupełnie nic nie robiła, zawsze miała apetyt, godny naśladowania, chadzała spać z kurami, a wstawała, kiedy kury już oddawna używały życia. I mimo to jedwabne życie była jednak smutna, wyglądała jak wdowa, która właśnie co tylko straciła ukochanego męża. Może przyczynę stanowiło staropanieństwo?... Ależ w Mączynie była istna galerja starych panien, a żadna się z nich nie smuciła tak dalece. Prawda i to, że ze wszystkich spraw całkowitego ludzkiego życia smutek jest dziełem najłatwiejszem do wykonania, a przytem niektóre niewiasty mają przekonanie, że im ze smutkiem bardzo do twarzy:

melancholiczny smutek czyni fizjognomję interesującą, dodaje jej uroczystości, zjednywa współczucie, pociąga. Smętne osoby tego rodzaju lubią cukierki, konfitury, białe kwiaty, czarne ubranie, rumienią się, spuszczają oczy, wzdychają, płaczą z ogromną łatwością i wszystkie te znamienne cechy przechowują do późnego wieku.

As nie miał przekonania do panny Henryki: może z powodu, że melancholja czyniła ją nudną, może dlatego, że rozmawiała z nim po francusku, a może też, że go nigdy nie obdarzyła czemś takiem, co wychodzi na rzetelny pożytek organizmu —najwyżej, jeśli mu kiedy rzuciła niedojedzony kawałek cukierka. Mógł sobie pies jednakże pomyśleć, iż, rozruszawszy tę tkliwą kobietę, dałoby się z niej wyciągnąć pewne korzyści w bliższem obcowaniu.

Pewnego dnia więc, widząc idącą na przechadzkę pannę Henrykę, pies puścił się za nią całym pędem i w chwili, kiedy schodziła z pagórka nadół, pogrążona w dumaniu, on podskoczył i przednie łapy oparł na jej plecach. Taki wybryk z jego strony oznaczał chęć i wyzwanie do jakiej wesołej zabawy! Po świeżo atoli spadłym deszczu ziemia oślizgła i nagle zaskoczona ztyłu Francuzka najprzód pomknęła zgóry, jak na łyżwach, potem twarzą padła na ziemię, dalej jeszcze staczając się po pochyłości. Wszystko to narobiło nieładu w jej garderobie. Z kolei rzeczy przestraszył się teraz wyżeł, skoro spostrzegł tę nadzwyczajność, że upadająca kobieta była czarna, a jest oto cała w bieliźnie... Odskoczył, zdziwiony, o kilka kroków i począł żwawo oszczekiwać tak niezwykłe zdarzenie—przemianę osoby czarnej w białą. Podczas tego biedna panna Henryka z głową nadół, z nogami wgórze, nie mogła znaleźć punktu oparcia, aby się wygramolić, podźwignąć. Aż nareszcie jęki

jej i szczekanie Asa sprowadziły tam ogrodnika i ogrodniczków, którzy wybawili upadłą niewiastę z wielce przykrego położenia. Za złe im tego brać nie można, że na ratunek spieszyli z uśmiechem na ustach, gdyż rzecz była bardzo śmieszna. Przybyła Asowi nowa nieprzyjaciółka. Francuzka ta, kobieta z gołębiem sercem, miała do psa urazę nie o to, że upadła, tylko, że upadła tak, a nie inaczej, że ogrodnik i jego pomocnicy, mężczyźni, widzieli ją w ten sposób leżącą. Nie mogła pomyśleć o tym fatalnym wypadku bez rumieńca na twarzy, a myśleć musiała, ilekroć spostrzegła Asa.

Nastała twarda w tym roku jesień, spadł śnieg, chwyciły dobre przymrozki, a to wszystko zwiększyło tylko apetyt wyżła. Biedaczysko schudł, posmutniał i ludzie, powierzchownie o rzeczach sądzący, twierdzili, iż pies najniezawodniej ma w sobie jakąś ukrytą chorobę: zdechnie, to zdechnie, świat się o psa nie zapadnie. Stosunki wcale się nie zmieniły, obiadów na Asa nie wydawano, a jednak jego nieprzyjaciółki ciągle nań krzywem okiem patrzyły; słowem pies żył, jak to powiadają, psim swędem.

Jest to niezmiernie uciążliwe przez całe życie wszędzie nosić z sobą żołądek i nieubłaganą potrzebę zaspokajania jego głodu. Całuteńki żywot sprowadza się w gruncie rzeczy do uczuwania głodu i przemyśliwania: jak go zaspokoić. Trzeba sobie łamać głowę, brać się na sposoby, wyzyskiwać stosunki, tworzyć zuchwałe pomysły, ostrzyć swą odwagę, aby tylko nie umrzeć z głodu.

Czasami wychodziła z pałacu pani hrabina, widząc zaś, że każdy ze sfinksów jest na zwykłem miejscu, a As pomiędzy niemi, rada była temu porządkowi i tytułem łaski, wynagrodzenia za chwalebną wytrwałość w dobrem, częstokroć dawała każdemu psu po grzance albo po obwarzanku. Nie

wiedziała ona przecież o tem, iż wyżeł, należący do Miecia, cierpi w jej domu niedostatek i od jakiegoś czasu jest ofiarą zawiłych stosunków, rozmaitych okoliczności, w grę tu wchodzących.

Wychodziła też na przechadzkę panna Marja z uczennicą swoją, panną Zofją i, jeśli to była pora, w której mówiono o psie wściekłym, wtedy ztyłu o piętnaście kroków szedł za niemi pogromca psów wściekłych, Apolinary, z dubeltówką pod pachą. Pochód ten atoli miał w sobie tyle jakiejś zimnej obrzędowej powagi, tak znać było, że czysta pedagogika idzie, iż pies obrzucił tylko okiem fizjognomję i zawracał od połowy dziedzińca, jakgdyby sobie w duszy powiedział:—„Niema tu nic a nic do zrobienia w sprawie, która mię najgłówniej obchodzi!"

Drobnym, szybkim krokiem przebiegał też nieraz hrabia od pałacu do fabryki, a prawie zawsze miał dla psów jakieś przychylne słówko w ustach i niekiedy parę kawałków chleba w kieszeni. Ha, dobra psu i mucha!

Lada pies w Mączynie doskonale wiedział, że ta strona, w którą hrabia chadzał, nie posiadała ani kuchni, ani śpiżarni, ani żadnego zakładu z zapasami artykułów spożywczych. Mimo to, As poszedł za hrabią na fabrykę. Należy przecie własnemi oczyma przekonać się o wszystkiem, bo nuż...

W samej rzeczy, zbliżając się ku owym warsztatom wyrobów twardych, nie dających się imać psim zębom, wyżeł węszył jakieś ciepłe, miłe zapachy, coś w rodzaju tłuszczu, który się skwarzy na rozpalonej blasze. Im bliżej fabryki, tem go przyjemniej woń w nos uderzała, rozbudzając chęć łakomstwa. Przybywszy już na miejsce, czuł wyraźnie, że ponętny zapach zupełnie tak pływa w atmosferze, jakgdyby tam kto na szmalcu pączki smażył. Karnawał czy coś takiego?

Pies nie zważał teraz wcale na straszliwy stuk, trajkot kół i kółek, ale ze skwapliwością istoty głodnej odrazu rozpoczął szukać nosem, powszędy wietrząc. Miła woń pochodziła w części z nasmarowanych tłuszczem i rozgrzanych różnych członków machiny parowej, a w części — z łoju, którego przetapianie dopiero co ukończono na fabryce przed przybyciem tu pryncypała. Taki łój jest rzeczą cenną, budzącą pożądanie nietylko u każdego psa, lecz i u niejednego człowieka. Otóż, pracujący przy machinie palacz cichaczem ulał sobie był w dzbanek roztopionego łoju, postawił to około machiny, a dla niepoznaki nakrył swoją kapotą.

Wałęsając się po fabryce z nosem, puszczonym na zwiady, As dotarł nareszcie do utajonego dzbanka, wsadził nos pod kapotę i począł wąchać w taki sposób, jak to zwykle czynią psy, gdy znajdują mysią jamę. Posiadacz przywłaszczonego łoju bacznie śledził ruchy wyżła, ale nie wypadało mu przecież po grubjańsku kijem odpędzać psa w obecności hrabiego. Usunął więc tylko kapotę z pod machiny, obwinął nią starannie dzbanek i cały ten pakunek położył na drewnianych schodkach, po których się, w razie potrzeby, wyłazi na wierzch machiny. Dzbanek i kapota znajdowały się teraz na górnym schodzie; wyżeł stanął zaś u stóp schodków, wyciągnąwszy nos do góry; w dalszym ciągu napawał się wonią łoju. Kiedy nareszcie palacz, pewny, że łojowi już nie zagraża najmniejsze niebezpieczeństwo, gdzie indziej zwrócił uwagę, pies wspiął się na schodki, chwycił zębami koniec kapoty i o tyle ją sobie przyciągnął, o ile mu to było potrzebne, aby mógł czynić dalsze poszukiwania. Wskutek tych usiłowań nieskrzepły jeszcze łój sączył się z dzbanka i wsiąkał w watowaną kapotę, czyniąc

ją tem ponętniejszą dla Asa, który przedniemi łapami przytrzymywał walący się nadół ładunek, a w kapocie gmerał nosem i językiem.

Mocno się przeraził i zadziwił palacz, gdy ujrzał psa wyciągniętego jak struna na pochyłych schodkach, a całym łbem zagrzebanego w fałdach kapoty; toż kradzież łoju z łatwością najaw wyjść mogła. Jednakże w tem trudnem położeniu nie stracił przytomności umysłu, pobiegł co żywo, odkręcił kranik świstawki i wypuścił parę prawie tuż nad samym łbem wyżła. Rozległ się świst piekielny, tak przeraźliwy, że pies nic podobnego nigdy jeszcze w życiu swojem nie słyszał. As chwilowo zgłupiał z przerażenia; ale i on nie zupełnie stracił przytomność umysłu, gdyż nie popuścił z zębów przełojonej kapoty i, unosząc ją, jak szalony skoczył ze schodków, a potem cwałem, ile tylko sił miał w nogach, opuścił co tchu fabrykę. Gdy wpadł z tym łachmanem na dziedziniec, wyciągnął się niebawem na zielonej murawie i począł nadzwyczajnie skrzętnie wyszarpywać watę, napojoną łojem.

Ta energiczna jego praca mocno zaciekawiła trzy sfinksy, do których może też i woń łoju dolatywała. Ruszyły się więc z pod kolumnady i pobiegły zobaczyć, co to znaczy, że kolega ich tak usilnie pracuje zębami, przechylając łeb już na prawo, już na lewo. Wkrótce potem wszystkie cztery psy rozciągnęły w powietrzu kapotę, jak płachtę, i każdy z nich, warcząc, szarpał ją w swoją stronę. Naprzód Puf surowo skarcił Pifa, a odebrawszy mu wyrwany rękaw, poprzestał na tem i opuścił pole zapasów. Później Pif z Pafem rozprawiły się krwawo o wyszarpaną wspólnemi siłami połę kapoty. Nareszcie Paf, pokonany przez Pifa, dopadł uchodzącego w krzaki z resztką szmaty Asa i w zaciętej walce popę-

kały węzły przyjacielskiego związku psów obu. Z powodu owego łoju nasz wyżeł stracił przyjaciela i naraził sobie ludność fabryczną, jako taki, który się odznacza zdolnościami tropienia uczynków ludzkich.

Coraz ciaśniej zaczynało być psu w Mączynie: ubywali mu przyjaciele, a liczba nieprzyjaciół wzrastała. Jakby nadomiar nieszczęścia, zdarzyła się w tym czasie przygoda, która wywarła bardzo stanowczy wpływ na pobyt Asa we dworze.

Kalasanty, miejscowy kucharz, wywiesił był za oknem okazałą sztukę sarniny, przedmiot ogromnie ponętny, na którego widok każdy przechodzień przystawał i, patrząc, wyobrażał sobie jak będzie smakowała komuś ta pieczeń sarnia. Nie wiemy, w jakim celu pan kucharz zrobił tę wystawę sarniny napokaz; ale on prawdopodobnie wiedział, co czynił. Zadrażniwszy niepospolicie swoje stosunki z Pafem, As uważał za właściwe unikać teraz kolumnady i schodów pałacu, gdzie były jego przyjaciel razem z braćmi zwykle spędzał życie. Puszczał się przeto w okolicę kuchni, śpiżarni, kurnika, co go zbliżało już do pospolitego psiego gminu. Właśnie w czasie jednej z takich wypraw spostrzegł wiszącą przy oknie sarninę, wobec czego zachował się zupełnie tak samo, jak każdy inny przechodzień: naprzód przyglądał się, stojąc, następnie przysiadł na ogonie i w tej postawie pochłaniał wzrokiem sztukę piękną. Skoro się później pokazało, że sarnina znikła gdzieś bez śladu, a pozostał tylko kawałek sznurka, na którym wisiała, wystąpili różni naoczni świadkowie, głównie służący dworscy, zawzięcie dowodząc, jako widzieli Asa, oczyma chciwie pożerającego mięso. Ktoś się odezwał:

— Ho, ho! Szprync taki, jak on, łatwo mógł podskoczyć i urwać!

Żeby podtrzymać to mniemanie, znaleźli się zaraz ludzie, którzy na własne oczy widzieli, że wyżeł w pogoni za kotem przesadzał nadzwyczajnie wysokie parkany.

— On bestja i na drabinę wylezie, kiedy mu potrzeba! — wtrącił jakiś człowiek, świadomy zdarzenia z łojem na fabryce, a podciągający pod pojęcie drabiny owe wygodne schodki, z których pies zwlókł kapotę i dzbanek z łojem.

Trudno było nie przegrać sprawy wobec tylu dowodów. Kalasanty, jak rabin, kiwał tylko głową, zdawało się, że jakoś niebardzo ufa świadkom; ale zachwiała się jego sprawiedliwość, kiedy Pelagja gromkim a groźnym głosem fuknęła:

— Cóż się pan Kalasanty jeszcze namyśla? Czy taki gałgan, co dusi kury, indyki, nie może zjeść także sarniny?

Zmiękł natychmiast kucharz, który, nawiasem mówiąc, jak każdy człowiek spokojny, bał się nadzwyczajnie niewieściego języka.

— A tak, tak! Skoro dusił kury, indyki, to pewnie zjadł i sarninę! — rzekł Kalasanty głosem powolnym, jakim przemawiają ludzie ślamazarni, nie mający odwagi bronić swoich przekonań.

W niecałą godzinę potem obiegała po Mączynie wiadomość, że As wykradł i zjadł ogromną pieczeń sarnią; przytem oblizywali się zarówno opowiadacze, jak i słuchacze.

Każdy niegodny czyn, popełniony rzeczywiście lub przypuszczalnie, pociąga za sobą objawy mściwości społecznej. Występną jednostkę spotyka prześladowanie, surowsze, niż kara sprawiedliwości, bo ono nie zna granic i końca. Jest to już właściwością natury ludzkiej, aby w całem szukać dziury, aby w rzetelnej nawet cnocie wynajdywać złe strony; cóż dopiero mówić o czynach, napiętnowanych, jako występne! Wyrozumiałość, pobłaż-

liwość i sprawiedliwość bywają ludzkiemi przymiotami niekiedy; ale złość i mściwość — zawsze. As nie był ani zły, ani dobry; przypadkiem mógł mieć łaski u ludzi i przypadkiem zasłużył na ich niełaskę. Czy on istotnie zjadł potajemnie sarninę, jest to do dzisiejszego dnia bardzo wątpliwe. Z pewnością tylko można powiedzieć, że ludzie koniecznie potrzebowali zwalić tę winę na niego, że im zależało na tem, aby go potępić przy pierwszej okoliczności. Tłum doświadcza przyjemności, gdy może prześladować, łajać, bić, dręczyć takiego uznanego przestępcę. Na takich ofiarach pobiera może ludzkość pierwsze lekcje moralności, kształcąc uczucie wstrętu do złego. Przecież zwierzęta stanowią także przedmiot wiwisekcji, gdy chodzi o naukę praw życia, o fizjologję. Giną mali i słabi, choć niewinni, a ich cierpienia, śmierć służą do wzmocnienia silniejszych.

Zaraz po uznaniu winy psa w kuchni pierwszy lepszy służący, który napotkał Asa na swej drodze, uważał sobie za obowiązek uderzyć go kijem lub cisnąć weń kamieniem; inni czynili to samo. Wyżeł przez jakiś czas trzymał się na przestrzeni między pałacem a oficynami, nie mając ani tu, ani tam przystępu. Ponieważ w fizjognomjach ludzkich czytał po największej części nienawiść i pogardę dla siebie, przeto stawał się bardzo nieśmiały, stronił od ludzi. Ciężko widać i psu, gdy mu nikt nie daje dobrego słowa, nie odezwie się po przyjacielsku: — „Pójdź tu!“ — Ta gotowość świata do prześladowania jest wtedy okropna. Narażona na nią nieszczęśliwa jednostka najkrótszą drogą i zupełnie nieświadomie zdąża do upodlenia. Rozgoryczonemu psu mogło się wydawać, że jest rzeczywiście nędznym prochem, niegodnym żyć w tem otoczeniu. Spoglądał nie-

raz ku trzem sfinksom, a nie śmiał się zbliżyć do pałacu — coś tak, jakgdyby sobie wyobrażał, że i psy spoglądają nań pogardliwie, nienawistnie, groźnie. Onby się teraz i na posąg z kamienia nie poważył szczeknąć. Gdyby osamotniony pies trzymał się był dłużej tak na boku, z ogonem opuszczonym, z oczyma smutnemi, niezawodnie wnet powiedzianoby o nim: — „Ten pies wściec się myśli!“ — I wtedy Apolinary zapewne wziąłby się do dzieła, ażeby wystrzałami przerwać pasmo żywota, pełnego utrapień.

Wszędzie i w każdym czasie są takie istoty, podlejące wśród prześladowania; nie mogą one umrzeć ani im nikt życia nie skróci. As teraz właśnie należał do ich rzędu. Nareszcie można go było widzieć, jak porzucił już okolice pałacu i oficyn, a przeniósł się w miejsce, gdzie jest koniec obrębu pałacowego i początek drogi, wiodącej poprzez groblę ku miasteczku. Tam na mostku, niedaleko templa, leżał w ślimaka zwinięty, z pyskiem na ogonie, albo wystawał, mając fizjognomję wędrowca, który zamierza opuścić ognisko domowe, pójść w świat, tylko coś się nie może zdobyć na krok taki. Bo dokąd iść?... Świat jest wielki, szeroki, ale przecież nie dla psa, któremu trudno zerwać z domem. Kiedy raz przed samym wieczorem przyglądał się tak przechodniom i przejezdnym, spostrzegł go jakiś jegomość, jadący sankami w parę koni, i ten — zapewne odniechcenia — mruknął pod nosem:

— Pójdź tu, piesku!

Dawno już z ust ludzkich niesłyszane słowa dodały psu otuchy: żwawo pobiegł za sankami i niebawem znalazł się w miasteczku. Tutaj podróżny jegomość zajechał przed dom bogatego Izraelity, który pożyczał pieniędzy na lichwę, i zaraz się udał do jego mieszkania. Wkrótce też

potem i woźnica poszedł do szynku; As zaś uważał za właściwe wskoczyć na sanki, zagrzebać się tam w sianie, ponieważ go sen morzył. Oj, bardzo przykre dla wyżła było z tego snu przebudzenie! Stał nad nim furman, chłop sążnisty, klął straszliwie, a ćwiczył go jednym z tych biczów, składających sie prawie z samych węzłów, grubych i twardych, jak żelazo. Chłopu chodziło o to, że na takiem miejscu, gdzie jego pan siadał, pies się ośmielił rozkładać.

Na wrzawę, której As narobił z bólu, w okamgnieniu ruszyły się psy miejscowe, ze wszystkich stron pędziły na wyścigi, gotowe szarpać, gryźć cierpiącego. Księżyc jasno oświecał rynek Mączyna i wyżeł wyraźnie widział na śniegu tę psią hołotę, dyszącą pragnieniem przelewu krwi jego. Straszne były postaci tych kondli i przerozmaitych mieszańców! Zgrai owej zdawał się przewodzić wielki, tłusty pies rzeźnicki, płowy, z czarnemi obwódkami około oczu, gładki, jakby wylizany, z obciętemi uszyma, z króciutkim ogonem; mieszały się w nim cechy: buldoga, ogara, brytana i kondla. Bez żadnych uprzednich zagajeń przyskoczył do Asa, jęczącego pod ścianą żydowskiej lepianki, wziął go za kark i rznął o ziemię, a cała ciżba psów tłoczyła się gwałtownie z zębami, żeby tylko gdzie bądź dopaść i siepnąć powalonego. Warczenie, chrapanie, skowyt stanowiły prawdziwie piekielną wrzawę. Na leżącym Asie utworzyła się ruchoma góra kudłów, ogonów, łbów, nóg psich, a wszystko przewalało się z miejsca na miejsce i wtoczyło się nareszcie do ciemnej sieni żydowskiego domu. Tu, w ćmach nocy, przyjaciel nie rozróżniał już przyjaciela i wszystkie psy gryzły się między sobą, wyprawiając przerażający harmider. Dopiero Żydówka, gospodyni domu, zdobyła się na osobliwy pomysł: uchyliwszy

drzwi izby, chlusnęła garnek wrzącej wody na rozżartą psiarnię. Jakby na skinienie czarodziejskiej różdżki, w jednej chwili wszystko ucichło i tylko w oddaleniu dawało się słyszeć sapanie, kichanie tych kondli, co tchu teraz zmykających na swe śmieci. Ostatni wyszedł z sieni As i to zmuszony przez Żyda kijem.

ROZDZIAŁ VII

Mieszkanie pana doktora. — Kot w oknie. — Wint z dziadem.— Kolacja i przygoda kota. — Co myśleć o psie, który się wałęsa po nocy? — Z igły widły. — Przed stajnią pocztową. — Ucieczka z Mączyna. — Sterty zboża w polu. — Były dzierżawca folwarku. — W chacie i za chatą. — Z życia jedyna ucieczka — śmierć.

Wlokąc za sobą okulawiałą nogę, jak żołnierz ranny, uchodzący z pola bitwy, puścił się wyżeł przez rynek i dotarł do siedziby lekarza. Była to ustroń spokojna, starannie sztachetami ogrodzona od rynku i innych domostw w miasteczku. Żaden czworonóg nie mógł tutaj wtargnąć, a jeśli to przypadkiem nierozważnie uczynił, w całym domu obwoływano natychmiast pospolite ruszenie: kto żył, porywał w rękę oręż, jaki się nadarzył, i zapamiętale uderzano na wroga. Kucharka Regina, służący Władek i wielce krzykliwa, choć maleńka, suczka Muszka, były to siły armji czynnej, pozostającej w tym domu ciągle na stopie wojennej. Atoli w nadzwyczajnych wypadkach sam pan doktor stawał na czele armji, jeżeli, naprzykład, trzoda chlewna, hurmem powracająca z pastwiska, wdarła się przez powyłamywane tu i owdzie sztachety i zuchwale rozpuściła zagony. Wroga bito, wypędzano, sztachety łatano; świnie zawsze właziły.

Głównym powodem takiej niesłychanej w miasteczku dbałości o nietykalność dziedzińca były najprzód kwiaty, bardzo troskliwie uprawiane przez

panią doktorową, następnie gospodarstwo jej — istne oko w głowie — składające się z trzech kur i koguta, dwóch kaczek i tłuściutkiego, różowobiałej barwy prosiaczka. Zarówno kwiaty, jak i te zwierzęta wymagały spokoju, którego zapewnienie było bardzo trudne wobec niezmiernie surowych obyczajów rogacizny i nierogacizny w Mączynie. No, ale obecnie z powodu zimy i już dziewiątej godziny wieczorem czujność domowników okazywała się zbyteczną i przybycie tutaj Asa nie zwróciło niczyjej uwagi. Był on w tej siedzibie bezpieczny, jak w twierdzy, ponieważ psy miejskie pamiętne, że tutaj już nieraz odebrały basy, zawsze zdaleka obchodziły dom pana doktora i z trwogą nań spozierały.

As, przybywszy tu z chorą łapą, poszedł prosto na ganek i tam pod ławeczką dokonał zapomocą języka pierwszych lekarskich opatrunków, niezbędnie wymaganych podług psich wyobrażeń o medycynie i chirurgji. Z okien mieszkania pana doktora połyskiwało światło, które pięknie padało na śnieg i tak jakoś przyjemnie przemawiało do przekonania wyżła, że tam wewnątrz domu musi być ciepło, bardzo dobrze. Blask, odbity na śniegu, pociągał go magnetycznie. Nie mógł się oprzeć temu pociągowi, powstał, stanął naprzeciwko okna i patrzył, co się w mieszkaniu dzieje. Widział on tam stół, nakryty białym obrusem, talerze, obok talerzy — noże, widelce, na środku stołu — koszyczek z chlebem i bieluchnem ciastem. Opodal w kącie na małym stoliczku stał samowar, kurzący się kłębami pary. Jednym rzutem oka pies ogarnął cały ten przemawiający do duszy widok i jeszcze lepiej przybliżył się do okna: „Ze wszystkiego widać, że ludzie mają tu zamiar używać darów bożych; niechże ja na to zbliska popatrzę...“

Nasz pies nie widział tego, że przy samym oknie, na stoliku i między kobiecemi robótkami pani domu, przycupnąwszy, nawpół drzemał kot i przymrużonemi oczyma rzucał spojrzenia na krzątanie się ludzi i przygotowywanie wieczerzy. Ucho kocie, baczne na wszelkie szmery, posłyszało widać odgłos ruchów psa za oknem. Kizia odwrócił się, spojrzał w okno i w blasku światła księżycowego spostrzegł czarnego psa na białym śniegu. Widocznie mocno się tem zaniepokoił, gdyż nieustannie już w tę stronę wzrok zwracał. Pies przysiadł na ogonie, ciekawie wpatrywał się w okno, zrazu jednakże kota wcale nie widział.

U pana doktora był wint. W drugim pokoju, dokoła zielonego stolika, siedzieli partnerzy: aptekarz, pan Tomasz, nauczyciel z pałacu, i gospodarz — jedyni ludzie, którzy w Mączynie i całej okolicy Mączyna uprawiali sztukę gry w winta, gdy tymczasem ogół graczy oddawał się preferansowi. Grali z dziadem i z przykupką, a spierali się bardzo głośno, namiętnie, ponieważ aptekarz strzelał nadzwyczajne bąki, oburzające w najwyższym stopniu jego współgraczy.

— Niedosyć, że przegrywam, jeszcze mi wymyślają!... — mówił właśnie, żaląc się, zgoryczony farmaceuta, kiedy weszła pani doktorowa i zażegnała żwawy spór, uprzejmie zapraszając wszystkich do wieczerzy.

Zasapani, zadyszani w uniesieniu, powstali od zielonego stolika i skwapliwie zdążali teraz do białego; ale po drodze nie zaniedbywali i tak kłótni, dopóki każdy z nich nie połknął kieliszka wódki i nie zajął miejsca.

Dla Asa otwarł się w tej chwili bardzo ponętny widok, gdy przez szybę ujrzał na jednym półmisku dymiące się ciepłą parą pieczone mięso, na drugim — sypkie kartofle. To go mimowolnie

pociągnęło ku oknu. Ruch taki kot wziął widocznie za rozpoczęcie kroków nieprzyjacielskich; gdyż powstał, wygiął się w kabłąk i świecące oczy utkwił we wrogu swego rodzaju. Wyżeł miał teraz przed sobą kota i półmiski; kot go niecierpliwił, drażnił, półmiski — mile wabiły. Zbliżył się jeszcze bardziej do okna, może nawet warknął półgłosem. Wówczas kot nie zdołał już dotrzymać placu, odsadził się, jak mógł najlepiej, i jednym susem ze stoliczka pod oknem skoczył na stół biesiadników. Zapewne wskutek przestrachu źle skok swój wymierzył i padł prosto w talerz, stojący przed aptekarzem, grzęznąc w kartoflach, oblanych sosem. Pan aptekarz wtedy właśnie operował widelcem i jakoś, chcąc nie chcąc, kolnął nim kota, który, tem jeszcze bardziej przestraszony, z talerza skoczył na ramię aptekarza, a potem poszedł dalej. Zdarzenie takie dostarczyło wątku do rozmowy przez czas dłuższy o tem, co mogło skłonić zwykle bardzo spokojnego kotka do czynu, prawie nie dającego się objaśnić.

Po skończonej wieczerzy winciarze opuszczali gościnne progi, a pan doktor z właściwą sobie uprzejmością odprowadzał ich do sieni, gdzie nie omieszkano jeszcze wyrzekać na brak czwartego partnera i na konieczność grywania z dziadem:— „Czysty rozbój".—Ale za odemknięciem drzwi od ganku, do sieni wcisnął się As, jakiś zbiedzony, drżący, pokorny. Każdy z obecnych tutaj dobrze znał tego psa, przeto dał się słyszeć najprzód okrzyk zdziwienia: — „As! As!" — a potem napoczekaniu otwarto pole domysłom, co to znaczy, że wyżeł pałacowy o tak niezwykłej porze zjawił się w miasteczku — u drzwi doktora mianowicie. Błąkanie się Asa w nocy poza obrębem pałacu nauczyciel przypisywał indywidualnym popędom jakimś, a przytem brakowi domowej dyscypliny.

Człowieka żyłka wintowa wyciąga z domu, psa—inna żyłka.

Jednakże lekarz i aptekarz, mający zwykle do czynienia z wadliwemi organizmami, wpadli na domysł choroby, zwanej wścieklizną.

Pies z porządnego domu nie wałęsa się po nocy bez ale:—bezwarunkowo stan nienormalny.

Chociaż As zdradzał przygnębienie tylko i pokorę, jednak na wszelki wypadek wypędzono go za drzwi, zwłaszcza, że nosił na sobie krwawe ślady niedawnej walki, a przytem widok obcego psa w domu bardzo niepokoił i rozdrażniał Muszkę.

Aptekarz, który od południa grał w winta i obawiał się wymówek żony, wróciwszy teraz do domu, rzekł zaraz na wstępie:

— Mamy w mieście psa wściekłego!

Słowa te tak przeraziły panią aptekarzową, że zapomniała odrazu o wyrzutach i myślała tylko o niebezpieczeństwie, na jakie się mąż jej narażał, wracając do domu. Wystarczało to już najzupełniej, ażeby cały Mączyn miał się nazajutrz na ostrożności przed psem wściekłym. Rano bowiem pani aptekarzowa rzekła do wychodzącej z domu służącej:

— A strzeż się tam, bo w mieście jest pies wściekły!

Poszło to zaraz w obieg. Różni mieszkańcy Mączyna przypominali sobie czem prędzej, że wczoraj z wieczora słychać było w mieście ogromną psią wrzawę, powodem której, jak się pokazuje, był pies wściekły. O niczem innem nie mówiono już w miasteczku, tylko o tem jednem, że wczoraj psy gryzły się z psem wściekłym. Ktokolwiek posiadał psa przy domu, oglądał go dzisiaj troskliwie i odosabniał, jeżeli się okazała najmniejsza ranka. Nawet i ów wielki pies rzeźnicki poszedł pod zamknięcie, ponieważ mu na

grzbiecie sierść oblazła wskutek oblania przez Żydówkę wrzącą wodą. Do dziewiątego dnia miały pokutować te psy pozamykane.

Kiedy pan doktor rano wyszedł z domu w celu odwiedzenia chorych, cały Mączyn tak mu się przedstawił, jakgdyby tu oczekiwano napadu Tatarów, a w ustach każdego był „pies wściekły". Zastanowiło go to i wstąpił do apteki, ponieważ w aptece zawsze się dowiedzieć można czegoś pewniejszego. Teraz już do pana aptekarza nieustannie powracały jego własne słowa, wyrzeczone wczoraj w nocy do żony: — „Mamy w mieście psa wściekłego!"—Każdy przychodzący do apteki po olejek powtarzał: — „pies wściekły" — i aptekarz mniemał, że otrzymuje coraz to nową wiadomość, a tu mu odnoszono tylko jego własne słowa.

Doktor i aptekarz odrazu zgodzili się na to, że As, który wczoraj za otwarciem drzwi wpadł do sieni, był istotnie psem wściekłym i, Bóg wie, ilu ludzi, zwierząt do tego czasu mógł już pogryźć. Jednocześnie też, ze względu na bieżące niebezpieczeństwo, postanowiono dzisiaj wieczorem nie grać w winta.

Uczeń aptekarski, którego ta rozmowa zaciekawiała w najwyższym stopniu, powtórzył ją przybyłemu wkrótce potem po lekarstwo na zęby organiście. Ponieważ organista miał uszy pozatykane watą, słyszał więc tylko wyrazy: „doktor, aptekarz, pies wściekły", a ich uzwiązkowanie sam sobie już w głowie urobił: — „Pies wściekły pokąsał doktora i aptekarza". Ludzie oczekiwali pożądliwie skutków pobytu psa wściekłego w Mączynie, skwapliwie więc przyjęli taką wiadomość. Wszelkie powody trwogi już były ustały, a jeszcze byli tacy, którzy ciągle wierzyli, że pies wściekły rzeczywiście pokąsał lekarza i aptekarza.

Tymczasem As, wyrzucony za drzwi z sieni doktora, udał się teraz w sąsiedztwo, przed stajnię pocztową, gdzie wielka obfitość wyrzucanej z pod koni mierzwy obiecywała mu dobre legowisko, zabezpieczające od wpływów nocnego zimna. Zakopał on się tutaj po uszy i po doznanych licznych wrażeniach, a zapewne także wskutek osłabienia, zasnął snem twardym. Szeroko już mówiono o nim na mieście, a on, ile razy otworzył oczy i spojrzał na świat jasny, ciągle uczuwał w członkach jakieś rozluźnienie, omdlałość, potrzebę dłuższego wypoczynku. Zamykał oczy, znowu je otwierał, znowu zamykał: widocznie pragnął przez sen wynagrodzić sobie utratę sił, odzyskać krzepkość utraconą a tak potrzebną do zapasów z życiem.

Było już prawie południe, kiedy ze stajni poczęto wyrzucać nawóz w dwie pary rąk i zwalać go właśnie na tę kupę, gdzie zagrzebany pies wypoczywał. Musu nieraz trzeba, ażeby opuścić pościel, wygrzaną ciepłem swego ciała. Coraz to nowe pokłady spadały z wideł parobków i przytłaczały rozespanego wyżła; nareszcie poczuł, że już ledwie może oddychać. Porwał się z przerażeniem i, zebrawszy wszystkie siły, wyskoczył nagle z kupy mierzwy ku nadzwyczajnemu przestrachowi parobków, porządkujących stajnię: szeroko na ten widok rozwarli usta, wytrzeszczyli oczy i przez jakiś czas stali nieruchomi z widłami w rękach. Opamiętali się jednak, bo przecież słyszeli już byli coś o przebywaniu w mieście psa wściekłego. Raźno więc poskoczyli za zmykającym Asem, puszczając na miasto przeraźliwe okrzyki: — „Pies wściekły! Pies wściekły!"

Wołanie to sprawiło nadzwyczajny skutek: kto tylko był na rynku, usiłował się gdzie bądź schronić i wystraszone Żydówki przewracały się z wrza-

skiem, a wyżeł gnał, jak szalony. Pouciekały też przekupki z kramów, między któremi As przebiegał, i gdy mu się nastręczył kosz, napełniony rybami suszonemi, twardemi, jak deski, mimochodem pochwycił jedną w zęby i uniósł. Już wypadł za miasteczko, kiedy dopiero jaki taki, uzbrojony drągiem, puszczał się za nim w pogoń z ogromnym wrzaskiem. W niejakiem oddaleniu od Mączyna widniał folwark: liczne sterty zboża, ustawione dokoła budynków gospodarskich. Zwierz dziki, gdy go ludzie prześladują, uchodzi do boru, pies—właśnie do ludzkiego domu. Ha, kto wie, może gdzieś i są dobrzy ludzie! Przecież dobroć jest wytworem człowieka...

Niedługo trwała pogoń mieszkańców Mączyna. Bóg miłosierny dał prześladowanym istotom dzielne nogi i to potężne uczucie strachu, które w razie potrzeby przypina do nóg skrzydła. Dobrze się stało, że As w popłochu takim miał jednak należytą przytomność umysłu i na wychodnem z miasta zaopatrzył się w suszoną rybę, której nie popuścił podczas ucieczki.

Zbliżając się teraz do folwarku, zwolnił biegu, spojrzał poza siebie, a gdy już nie spostrzegł ani znaku prześladowania, zadarł do góry ogon i swobodnie zmierzał ku najbliższej stercie zboża. Ah, jak dobrze mieć suchy kawałek chleba i móc go zgryźć spokojnie, nie czując na karku żadnego nieprzyjaciela! Przyjaciół w takich razach również się nie pożąda.

Wpił się zębami w swój bardzo twardy kąsek i od czasu do czasu odłupywał jakąś trzaskę. Spracował szczęki, a niedawno przedtem — nogi; niebo też jakoś poczerniało, groziło słotą, zachodni wicher rozgarniał po niem chmury. Wszystko to nie zachęcało psa bynajmniej do szukania wiatru po świecie: jął się więc pracy, rozgrzebał słomę

pod stertą i urobił sobie wcale wygodne gniazdo. Przez pewien czas posyłał w pola markotne spojrzenia, potem zaczął coraz częściej poziewać, zwinął się w kłębek, zestawił nos z ogonem i zasnął w poczuciu zupełnego bezpieczeństwa.

Folwark, na którym As obecnie przebywał, należał do hrabiego z Mączyna, a przez kilka lat zrzędu trzymał go w dzierżawie za tanie pieniądze jeden z bogatych chłopów miejscowych. W tym bieżącym roku pan hrabia odebrał majątek na siebie i zaprowadził tu gospodarstwo na własną rękę. Urodzaje były ogromne: już sam owies, złożony w stertach, obiecywał co najmniej trzykroć większe korzyści właścicielowi, aniżeli wynosił dotychczasowy dochód z dzierżawy. To też były dzierżawca nienawistnem okiem spoglądał na te obfite plony, które byłyby mu kieszeń porządnie napełniły pieniędzmi, gdyby się i w tym roku utrzymał przy dzierżawie folwarku. O, bardzo niedobre myśli przechodziły przez głowę chłopa! Już on nieraz wystawał pod temi stertami, obliczał sobie na pieniądze ich zawartość i zawsze odchodził stąd, mając duszę pełną goryczy. Spać mu nie dawała myśl, ile on to mógłby był zarobić, a nie zarobił!...

Dzisiaj, kiedy oto dąć zaczął silny jesienno-zimowy wicher, a świat się zamroczył straszliwą zawieją śnieżną, chłop coraz to wychodził z chałupy i zpodełba wpatrywał się czegoś w tę zawieruchę, kostrzewiącą strzechy, świszczącą, skrzypiącą, huczącą, jakgdyby się ziemia załamywała. Z wieczora wszystko, co żyło, uchodziło pod dach skwapliwie, tylko on wymknął się cichaczem, nacisnął czapkę na uszy i z rękoma w kieszeniach, chyłkiem po mroczku, dążył ku owym stertom, na które wicher zdawał się teraz wywierać całą swą wściekłość, wyszarpując je garściami.

Były dzierżawca folwarku niedługo tutaj bawił. Jakby ponura mara, wichrem zagnana w to ustronie, przesunął się popod stertami i potem najkrótszą drogą co tchu wracał do domu. Widać, że mu chodziło o nakrycie tajemnicą tej wyprawy.

Gdy przybył do chaty, usiadł spokojnie na ławie, zakurzył sobie fajkę i z uroczystością patrjarchy rodziny spoglądał na igraszki wnuczęcia, które u stóp jego czołgało się na czworakach. Któżby powiedział, że ten człowiek przed chwilą podpalił sterty z dworskiem zbożem?...

— Hej, panie ojcze, w stertach dworskich gore!—rzekł syn, chłop już przeszło trzydziestoletni, który właśnie skądś powrócił i z progu chaty temi słowy powitał ojca, przeszywając go jednocześnie przenikliwym wzrokiem.

— Bóg ich karze widać za moją krzywdę!— odpowiedział stary i podźwignął się z ławy, ażeby wyjrzeć przez okno.

— Pan Bóg Bogiem, a ludzie ludźmi!—mruknął syn, zbliżając się także do okna.

Niebo zaogniło się straszną łuną, której światło oblało w tej chwili ponurą twarz starca i rozwidniło całą izbę. Miljony iskier, gnanych wichrem szalonym, przelatywały po powietrzu na wszystkie strony, a tu i owdzie, jak rakieta, widniała uniesiona wgórę płonąca garść słomy.

— Jezus, Marja, Józefie święty, ratujcie! — zawołała, wbiegając do izby, zdyszana synowa starego chłopa. Porwała na ręce dziecko i uklękła co tchu przed obrazem Matki Boskiej, na głos odmawiała pacierz.

As leżał pod pierwszą od pola stertą, zasłoniony jednak przed wiatrem całą jej masą; naprzeciwko swego legowiska miał drugą stertę, a dalej—cały szereg stert, tworzących jakgdyby

ulicę. Podmuchy zimnego wiatru wpadały niekiedy i do psiego gniazda, prószące w nie wilgotnym śniegiem; tem głębiej wkopywał się wyżeł w słomę. Nagle z tej pierwszej sterty buchnęły płomienie, w oka mgnieniu ogarnęły ją całą i z nadzwyczajną szybkością rzuciły most ognisty na stertę przeciwną, liżąc językami i boki stert sąsiednich. Fale dymu, zmieszanego z rozżarzoną perzyną, niespodziewanie wtargnęły do zacisza Asa. Porwał się, piorunem poskoczył w stronę pola; ale właśnie stamtąd powiał głównie war ognia i ćma dymu: tu się utworzył już szaniec ze zwalonej wichrem i z sykiem płonącej słomy. Zawrócił i rzucił się w ową ulicę stert, przez którą w piekielnym pochodzie ciągnął prąd pożaru. As chciał z nim pędzić, znaleźć sobie wyjście. Niestety, wyjście było tylko jedno—stracić życie!

Uwikłany w tyle życiowych dramatów, przeszedłszy tyle przygód, As zginął nareszcie: wcześniej czy później, zawsze go to oczekiwało.

KONIEC

OBJAŚNIENIA WYDAWCY

Powieść *As* zaczął Adolf Dygasiński pisać w 1894 roku w Młynowie, posiadłości hr. Chodkiewiczów, położonej w powiecie Dubieńskim nad rzeką Ikwą w odległości 16 klm. od Dubna. Pierwsza wzmianka o *Asie* znajduje się w liście do córki z dnia 30 czerwca 1894 r. Pisze tam: „...gdy skończę „Asa" i „Psychę", jestem pewny, że wielu obrażę, ponieważ zakroiłem te obie rzeczy na satyrę...". W listach do córki powraca do *Asa* parokrotnie. Dnia 26 listopada tegoż roku pisze, że jest bardzo energicznie zajęty „Asem". W tydzień potem 3-go grudnia nadmienia, że *Asa* ma już na ukończeniu. Wreszcie ostatnia wzmianka znajduje się w liście z dnia 21 stycznia 1895 r.: „...Mój „As" zacznie zapewne wychodzić w „Kurjerze" po ukończeniu tej głupiej Jerychonki, a może i on nie będzie mędrszy...".

Drukowany był *As* po raz pierwszy w „Kurjerze Warszawskim" w 1895 roku. Druk rozpoczęto w Nr. 310 z dnia 9 listopada a skończono w Nr. 360 z dnia 31 grudnia. Pierwsze wydanie książkowe wyszło nakładem księgarni G. Centnerszwera, druk S. Orgelbranda i Synów, r. 1896, str. 212. Jest to przedruk dosłowny, nawet z zachowaniem niektórych błędów. Wydanie drugie ukazało się już po śmierci autora w 1913 roku, jako 746 tom „Bibljoteki Dzieł Wyborowych", str. 160. Wydanie to zawiera pewną liczbę błędów drukarskich i opuszczeń.

Pierwsze wydanie książkowe zostało poprzedzone dedykacją: „Pani Julji i Panu Władysławowi hrabiostwu Chodkiewiczom na pamiątkę szacunku i przyjaźni—autor".

W rozdziale VI-ym *Asa* Dygasiński przenosi akcję powieści do Mączyna nad Ikwą. Jest to właściwie Młynów nad Ikwą. Oczywiście autor pomieścił w *Asie* dużo ze swego otoczenia, co zresztą sam stwierdza w jednym ze swych listów do córki i co wynika z tego, że utwór został zakrojony na satyrę.

Rękopis *Asa* nie jest znany. Zachował się jedynie bruljon powieści pisany na kartkach papieru listowego i w notesie kieszonkowym. Część bruljonu pisana na papierze listowym kończy się na 60 str. druku wydania niniejszego. W redakcji ostatecznej autor wprowadził znaczne zmiany. Część druga bruljonu pisana w notesie zaczyna się od 125 str. wydania niniejszego. W tej części redakcja ostateczna zawiera daleko mniej odchyleń od bruljonu. *Asa* w wydaniu niniejszem przedrukowano z pierwszego wydania 1896 r.

*

Dygasiński stale pisze *é*, np. dérdały, cztéry, chléb, itd., jak również zastosowuje końcówkę *ę* w 4-ym przyp. licz. p. zaimków, np.: moję, swoję, twoję, jednę, ową. Pisownię tę zmodernizowano. Pisze również: spodnica, doktor. Wyraz doktor zostawiono według pisowni autora.

Interpunkcję zachowano autora, wyjąwszy parę wypadków, gdzie poprawienie stawało się konieczne, np. oddzielenie dopowiedzenia, wyrazu wtrąconego lub zdania współrzędnego wynikowego połączonego spójnikiem i lub a.

Poprawiono również parę niewątpliwych błędów korektorskich pierwodruku i wydań następnych.

Nadto na str. 60, w. 10—11 od g. w zdaniu: „...dzisiaj można dostać biletów...", po słowie „dzisiaj" wstawiono słowo „nie", ustalając tekst zdania w sensie negatywnym.

Na str. 72, w. 6 od g. po słowie „ruchu", dodano, zapewne opuszczony w korekcie, dwukropek, dzięki czemu zdanie nabiera jasności.

* * *

Str. 20, wiersz 20 od g.: „...cukiernia Sztengla..." Mieściła się ta cukiernia w kamienicy narożnej przy zbiegu ul. Marszałkowskiej i placu Dąbrowskiego, nawprost Hersego.

Str. 29, w. 11 od g. „...przy domu Blocha..." Jest to ostatni dom przy ul. Marszałkowskiej po stronie numerów parzystych, róg Królewskiej.

Str. 65, w. 3—2 od d.: „...psa wyprowadził w pole na otoku i w koralach..." Polowanie z otoką: polowa-

nie z naganką; wyżeł otokowy: wyżeł nie spuszczany ze sznurka w czasie polowania; wyżeł trzymany na otoku, znaczy: trzymany na sznurku w czasie układania. „Korale" w języku myśliwskim oznaczają gałki drewniane z powbijanemi w nie sztyfcikami ostremi. Korale te zawiesza się na szyi psów legawych zbyt gorących w układaniu.

Str. 118, w tytulacji rozdziału: „...na dworcu kolei Terespolskiej." Obecnie dworzec Wschodni.

Str. 142, w. 9 od g.: „...rodzina profesora Kernera z Warszawy." Osoba autentyczna, prof. A. Krecz... Synowie i córka prof. A. Krecz... żyją i pracują na niwie pedagogicznej.

3196.

ADOLF DYGASIŃSKI

Z pod ciemnej gwiazdy

ROMANS OBYCZAJOWY

z cyklu

TAJEMNICE WARSZAWY

WARSZAWA, E. WENDE i S-KA
Poznań, Fiszer i Majewski. Łódź, Katowice, Ludwik Fiszer. Toruń i Siedlce, Tow. Wyd. „Ignis"

nie z nagan
ka w czasie
many na sz
śliwskim o
sztyfcikami
gawych zb
Str. 1
Teresp
Str. 14
nera z
Synowie i
dagogiczn

Odbito w Zakładach Graficznych
„Drukarnic Bankowa"
Warszawa
1925

3197

I

FIGLARZE

— Słyszysz, Marcinie, idźno do tych panów pod trzydziesty piąty numer i powiedz im, żeby zapłacili rachunek! — wołał pan rządca hotelu Słowiańskiego, przeglądając w kantorze książkę przyjezdnych gości i lokatorów.

— Kiedy trzeba, to pójdę i powiem; ale naco się to wszystko zdało?... Toć im codziennie zapowiadam, a oni jak nie płacą, tak nie płacą. I to nawet śmiech bierze, panie rządco, chcieć zapłaty od takich golców — powiedział Marcin.

— No, od czegóż ty tu jesteś? Zrób tak, żeby się przynajmniej wynieśli z hotelu, do krocset djabłów!... Niech ja o tem niby nie wiem, rozumiesz!

— Niema żadnych trudności do zrozumienia takich rzeczy, tylko że oni się i wynieść nie mogą, bo jakby wszyscy trzej wyszli razem na świat, to dwóch musiałoby chodzić nago.

— Jakto, nago?... — zapytał rządca.

— Mówię wyraźnie—nago, a to się znaczy bez wszystkich rzeczy, któremi człowiek wstyd swój przykrywa. Jakże mam powiedzieć inaczej, kiedy ci szlachcice pod trzydziestym piątym numerem wszyscy trzej razem mają jeden surdut, jedne buty i jedne spodnie, z przeproszeniem; widzi mi się tylko, że mają coś ze cztery kapelusze...

— Święci Archanieli! Co ty mówisz, Marcinie?... I jakże się tu pozbyć takiej hołoty?

— Jabym wiedział jak, jeno nie wiem, czyby się pan rządca zgodził na moją radę,— odparł Marcin.

— Jakaż to rada? Mów, co myślisz!

— Ha, poprostu trzebaby im dać jakowy fundusz na przyodzianie, toby oni tu miejsca długo nie zagrzali, bo to wszystko, panie, pędziwiatry, obieżyświaty!

— Głupiś, jak stołowe nogi!... Jabym im jeszcze miał dopłacać za to, że mi zniszczyli numer, pościel?... Oszalałeś chyba, stary!

— Proszę pana rządcy, trafia się tak czasami... Cóż zrobić? Poprzednik pański, ś. p. Śledzikiewicz, świeć Panie nad jego duszą, miał tutaj raz w hotelu rychtyk takiego ptaszka, co to z nim ani rusz, żadnej rady dać sobie nie było można. Napróżno codziennie chadzałem z rachunkiem rano i wieczór, a on jak nie płacił, tak nie płacił. I mało tego, że nie płacił; parę razy o włos, że mię jeszcze w dodatku nie wytłukł. Strasznie był zły ten gość, bo wyczekiwał na śmierć swojego ojca, sam się zestarzał, a ojciec żył i żył. Dopiero nieboszczyk pan Śledzikiewicz począł się z nim targować i ponoś kilka rubli dał mu z własnej kieszeni na drogę.

— Co, co?... Osieł jesteś razem ze Śledzikiewiczem! Ja im tu pokażę! Jak Bóg na niebie, wylecą z hotelu! Nie chcą sami, to każę wyrzucić!

I pan rządca, gniewnie poruszając wargami, zasiadł przy kantorku, umaczał pióro w kałamarzu, poczem zaczął stylizować ostateczny dekret dla lokatorów z pod trzydziestego piątego numeru. Kiedy ukończył pisanie, posypał je piaskiem, włożył w kopertę, a wręczając Marcinowi dokument, rzekł:

— Masz, zanieś im ten pasztet! Zobaczymy, zobaczymy, jak im to będzie smakowało!

Marcin wziął do ręki ekspedycję, ważył ją i jakby namyślał się czegoś.

— Czegóż stoisz, stary niedołęgo? Ruszaj zaraz pod trzydziesty piąty numer!

— Biorę sobie oto na rozum, że pan rządca dzisiaj jest strasznie zły i pewnikiem w piśmie nasolił tym lokatorom... Będzie to dobrze? Zawsze oni goście; poskarżą się, doniosą do Kurjera i zaraz kłopot!... Pan rządca im napieprzył, to nic; ale gorzej będzie, jak nam zaczną pieprzyć. A kto tam zresztą wie, czy który z tych lokatorów nie jest jaką figurą?...

— Idź, mówię ci!... Idź!—rozumiesz?! Wszystko mi jedno, choćby wszyscy trzej byli nawet hrabiowie, książęta! — mówił rządca, lecz zmiękł cokolwiek na wspomnienie Kurjera i mruczał pod nosem:

— Kurjer, Kurjer nam napieprzy! A czy nam to Kurjer da pieniędzy?... Jeszcze czego, żeby mi się każdy wtrącał do administracji!

Marcin, wychodząc, zatoczył duże koło po izbie, obejrzał się raz jeszcze przy drzwiach, jak gdyby chciał odwlec chwilę doręczenia fatalnego wyroku; nareszcie wyszedł. Idąc przez dziedziniec, zatrzymał się i rozmawiał z jakimś furmanem, potem wstąpił jeszcze na chwilę do szwajcara, a ciągle zerkał w okno kantoru, mając nadzieję, iż się rządca udobrucha i postanowienie swoje zmieni. Gdy to jednakże nie nastąpiło, Marcin zwrócił się do prawej oficyny i tu trzy razy zapukał pod trzydziesty piąty numer.

— *Entrez!*—odezwało się parę męskich głosów z wewnątrz.

Służący wszedł do izby, w której pełno było wszędzie opałków z papierosów i z zapałek. Na środku stał mężczyzna, ubrany dosyć starannie, w cylindrze i z obiema rękoma w kieszeniach pantalonów; był to człowiek w sile wieku, wybornie zbudowany, brunet o przenikliwem spojrzeniu. Znajdowali się

tu także dwaj ludzie, którzy leżeli jeszcze w łóżkach, chociaż była to już godzina druga po południu...

Marcin podał list pana rządcy człowiekowi, który był w ubraniu i ten zapytał:

— Od kogóż to?

— Od pana rządcy!—odparł Marcin, zakładając ręce wtył i ustawiając się przysadzisto przy samych drzwiach, jakby przygotowany na wypadek spiesznego zniknięcia z pod trzydziestego piątego numeru.

Odpowiedź Marcina sprawiła, iż dwaj ludzie, pozostający w łóżkach, wymienili między sobą znaczące spojrzenia, podczas gdy człowiek ubrany przebiegł spiesznie list oczyma, skończył, roześmiał się i zawołał:

— Olu, przeczytajno głośno to curiosum! A to kapitalny głupiec!... Co on tu powypisywał?!

Z temi słowy człowiek ubrany podał list pana rządcy jednemu ze swych nieubranych kolegów.

Olo był to mężczyzna krępy, o ile można było sądzić z karku i ramion nienakrytych kołdrą; dobrze już podłysiały, a mogący liczyć ze czterdzieści lat wieku; wziął on podany sobie dokument i odczytał co następuje:

„Niżej podpisany administrator hotelu Słowiańskiego ma zaszczyt zawiadomić niniejszem lokatorów trzydziestego piątego numeru, ażeby jutro do godziny dwunastej w południe nie omieszkali uregulować rachunku, uiszczając przypadającą należność za trzydzieści trzy doby do kasy tegoż hotelu; w przeciwnym bowiem razie zmuszeni będziemy wezwać opieki władzy policyjnej i narazić tychże lokatorów na wielce nieprzyjemne dla obu stron rugowanie przymusowe.

Z należnem uszanowaniem

Jan Nepomucen Dziurowski“.

Teraz wszyscy trzej lokatorowie trzydziestego piątego numeru poczęli się śmiać głośno i serdecznie,

a nieustannie wtórując jeden drugiemu. Marcin stał pode drzwiami z otwartemi usty; śmiech ten bowiem, nieoczekiwany przezeń, wprawił go najprzód w podziw, a poniekąd i przestraszył. Był to jednakże śmiech jakoś tak dziwnie rozweselający, że Marcin też nim się zaraził i, otwarłszy raz usta, śmiał się wraz z lokatorami na całe gardło. W lokalu owym powstał zgiełk niezmierny, wybuchy śmiechu tak osobliwe, że sąsiedzi lokatorowie, nie wiedząc, co o tem trzymać, jedni pootwierali lufciki i oknem wyglądali na podwórze, inni otwarli drzwi, wiodące na korytarz i powychylali głowy.

— Co to ma znaczyć? — pytano na wszystkie strony.

Nareszcie uśmierzyła się burza śmiechu, a wszyscy śmieszkowie mieli łzy w oczach. Wtedy pierwszy Olo nastroił poważną minę i bazyliszkowym wzrokiem przeszywając Marcina, zawołał z łóżka:

— Czegóż tu jeszcze stoisz, gapiu?

— Stoję, bo czekam na odpowiedź dla pana rządcy,—odrzekł stanowczo Marcin.

— Aaa, odpowiedź...! No, to mu się kłaniaj od nas i powiedz, że jesteście oba bałwany; rozumiesz?!

— Potrochu to rozumiem, tylko, proszę panów, pan rządca nie po tę odpowiedź mię tu przysłał...

— Słyszysz, Tomciu, ten Marcin nie taki głupi, jak się wydaje! Powiada, że rządca nie potrzebował się nas pytać, czy jest bałwanem, bo sam zgóry o tem wiedział... No, a czy ty rozumiesz czego on od nas żąda? — mówił znowu Olo.

— On chce wyraźnie; żebyście panowie zapłacili rachunek i koniec, — odrzekł Marcin.

— Ba, jak pieniądze będą, to się zapłaci!—powiedział człowiek ubrany, którego Olo nazwał Tomciem. — Powiedz zatem panu rządcy, że w tych dniach przyjedzie do Warszawy nasz przyjaciel,

człowiek, który w morzu łowił perły i korale, a w górach kopał złoto i diamenty... Słyszysz, przyjedzie i za nas zapłaci! Jeżeli twój pan rządca chce dowieść, że nie jest bałwanem, a ty masz chęć być czemś więcej niż dardanelskim osłem, powinniście temu uwierzyć... Zgoda, Marcinku?

— Z przeproszeniem pana, wygląda to tak, jakbyście mnie panowie mieli za głupiego, co powinien wierzyć w obiecanki i z tego się radować — mówił Marcin.

— Eh, myśl sobie co chcesz, a wynoś się jak najprędzej do djabła! — zawołał Tomcio zniecierpliwiony. — My tu nie mamy czasu na głupie rozmowy z tobą...

— Misiu! — zawołał znowu Olo do towarzysza swego, leżącego na drugiem łóżku. — Ty się lubisz zabawiać piórem, może wystylizujesz odezwę do tego pana rządcy?... Tylko napisz mu porządnie, wiesz!... Żeby poznał z kim ma do czynienia. Jeżeli będzie groził policją, zdyskredytujemy mu hotel tak, iż pies do niego nie zajedzie.

— Dać pokój! Komu tu wojnę wypowiadać? Poco się wdawać w korespondencję z głupcami, zwłaszcza kiedy w domu nie mamy ani papieru, ani pióra, ani atramentu? — tłumaczył Miś kolegom.

— Jabym już to wszystko przyniósł, żeby tylko był odpis dla pana rządcy i żeby w nim nie stało, że jestem głupi — powiedział Marcin.

— Szanujemy, obywatelu, twoje uczucie honoru!—rzekł Tomcio.—Ale tym razem nie wystawimy piśmiennego dowodu rozumu, ani tobie, ani panu rządcy... Odpowiedź do kantoru poniesiesz wprost na języku, który możesz sobie z ust wysuwać i do ust wsuwać, ile tylko masz ochoty. Bądź zdrów!

Marcin skłonił się teraz i wyszedł, mrucząc pod nosem:

— Dziwną mowę mają ci ludzie; sensu złapać nie można.

Kiedy służący znikł za drzwiami, pozostali lokatorowie trzydziestego piątego numeru spojrzeli po sobie, a pierwszy Olo przemówił:

— Jednakże ten nicpoń rządca gotów nam piwa nawarzyć. Koniec końców, o ile wiem, ma prawo i może nas wyrzucić stąd bez apelacji... Cóż ty mówisz, Tomciu, Niunio przyjedzie?

— Przyjedzie, albo pieniędzy przyśle! — odrzekł Tomcio, który się przechadzał po izbie i widocznie był zamyślony.—Tymczasem wszakże musimy i tak obmyśleć sposób do życia. Niunio jest przecież ziemianinem; może pszenicy nie sprzedał, może go żydzi zawiedli, spalił się, djabli wiedzą, co go zajść mogło, zwłaszcza że baby trzymają chłopca w kurateli. Ale my, bez względu na to wszystko, nie możemy trwać w swojem ubóstwie.

— To i cóż począć? — pytał Olo. — Ja wczoraj wyczerpałem wszystkie możliwe środki; dzisiaj na ciebie, Tomciu, kolej. Jeżeli twój genjusz nas zawiedzie, będzie to pewnym znakiem, że jest już bardzo źle na świecie... Dobrze już po południu, a my bez śniadania.

— Widzę, że Olo robi się coraz czulszym i rzewniejszym, w miarę jak mu się zwiększa łysina, — rzekł Miś. — Co do mnie, to nie straciłem wiary ani w genjalność Tomcia, ani w to, że dziś za niezjedzone śniadanie zjemy kolacyjkę *comme il faut*, furda dziesięć śniadań...

— On mnie będzie czułym nazywał! — zawołał Olo. — A przed chwilą sam stękał i utyskiwał, że dwa dni musi w łóżku leżeć, oczekując, aż przyjdzie nań kolej ubrać się w garnitur.

— Ach, bo nie macie pojęcia, jak ja pragnę wstać z tego przeklętego łóżka!... Być zdrowym,

jak ryba, i zachowywać nieustannie położenie poziome, to okropność!... Garnitur, garnitur, na miłość Boga! Zbawienie duszy oddałbym dziś za garnitur...— wykrzykiwał Miś, miotając się na łóżku.

— Nie krzycz że, warjacie! Niecierpliwość twoja do niczego nie prowadzi: nie dostaniesz za to kawałka marnego śledzia, a zbawienie twojej duszy szeląga nie warte, cóż dopiero garnituru, — mówił poważnie Tomcio, stając przed łóżkiem Misia z rękami skrzyżowanemi na piersiach. — Przed chwilą podawałeś nam głupi projekt, żeby ten jedyny pyszny garnitur zamienić u żyda na gorszy, wziąć dopłatę i zjeść śniadanie... Misiu, tak się nie robi! Porządny człowiek nigdy się nie chwyta ostateczności tego rodzaju. Stracić taki garnitur—to znaczy zamknąć sobie drogę życia, nie mieć już wstępu nigdzie! Raczej śmierć męczeńską z głodu należy ponieść, niż się uciekać do tak heroicznych środków, na które się lada nędzarz zdobędzie.

— To i cóż zrobić?... — pytał Miś. — Prawicie mi oba morały, a sami nic nie robicie.

— Misiu, przeliczymy stosunki twoje w Warszawie, gdyż wiadomości te są mi potrzebne do moich dzisiejszych kombinacyj—powiedział Tomcio.

— Oho, rozumiem! Myślisz, że stamtąd co wyciągniemy? Daremny trud, mój bracie, dałem ja im się wszystkim już dobrze we znaki!

— Nic to nie znaczy; jeszcze niejednego naciągnąć można. Jeżeli człowiek nie da się użyć jako głupi, trafi się z nim do ładu, jako z mądrym. Wymieniaj twoje stosunki! — nalegał Tomcio.

— Kiedy chcesz, wymienię, choć zgóry wiem, że się to na nic nie przyda,—mówił Miś, a potem zaczął na palcach wyliczać: — wuj, radca Srebro— daleki krewny, br. Lasspech, — prof. Gąsiorzyński,

—ciocia Teresa felicjanka,—ks. kan. Moiński,—adw. Lizowski, fabrykant powozów Morykiewicz...

— Stój!... — zawołał Tomcio. — Zanim skończysz ten rejestr, powiedz mi, jaki jest stan majątkowy osób, które wymieniłeś i o ile już nadużyłeś ich zaufania.

— Ho, ho, ho! Każdego wyciągnąłem jak nitkę.

— A czy radca Srebro, to ten z Senatorskiej ulicy? On jest rodzonym wujem twoim?

— Tak, tak; ale, człowieku, on mię okrutnie nienawidzi... Zabronił w domu swoim wymawiania mojego nazwiska!

— A cóż ci to szkodzi? Ja go przecież uważam tylko jako zwyczajnego dostawcę pieniędzy dla ludzi potrzebujących; jego zaś domowe zwyczaje, cnoty i wady wcale mię nie obchodzą.

— Szelma twardy, skąpy, choć bogaty, użyć go nie zdołasz! — powiedział Miś.

— Właśnie trudności, które mi przedstawiasz, podniecają mię... No i wiesz co, gotowym się założyć, że radca Srebro zapłaci nam dzisiaj dobrą kolację, a może i garnitur dla jednego z was.

Miś wzruszył ramionami, wyrażając w ten sposób głęboką niewiarę. Tomcio zaś tak dalej mówił:

— Misiu, wkraczam dzisiaj w twoje rodzinne gniazdo, ponieważ dla rozszerzenia swojej działalności potrzebuję obszerniejszego koła stosunków... Wczoraj Olo dostarczył nam bardzo skromnych funduszów; ale przyniósł butelkę wódki, owiniętą w poranny numer Kurjera. Otóż w tym Kurjerku wyczytałem, że jakiś człowiek, nieznany z nazwiska, zmarł onegdaj w nocy na cholerę w okolicach Starego Miasta, a powracając ze szynku. Myślałem sobie, że tym nieznanym człowiekiem mógłby być każdy z nas trzech... Cóż ci szkodzi, Misiu, umrzeć na cholerę? Ja zaś pójdę z tym numerem Kurjera

do pana Srebro, do barona Lasspech, do cioci felicjanki, wszędzie, gdzie mogą dać pieniędzy na twój pogrzeb... Cóż ty na to?

— Przewybornie! — odparł Miś. — Wyobrażam sobie, jaka radość zapanuje w mojej rodzinie na wieść, że już umarłem!... Radca Srebro z rozkoszą mię pochowa, ciocia Teresa da na mszę świętą za moją duszę, baron Lasspech także się ucieszy, ponieważ zyska trzy ruble na miesiąc; taką bowiem kwotę kazał mi wypłacać swojemu kasjerowi miesięcznie, każdego pierwszego.

— Wystaw sobie, jak on się zdziwi, kiedy duch twój za parę tygodni stawi się do kasy jego po odbiór tych trzech rubli! — mówił Olo.

— Ale powtarzam, że projekt Tomcia jest wyśmienity! — rzekł Miś. — Jednakże, mojem zdaniem, specjalnie na radcę Srebro tylko liczyć tu należy; był on bowiem opiekunem głównym nieletnich braci moich z drugiej matki i jest pewny, że ja mu psuję reputację, wykrywając różne tajemnice owej opieki...

— Co tam darmo tracić czas na czczą gadaninę! — zawołał Tomcio. — Najlepsze są takie kawały, w które się wprowadza tragiczne pierwiastki śmierci i basta!... Ty, Misiu, odegraj mi dobrze swoją rolę!

— A cóż ja mam robić? — pytał Miś.

— Dostać zaraz cholery: krzyczeć, jęczeć, wić się w kurczach, sinieć, blednąć, mdleć — słowem umierać i umrzeć, o ile się to da zrobić do wieczora... Potem zmartwychwstaniesz i pójdziesz z nami na kolację. Jednocześnie i temu bałwanowi rządcy hotelu napędzimy pietra.

I z temi słowy Tomcio wyprostował się jak świeca, poprawił sobie na głowie cylinder, mrucząc pod nosem z „Faworyty";

„Ach, radość mi się śmieje
I miesza moje zmysły:
Bóg jakże dobry
Tak rozkoszny zesłał dzień!
Ach, już spełnione
Słodkie mych snów marzenia!"

Wyszedłszy z pod trzydziestego piątego numeru, Tomcio zwrócił swe kroki do kantoru hotelowego. Zaledwie tutaj wszedł, tak przemówił do Dziurowskiego:

— Panie rządco dobrodzieju! Proszę być cierpliwym przez parę dni; nie mamy czasu myśleć o zapłaceniu rachunku, gdyż bardzo jest prawdopodobne, że nam przyjdzie wyprawić tu w hotelu pogrzeb... Właśnie jeden z moich przyjaciół po odebraniu pańskiego groźnego listu zachorował nagle na cholerę. W tej chwili jęczy biedak i wije się w śmiertelnych kurczach, a ja muszę śpieszyć po lekarza... Do tego to zawsze prowadzi barbarzyńskie zachowanie się rządcy hotelu względem swoich lokatorów. Zaręczam panu, że następstwa tego faktu mogą być nadzwyczajnie smutne.

— Ależ panie! — zawołał Dziurowski. — Przed chwilą byliście panowie wesoło usposobieni, Marcin mi to opowiadał... Cieszyłem się, że moim lokatorom jest tu tak przyjemnie; mieszkajcie, panowie, jeszcze przez cały tydzień, owszem!... Tylko na miłość Boga niech żaden z was nie umrze na cholerę w hotelu!

— Niestety, panie rządco, umrzeć musi!—rzekł bardzo poważnie Tomcio. — Ta straszna epidemja nie ma żadnej wyrozumiałości... I oby tylko ten jeden umarł! Oby goście pańscy nie poczęli snąć w tym hotelu, jak muchy! Tymczasem wiedz pan, że trzydziesty piąty numer, a więc i cała prawa oficyna są bezwarunkowo w stanie cholerycznym. Sumienie moje wzywa mię, abym dla dobra ludzkości zrobił panu takie ostrzeżenie.

Tomcio wykręcił się na pięcie i opuścił kantor, pozostawiając Dziurowskiego w ogromnem przerażeniu. Na krótką chwilę wstąpił jeszcze do swych kolegów, opowiedział im co zdziałał, zalecił Misiowi zachowywanie się odpowiednie i poszedł na miasto. Przebiegł Podwale, zakręcił w ulicę Senatorską, a minąwszy Bielańską, wszedł w bramę jednego z domów.

— Czy jest w domu pan radca Srebro?—zapytał Tomcio szwajcara, nadając sobie bardzo dużo dystynkcji.

Szwajcar z uniżonością zdjął czapkę i dał odpowiedź twierdzącą.

Na drzwiach pierwszego piętra dała się widzieć wypukła porcelanowa tabliczka w bronzowej oprawie, a na tabliczce wypisane było czarnemi głoskami nazwisko „Srebro" z dodatkiem rozmaitych tytułów. Tomcio zdjął kapelusz, otarł czoło i jakby wietrzył przez chwilę; zadzwonił i słyszał, jak służący uwalnia podwoje z łańcuszkowej zasuwy.

— Pan Srebro obawia się złodziei, — pomyślał Tomcio, a ironiczny uśmiech przebiegł mu po ustach.

— Kogo mam oznajmić?—zapytał służący w białych rękawiczkach i we fraku.

— Bajeski! Oto mój bilet.

Służący wprowadził gościa do wspaniałego salonu, pełnego zwierciadeł, majolik i pozłocistości, dokąd też niebawem wszedł i pan radca. Był to człowiek wysoki, poważny, znający widocznie swoją godność i przywykły ją szanować. Panu Srebro mógł ktoś liczyć tak dobrze lat czterdzieści, jak sześćdziesiąt pięć; twarz jego, oczy i włosy na głowie miały mniej więcej jedną barwę—ciemno-szarą, od której odbijały tylko nieco ciemniejsze faworyty. Wyglądał jak zimny mąż stanu, na którego fizjognomii nie odbija się ani nieszczęście, ani

smutek, ani żadne uczucie, charakteryzujące ludzi pospolitych. Tomcio umiał swoje postępowanie wybornie przystosować do charakteru osób, z jakiemi miał do czynienia. Pełen światowej swobody, skłonił się etykietalnie panu radcy i rzekł:

— Przykro mi bardzo, iż pierwszy raz wstępując w progi szanownego domu pańskiego, przynoszę tu ze sobą niemiłą nowinę...

Radca Srebro nic nie odrzekł, lecz wzrokiem wyraził pytanie, co wyraźnie dało się tak ująć:

— Nie wszystko może być smutne dla mnie, czem się smucą inni ludzie wogóle, proszę mi sprawę wyłożyć kategorycznie.

Tomcio to wszystko skombinował i z całą powagą dobrze wychowanego człowieka mówił:

— Nigdy mię nie łączyły z pańskim siostrzeńcem Michałem Spileckim uczucia prawdziwej przyjaźni; był to bowiem młodzieniec zbyt lekkomyślny, ażeby zdołał pociągnąć i przywiązać do siebie ludzi, mających poważniejszy pogląd na życie. Jednakże zaprzeczyć nie mogę, iż łączyły mię z nim stosunki dalszego pokrewieństwa i koleżeńskiego życia: byliśmy razem w szkołach, a w wojsku służyliśmy w jednym szwadronie.

Pan Srebro spuścił oczy i końcami palców jednej ręki dotykał odpowiednich końców palców ręki drugiej, jakgdyby sprawdzał symetryczny układ tych kończyn. Bajeski zatrzymał się przez krótką chwilę, poczem z pewnym przyciskiem ciągnął dalej:

— Dziś zresztą nie należy nawet wspominać, jakiego rodzaju uczucia nakazują mi zwrócić się do pana radcy.. O umarłych podobno godzi się mówić tylko dobrze, a właśnie chodzi wyłącznie o to, aby biednemu Misiowi oddać ostatnią posługę.

— Jakto?... — spytał radca głosem poważnym. — Michał Spilecki nie żyje?

— Tak jest, nieco więcej niż dzień czasu, jak wyzionął ducha.

— Cóż się takiego stać mogło? — zapytał pan Srebro głosem zmienionym, w którym jedynie przebijał się pewien żywszy interes dla usłyszanej wiadomości, ale nie współczucie dla zmarłego krewniaka, lub jakieś przerażenie.

— Straszna choroba! — rzekł Tomcio, udając mocne wzruszenie.

— Rozumiem, rozumiem! — mówił radca, ożywiając się do rozmowy.—Jakie życie—taki koniec...

— Ma pan radca zupełną słuszność, — mówił Tomcio. — Gdyby Miś prowadził był porządniejsze życie, nie należałby do pierwszych ofiar strasznej epidemji.

— Jakiejże to epidemji?

— Cholery, jak to stwierdzili lekarze, a obwieściły gazety...—powiedział Tomcio, rozwijając przed panem radcą numer Kurjera.

Srebro rzucił okiem, a przeczytawszy napis: „pierwszy wypadek choleryczny", zmienił się ogromnie i, nie czytając już dalej, mimowoli zrobił gest, jakby chciał odsunąć od siebie Kurjer razem z Tomciem. Opamiętawszy się jednak nieco, zsunął obie wygolone starannie wargi w ryjek i zawołał:

—Uuu!.. Cholera! Uuu!... Pan prosto stamtąd wraca?. Trzebaż zmarłego czemprędzej pogrzebać... Cóż za niedbalstwo, że tego dotąd nie uczyniono!

— Tak jest, panie radco, trzeba go pogrzebać, trzeba...—pochwycił Tomcio.—Właśnie też przybyłem do pana w tem przekonaniu, iż najodpowiedniej będzie, jeżeli wuj zajmie się pogrzebem siostrzeńca, ponieważ nie wiedziałem, gdzie szukać innych członków rodziny Misia...

— Och, jest tu ciotka jego, stara panna felicjanka, która, o ile wiem, zawsze kochała bardzo tkliwie Misia za życia, podczas gdy ja miałem powody... Więc możeby ona się zajęła tym pogrzebem, kobieta bez najmniejszych obowiązków. Ja nawet gotów jestem ponieść koszta, bo Michał pewno nic po sobie nie zostawił, będąc całe życie niepoprawnym szałaputą...

— Panie radco dobrodzieju! — zawołał Tomcio, niby uniesiony entuzjazmem moralności. — Nie sądźmy czynów człowieka, którego dusza w tej chwili już jest przed sądem wysokiego trybunału. Michał podobno ostatnie chwile swego życia zakończył bardzo przykładnie, jako przystoi na dobrego chrześcijanina... Przebacz mi też, pan radca, iż ja, jako mężczyzna, mogę się zwrócić z propozycją pogrzebu swego kolegi tylko do mężczyzny; ale czyżby mi wypadało zwracać się do kobiety? Do ciotki Misia, a siostry pana radcy?... Nie! Co się zaś tyczy różnych rzeczy, pozostałych po Misiu, mianowicie bardzo dostatniej garderoby, to polecę, aby ją zarząd hotelu odesłał do domu pana radcy.

— Panie Bajeski, szanowny panie Bajeski! — zawołał Srebro, zrywając się z krzesła.—Niech Pan Bóg broni! Proszę mi tu nie nasyłać żadnych rzeczy po zmarłym na cholerę siostrzeńcu! Niechaj to będzie sprzedane lub oddane na cele dobroczynne!

Tu znowu Tomcio założył opozycję, iż przeciwnem jest zasadom moralności, ażeby ratować ubogich ludzi od zimna, a jednocześnie zarażać ich cholerą; dowodził on również, że za nic w świecie nie odważyłby się wysprzedawać rzeczy, które pozostały po jego zgasłym przyjacielu, a zawierają w sobie liczne kolonje cholerycznych bakteryj, mogących zabić nietylko pojedyńczego człowieka, lecz całą rodzinę, nietylko rodzinę, ale dobrze zaludnione państwo.

Srebro zrazu upierał się, iż rzeczy owe możnaby było jednak sprzedać żydom, handlarzom starej garderoby; Tomcio atoli stanął na tak szerokiej podstawie etycznej, iż przekonał radcę, że i żydom nie godzi się sprzedawać rzeczy pozostałych po zmarłym na cholerę.

Taka obrona wzniosłych zasad humanizmu postawiła Tomcia bardzo wysoko w wyobraźni pana radcy Srebro. Gdy więc już spór został ukończony, gdy Bajeski argumentami swemi na każdym punkcie odniósł moralne zwycięstwo, wtedy radca złożył w jego ręce pięćdziesiąt rubli na koszta pogrzebu Misia. Tomcio udawał zrazu, iż ma pewne skrupuły rozporządzać tą sumą; kiedy ją jednakże już ulokował w swej kieszeni, poczuł naraz w sobie taką chęć zjedzenia za jednem posiedzeniem śniadania, obiadu i kolacji, iż pośpiech jego nastręczył wujowi Misia niejakie wątpliwości oraz podejrzenia, czy to wszystko nie jest jakim wyzyskiem.

To też zaraz po odejściu Bajeskiego pan radca przyzwał swego lokaja i tak mu polecał:

— Idźno na Podwale, do hotelu Słowiańskiego i dowiedz mi się od rządcy lub szwajcara, czy tam rzeczywiście zmarł na cholerę pan Michał Spilecki... Tylko mi też długo nie baw i wracaj czemprędzej!

W hotelu istotnie zrobił się ogromny rwetes; wieść o cholerze cicho z ust do ust obiegała pomiędzy służącymi i tajemniczo przedostawała się między lokatorów, jakkolwiek pan rządca wydał polecenie służbie, ażeby obcym ludziom nic o tem nie mówiono. Kiedy Tomcio powrócił ze swej wyprawy i przechodził przez dziedziniec hotelu, przyglądano mu się, jako jednej z zapowietrzonych ofiar. Podczas jego nieobecności Miś od czasu do czasu z łóżka swego wydawał straszny jęk, lub okrzyk jakoby boleści, który dolatywał do uszu

przechodniów na dziedzińcu i w korytarzu. Trwożliwszego usposobienia lokatorowie cichaczem wynieśli się ze Słowiańskiego hotelu. Potem ucichły już jęki i krzyki Misia, a służba szeptała między sobą:

— Zlitował się Pan Bóg widać nad biedakiem, skrócił mu męki, zabierając go do chwały swojej.

Tomcio tymczasem przyniósł dwom lokatorom trzydziestego piątego numeru mnóstwo różnych wiktuałów, jedną butelkę piwa i drugą wódki. Kiedy się zaś wszyscy już nasycili i ugasili pragnienie, złożyli między sobą walną naradę i postanowili, ażeby, dla utrzymania dobrej opinji w hotelu, Miś uchodził za umarłego, dopóki nie nadejdzie właściwa pora do zmartwychwstania. Chodziło o zrobienie ostatecznego wrażenia, więc Tomcio wysunął na środek izby łóżko z Misiem, nakrył go prześcieradłem, sam zaś, przybrawszy wyraz twarzy ponury i zgnębiony, przyzwał Marcina i polecił mu, aby zakupił funt świec, które przez całą noc jakoby miały płonąć przy zwłokach nieboszczyka. Właśnie Marcin szedł do miasta po świece, kiedy służący pana Srebro wybadywał w bramie szwajcara. Marcin, idąc, bił się w piersi i odmawiał: „a wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie!" Szwajcar, pomny na zalecenia pana rządcy, nie chciał zdradzić wypadku cholery; jednakże wszyscy w hotelu ludzie mieli tak przerażająco uroczystą postać, że służący pana radcy uważał posłannictwo za spełnione.

Kiedy Marcin powracał z miasta, niosąc świece — rzekł do szwajcara.

— Skończyło się! Już skonał... Widziałem trupa na własne oczy. Wycierpiało się nieboraczysko, nawrzeszczał się wniebogłosy, aż mi się ckliwo robiło w duszy... Co to, panie Macieju, warte życie człeka! Dziś żyje, jutro gnije i koniec.

A potem nachylił się do ucha szwajcara, szepcąc:

— Nasz Dziurowski nie jest w tem czysty... O nie, nie! On tym listem musiał mu coś zadać. Będą z tego tarapaty, jak mi Bóg miły... Nieboszczyk Śledzikiewicz samby umarł, jako i zrobił, a nie pozwoliłby na śmierć gościa w hotelu.

— No, a powinienby Dziurowski zaraz donieść policji, żeby utrapienia jakiego nie było — mówił Maciej, szwajcar.

Już się dobrze zmierzchało, kiedy niezmordowany Tomcio, wyzyskując sytuację, wszedł do składu trumien i kazał sobie sporządzić firmowy rachunek za trumnę na pięćdziesiąt rubli; potem pobiegł do magazynu ubiorów męskich, wybrał tam czarny garnitur, który polecił odnieść do hotelu dla nieboszczyka, pokrycie zaś rachunku przekazał na jaśnie wielmożnego radcę, Hieronima Srebro, zamieszkującego przy ulicy Senatorskiej Nr 18. Jednocześnie też przesłał i rachunek za trumnę, jako usprawiedliwienie wydatku pięćdziesięciu rubli, które wziął od pana Srebro na koszta pogrzebu.

— A co, mamy już pieniądze i potrzeba nam tylko jednego jeszcze garnituru, a będziemy mogli dzisiaj bardzo przyjemnie przepędzić nockę! Spracowałem się, jak dorożkarska szkapa; ale widzicie że są owoce czynu — mówił Tomcio do swoich przyjaciół.

— Tylko, mój drogi, o ten trzeci garnitur będzie nam podobno najtrudniej — rzekł Olo, wzdychając i jednocześnie zaciągając się papierosem.—Wyciągnąłeś, Tomciu, tak djabelnie stosunki, że tu wcale nie jest bezpiecznie pozostawać w hotelu; lada chwila możemy dostać bezpłatny numer najprzód w cyrkule, a potem zamieszkać w przymusowym hotelu na Pawiaku.

— O, ludzie małego ducha!... Ani o trzeci garnitur nie jest tak trudno, jak się tobie, Olu, zdaje,

ani też na Pawiak nie tak łatwo się znowu dostać porządnemu człowiekowi, który ma głowę na karku. Mógłbym już teraz przecie kupić trzeci garnitur za gotówkę; ale gotówki szkoda, zwłaszcza, gdy się ma pewność zdobycia przepysznej garderoby bezpłatnie. Jestem już taki, że kiedy raz wpadnę w zapał urządzania kawałów, genjalne pomysły sypią mi się jak z rękawa... Tylko wy mnie słuchajcie i polecenia moje wykonywujcie ze ścisłem posłuszeństwem. Zanim się obmyśli jakiś nowy plan życia, trzeba najprzód rozwiązać zawikłanie z cholerą i śmiercią.

— Drżę na myśl, że tu może przybyć policja i zaaresztować mię za udawanie nieboszczyka oraz za szerzenie alarmu o cholerze — rzekł Miś z pomieszaniem.

— Kiedyś taki tchórz, to wstawaj, łazarzu, ze swego łoża śmierci, ubieraj się w mój garnitur i ucz się porządnie żyć na świecie, który jedynie dla mądrych istot jest przeznaczony na siedlisko. A ty, Olu, wdziewaj na siebie ten czarny strój, w którym Miś, jako nieboszczyk, miał paradować na tamtym świecie niby.—Takie rozkazy wydawał Tomcio swoim towarzyszom.

— A cóż się stanie z tobą, mistrzu?—zapytywali zkolei Miś i Olo.

— Ja najdłużej do dziesiątej będę tu udawał nieboszczyka, o dziesiątej będę musiał powstać z martwych i przyjdę na konjak pod „Kometę", gdzie przedewszystkiem wypiję jeden kieliszek za zdrowie Dziurowskiego, ponieważ mię pobudził do wielkich czynów, drugi za zdrowie radcy Srebro, a trzeci za zdrowie Wróbelkiewicza, który mi musi oddać swój garnitur, albowiem miara jego wzrostu wyrównywa mojej.

— Bój się Boga, cóż znowu za kawał przygoto-

wujesz Wróbelkiewiczowi?—zapytał Olo z niejakiem przerażeniem.

— To już rzecz moja—rzekł Tomcio.—Na tego człowieka mam specjalną chrapkę. A przecież nie możecie wymagać ode mnie, ażebym się przed wami zjawił pod „Kometą" w bieliźnie... Wróbelkiewicz dostarczy mi garnituru; ażeby to zaś nastąpiło, wy musicie mi tutaj dostarczyć Wróbelkiewicza, do którego natychmiast napiszę ołówkiem bardzo tkliwy list.

— Ależ, Tomku, chyba ty nie pamiętasz, że z tym Wróbelkiewiczem, literatem, wszyscy jesteśmy jakoś na bakier!... Przecież między nim a tobą miał się nawet kiedyś odbyć śmiertelny pojedynek o pięć kroków na komendę z mety, wtrącił się tylko sąd honorowy i spełzło na niczem... Jakże więc teraz możesz do niego pisać?... Prócz tego, o ile wiem — mówił Miś — zazdrości on ci ogromnie stosunków z Mińcią... Jest naszym wrogiem, czerni nas okrutnie wszędzie i na wszystkie strony.

— Ha, ha, ha! Lubię ludzi tak naiwnych, jakimi wy obaj jesteście... Właśnie też dla tych powodów, któreś ty, Misiu, przytoczył i dla innych jeszcze, mnie samemu wiadomych, zamyślam urządzić Wróbelkiewiczowi kolosalny kawał. Oh, mam ja go dobrze w łapach!...—Przy tych słowach po twarzy Bajeskiego przebiegł, jakby cień piekielnej rozkoszy. — On się na moje wezwanie stawi, jestem tego pewny!—znam tę naturę głupią, próżną, nikczemną do gruntu, a chciwą opinji cnotliwca. Wezwany, przyjdzie tylko do mnie jednego, ponieważ znam skryte tajemnice jego duszy... Przyjdzie, ponieważ w Warszawie jest nas tylko para genjalnych ludzi: on i ja, lub ja i on... Nie, on jest pierwszy i dlatego ja go tak strasznie nienawidzę... Co za rozkosz! Jeżeli palcem skinę, Wróbelkiewicz się musi stawić i musi zrobić to, co ja mu rozkażę.

— Oj, gwałtu, jakiś ty, Tomciu, zawzięty! Musisz okropnie nienawidzieć tego Wróbelkiewicza?... Co ty z nim zrobić myślisz? — zapytywał Miś.

— Tymczasem doręczcie mu list, który w tej oto chwili napiszę.

To rzekłszy, Bajeski usiadł i ołówkiem na dużej karcie wizytowej czas jakiś pisał list, który następnie przyjaciołom swoim odczytał:

Panie!

„Jakkolwiek posiadam znaczny zastęp przyjaciół, o czem sam pan wiesz najlepiej, jednakże, gdy mi dziś potrzeba dyskretnej pomocy, muszę się zwrócić do ciebie, którego uważam za chodzący ideał c n o t l i w e g o dżentelmena. Interes jest nader ważny, więc nie chciej się pan dopuścić n a j m n i e j s z e j zwłoki; oczekuję na pana w hotelu Słowiańskim pod numerem trzydziestym piątym. Ponieważ tu jest potrzebna znaczna dyskrecja, przeto nie należy służbie hotelowej zadawać żadnych pytań co do mojej osoby".

— A teraz tobie, Misiu, daję taką przestrogę: w Warszawie musisz przez jakiś czas uchodzić za nieboszczyka; kto wie, naco nam się to może jeszcze przydać, więc się w mieście niebardzo afiszuj!... Gdyby się Srebro dowiedział, że żyjesz, niezawodnie zapragnąłby w nieprzyjemny dla mnie sposób szukać odwetu za wyłożone koszta na trumnę i pogrzebowy garnitur. Otóż, niechaj Olo z tym moim listem uda się do Lourse'a i poleci go natychmiast chłopcu posługującemu wręczyć do rąk Wróbelkiewicza, który w tej chwili przesiaduje właśnie na bilardzie.

— No, a jeśli go tam przypadkiem nie będzie właśnie? — zapytał Olo.

— Takiego przypadku być nie może w życiu Wróbelkiewicza... Do godziny dziewiątej on musi być na bilardzie, uważa to sobie nietylko za punkt honoru, ale za konieczność, za obowiązek!

— Ale, gdyby naprzykład miał bardzo przyjemne *rendez-vous*, toby w takim razie niezawodnie nie przyszedł na bilard — nalegał Olo.

— Gdyby miał nadzwyczajnie przyjemne rendez-vous—rzekł Tomcio—toby i w takim razie powiedział swemu rendez-vous: do godziny dziewiątej wieczorem mam czas tak zajęty, tak bardzo zajęty, że przybyć nie mogę między ósmą a dziewiątą. Trzeba bowiem wiedzieć, poco Wróbelkiewicz bywa w tym czasie na bilardzie... Przecież nie przychodzi on tam dla zabawy, tak jak inni głupcy! W życiu takich Wróbelkiewiczów nie zachodzą nigdy żadne nagłe zmiany, mózg ich musi funkcjonować tak regularnie, jak ich żołądek; są to bowiem spokojni, systematyczni ludzie. Wróbelkiewicz nie zabrnie nigdy w taką ostateczność, w jaką my częstokroć popadamy; on tylko innych ludzi do ostateczności doprowadza... Jest to jego wyższość nad nami. Ale na Boga, spieszcie się, bo czasu niema!

Miś i Olo, porządnie przybrani, nacisnąwszy na oczy kapelusze, wyszli nareszcie z pod trzydziestego piątego numeru. W przechodzie spotkali na dziedzińcu Marcina, który w ciemności rozprawiał o cholerze z innym jakimś hotelowym służącym. Kiedy dwaj przyjaciele przechodzili mimo, Marcin cofnął się z uszanowaniem, mówiąc:

— Jezus Marja, Józefie święty!... Toż tamten oto wygląda tak zupełnie, jak ów zmarły nieboszczyk.

— Tak wam się tylko dwoi w oczach, Marcinie,

—odrzekł służący.—Nieboszczyk musiał już dobrze ostygnąć, a ci dwaj wyszli na świat, bo cóż mają siedzieć przy zapowietrzonym trupie?

— Juści tak chyba być musi — powiedział Marcin — ale skąd oni wytrzasnęli tyle ubrania?... Ciekawa też rzecz, kto będzie chciał teraz mieszkać pod trzydziestym piątym numerem?

I Marcin poszedł w swoją stronę, a jego interlokutor w swoją.

II

DOBRZY ZNAJOMI

Opuszczony przez towarzyszów Tomcio starannie zasłonił teraz okno, położył się na łóżku, z którego Miś wstał przed chwilą i rozpoczął odbywać cierpliwe wyczekiwanie na rezultat listu, powierzonego Olowi.

Tymczasem przez niedomkniętą furtkę w bramie, na dziedziniec Słowiańskiego hotelu wszedł jakiś chudy pies, obszedł śmietniki i wszystkie kąty, powydobywał z rynsztoka rozmaite rzeczy, dające się spożyć, a przeświadczywszy się dotykalnie, iż ludzie niewiele jadalnych rzeczy wyrzucają ze swych rodzinnych ognisk na śmiecie, wszedł na korytarz prawej oficyny i rozłożył się tam na progu, tuż przed drzwiami trzydziestego piątego numeru. Pies zdawał się być bez domu i żadnej opieki; zrazu leżał on pod drzwiami spokojnie, później coś mu do łba przyszło i począł we drzwi skrobać łapą, czyli pukać na psi sposób.

Tomcio przez jakiś czas spokojnie wysłuchiwał tego skrobania; ale gdy się powtarzało, zapomniał o swej roli nieboszczyka, wstał z łóżka i przez drzwi uchylone wyjrzał na korytarz; zobaczywszy tu zaś nędznego psa, wpuścił go wewnątrz. Pies był strasznie zbiedzony, sierść prawie zupełnie oblazła z niego, na ciele miał pełno strupów, ran mniejszych i większych rozmiarów, a ponieważ to był rodzaj żeński, więc pod spodem ciała wisiały narządy karmienia dzieci; były one bardzo pokaleczone i pokrwawione.

Widocznem było, iż matka psiego rodu nie miała czem karmić swoich dzieci, przeto zgłodniałe potomstwo do krwi jej się dobierało i z tych nędznych wymion, zamiast mleka, ssało resztki krwi biednej rodzicielki. Tomcio, chociaż nie odznaczał się tkliwem sercem, zrozumiał jakoś nieszczęście tego zwierzęcia i oddał mu skąpe resztki po owej uczcie, którą niedawno spożyli byli lokatorowie trzydziestego piątego numeru. Pies rzucił się na te szczątki z szalonym apetytem. Atoli biedne stworzenie jeść nie mogło, pokarm usuwał się psu z ust nieustannie, a on porywał znowu wypadłą żywność i znowu jej zjeść nie mógł. Przez parę minut trwały te usiłowania zwierzęcia, a ciągle bez powodzenia. Nieszczęśliwa suka zachwiała się na nogach, spojrzała rozumnie w oczy Tomciowi, potem podniosła wgórę głowę i zawyła żałośnie; nareszcie upadła i zdawała się zasypiać. Jakie ta matka miała marzenia o swoich dzieciach, o jałmużnę dla których wyszła zapewne żebrać nocną porą, tego nie wiemy; ale zdaje się, iż była ona tak osłabiona, że legła tutaj zapewne, aby zakończyć swój marny żywot. Być może, przypominały jej się w czasie konania rodzone dzieci, szczenięta, pozostawione gdzieś na śmieciach w głodzie, bo od chwili do chwili wyła żałośnie, aż Tomcia od głosu tego przechodziło mrowie, a nie miał on w sobie tyle odwagi, aby psa za drzwi wyrzucić, chociaż obecność zwierzęcia sprawiała mu dość przykrości. Owo żałosne wycie, rozlegające się od czasu do czasu pod trzydziestym piątym numerem, nie uszło uwagi Marcina, który w interesach swego zawodu wałęsał się po dziedzińcu. Przystanął, posłuchał, ale wycie trwało krótko, rozlegało się niby płacz rozpaczy, krzyk duszy, której ciężko rozstać się z tym światem—i znowu zalegało milczenie.

Strach ogarnął Marcina, przeżegnał się i uchodził czemprędzej, mrucząc pod nosem:

— Okropności dzieją się dzisiaj pod tym trzydziestym piątym numerem... Za nieboszczyka Śledzikiewicza przez dwadzieścia lat ani razu nie było tu nic podobnego.

Niebawem jakoś pod trzydziesty piąty numer biegł raźnym krokiem człowiek wykwintnie ubrany i pełen dystyngowanych manier. Był to pan Zeno Wróbelkiewicz, jeden z naszych mniej znanych, ale powszechnie cenionych literatów w Warszawie. Buty skrzypiały pod nim, a na palcach jego połyskiwały brylanty i złoto licznych pierścionków. Wbiegł pod wskazany sobie numer, a przy wejściu z wielką łatwością ześliznął się z niego jesienny palton, wyłożony gładką jedwabną podszewką; następnie zaś z fizjognomją człowieka, pewnego siebie w najwyższym stopniu, Wróbelkiewicz przystąpił do Bajeskiego, wyciągniętego jak drut na łóżku i rzekł:

— *Bonsoir!...* Wezwałeś mię tak tajemniczo, więc przybyłem! — Ale mówiąc to, potknął się o psa i zawołał: — Ach, pies jakiś!... Jeśli się nie mylę, moja poczciwa Norma, którą przed trzema miesiącami wypędziłem z domu, gdyż mi sprowadzała pod drzwi za dużo swoich czcicieli.

Pies, usłyszawszy nazwisko, podniósł się z trudnością i podszedł, czołgając się, parę kroków dalej.

— Dziwny zbieg okoliczności, — odezwał się Tomcio.—Coś zawsze ja daję opiekę i schronienie twoim ofiarom, panie Zenonie.

Wróbelkiewicz skrzywił się, robiąc fizjonomję człowieka, niezadowolonego z obrotu rozmowy; zwrócił się atoli poważnie do Bajeskiego i rzekł:

— Porzuć pan raz w stosunkach ze mną romantyczność, przemawiaj realnie! Zaszargałeś się pewno znowu podług zwyczaju i chcesz ode mnie

wyłudzić trochę pieniędzy!... Pocóż mię więc było wzywać nocą i tak tajemniczo?

— No, bo sprawa jest ważna — odpowiedział Tomcio.

— Jest ważna, naturalnie, dla ciebie tylko.

— Ja nigdy nie jestem w grze! — zawołał Bajeski. — Zawsze ty tylko, panie Zenonie, ty jedynie... Ja, choć uczniem twoim jestem, nie zdołałem się jednak ani razu wznieść do wysokości szubienicy... Widzisz pan, ciągle zarabiam skromnie, zarabiam małemi kawałami, podczas gdy ty...

— Ileż ci potrzeba? Mów wprost, bez wszelkiej peripatetyczności! — mówił Wróbelkiewicz, rzucając się niespokojnie. — Spodziewałem się twego napadu, bo milczałeś przez miesiąc przeszło...

— Dzisiaj nie potrzebuję pieniędzy; mam kilka groszy, za które noc przeżyję, a jutro jeszcze daleko... Ale widzisz, że nie mogę się stąd ruszyć, nie mam czem grzbietu nakryć.

— To ci się nie pierwszy raz przecież zdarza! Alboż to moja wina?

— Widzę, że gotów jesteś prawić mi morały! Ciekawa to rzecz dla mnie, panie Zenonie, jak ty umiesz się przepoczwarczać: wczorajszy oszust, złodziej, cynik, nikczemnik, przybiera dziś na siebie postać moralisty, filantropa, patrjoty.

— Milcz, łotrze! — zawołał Wróbelkiewicz, zaciskając zęby i wzrokiem nienawiści przeszywając Tomcia.

— Ha, ha, ha!... Ja mam milczeć? Muszę wiedzieć, za co mam milczeć. Jeżeli ty stajesz się niekiedy moralnym i masz odwagę dawać mi nauki, to czemużby dla mnie obcemi miały być te wielkie uczucia? Wyobraź sobie, że mię napada moralność; cóżbym ja powinien zrobić w przystępie tego ata-

ku? Iść do biura policji i zameldować następującą historję: Było to w roku 1870-ym, jeśli się nie mylę...

— Dosyć tego! — przerwał Wróbelkiewicz, oglądając się na wszystkie strony. — Mów, czego chcesz ode mnie!

— Ach, nie lubisz pan tej daty! — Przerwał Tomcio. — Jest to data twego krzywoprzysięstwa. Jako wierny biograf, mam w zapasie daty inne, wybieraj!... Falszerstwo wekslu, zdrada zaufania, przechowywanie rzeczy kradzionych, oszustwo w kartach i t. d., nie licząc drobnych kradzieży i uwodzenia kobiet...

— Sądziłem, że ci się spieszy — rzekł Wróbelkiewicz, siadając. — Ale widzę, że chcesz dłuższej konwersacji, więc słucham.

— Święta prawda! Już za długo rozmawiamy, więc kończę: mam honor prosić pana o oddanie mi swojej garderoby, której pożyczam sobie na czas nieoznaczony...

— Garderoby? Ale przecież nie mogę wyjść stąd w koszuli?

— Poco wychodzić? Ja się czasem tak wylegуję dwa i trzy dni zrzędu.

— Czy pragniesz, ażebym cię naśladował? Nie mam wcale do tego chęci.

— Ja ci chęci dodam, panie Zenonie... Myślałem sobie właśnie przed chwilą: za co mię karze Opatrzność, podczas gdy Wróbelkiewicz używa swobody; jeżeli go dziś zostawię w łóżku bez ubrania, nie będzie miał możności popełnić jutro czynu, za który sprawiedliwość ludzka karze winnego bardzo długiem zamknięciem... Pozostań więc lepiej nawet przez parę dni tu w numerze, zamiast od siadywać w innym numerze przez długie lata... Powiesz może, iż jestem nielogiczny i obrany z zasad humanizmu?

— Cóż znowu ma znaczyć ten strzał z zasadzki? - zapytał Wróbelkiewicz.

— Pan dobrze wiesz, o co chodzi, sądzisz tylko, że ja o niczem nie wiem; tymczasem ja mam dokumenta...

— Mów wyraźnie! — zawołał Wróbelkiewicz, zucając piorunujące spojrzenie.

— Skoro chcesz, więc powiem — odparł Tomcio sięgając ręką pod poduszkę, wyjął zwitek papierów, odnalazł między niemi świstek i pokazał go Wróbelkiewiczowi zdaleka, mówiąc ironicznie: — ięknie udany podpis hrabiego Pstrokońskiego, choć o dopiero próba pióra!... Wyobrażam sobie zdzienie tego sknery, kiedy zobaczy, iż go ludzie odpisują lepiej, niżby to zrobił on sam własnoęcznie.

— Skąd masz ten świstek? — krzyknął pan Zeon, rzucając się na Bajeskiego.

— Otwarcie wyznaję, znalazłem go w twoim pularesie, który ci przed tygodniem wypadł na zieię u Mini. Zdaje mi się, żeś wtedy musiał paść a kolana przed swym ideałem; ja wszedłem, wycie oboje powstali, panował mrok, no i w mroku omacałem się pugilaresu... Wyjąłem z niego tylko ę karteczkę, a potem już śledziłem cię, bratku, więc nie dziw się, iż wiem wszystko. Pugilares wróciła ci Minia, a przyznasz, że oprócz karteczki nic w nim nie brakowało...

— Więc, więc... Jakież stąd wnioski?... Nie mogę jeszcze nic zrozumieć — mówił Wróbelkiewicz ardzo pomieszany.

— Wnioski, wnioski?... Jutro o godzinie dwunatej, w samo południe, w jednym z tutejszych banów — i to także wiem w którym — człowiek z czarnemi wąsami i bokobrodami podniesie na weksel ir. Pstrokońskiego sumę dwudziestu tysięcy rubli.

Człowiek ten ma sobie zalecone, ażeby pieniądze skrupulatnie przeliczył, a następnie przybył do Stępkowskiego i w pokoju na prawo wręczył sumę innemu człowiekowi, mającemu już dzisiaj w kieszeni przygotowany pasport zagranicę... Oto moje wnioski!

— Przeklęty szatanie! — zgrzytnął Wróbelkiewicz. — Nieszczęście związało mię z tobą.

— Więc oddaj mi swą garderobę, nie zwlekaj, bo mogę popsuć cały interes... Pieniądze ja odbiorę jutro od tego, który je z banku podniesie; jemu dam umówioną kwotę, a resztą podzielimy się oba... Bądź wspaniałomyślny, panie Zenonie, dla dawnego swego murzyna!

Wróbelkiewicz był zgnębiony, pobladł jak płótno, bełkotał coś niewyraźnie, a kiedy Tomcio nań nalegał, okazał zupełne posłuszeństwo i oddał mu całą swoją garderobę, pozostając pod trzydziestym piątym numerem w najzupełniejszym negliżu.

Kiedy Tomcio miał już wychodzić, pan Zenon odezwał się jeszcze z pewnym żalem w te słowa:

— A któż mi teraz zaręczy, że obdarłszy mię dziś z garderoby, nie zechcesz w dodatku zabrać jutro wszystkich pieniędzy, a prócz tego szerzyć po świecie potwarzy, któremi mię zwykłeś obsypywać dotąd w cztery oczy?

— Ja ci ręczę honorem człowieka, który źle tylko umie robić, ale ma jedną tę zaletę, że nigdy nie udawał i nie udaje cnoty... Dla ciebie o wiele lepiej będzie, że ja odbiorę owe pieniądze z banku, w razie dochodzenia sprawa będzie nadzwyczajnie skomplikowana. Sam rozumiesz to najlepiej.

Z temi słowy Bajeski wyszedł, a pozostał w lokalu Wróbelkiewicz i pies umierający. Pies ten wydawał ze siebie przeraźliwe charczenie, które nieprzyjemnie przerywało ciszę nocną. Pan Zenon

siedział na łóżku, oddając się widocznie jakimś niemiłym refleksjom; twarz bowiem miał skrzywioną, oczy wlepił w przeciwległą ścianę i tak pozostawał w zadumie.

Naraz z piersi psa wypadł jęk bardzo przykry, który wyrwał Wróbelkiewicza z zamyślenia.

— Norma! — zawołał. — Biedna moja Norma!

Suka przywlekła się z trudem do łóżka; on wyciągnął do niej rękę, ona mu rękę poczęła lizać; wpatrzył się, spostrzegł wielką nędzę psa; myślał, czyby nie można było zwierzęciu nieść jakiej pomocy; ale Norma smutnym wzrokiem spojrzała w oczy swego pana, wydała przeraźliwe wycie, padła na ziemię, zatoczyła się w konwulsjach i skonała.

Wróbelkiewiczowi zrobiło się zimno; ten jęk ostatni psa, którego on wypędził ze swego domu, ta śmierć w nędzy musiały mu nasunąć teraz jeszcze przykrzejsze myśli, bo bardziej pobladł i toczył dokoła wzrokiem błędnym, pełnym niepokoju.

Zaledwie dziesiąta godzina wybiła, kiedy Tomcio w dostatniej garderobie, w kapeluszu wsadzonym na tył głowy i z bardzo gęstą miną wszedł do handlu pod „Kometą". Jak tylko się tutaj pojawił, spostrzegł zdaleka Ola i Misia, siedzących przy stoliku, na którym stały przygotowane trzy kieliszki, butelka konjaku z etykietą Martela i talerzyki z kawiorem.

— Przeżyłem przez dzisiaj całe życie! — zawołał Bajeski do swych towarzyszów. — Więc będę jadł i pił tak, jakbym żył kilku życiami... Hej, garson, proszę nam dać oddzielny gabinet!

Z temi słowy Tomcia całe towarzystwo potoczyło się na górkę do osobnego pokoju, gdzie niebawem rozpoczęto obfitą i wesołą ucztę przyjacielską.

III

Z KSIĘGI RODZAJU

Kto był Tomcio Bajeski?

Rodzina Bajeskich od wieku dziedziczyła wioskę Grzędzicę w okolicach Proszowic. Nie była to wielka szlachta, ale i nie drążkowa. Każdy Bajeski odznaczał się pod względem fizycznym wysokim wzrostem, szerokiemi barami i nieco pochyłem trzymaniem karku. Wszyscy Bajescy rodzaju męskiego byli zuchwali, butni, pochopni do awantur; umieli oni dobrze pić, mieli zamiłowanie w polowaniu, w hazardowych grach, oraz byli skwapliwymi zwolennikami płci nadobnej. Charakterystycznem dziedzictwem owej rodziny było to, iż zawsze przychodził na świat jeden tylko syn, podczas gdy córek rodziło się po kilka. Tomcio urodził się wtedy już, kiedy ojciec jego liczył pięćdziesiąt dwa lata życia i po raz czwarty zawarł związki małżeńskie z jakąś Węgierką, jak mówiono. Matka, wydawszy na świat potomka płci męskiej, zapadła w ciężką gorączkę i zmarła. Tomcia więc wychowywał ojciec i mamka. Chłopak rósł pysznie, był pulchny jak kluska, co ojca niezmiernie uszczęśliwiało. Brał też nieraz stary pomiędzy dwa palce kawałek policzka malca, mlaskał mu językiem lub cmokał wargami i mówił:

— Bestja chłopak zdrów, czysty Tatar, tłusty i ślepie ma wyłupiaste jak każdy Bajeski!

Po mamce przyjęto do Tomcia nianię, po niani — bonę, po bonie — guwernera. Ale stary ojciec, w miarę jak brnął w wiek, zapijał sprawę coraz bardziej; ostatecznie został pijakiem nałogowym: pił jak gąbka od rana do późnej nocy. Już on nie doglądał gospodarstwa, ani go dom wcale nie obchodził; nieustannie zaglądał tylko do przybocznej spiżarki, gdzie znowu stała podręczna beczułka, a w beczułce znajdowało się parę garncy węgrzyna. Bajeski na starość miał dziwne upodobanie; nie pijał ani wina, ani wódki ze szkła, lecz miał on lewarek, który zapuszczał w beczkę i następnie ustami sączył, dopóki miał wolę. Kiedy zaś raz drzwi otwarł do owej spiżarki, już ich przez cały dzień nie zamykał, ażeby nie mieć subjekcji z ciągłem otwieraniem. Podobno rezultatem tego sposobu życia było, iż Bajeski, sześćdziesięciodwuletni starzec, wszedł jednego dnia przed samym wieczorem do swojej spiżarki, pociągnął tu z lewarka, zachłysnął się i już nie wyszedł sam, lecz go martwego wynieśli służący na rękach. Czy obywatel ten posiadał jaką gotówkę, nie wiemy; ponieważ, oprócz wspomnianej podręcznej spiżarki, była jeszcze we dworze podręczna gospodyni, rzec można, pani całą gębą; ona to, jak powiadają, znała nawylot wszystkie szufladki i skrytki w szkatułkach, stolikach oraz biurkach pana dziedzica na Grzędzicy. Miała ona też namawiać ciągle swego pana, ażeby przygotował za życia testament; ale nanic się nie zdały wszystkie namowy, bo Bajeski odznaczał się szalonym wstrętem do wszelkiego rodzaju literatury. Kiedy mu już koniecznie przychodziło na list jakiś odpisać, przyzywał ekonoma, sprawującego jednocześnie obowiązki wójta gminy i mówił:

— Słuchajno, wasan, ułóż mi kompozycję do godnej osoby, żeby to było zrobione z afektem

i respektem obywatelskim, a na końcu nie zapomniŋ dodać: sługa i podnóżek.

Poczem w kilku słowach wyłożył, o co rzecz chodzi.

Ale do pisania testamentu nie wezwał nikogo, sam go nie pisał i umarł bez testamentu. Z takiego więc powodu trudno nam powiedzieć coś pewnego o stanie gotowizny dziedzica Grzędzicy. Nie umiemy sobie nawet wytłumaczyć desperacji i lamentów gospodyni Małgorzaty. Bo oprócz tej kobiety nikt, nawet syn, nie ronił łez po śmierci starego. Żałowano go, ale nie opłakiwano. Służący mówili tylko:

— Usnął leciutko, jak gąsię, wody nikomu nie zamącił i Pan Jezus go też za to wynagrodził!

Tomcio dnia tego wcale się nie uczył; pytał się swego guwernera, dlaczego tatuś umarł, a guwerner mu odpowiedział bardzo poważnie:

— Mój kochany, powinieneś się bardzo smucić, bo zostajesz na świecie teraz sierotą!

— Przecież i tatuś był także sierotą, a nigdym nie widział, żeby się smucił — odparł Tomcio i popędził do stodoły, do stajni.

Nazajutrz po śmierci pozjeżdżały się do Grzędzicy córki nieboszczyka z różnych żon; wszystkie już powychodziły za mężów, za posesorów i dziedziców, przyjechali też z niemi mężowie i dzieci. Ubrano zaraz Tomcia w żałobę, co go niezmiernie bawiło i wyprawiono zmarłemu suty pogrzeb, na którym aż dwóch mówców duchownych chwaliło cnoty nieboszczyka. Wślad za tem wszystkiem nastąpił bardzo skrupulatnie przeprowadzony podział majątku, a nad małoletnim Tomciem ustanowiono opiekę i chłopca oddano do Krakowa na słynny w owe czasy pensjonat. Niepodobna nam tu opisywać szczegółowo przebiegu edukacji ostatniego

z Bajeskich, możemy tylko powiedzieć wogóle, iż wychowanie to było nadzwyczajnie zaciętą walką opiekunów i rozmaitych zwierzchników szkolnych z osobistemi skłonnościami młodego człowieka. Wkońcu ujawniła się niemożność czy niedostateczność owych wysiłków wychowawczych, skoro Tomcio w piętnastym roku życia umiał już dobrze grać w lancknechta, poszukiwał na wszystkie strony miłosnych stosunków i gruntownie się emancypował z pod wpływów wszelkiej władzy. Nauki nigdy nie lubił; ale po skończeniu lat piętnastu znienawidził ją, obrzydził sobie jak najzupełniej. Można powiedzieć jednak śmiało, że Tomcio wykształcił w sobie ducha opozycyjnego w najwyższym stopniu oraz nadzwyczajną podejrzliwość względem każdego pedagoga. Niepodległy ten umysł, nie złamany nigdy, wiecznie triumfujący, postanowił nareszcie ułatwić zadanie sobie i szkole. Jednego pięknego dnia, rozpisawszy listy pełne pogardy do swego przełożonego oraz do nauczycieli, którzy mu najwięcej dokuczyli, młody Bajeski opuścił Kraków i zniknął bez znaku. Przez półtora roku nikt nie wiedział, gdzie się obraca młodzieniec, przyrodni szwagrowie myśleli nawet, że „urwis zginął na wieki" i że schedą wypadnie się podzielić. Aż tu jednego dnia przybywa orlątko do rodzinnego gniazda, z jak najlepszą miną i z taką pewnością siebie pod każdym względem, że zdumienie ogarnęło nietylko wszystkich krewnych, lecz i całą okolicę. Zrazu główny opiekun, człowiek sędziwy i w obywatelstwie bardzo poważany, czuł się w obowiązku powiedzieć moralną naukę Tomciowi i przełożył mu: „czem on będzie, posiadłszy tak skromną wiedzę i postępując w niewłaściwy sposób". Ale młodzieniec z całą powagą odrzekł:

— Mój panie, ja nie chcę być mędrszym od

swego ojca ani od żadnego z przodków! Nie chcę być lepszym od wszystkich swych krewnych i od całej okolicy... Proszę pamiętać, że sobie to uważam za synowski i obywatelski obowiązek!

Nie było co mówić na takie *dictum acerbum*, wypowiedziane z nadzwyczajną stanowczością. Wnet też w całej okolicy Proszowie wszyscy opowiadali o dowcipie i rozumie Tomcia.

— Nadzwyczajnie sprytny, cięty i obrotny w języku! — mówili jedni.

— Co za objęcie rzeczy, jakie kalkulowanie umysłowe! — twierdzili drudzy.

To wszystko jeszcze nic; dopiero gdy przyszedł karnawał, gdy się rozpoczęły kuligi, młody Bajeski wystąpił wtedy w całej okazałości. Stał on się nieodzownym inicjatorem i koryfeuszem wszelkich zabaw w jakim czteromilowym promieniu. Gdzie nie było Tomcia, tam się zabawa nie mogła udać, więc go formalnie rozrywano na wszystkie strony. I nie było nad niego dzielniejszego, przyjemniejszego, lepiej ułożonego młodzieńca. Zdobył sobie sławę wśród kobiet tańcem i świetnie prowadzoną rozmową o niczem lub o wszystkiem. Miał tyle pewności siebie, tyle wdzięku, ułożenia i jeszcze czegoś nieokreślonego, że go kobiety musiały protegować i uwielbiać. Ale starzy ludzie cenili go również, bo nietylko przewybornie grał w wista lub preferansa, lecz puszczał się na pole wniosków politycznych z nadzwyczajną metafizyczną biegłością. W mgnieniu oka układał jakąś uderzającą kombinację, wprowadzając w grę bodaj Hiszpanję, Norwegję, Grecję, Egipt i t. d. Rozumowania zaś jego dodawały starym takiej otuchy, iż każdy z nich wracał do domu spokojniejszy o losy Europy.

— Et, główka, mości dobrodzieju!—mówił stary

sędzia pokoju. — Powiadają ludzie, szkoły, szkoły! A tu rozum, dar boży i basta, mości dobrodzieju!

— Trochę on nas może i obełguje — twierdził inny obywatel, który corocznie jeździł do Karlsbadu.

— To być trochę może; ale się nigdy nie zająknie i w tem właśnie sztuka!—dorzucił jeszcze inny.

— Ależ strzela, niech go gęś zdepce! — wołał zapamiętały myśliwy.—Toć wczoraj u mnie piętnaście kul wywalił w jedną dziurę i to z rewolweru...

— Przepraszam, siedem tylko! — rzekł Tomcio, który nieznacznie wszedł i zboku podsłyszał rozmowę.

— Niech będzie siedem, to także jest dosyć!— odrzekł myśliwy przyłapany na kłamstwie.

A Tomcio ozdobił się nowym wieńcem sławy człowieka prawdomównego, jakkolwiek z rewolweru wystrzelił wtedy tylko trzy razy, a kule nie wpadły w jedną dziurę, lecz bardzo blisko obok siebie.

Młodzież wszystka uważała znowu Tomcia za swego przywódcę; nawet na starszych od siebie młodzieńców wywierał on jakiś demoniczny urok. Grał w karty jak bohater; nie przestraszała go nigdy żadna suma w banku; bił zawsze wszystko, oddawał talję z rąk w samą porę i odchodził od stołu ostatni, ale wygrany. Konia dosiadał z zuchwalstwem Beduina, co niektórzy przypisywali odziedziczeniu po matce krwi węgierskiej. Pił olbrzymio, a upijał się z wielką trudnością, co znowu przypisywano nadzwyczajnie dobrej głowie. Ze smyczą chartów na polu, czy ze sforą ogarów w boru był nieporównany; szaraki i lisy zdawały się być z nim w zmowie; w takiej obfitości je mordował. Dziewczęta bałamucił o zakład. Takie ten człowiek miał zdolności, takie szczęście do wszystkiego, takie szalone powodzenie!

Dzięki też tym głośnym przymiotom wyrobił on

sobie usamowolnienie jeszcze przed dojściem do pełnoletności. Posiadłszy pieniądze, odwiedził po raz pierwszy Warszawę, gdzie poznał kilka bardzo przyjemnych osób płci obojej i z któremi też, jak mawiał, zawiązał nader ścisłe stosunki. Z niepo-równaną pojętnością przyswoił on tu sobie nową sciencję, mianowicie naukę gry w bilard, zarówno w partję francuską, jak piramidkę, kręgielki i t. d. Zajęcie to nie przeszkadzało mu uprawiać wielorakich innych czynności, jak naprzykład uczęszczania do teatru i starania się o poznanie najpiękniejszych rzeczy jego, zwłaszcza baletniczek, a to z najpiękniejszej strony. To też, kiedy raz do Warszawy wybrał się pan sędzia pokoju, gdy tu odwiedził Tomcia w Angielskim hotelu, a potem przyjrzał się jego grze w bilard na górce, tak mówił wobec sąsiadów, powróciwszy już w Proszowskie.

— Ten Tomcio, powiadam wam, mości dobrodzieju, dlatego przyszedł na świat w tak późnym wieku ojca, aby świat zadziwić i naszą okolicę wsławić! On tam, jak nic, podbije całą Warszawę, mości dobrodzieju.

— A bywało, bywało w historji, nie pamiętam, w starym czy w nowym Testamencie, że się rodzili starym rodzicom sławni synowie — zawołał obwatel, jeżdżący do Karlsbadu.

— O, naturalnie!...Taki Nabuchodonozor naprzykład!—rzekł amator myśliwstwa.

— O tym Nabuchodonozorze nie mam tak dobrego wyobrażenia; ale wszystko mi się ochapia, że Aleksander Wielki był w tem położeniu—odezwał się Karlsbadczyk.

— Który to Aleksander Wielki?—spytał myśliwy.

— Jakto który? — oburzył się sędzia pokoju. — Juści z Macedonji.

Tyle wielkich historycznych imion własnych przerwało na chwilę dalszą rozmowę o Tomciu; miny jakoś zrzedły, widocznem było, że co wiedział jeden, tego nie wiedział drugi.

— Wielka kwestja, wielka kwestja,—przemówił jeszcze karlsbadujący obywatel. — Gdzie ten Tomcio Bajeski bywał przez półtora roku, kiedy to uciekł ze szkoły w Krakowie?..

— Musiał jeździć tam, gdzie rozum ludziom rozdają—odezwał się ktoś zboku.

— A czy istnieje jeszcze na świecie Macedonja?— zapytał nagle myśliwy. — Bo może on tam jeździł?

Tymczasem Tomciowi szybko przeleciała przez ręce ojcowizna. Nie posiadał on już pieniędzy, ale zato był właścicielem skutków dawniejszego posiadania pieniędzy; grał dobrze w karty, w bilard i wygrywał. A przytem, iluż to przyjaciół miał ów przyjemny człowiek!..

Przyszły czasy takie, że Tomcio od roku już nie miał grosza własnych pieniędzy, a przecież codziennie jadał wyborne śniadanie i lepszą jeszcze kolację, tak że nawet mógł się obywać bez obiadu; grywał w hazard, miał kilka kosztownych stosunków miłosnych, a jednak nie był bankrutem. Przyszła atoli i na niego czarna godzina, przyszła wtedy mianowicie, kiedy wszyscy jego przyjaciele zostali zrujnowani, a nowych przyjaźni zawiązać już nie było można.

Jakże Tomcio żył w takim razie? Tu właśnie tkwi jądro wynalezienia filozoficznego systematu życia. Bajeski naprzód naciągał na pożyczki różnych swoich znajomych, bliższych i dalszych krewnych; ale i to się także wyczerpało. Następnie wezwał do spółdziałania przyjaciół, namawiał ich, radził, uczył jak mają odgrzebywać przerozmaite stosunki i wymieniać wartość ich na monetę.

Ile wart jest dla człowieka jaki bądź stosunek— mawiał Tomcio—o tem możemy się wtedy dopiero przekonać, gdy ów stosunek spieniężymy. Jeżeli ci zaś już za twoje prawa zapłacono, to nie miej pretensji, iż z tobą zrywają; dano ci bowiem tyle, ile stosunek wart był dla ciebie, to jest, ileś ty za niego wytargował.

Ale i przyjaciele Tomcia wyczerpali wreszcie listę swoich stosunków, a wtedy młody Bajeski powiedział sobie:

— Jestem przecież człowiekiem i jako taki mam ogromną ilość bliźnich; jakkolwiek zaś stosunek ten w pewnych razach ma niedużą wartość, nie należy go jednak lekceważyć z tego właśnie powodu, że bliźnich jest bardzo wielu.

I Wszedł więc Tomcio w nową fazę zaciągania pożyczek wszędzie, gdzie się dało i, jak do wszystkiego, miał też szalone szczęście do robienia długów. Nie dbał on wcale o to, jakie były warunki pożyczki, byleby pożyczka przeprowadzić się dała i takie same postępowanie zalecał licznym swoim przyjaciołom. Trudno sobie wyobrazić, co się działo w tym świecie nieustannie pożądającym pieniędzy; możemy tylko powiedzieć, że zuchwalstwo Bajeskiego na punkcie owych finansowych przedsiębiorstw przeszło nareszcie wszelką miarę. Sprowadzano ze wsi młodych ludzi niedoświadczonych, brano ich w kuratelę i nauczano życia. Dobrze, jeżeli taki nowicjusz wycofa się, bodaj po kosztownem opłaceniu frycówki; częściej jednak wypadło, iż rejterada była niemożliwą.

Tomcio poczuł też wcześniej, niż jego ojciec, nieprzezwyciężony pociąg do spirytusów. Przyroda pozwala się człowiekowi upijać, może dlatego, ażeby go doprowadzić do niepoczytalności i tym sposobem zdjąć z ludzkości odpowiedzialność za czyny

niemoralne. Niema życia bez miłości, bo gdzie brak miłości, tam przynajmniej jej surogatu szukać należy.

Bajeski pozostawał w miłosnych stosunkach z aniołem teatralnym, znanym powszechnie pod imieniem Mini. Kobieta ta, jako artystka dramatyczna, może i nie miała wielkiego talentu; ale miała ona piękne oczy, a obok tych oczu wielkie mnóstwo innych przyjemnych dodatków, które się ludziom podobają, zwłaszcza płci męskiej. Ostatecznie, na czemże polega wszelka sztuka? Na tem, aby się podobać. Mistrzem w sztuce jest ten, kto sobie zjednał serca wszystkich. Dużo serc biło z powodu wdzięków Mini. Pojawiła się ona w Warszawie jakby z pod ziemi; spojrzała i zwyciężyła to miasto, nie wyłączając surowych krytyków prasy.

Owo pojawienie się Mini na scenie przypadło w czasach, kiedy Tomcio nie posiadał już ani jednego grosza własnej fortuny; ale właśnie wtedy rozbijał się i tracił majątek Michał Wielski, któregośmy już poznali w hotelu Słowiańskim jako Misia. Młodzieniec ten przylgnął do Bajeskiego i, postępując według jego rad, szalenie prędko doszedł do materjalnej ruiny.

Minię wielbiono, ubóstwiano, ponieważ zawsze tak być musi, ilekroć kobieta piękna i zręczna, publicznie przedstawia swoje przymioty. I Miś zakochał się w Mini, a Tomciowi zwierzył się ze swej miłości na kolacji u Bokieta po teatralnem przedstawieniu. Bajeski poważnie wysłuchał zwierzeń przyjaciela, poczem rzekł:

— Jeżeli ją chcesz bliżej poznać, dopomogę ci w tem najchętniej, jest to bowiem moja dobra znajoma...

— Jakto, więc ty ją znasz i nie jesteś w niej zakochany? — spytał Wielski.

— To rzecz moja!... Chcę ci dać tylko zupełną

swobodę paść jak długi u stóp tej dziewczyny i prawić jej tyle wyznań miłosnych, ile sam uznasz za stosowne — odrzekł Tomcio.

Miś wiedział, że Bajeski nie cofnie swego słowa, tak jak się nie cofał nigdy przed żadnem postanowieniem. Jakoż wnet nastąpiło zbliżenie się istoty wielbiącej z istotą wielbioną. Wielski bardziej jeszcze rozgorzał ogniem miłosnym, bo Minia była tak jakoś szczególnie naiwnie zalotną, tak rozkosznie podbijającą serce, że wielbiciel musiał ją codziennie coraz bardziej kochać i kochać. Do szaleństwa Miś dochodził, dostawał jakiegoś zawrotu głowy, zaćmienia oczu, dzwonienia w uszach; tracił pamięć, rozum, wolę. Nareszcie po dwóch miesiącach ciągłych odwiedzin i urządzania Mini osobliwych a najrozmaitszych owacyj, Miś upadł raz przed nią na kolana, wyznał jej swą ogromnie gorącą miłość i oświadczył, że gotów jest to samo wyznać przed ołtarzem. Ale Minia uśmiechnęła się tylko znadzwyczajnym wdziękiem, oczy zajaśniały jej na zawołanie jakiemś czarodziejskiem światłem, twarz nabrała ożywienia, zdawało się, że gra Ofelję, Marję Stuart, Eurydykę, Rachelę i rzekła:

— Dziś nic powiedzieć jeszcze nie mogę...

Więc przez jakiś czas Miś wyczekiwał, aż znowu raz padł na kolana i znowu się oświadczył i znowu z ust Mini usłyszał dźwięcznym głosem wypowiedziane słowa:

— Nie nadszedł jeszcze czas, nie...

Miś kochał się już teraz w Mini nie tak gorąco, począł w zapale stygnąć, odwiedzał swój ideał coraz rzadziej; nareszcie poznał pewną brunetkę Tonię, także aktorkę, która nie wymagała takiej nadzwyczajnej potęgi zapału, jak Minia, a dawała mu jednak bardzo dużo pociechy. Wielski pogodził się ze swym losem, zapomniał nareszcie zupełnie o swym dawniejszym ideale, a ilekroć mu któryś z kolegów przypomniał zapamiętałą miłość, robił kwaśną minę, uśmiechał się z przymusem i mówił:

— Wszystko jedno!... Głupi byłem i koniec.

A cóż za stosunek łączył Bajeskiego z Minią? Ta strona życia Tomcia nie jest należycie wyświetlona; dotąd jeszcze krąży mnóstwo plotek, opowiadań o obojgu, a wszystko, zdaje się nie mieć należytej podstawy. To też w powieści naszej będziemy ostrożni, trzymając się faktów tylko. A faktem jest, że Mini powszechnie zazdroszczono powodzenia i odbieranych hołdów; przytem koleżanki nigdy jej czernić nie omieszkały.

Są takie godziny dnia, w których świat dramatyczny uczęszcza do ogrodu Saskiego; wychodziła wtedy na przechadzkę i Minia w towarzystwie przyjaciółki swojej Heli i odwiedzała cukiernię Lourse'a pod werandą. Jednego majowego dnia pojawiła się tutaj sama jedna, a niebawem przybył także Tomcio i obok niej zajął miejsce. Oczy wszystkich gości ku nim się zwracały, można było spostrzec złośliwe uśmiechy, mrugania oczu, dosłyszeć dwuznaczne słówka. Dzień był bardzo piękny, bzy zakwitały, woń ich rozchodziła się po powietrzu, orzeźwionem przez deszczyk, którego krople widać jeszcze było na liściach wielkich aloesów, ustawionych w wazonach. Na płaskim dachu werandy leżał znany wszystkim duży kot bury, który mrużył oczy od słońca i zdawał się być odurzony wpływem wiosennej przyrody. Dokoła zaś rozlegały się piski i świegoty wróbli, które podbiegały i podlatywały do stołów, chciwie chwytając okruchy, rzucane przez gości pijących kawę. Minia rzucała ptakom kawałki ciasta, a one gromadnie garnęły się do pożywienia, spiesząc w kilkunastu po jeden okruch. Wśród szarych wróbli był jeden w połowie biały, co jest zresztą

każdorocznem zjawiskiem w Saskim Ogrodzie. Do okruchów szare wróble nie przypuszczały białego, czubiły go, ile razy się zbliżył i chleb mu z ust wydzierały.

Tomcio patrzył na tę walkę ptaków i rzekł:

— Biały wróbelek przypomina mi panią, a szare wróble, patrz, to twoje koleżanki, jak one cię mierzą wzrokiem, jak obmawiają, jak widocznie zazdroszczą wdzięków i sławy.

Minia się uśmiechnęła, spojrzała Tomciowi zalotnie w oczy, potem zmierzyła wzrokiem towarzystwo pijące kawę pod werandą i bawiła się dalej rzucaniem ptastwu okruchów.

— Bezwstydna zalotnica!—szeptała jedna z aktorek do swej podstarzałej towarzyszki.

— Czy ty wiesz — mówiła druga na ucho młodej debjutantce — że Minia już trzy razy wyjeżdżała do Krakowa?...

Debjutantka poczęła udawać, że się rumieni i udała się ciastkiem.

— Skąd ten Bajeski zna Minię? — zapytał modny doktór medycyny reportera czterech dzienników, połykającego właśnie haust białej kawy z kąskiem drożdżowego ciasta.

Reporter łypnął okiem, dając lekarzowi do zrozumienia, że to jest sprawa nadzwyczajnie tajemnicza.

— Podobno Wróbelkiewicz kręci się także około Mini? — mówił znany nowelista do znanego feljetonisty.

— Kto się tam nie kręci — odparł feljetonista. — Ale zawsze dziwię się Wróbelkiewiczowi, człowiek tak poważny i z takim talentem...

— Ona się na szyję garnie temu Bajeskiemu — oburzała się aktorka, nabierająca tuszy i wyglądająca jak gruszka, zwracając się do jegomości w rudej peruce i z wprawionemi zębami.

Minia wzięła z tacy nowe ciastko, a skubiąc je palcami, znowu rozrzucała wróblom. Tym razem między ptastwem zrobił się ścisk straszny i zawrzała walka o byt, a białego wróbelka szarzy współziomkowie z nadzwyczajną zaciekłością ciągle nie dopuszczali do uczty; widocznie był on bardzo głodny i bardzo skwapliwie usiłował dobrać się do jakiego kąska. Zaledwie pochwycił kawałek ciasta, kiedy zewsząd posypał się nań grad pocisków, wymierzonych dziobami innych ptaków. Bity i szturchany na wszystkie strony, przewrócił się w piasek. W tej właśnie chwili z płaskiego dachu werandy zeskoczył bury kot, rzucił się między walczących, a kiedy szare wróble wszystkie w popłochu uciekły, poturbowany biały nie zdołał tego uczynić; kot dopadł go, ścisnął zębami i czemprędzej uniósł w krzewy.

— Nigdym się nie spodziewał tak przykrego obrotu rzeczy dla wróbelka! — rzekł Bajeski.

— Mój panie — powiedziała Minia — jeżeli tylko każdego białego wróbla spotyka taka dola z powodu jego białości, a mnie przyrównywasz pan do niego, to czegóż się mam spodziewać?

— Bure koty czatują na panią ze wszystkich stron! — mówił Tomcio z uśmiechem.

— A w takim stanie rzeczy najlepiej jest samej wybrać sobie kota — rzekła Minia, poczem podała ramię Tomciowi i wyszli oboje z Saskiego Ogrodu.

— Wszelkie zjedzenie raz się tylko staje—mówił Tomcio — a potem zjadający i zjedzony stanowią jedno, silniejsze życie.

IV

NIUNIO POTYCKI I WAWRZEK ANANAS

Serdecznym przyjacielem Bajeskiego był też Niunio Potycki, obywatel ziemski z Marzeńca pod Mławą. I w Niunio była to dusza, wychowana na pomadkach, czekoladkach, ciasteczkach i pastylkach, a wypieszczona i wychuchana aż przez trzy kobiety: przez swoją matkę, babkę oraz ciotkę, które żyły tylko Niuniem i dla Niunia, a kochały go wszystkie trzy prawie jednakowo. Wystawmy sobie pucołowatego blondynka, zawsze uśmiechniętego, o oczach niebieskich i żeńskim organie głosu, a będziemy mieli obraz Niunia. Oczekiwał na niego w przyszłości duży spadek, ponieważ jego rodzony stryj, pan Wit Potycki, był wdowcem i bezdzietnym, a ciocia Teklunia znowu od piętnastu lat przerabiała ciągle testament i coraz większą część fortuny swojej przekazywała Niuniowi, tak że ostatecznie przyszło do tego, iż całuteńki majątek, z wyjątkiem swojej garderoby, przeznaczyła dla ukochanego siostrzeńca, jakkolwiek do schedy po niej mogli mieć prawo inni jeszcze krewni. Pan Wit co prawda był bardzo przeciwny zasadom edukacji Niunia, prowadzonej przez kobiety; od czasu do czasu wpadał on do Marzeńca, krytykował wychowanie nader ostro i tak, że wobec tej krytyki wszystkie trzy damy zwykle się popłakały. Robiły one niejakie ustępstwa panu Witowi, i tak naprzykład już do czternastoletniego wyrostka

Niunia wzięły służącego płci męskiej, syna karbownika, przebrały go w tużurek i ochrzciły Lorans, choć mu było na imię Wawrzek. Było to wielkie ustępstwo, dzięki któremu służba przy Niuniu zwiększyła się o jedną jeszcze osobę; dotychczas bowiem panicz ten miał przy sobie bonę Francuzkę, prócz bony, dawną swą mamkę, niańkę i garderobianę. Wskutek innych znowu krytyk i nagabywań pana Wita, wychowawczynie Niunia zgodziły się, aby młodzieniec w dni pogodne wyjeżdżał z panem rządcą w pole na bardzo spokojnej klaczy. Nauczyciela płci męskiej te damy żadną miarą nie chciały wpuścić do swego domu, a ile razy pan Wit z tej beczki zaczął rozmowę, kończyła się na tem, iż przynajmniej jedna z nich koniecznie zemdleć musiała. Kiedy Niunio podrósł lepiej jeszcze, sprowadzono do niego letnią guwernantkę, nie usuwając wcale bony, a kiedy już miał ośmnaście lat życia, wtedy pan Wit umyślnie pojechał do Wrocławia i stamtąd sprowadził bardzo starego, typowego pedagoga, który jednakże w pięć miesięcy po przybyciu do Marzeńca dostał bardzo silnego napadu astmy i umarł. Zgasłego staruszka nikt nie żałował, ponieważ był dla Niunia nadzwyczajnie nudny i męczył dziecko.

Trudno uwierzyć, a jednak faktem jest, że w taki sposób Niunio Potycki dosięgnął dwudziestego czwartego roku życia i jeszcze nie był pełnoletni; twarzyczkę miał gładką i bez zarostu, jak kobieta, zęby nadzwyczajnej białości i oczy pełne wilgoci. W okolicy nazywali go mężczyzną-dziewicą.

Pan Wit swoją drogą nie ustawał w walce z kobietami i gdy jednego dnia wpadł do Marzeńca, mocno czemś zgoryczony, zastał w ogrodzie Niunia, zbierającego truskawki z boną, gu-

wernantką, niańką, pokojówką, matką, babką, ciotką i Loransem. Na ten widok stryj wpadł w pasję i zawołał:

— Co wy wyrabiacie z tym chłopakiem? Wychowałyście go, panie, na babę! Jest już przecie dojrzałym mężczyzną, a ciągle jeszcze wygląda jak gdyby chodził w majteczkach i pończoszkach. Cóż to za życie będzie tego człowieka? To kanarek, pinczer, wylegający się na kolanach starej panny! Gdzie jemu do życia męskiego!

Kobiety się popłakały, jak zwykle, być może, iż potrochu odczuwały też prawdę słów pana Wita, który kiedy się już w swem uniesieniu wygadał oraz wysapał, począł sprawę wykładać i przedstawiać łagodniej, tak że przekonania swoje wszczepił poniekąd i wychowawczyniom Niunia.

— Cóż więc robić? — zapytywały panie kolejno.

— Przedewszystkiem trzeba go usamowolnić — mówił stryj, — chłopiec bogaty nie powinien zostać niedołęgą; niech się sam rozpatrzy po świecie, żyć nauczy.

— Ach, na świecie jest tyle niebezpieczeństw, tyle pokus zagraża młodemu człowiekowi! — ubolewała matka, babka i ciotka.

— No, więc też właśnie o to chodzi, ażeby młodzieniec doświadczył tych niebezpieczeństw i tych pokus, bo inaczej przez całe życie zostanie głupcem.

Po takich i tym podobnych przedstawieniach uchwalono: że pan Wit zabiera ze sobą bratanka do swojej majętności, że tam pocznie go kształcić na energicznego mężczyznę, a kiedy się już skończą czynności gospodarskie na wsi, wtedy pojedzie z Niuniem do Warszawy, wprowadzi go tam znowu w różne towarzystwa i na jakiś czas samego zostawi w stolicy.

Ile łez wylały dobre kobiety w Marzeńcu, żegnając Niunia, jak go obarczyły różnemi receptami, ile mu szkaplerzy, medalików, amuletów włożyły na szyję i piersi, tego trudno byłoby nam opisać. Dosyć na tem, że po raz pierwszy w życiu Niunio wyjechał w świat, a zapłakane oczy kobiet długo go odprowadzały.

— Żeby przynajmniej niania z nim była, ona tak dba o niego! — wołała ciocia.

Cóż, kiedy pan Wit ani słyszeć nie chciał o niani i zaledwie się zgodził na zabranie Loransa, to jest Wawrzka, który liczył wtedy dwudziesty rok życia. Rzecz dziwna, iż wobec niezmiernej rozpaczy swoich wychowawczyń Niunio zachowywał się bardzo obojętnie, był ciągle jakiś roztargniony.

Pan Wit w domu swoim nie tyranizował bynajmniej bratanka, ale go też i nie oszczędzał; zarówno jego, jak rozprózniaczonego Wawrzka pędził w pole, do stodoły, używał do różnych gospodarskich posług i z niemałą radością ujrzał, iż po trzech miesiącach pobytu u niego poczęły się Niuniowi sypać wąsy i broda. Z Marzeńca codziennie przychodziły listy, skropione łzami i piżmem, a jednego dnia przyjechała tu nawet niania, aby się na własne oczy przekonać o stanie zdrowia paniczka; same panie nie mogły się odważyć na dwunastomilową podróż w powozie, gdyż każda codziennie na coś niedomagała. Nianię przyjął pan Wit bardzo ozięble, a Niunio zaledwie jej głową kiwnął, to też kiedy powróciła do Marzeńca, opowiadaniem swojem wywołała ogromne zamieszanie i nabawiła wszystkich zgryzoty.

— On o nas zupełnie zapomni! — wołały panie. — Świat mu zepsuje złote serce!

I wszystkie trzy usiadły czemprędzej, aby napisać listy, zapobiegające jakoby zepsuciu serca

Niuniowego, listy, których sam zapach mógł już bez czytania wywołać mdłości.

Stryjaszek Potycki drżał z obawy, aby mu te kobiety domu nie najechały i nie pochorowały się tutaj, boby ich się z pewnością przez cały rok pozbyć nie zdołał. Niewiele więc myśląc, zabrał Niunia oraz Wawrzka i wyjechał do Warszawy.

Papinkowatego młodzieńca olśniło odrazu wielkie miasto; ruch, rozmaitość porywały go na wszystkie strony, tak iż się nie mógł opamiętać. Wawrzkowi również zasmakowało warszawskie życie; zrazu czuł on się tu jak nieswój, ale wnet odzyskał całą przytomność umysłu i był jak w domu.

Bujne blond włosy, spadające Niuniowi w puklach na ramiona, skosiła nożycami nielitościwa ręka fryzjera, a to na polecenie pana Wita. Ponieważ to był czas karnawału, więc stryj prowadził bratanka na bale, do teatru, na wieczorki do swych dawnych znajomych, wszędzie zaś polecał go przerozmaitym ludziom płci obojej. Tacy Niuniowie mogą w parę dni w Warszawie znaleźć nietylko tylu przyjaciół, ilu sami zechcą, ale znajdą też tutaj niezawodnie bardzo licznych i bliskich krewnych. Bo skoro tylko pocznie się rozmowa o tem, kto kogo rodzi, wnet jest widocznem, iż wszyscy obecni stanowią jedną rodzinę. Bawił się przewybornie panicz; uczył się bawić lepiej jeszcze Wawrzek.

Nareszcie jednego dnia stryj przemówił w te słowa do Niunia:

— Słuchajno, chłopcze, ja muszę wracać do domu, bom stary i do zabawy nie mam żadnej ochoty, a zato w domu pełno pracy i interesów na mnie czeka. Bawiłem ja się doskonale w swoim czasie, bawże się i ty teraz! Pieniędzy zbytecznie nie marnuj, bo na pieniądze zawsze ktoś musiał

pracować; ale też nie skąp sobie przyjemności, bo cię stać na to. Ludzi nie unikaj nigdy, lecz staraj się poznać wartość tych, z którymi przestajesz; reszty nauczy cię samo życie.

Pożegnał się pan Wit z bratankiem i wyjechał z Warszawy. Niunia stosunki rosły ogromnie z dniem każdym; zpoczątku chodził on nieustannie na wizyty, na bale i do teatru; później już go to znudziło, ponieważ poznał inne przyjemności życia. Zdążając od stosunku do stosunku, nasz bohater poznał się z gronem złotej młodzieży, z różnemi wesołemi kobietami, których się nie spotyka w towarzystwach; zaniedbał zaś zkolei inne stosunki, jakie mu stryj powyrabiał w Warszawie; ani się spostrzegł, jak dojrzał, jak mu urosły wąsy i broda.

Szybko dojrzewał i Wawrzek, jakkolwiek rodzice oraz krewni nie dawali mu żadnych rad przy pożegnaniu; z apatycznego, ciężkiego chłopaka zrobił się dzielny, ożywiony młodzieniec. Stosunków, znajomości nikt mu nie wyrabiał, a jednak niewątpliwie znalazł ich sobie bardzo dużo. Atoli pana swojego poczynał on coraz bardziej lekceważyć; na zapytania odpowiadał teraz półgębkiem, albo wcale nawet nie odpowiadał. Są panowie rozumni, a mimo to pobłażliwi i wyrozumiali względem służby; Niunio należał do rzędu panów głupich, którzy ze służącymi nie umieją się wcale obchodzić i dają im się podbić. Przychodziło do tego, że Wawrzek w oczy klął Niuniowi i wymyślał.

— Co się z tobą stało, Lorans?—zapytał raz Niunio swego lokaja.—Czy tobie jest źle u mnie w służbie?

— Nie jestem żaden Lorans, tylko Wawrzek Ananas—odparł służący gniewnie.— Nic mi się nie stało takiego, ale jestem zły na pana zato, że pan ma więcej ode mnie pieniędzy... Wszyscy powiadają, co to jest okrutna niesprawiedliwość na świecie...

— Któż ci to powiadał?

— A cóż pan sobie myśli, że ja tu siedzę jak w lesie?.. Pókiśmy byli w Marzeńcu, byłem wtenczas głupi, ale jakem się rozejrzał po ludziach, to i wiem dobrze, co się święci!... Pan taki sam człowiek, jak i ja, więc się pan powinien ze mną pieniędzmi podzielić... Jeszcze pan tego nie rozumie?

— Zwarjowałeś chyba, Lorans!... Nacóż tobie pieniądze? Na bal ani na wizytę nie pójdziesz, a do teatru mogę ci zawsze kupić bilet na paradyz — mówił Niunio bardzo poważnie.— Zresztą, płacę ci pensję, daję dobre utrzymanie, czegóż chcesz więcej?

— Ja chcę równości! — zawołał Wawrzek, patrząc zuchwale w oczy zdziwionemu Niuniowi.— Bo taki, co próżnuje, nie powinien być bogatszy od tego, który pracuje.

— Ale, bój się Boga, Lorans, gdzie ty masz u mnie jaką pracę? Inni służący się zarabiają i nic nie mówią, a ty śpisz, dopóki chcesz, jadasz, co ci się tylko podoba, a narzekasz, że ci źle.

— O, będę ciągle narzekał, bo teraz taka moda; pan nie wie, że wszyscy narzekają na bogaczów?

Niunio wydobył z portmonetki pięć rubli, dał je Wawrzykowi, mówiąc:

— Masz, zabaw się, a bądź dobrej myśli i nie narzekaj!

Wawrzek spojrzał na pieniądze, zdawał się wahać, nareszcie wziął i tak przemówił:

— Juści wezmę, kiedy pan daje; ale kontent z tego być nie mogę, bo się lada czem człowieka zbywać nie powinno...

Bawił się młody Potycki wybornie, bawił się w dzień, w nocy i zwolna poczwarka ta stawała się doskonałym owadem. Wśród owego wesołego życia na warszawskim bruku jakżeby się taki Niunio nie miał spotkać z Tomciem, a kiedy się tylko

spotkali, to już rzeczą Tomcia było dokończyć wychowania nowicjusza.

Pan Wit otworzył był bratankowi kredyt na pieniądze do wysokości pewnej sumy u jednego z miejscowych bankierów. Niunio zrazu mało wydawał, jak na zamożnego młodzieńca; ale kiedy już zabrał znajomości, pieniądze topiły mu się jak lód w rękach. Niebawem ogarnęła go jakaś nieograniczona żądza uciech; wszystkiego było mu za mało. Zapomniał on o mamie, babci i cioci; przyszło do tego, że nietylko nie odpowiadał na listy z Marzeńca, ale listów tych wcale nie czytał, bo nie miał na to czasu.

Jakże bardzo się zdziwił, kiedy jednego dnia, przybywszy po pieniądze do bankiera, wskazanego sobie przez stryja, otrzymał następującą odpowiedź:

— Wybrałeś pan już całą sumę, jaką z polecenia pana Wita Potyckiego mieliśmy do wypłacenia i ani na grosz poza tę granicę przekroczyć już nie możemy.

Powracał więc Niunio do Rzymskiego hotelu, gdzie stale zamieszkiwał, był smutny i zdebankowany, ponieważ ostatniej nocy właśnie wydał był resztę gotówki na kolację w gabinecie. Przebiegał Wierzbową ulicę w gorzkiem usposobieniu, kiedy mu drogę zaszedł Tomcio; przywitali się i niebawem wszczęli rozmowę:

— Wracasz od swego bankiera: — pytał Bajeski.

— Tak jest! — odparł, rumieniąc się, Potycki. — Skądże wiesz o tem?

— Alboż nie widzę w twojej fizjognomji zgryzoty? Odmówiono ci pieniędzy, ponieważ wyczerpałeś kredyt.

— I nietylko nie mam już za co żyć dziś w Warszawie, ale nie wiem, w jaki sposób powrócić do domu. Jestem literalnie bez grosza... O, gdyby wie-

dziano w Marzeńcu, jakie jest moje obecne położenie!—zawołał Niunio ze wzruszeniem.

Tomcio uśmiechnął się ironicznie na ten wykrzyk i rzekł:

— Czy stryj twój jest człowiekiem bardzo surowych obyczajów?

— O tak! Jednakże jest to zacna dusza, obywatel powszechnie szanowany.

— W tej chwili nie powinno nas to bardzo obchodzić — mówił Tomcio — zacnych ludzi jest na świecie dużo, a nawet każdy człowiek jest zacny, o ile takim być może. Tu chodzi o kwestję czysto praktyczną; potrzeba pieniędzy i powinieneś je dostać. Jeżeli zatelegrafujesz lub napiszesz list do matki, matka się przerazi i zjedzie ci na głowę, może nawet z babcią i ciocią. To przecież do niczego nie jest podobne! Do stryja także pisać ci nie wypada, bo ludzie starej daty nie pojmują nowożytnych wymagań... Trzeba więc radzić sobie samemu.

— Więc cóż zrobić? — pytał z rozpaczą Niunio, doświadczający braku po raz pierwszy w życiu.

— Ależ, bratku, wyczerpałeś kredyt stryja, a masz swój własny, jesteś przecież pełnoletni! Zginąć ci tu nie pozwolimy, uchowaj Boże...

— Jakże się wziąć do tego?... Nie wiem, do kogo się udać, co zrobić?—mówił gorączkowo Niunio.

— Poczekaj, poczekaj! Wszystko się zrobi; ufaj mi tylko, a dziś jeszcze zaprosimy Minię na kolację.

— Ileż wdzięczności będę ci winien! — zawołał Potycki z uniesieniem, ściskając silnie rękę Tomcia.

Rzecz prosta, iż dziedzic wielkiej fortuny, a w dodatku mający szczerą chęć płacenia dużych procentów, nie mógł w Warszawie znaleźć nieprzezwyciężonych trudności na punkcie zaciągnięcia pożyczki raz, drugi, trzeci i t. d. Tomcio żyrował

weksle jedne, a drugie podobno Minia, Niunio pieniądze czerpał i tracił.

Atoli widać, iż ktoś zboku zawiadomił stryja o postępowaniu bratanka, a może też przyczyniły się do tego i panie z Marzeńca, nie otrzymując żadnych wiadomości od najukochańszego gagatka; bo właśnie, kiedy Niunio zaczął się najlepiej bawić, kiedy serce jego rozwijało się jak kwiat pod wpływem ciepła miłości dla Mini, naraz zjechał do Warszawy pan Wit Potycki, wziął pupila swego na krótki egzamin i tak mówił:

— No, no, mój kochany, popisałeś mi się tu nietęgo; zaciągnąłeś znaczne długi lichwiarskie, które, naturalnie, zapłacę z własnej kieszeni, gdyż mój to był projekt puszczenia cię w życie samopas; matce o tem wszystkiem wspominać nie można, zamartwiłaby się kobieta. Że cię tu ludzie będą chcieli ostrzelać, tegom się spodziewał, lecz nie sądziłem, że im pójdzie tak łatwo... Na moje wychodzi, że nie jesteś wcale przygotowany do życia, aniś ty mężczyzna, ani obywatel! Strata pieniędzy — rzecz to mniejszej wagi, ale zabrnąłeś między ludzi niedobrych, co ci kiedyś na złe wyjść może... Załatwij dzisiaj wizyty i różne zobowiązania, bo jutro jedziemy do Marzeńca.

Niunio nie śmiał stryjowi stawić opozycji; ale jakże mu pękało serce na myśl rozstania się z Minią, którą nieustannie otacza tylu czcicieli, pragnących pozyskać dla siebie jej uczucia. U stóp tej kobiety tak mu było dobrze, rozkosznie, a ona nie odtrąciła go od siebie, jak niegdyś Misia, przyjęła wyznanie miłości, pozwalała mu składać pocałunki na swej najpiękniejszej rączce, obejmować kibić... A teraz trzeba powracać do nudnego domu i nudniejszego jeszcze życia w Marzeńcu.

Kiedy strapiony takiemi myślami Niunio wy-

biegł z hotelu, zastąpił mu drogę Wawrzek; nie był to już dzisiaj ten ociężały, pucołowaty chłopski syn, ale wyglądał on raczej na dyplomatę lub uczonego; poważnie stanął naprzeciw Potyckiego i, topiąc w nim swe ciemne a przenikliwe oczy, rzekł:

— Dlaczego pan wyjeżdża z Warszawy? Co pan będzie robił na wsi między głupimi ludźmi? Tam żyć nie warto...

— Musimy wyjechać, musimy! — rzekł niespokojnie Potycki, przypominając sobie egzamin i nauki stryja.

— Oho, jutro! Ja z wami nie pojadę za żadne pieniądze... Chcę tylko panu wytłumaczyć, żebyś nie słuchał, co ten stary gdera! Słyszałem, jak ubolewał nad pańskiemi—długami, jak mu żal było pieniędzy wydanych... O, sknera paskudny...

— Milcz! — zawołał Niunio. — Śmiesz stryja mojego znieważać tak podłemi słowy?

— A cóż on lepszego ode mnie, albo od pana? Mnie wszystko jedno, ja nie znam żadnego pana nad sobą!

— Lorans, dosyć tego! Jesteś głupi i nic nie rozumiesz.

— Głupim nazywa człowiek takiego, którego sam zrozumieć nie może — odrzekł Wawrzek ze spokojem i dodał: — Bądź pan zdrów i kłaniaj się ode mnie wszystkim w Marzeńcu.

— Ten człowiek oszalał! — pomyślał Niunio i poszedł w miasto.

Tymczasem Wawrzek Ananas udał się do pana Wita, stanął przed nim z powagą i tak zaczął prawić:

— Mój panie, przywieźliście mię tu do Warszawy, choć o to nikogo nie prosiłem; bez tego byłbym został we dworze parobkiem i byłoby mi

dobrze; ale poznałem świat, zrobił się ze mnie inny człowiek, nie mógłbym już żyć między głupimi ludźmi. Nie róbcież mi krzywdy i nie zostawiajcie mię w Warszawie bez pieniędzy!...

Pan Wit popatrzył chłopakowi w oczy, a spostrzegłszy dziwną uroczystość fizjognomji i nadzwyczajną stanowczość Wawrzka, zapytał:

— Cóż ty tu będziesz robił w Warszawie?

— Chcę zostać człowiekiem, który nie ma nad sobą żadnego pana — odpowiedział Wawrzek z naciskiem.

— W jakiż sposób dojdziesz do tego?

— To mój interes! Pan powinien tylko spełnić swój obowiązek, dać mi pieniędzy!

Niezwykły rodzaj przemowy mocno zastanowił pana Wita, więc spytał znowu:

— Ileż ci potrzeba, żebyś mógł zostać człowiekiem?

— Nie wiem! Proszę dać, a będę mógł powiedzieć, czy mam dosyć czy mało.

— Mój kochany Wawrzku, masz tu dwadzieścia pięć rubli, powinno ci to wystarczyć na miesiąc; przez ten czas, naturalnie, niczem zostać nie możesz, więc pójdziesz do mojego bankiera z kartką tą oto, a on ci znowu dwadzieścia pięć rubli wypłaci.

I tu pan Wit napisał coś na swym bilecie, który oddał Wawrzkowi.

Ananas odebrał bilet, ukłonił się lekko, poczem przemówił:

— Ani panu nie dziękuję za tę łaskę, ani też nie obiecuję zwrócić pieniędzy, które u mnie nie zginą, ale zostaną u ludzi, tu w kraju. Lepiej je w ten sposób umieszczać, niż trzymać w pugilaresie. — Ukłonił się raz jeszcze i wyszedł.

Niunio przepędził resztę czasu, jaki mu pozo-

stał, częścią u Mini, częścią u Bajeskiego, dla którego miał w sercu dużo przyjaźni. Do Marzeńca uwoził on wszystkie fotografje aktorki, jakie tylko gdziekolwiek mógł odszukać, no i różne jakieś od niej drobne upominki. Niunio kochał się w Mini pierwszą miłością młodzieńca, a Tomcio nietylko mu w tych uczuciach nie przeszkadzał, lecz owszem ułatwiał wszystko, co było w jego możności.

Teraz korespondencje pomiędzy Marzeńcem a Warszawą były bardzo żywo wymieniane i dlatego łatwo zrozumieć, iż Tomcio, pozostając w Słowiańskim hotelu ze swymi towarzyszami, mógł liczyć na przyjazd Niunia do Warszawy, a w najgorszym razie spodziewać się nadesłania tak zwanej floty ratunkowej.

Niunio z upragnieniem marzył o wyrwaniu się do stolicy; ale matka, babcia i ciocia, pamiętne na jego zobojętnienie podczas pierwszego pobytu w Warszawie, wstrzymywały wyjazd i odkładały na wszelkie sposoby.

V

WAWRZEK KSZTAŁCI SIĘ NA CZŁOWIEKA

Było to w r. 18.., na sześć czy pięć dni przed Bożem Narodzeniem. Już po godzinie dziesiątej wieczorem dwóch ludzi weszło do szynku przy ulicy Żelaznej; obaj mieli na sobie krótkie szaraczkowe kurty, szyje owiązane grubemi szalikami, a na nogach buty z długiemi cholewami. Wszedłszy, stanęli przed szynkwasem i, nie zdejmując czapek, rozmawiali coś ze sobą pocichu i następnie jeden z nich zbliżył się do szynkarza, mówiąc głośno:

— Bejce!

Szynkarz spojrzał bacznie na przybyłych, kiwnął uprzejmie głową na znak powitania i powiedział:

— Chulin-Chulin!

Poczem wprowadził swych gości do szczupłej, a nadzwyczajnie brudnej izdebki, zamknął za sobą drzwi i połą od surduta począł ścierać stół, na którym przy blasku okopciałej lampy lśniły plamy rozlanego piwa i połyskiwały resztki łusek po zjedzonych śledziach. Goście tymczasem rozsiedli się przy rogu stołu, a jeden zapytał gospodarza:

— Nie było tu jeszcze nikogo, panie Kwiczoła?

Zapytany kiwnął przecząco głową, zamiast odpowiedzieć „nie“ i z wytartego już połą surduta stołu począł paznokciem zeskrobywać jakieś szczelnie przyschłe do drzewa szczątki dawno już spożytych

pokarmów. Pod wpływem tej czynności rozmaite wzgórki przylepione do stołu z chleba, kiełbasy i t. d. poczęły znikać, a natomiast na czarnem tle pojawiały się jaśniejsze plamy. Nareszcie szynkarz, którego goście nazywali Kwiczołą, ukończył swoje zajęcie i, zwracając się do przybyłych, powiedział:

— O, oni nadejdą, uadejdą! Czemże mam służyć?

— Pijemy wódkę, czy piwo, Ananasie?—zapytał jeden z gości swego towarzysza.

— Piję wódkę, Klimku!—odpowiedział zapytany.

— Jakże myślisz, przyjechał Nicefor?—pytał znowu człowiek, którego towarzysz nazwał Klimkiem.

— Może przyjechał, a może nie — odparł Wawrzek Ananas, któregośmy już dawno poznali jako sługę Niunia Potyckiego.—Wszystko jedno, śmigus zawsze być musi.. Jak nie będzie Nicefora, to będzie Kołatnik, a jak ich obu nie będzie, to ja będę!

— I Nicefor tęgi i Kołatnik też, i z ciebie zuch okrutny; ale wszyscy nicbyście nie zrobili, jakby nie było Salomona, to-ci jucha Bismark dopiero!..

— Oj Klimku, Klimku! Jabym rady nie dał takiej marności?.. Gadaj zdrów do rana; ale zobaczysz mnie dopiero w robocie, jak wyglądam i będzie ci potem markotno, żeś we mnie nie uwierzył.

— Hej, panie Kwiczoła, czy ty wódkę dopiero fabrykujesz?... Dawaj, dawaj prędzej! — wołał Klimek, bijąc pięścią w stół z całej siły.—No, a czem zagryziemy? Jabym przetrącił kiełbasą, żeby mię wstyd nie było przed gospodarzem...

— Masz się czego wstydzić?... Wszystko jedno, co człowiek je; bieda wtedy, kiedy jeść co niema.

— Ee, kiełbasy w piątek jeść my nie powinni, my chrześcijanie—mówił Klimek.

— Głupstwo! Właśnie kiełbasa rzecz chrześcijańska! Żyd ci świni zanic nie ugryzie.

— Swój swojemu krzywdy nie uczyni... Kiedy tak powiadasz, to jedzmy kiełbasę na złość parchom!.. Panie Kwiczoła, bywaj tu z kiełbasą!...

Zaledwie Klimek skończył, gdy się drzwi izby otwarły i na progu stanął olbrzymi chłop, czarno zarosły na policzkach, w bekieszy fałdowanej u pasa, w śpiczastej baraniej czapce; spojrzał na siedzących, rozwarł szerokie usta do uśmiechu i ukazał dwa rzędy białych jak kość słoniowa, wielkich zębów.

— Nicefor!... A bodajże cię żyd pocałował, jak się ty wypasłeś! — zawołał Wawrzek, rzucając się do ucałowania policzków nowego przybysza, poczem zapoznał swego towarzysza z przybyłym, przedstawiając pierwszego drugiemu:

— Pan Nicefor Leciało, a to pan Klimek Anioł!... Tylko ostrożnie, Klimku, nie podawaj mu ręki, bo ci z palców narobi bryndzy!

— Chewre - koł - Izroel! — zawołał wesoło basem Nicefor. — Słyszałem przez drzwi, jakeście rozmawiali, że żyd świni krzywdy nie zrobi; o! i ja was nie chcę ściskać, moje dusze! My wszyscy swoi i rąk potrzebujemy do innej pracy, nie do ściskania swoich.

Poczem popatrzył podejrzliwie na drzwi boczne, okno, sufit i usiadł, aż stołek pod nim trzasnął, a głowę o czarnych, szczeciniastych włosach wsparł na ogromnych dłoniach.

— Musiałeś pan o mnie słyszeć, panie Aniele, kiedy tutaj dzisiaj jesteś? — mówił Nicefor, przeciągając sobie palec przez istny krzak brwi, czarnych jak smoła.

— Tać wiem rozmaitości od Wawrzka! — odrzekł Klimek.

— No, a powiedział on wam, dlaczego mię przezwali Niceforem? Bo dawniejsze moje imię było Dyzma.

— Tegom mu zapomniał powiedzieć — wtrącił Wawrzek.

Nicefor, widzicie, znaczy takiego, co jak pocznie walić po łbie, po grzbiecie, to się *nic* nie zostanie; wszystko pójdzie *fort!*... Ale cóż wy, robaczki, siedzicie tu tak naczczo? Wściekł się ten Kwiczoła, czy co? Wódki, pół wiadra wódki, mocnej okowitki, żeby paliła w gębie, jak pieprz, przez gardło szła, jak oliwa, a w brzuchu grzała, jak ogień!—krzyknął Nicefor i, pochyliwszy się przez poręcz stołka, grzmotnął we drzwi pięścią tak silnie, aż połowa ich zwaliła się z trzaskiem wewnątrz szynku.

Wnet też pojawił się gospodarz z gąsiorem gorzałki w jednej ręce i szklaneczkami w drugiej; ustawił szkło na stole i rzekł z uprzejmym uśmiechem:

— Takiego gościa, jak pan Nicefor, to lubię, to rozumiem! Kiedy zadzwoni, zaraz wiem, co mam podać; bo tacy, co cicho proszą o napitek, piją zawsze mało.

— A na przekąskę nic nie dasz? Jestem głodny, głodny strasznie! Gdyby pusta stodoła była człowiekiem, czułaby taki sam głód w sobie — mówił Nicefor.

Gospodarz znowu przyniósł jaj, chleba, śledzi, sera, masła i szklankę ze solą, zmieszaną z pieprzem.

Nicefor nalał kubki, a trąciwszy się z towarzyszami, wypił swą czarę do dna, poczem z żarłocznością zwierzęcia sprzątał wszystko, co było na stole i nieustannie popijał wódką.

Klimek i Wawrzek pili także, używając zakąski.

— Fe!... Starego masła dał nam gospodarz—zawołał Klimek, krzywiąc się i odsuwając naczynie z masłem. — Żydem cuchnie!

— Stare masło nie cuchnie, ani nie cuchnie stare sadło i stara słonina; one są tylko czujne — rzekł Nicefor. — Dajcie mi gorącej kapusty miskę ze starą

szperką, a pokażę, jak jada człowiek w naszym kraju!... Żyd cuchnie, ale nie okrasą; on śmierdzi żydem, a Niemiec — zgniłem jajem...

— Każdy odmieniec czemś trąci—rzekł Wawrzek.

Zkolei przybywali inni jeszcze goście i szczupła izba wnet się zapełniła ludźmi, z których każdy dla przeciętnego porządnego mieszczanina mógł mieć podejrzaną powierzchowność. Wielu miało twarz ospowatą, ręce grube i niedostatecznie czyste, a wszyscy się odznaczali niezgrabnemi ruchami i chropowatym, ochrzypłym głosem. Gwarno było w ciasnej izdebce, szybko znikała ze stołu wódka oraz jadło, a ochocze rozmowy ożywiały biesiadujące towarzystwo.

Nareszcie przed samą północą pojawił się tutaj człowiek niskiego wzrostu, krótkiej szyi, dobrej tuszy, ubrany w tużurek i noszący grubą złotą dewizkę z brelokami na brzuchu.

Na jego widok niektórzy się skłonili, inni zawołali:

— Salomon, Salomon!

Nicefor nie powstał, nie odwrócił się nawet do przybyłego, jak gdyby był niezadowolony z przybycia nowego gościa; Wawrzek również zachowywał się obojętnie.

— A co, jesteśmy wszyscy? — spytał przybysz.

— Nasi są wszyscy! — odezwał się jeden z siedzących za stołem.

Salomon zdawał się wzrokiem liczyć obecnych, poczem rzekł:

— Czekaliście, panowie, na mnie; bardzo mi przykro, że wcześniej przybyć nie mogłem; przyjechałem prosto z Berlina tym pociągiem, na który trafiłem, i gdyby mię tu do was nie sprowadzała tak ważna sprawa, udałbym się, moi panowie, prosto do łóżka... Lecz trudno, jesteśmy wszyscy sługami obowiązku!... — Tu westchnął Salomon; po chwili

zaś tak znów mówił: — W dawnych czasach byli rycerze zakonnicy, którzy tępili niewiernych, nieprzyjaciół Zbawiciela; ale wszystkich nie mogli wytępić... Dzisiaj my bierzemy na siebie ten obowiązek i oto na dzień Narodzenia Zbawcy naszego przygotujemy zagładę największym jego wrogom, żydom. Czy panowie gotowi jesteście bronić swej wiary od żydowskiego prześladowania?...

Umilkł i pytająco spoglądał po wszystkich.

— A jakże, a jakże! Jesteśmy gotowi!—odezwało się kilka głosów.

— Czyście już ułożyli porządek dnia? Czy wiecie jak zacząć, postępować, kończyć?

— Bić, tłuc, walić, rozbijać! — odezwał się ponuro Nicefor, nie podnosząc wgórę oczu. — Bić wszystko, co pod rękę popadnie, to najlepszy porządek.

— Ooo, bić, bić! — wykrzyknął Wawrzek. — Bić pogańskie nasienie!

— Moi panowie! — zawołał Salomon. — Powiadacie bić! Bardzo dobrze; ale to nie jest żaden program... Jak będziecie bili, będziecie też i sami bici; druga połowa pójdzie do kozy i na tem się wszystko skończy... Hm, hm, tak być nie może. Potrzeba tu mądrej polityki. Na miasto w Boże Narodzenie muszą wyjść z wami żony, dzieci, krewni, bliscy i dalecy znajomi, ale tego wszystkiego jeszcze mało... Musi być trzydzieści tysięcy ludzi gotowych, wściekłych, których nic nie powstrzyma; wtenczas ię dopiero uda *judenheca*...

— Jakże to zrobić? — zapytał Wawrzek.—Trzydzieści tysięcy, to ćma ogromna!

— Nic łatwiejszego! — mówił Salomon.—Trzeba, ażeby jeden chrześcijanin został zabity, a my rozgłosimy, że go zamordowali żydzi. Nie żadna to

przecie sztuka, a będzie dobrze, reszta pójdzie jak po maśle.

— Ba, ba! — zawołał znowu Wawrzek. — Któż tego chrześcijanina zabije? Jabym jednego swego za tysiąc żydów nie oddał!

— Hola! Nanic się nie zda krzyczeć i rozprawiać; albo mamy ważną rzecz zrobić, albo wszystkiemu dać pokój, — powiedział Salomon z nadzwyczajną powagą. — Ciepłą ręką nikt nie będzie chrześcijan mordował, ale należy tak zrobić, żeby żydów o morderstwo obwinić. Tak się robiło w Peszcie i wszędzie gdzie indziej, i było dobrze, poszło...

— No, więc jakaż jest twoja rada, panie Salomonie? — pytał Klimek.

— Zaraz opowiem dokładnie wszystko, co obmyśliłem — odrzekł Salomon.

— Niemiec plan zrobi, ale nie ma serca, żeby go wykonał! — odezwał się Nicefor.— My wszystko za nich robimy i najczęściej dla nich samych...

Salomon popatrzył bacznie na Nicefora, ukłonił mu się grzecznie, roześmiał się, jak gdyby powyższe słowa uważał za żarty, i tak mówił dalej:

— Moi panowie, znam ja słowiańskie natury; co sami zrobicie, sami popsujecie. Ja wam szczerze powiadam, że aby dzieło takie porządnie przeprowadzić, trzeba się dobrze zastanowić, jeżeli chcemy, żeby się to udało... Mnie wy nie nauczycie urządzania judenhecy!

— Więc mówże pan prędzej, co należy robić!— wołano ze wszystkich stron.

— Powiedziano już, że jeden musi się poświęcić! — prawił Salomon. — Mówię poświęcić się, bo może być schwytany na gorącym uczynku i będzie mu bieda za niezręczność. Ale poco ma być niezręczny? Poco niezręcznego wybierać? Dlaczego mają zaraz chwytać? Przecież nikt nie pilnuje ta-

kich rzeczy, którym nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Otóż, ten jeden z pomiędzy nas, ten zręczny właśnie, ten którego nikt nie schwyta, pójdzie w Boże Narodzenie do kościoła, położonego w środku miasta; pójdzie na sumę, gdzie może szczerze się pomodlić, wyznać w modlitwie, jako działa ku większej chwale Bożej, a tem samem zapewnić sobie opiekę niebios... Taki wierny, pobożny i zręczny chrześcijanin powinien wziąć ze sobą paczkę zapałek dobrych, któreby przy potarciu nie sprawiały trzasku, a przy paleniu się — swędu. Gdy się będzie gorąco modlił, niech też na bok czasem zerka i upatruje, czyją suknię byłoby mu najłatwiej pod każdym względem zapalić, a jednak nie być przez nikogo spostrzeżonym... Nie jest to wcale rzecz trudna przy znacznym natłoku pobożnych w tak wielkie święto. Już teraz panowie wiecie, co powinien zrobić taki zręczny i pobożny chrześcijanin. Kiedy się suknia zapali, powinien krzyknąć: gore! A kiedy wraz z ciżbą uciekających dotrze do drzwi kościoła, niechaj każdego wychodzącego objaśnia, że to żydzi, niezadowoleni z narodzenia Zbawiciela świata, palą wiernych po kościołach, przez zemstę. Powinniście, panowie, teraz już zrozumieć, że w ten sposób płomień nienawiści dla żydów odrazu ogarnie całe miasto. Dosyć będzie, aby następnie jeden z naszych krzyknął na ulicy: „huzia na żydów!". Wtedy wszystko się rzuci do rozbijania żydowskich sklepów...

— A ja się na to wcale nie zgadzam! — krzyknął z zapałem Wawrzek. — Nie można dusić w kościele ludzi, którzy przyszli tam się modlić.

— Niemiecki obyczaj — mruknął Nicefor, spełniając nową czarkę wódki. — My możemy podusić katolików, a żydom nic nie zrobimy.

— Jeżeli tak nie zrobicie, zepsujecie całą sprawę! — zawołał znowu Salomon. — Może się przecież nikt nie udusić i nikt nie spalić; ale jeżeli się kto udusi i spali, będzie miał w niebie zasługę, że przeciw żydom nienawiść rozpalił... Innego programu ja nie rozumiem! Zresztą, moi panowie, głosujmy; kto trzyma ze mną, ten na znak niech podniesie rękę.

Oprócz Wawrzka i Nicefora, wszyscy zebrani w izbie stanęli po stronie Salomona, który też triumfująco spojrzał wkoło i zawołał:

— Zwyciężyłem! Pobijemy żydów!

— Niemcy nas biją! — rzekł Nicefor, zwracając się do Wawrzka. — Zamiast żydów, lepiej może byłoby poturbować tych podleców.

— Niby się to Niemiec czem różni od żyda! — odpowiedział Wawrzek. — Jednakowo szwargocą i szachrują psie wiary.

— Wiarę pono Niemiec ma chrześcijańską, a żyda dusza jest pogańska i przeklęta — mówił Nicefor, zaledwie mogąc wymawiać wyrazy.

Tymczasem grono zwolenników Salomona otoczyło swojego mistrza, tłocząc się do niego pod oknem izby. On zaś dobył cygar i częstował niemi wszystkich, a potem znowu głos zabrał w te słowa:

— No, moi panowie, ale powiedzcie mi, czy jest między wami taki, który z zapałkami pójdzie do kościoła na sumę w dzień Bożego Narodzenia?

Wszyscy spoglądali jeden na drugiego, lecz ochotnik jakoś się nie odzywał; nareszcie wystąpił człowieczek niski, szczupły, z cerą ciemno-oliwkową i z garbatym nosem; ten rzekł śmiało:

— Ja pójdę!

— Garwoliner! Garwoliner!—wołali inni.—Patrzcie, taki mały a zuch!

Salomon wziął na bok Klimka i zapytał:

— Czy ten Garwoliner jest żydem?

— Tak jest, Garwoliner przechrzcił się przed

rokiem, ale to zupełnie nasz człowiek; zresztą jemu wszystko jedno, bo on w nic nie wierzy; poszedłby do bóżnicy z zapałkami tak samo, jak i do katolickiego kościoła — odparł Klimek Anioł.

Salomon podszedł do małego człowieczka i, klepiąc go po ramieniu, rzekł:

— Spiszże się pan dobrze, panie Garwoliner!

A nachylając mu się do ucha, szepnął:

— Ci Polacy nawet bić żydów nie mogą bez pomocy żydów.

Garwoliner uśmiechnął się bardzo złośliwie:

— Ha, ha, ha!

Ale oto Nicefor powstał od stołu, a zataczając się, szedł do Garwolinera i wołał:

— A ja ci ten łeb kręcony urwę, jeżeli jeden chrześcijanin zginie w kościele z twojej przyczyny!

— Ja się poświęcam, to mój obowiązek — rzekł przechrzta, kryjąc się za plecy grubego Salomona.

— Panie Nicefor — rzecze Salomon, wysuwając się naprzód — zwyciężyło moje stronnictwo i musimy się teraz pogodzić. Za moim projektem wszystko przemawia, wszystko się tak wybornie składa, że nawet kłamstwa nie będzie, gdy rozgłosimy, że żyd podpalił w kościele chrześcijan. Nie jestże to przepyszne?...

— Zawsze ja jemu dotrzymam obietnicy, jeżeli się waży!... — Ryknął Nicefor, któremu już widocznie nie dopisywały nogi ani język z powodu nadużycia trunku.

— Kłócić się z wami nie będę, panie Nicefor, bo nie na kłótnie tu zjechałem; ale dlatego, żeby aranżować judenhecę, co stanowi dobro waszego kraju i całego świata... Więc wypijmy na zgodę naszą i na zgubę żydów! — mówił, zapalając się, Salomon.

— Wypić wypiję, bo pić lubię, nawet kiedym pijany... I im bardziej jestem pijany, tem więcej piję... Ale na żadną zgodę pić nie będę, bo kiedym pijany, to mię najbardziej serce boli i najbardziej ręka świerzbi i coś do bicia, nie do zgody, ciągnie... Taki ja już jestem, Nicefor Leciało!

— Ustąp pan, panie Salomonie! — zawołał Klimek, stając przed Niceforem, który dzikim i obłąkanym wzrokiem patrzał zpodełba na izbę i podobny był do byka, który się gniewa, boczy, zanim we wściekłość wpadnie. Teraz oparł się o ścianę i nogą podrzucił wgórę stołek, który uderzył o sufit, trzasł i kawałki jego spadły na głowy obecnych.

Zrobił się wielki zamęt i zgromadzeni poczęli spiesznie opuszczać szynk przy ulicy Żelaznej. Zostali tylko Ananas i Leciało. Ten ostatni porwał oburącz stojącą na stole butlę i wysączył z niej resztkę wódki co do kropelki. Wawrzek wziął towarzysza pod rękę i wyprowadził na ulicę, pytając.

— Gdzie mieszkasz, Niceforze?

— Słowiański hotel, numer trzydzieści sześć... Tak jest, trzydzieści sześć, a może trzydzieści pięć... Nic nie pamiętam! Straciłem pamięć przez tego sobakę Niemca...

— Nie gniewaj się — rzekł Wawrzek — przyjdę do ciebie jutro, to pogadamy.

— O czem gadać?... My do niczego, durnie jesteśmy!... Ot Salomon taki, to napewno żyd niemiecki... Przyjechał tu, bo chce zarobić?... Brr! Jak mi się też świat we łbie kręci...

— Człowieku, co ty gadasz? Na czemby on mógł zarobić?

— Pi, pi, pi!... Tyś, Wawrzku, taki głupi, jak i ja... Wiesz ty, co to jest giełda?...

— A nie wiem!

— No, to nie gadaj, bo ja wiem, co jest giełda, a nie potrafiłbym bułki za dwa grosze na niej za-

robić... Zbawicielu świata... Ziemia z pod nóg mi się usuwa... Wawrzek... trzymaj mię, bo padnę...

— Nie padniesz, nie bój się; ale mi gadaj o giełdzie!

— No, to ci powiem zaraz, tylko mię mdli okrutnie... O, mój Jezusieńku... to już dzisiaj chyba dla mnie koniec świata... Wawrzek, stój!... Muszę się zatrzymać, bo tchu w piersiach nie mam, a dziwne światło w oczach mi lata...

Dwaj przyjaciele zatrzymali się na ulicy Senatorskiej przed kościołem Reformatów; Nicefor ciężko oddychał, opierając się o dom jakiś i mruczał:

— To wszystko nam się na łby wali... Te domy, te kościoły... wszystko się wali na człowieka...

— Mów mi, co to jest giełda! — nalegał Wawrzek.

— Giełda... giełda... Chcesz bić żydów i nie wiesz, co to jest giełda!... A na giełdzie sprzedają ciebie i mnie... i innych jeszcze osłów... rozumiesz!...

— Nic nie rozumiem, bo ja się sprzedać nie pozwolę przecież! — odparł Wawrzek.

— A czy się Judasz pytał Chrystusa o pozwolenie... kiedy go sprzedał? Czy się kto pyta o pozwolenie barana, kiedy go rzeźnikowi sprzedaje?... Wawrzku, tyś taki głupi, jak i ja... My oba głupie chłopy... choć ja byłem w szkole... i mądrości mię uczono... To wszystko na djabła się zdało!...

— Pójdź, pójdź! Już niedaleko Podwale, wyśpisz się, to będziesz mądrzej gadał jutro. Spiłeś się, Niceforze! — mówił Ananas.

— Najgłupsi są ludzie trzeźwi!... Ćmi mi się w oczach... Cztery księżyce świecą... Salomon szumi mi w głowie, jak samowar... Oj, jak mi źle żyć na świecie!

Wśród takich rozmów przybyli do Słowiańskiego hotelu. Wawrzek zadzwonił, szwajcar otworzył bramę i Nicefor puścił się przez podwórze ku oficynie na prawo; wpadł na korytarz, począł obmacywać klamki od numerów; jednę z nich nacisnął, drzwi się otwarły, a on wpadł wewnątrz; zatrzymał się przy ścianie, mruknął kilka słów, zdało mu się, że ściana od niego odskoczyła, że wszystko, co jest na prawo, stanęło po jego lewicy, a wszystko, co u góry, lazło mu pod pięty. Chciał się bronić wobec takiego przewrotu wszechrzeczy, chciał odskoczyć; ale wirowy prąd jakiś porwał go ze sobą, zakręcił nim i rzucił go o ziemię. Wszystko się teraz uspokoiło; Nicefor przycisnął głowę do ziemi, przez chwilę jeszcze zdało mu się, że młynkiem tańczy po podłodze, że z nieba odrywają się gwiazdy i lecą na niego jakieś purpurowe, fioletowe, prześliczne. Potem westchnął, jęknął... Zrobiło mu się lekko, przyjemnie, bardzo miło. Poruszył się, podniósł głowę i znów ją opuścił na coś miękkiego...

Numer, do którego wpadł Nicefor, był znany nam już dobrze, trzydziesty piąty, ten sam, gdzie zamieszkiwali Tomcio, Miś i Olo, gdzie ostatecznie pozostawał Wróbelkiewicz, pozbawiony przez Bajeskiego garderoby.

VI

CZŁOWIEK, KTÓRY SOBIE DOBRZE RADZI

Wróbelkiewicz, pozostawiony w negliżu pod trzydziestym piątym numerem, zrazu gorzko rozmyślał nad swoim losem; ale potem przyłożył głowę do poduszki, a gdy mu się oczy kleiły, zdmuchnął świecę i bądź co bądź spać postanowił. Jeszcze go był sen na dobre nie ogarnął, dopiero już-już, a byłby zasnął, kiedy się drzwi z łoskotem rozwarły i ktoś czy coś dziwnego wpadło do izby, a poczęło tutaj wyprawiać szczególne harce. Pan Zenon słyszał wyraźnie, iż jakaś masa ociera się o ścianę, że dyszy, sapie... słyszał także, jak się to coś przesunęło około jego łóżka zbliska a niezdarnie. Widocznie istota żyjąca weszła, czegoś poszukiwała, nareszcie stanęła w jednym z kątów, niedaleko wezgłowia łóżka i zachowywała się przez czas pewien cicho. Wróbelkiewiczowi serce biło niespokojnie, miał ochotę zapalić świecę, lecz nie mógł wyciągnąć ręki, tak mu jakoś stężała ze strachu; w rdzeniu kręgowym poczuł gorąco, a niektóre włosy literalnie dębem stanęły mu na głowie. Po niejakiej chwili rozległ się głuchy huk, masa owa padała czy zapadała się pod ziemię; tem bardziej mrowie obsypało teraz pana Zenona od stóp do głowy. W numerze zrobiło się potem cichutko, jakby makiem zasiał. Wróbelkiewicz przycupnął do poduszki, nie śmiejąc oddychać. Jednakże strach jego zwolna przemijał, począł on sobie rozpamiętywać, że wszelki skutek musi mieć naturalną przyczynę i pod wpływem tej filozofji odważył się omackiem poszukać zapałki, którą śpiesznie potarł o ścianę i zapalił świecę. Cóż się pokazało?... Na ziemi leżał rozciągnięty jak długi kolosalnej budowy człowiek, obiema rękami trzymał się za głowę, a twarzą upadł na psa martwego. Trwożliwem okiem spoglądał pan Zenon na tę szczególną postać, nie mogąc sobie zdać sprawy, co za znaczenie ma jej obecność pod trzydziestym piątym numerem? Byłżeby to właściwy lokator izby? Może Bajeski, ten umysł złośliwy i w fortele obfity, szczególny jaki podstęp urządził?...

Zwolna atoli oswajał się Wróbelkiewicz z owym widokiem powalonego na ziemi człowieka, a każdy się tu domyśli, iż człowiekiem tym był Nicefor Leciało, który, jak padł, tak leżał, ani drgnął, rzekłbyś kłoda drzewa. Pan Zenon nie bez obawy przystąpił do leżącego, zrazu obserwował go w oddaleniu, później coraz bliżej, aż poczuł mocny zapach spirytusu.

— Z pijanym każdy sobie da radę — pomyślał w duszy Wróbelkiewicz i począł palcami dotykać ciała Nicefora, ale ciało było zupełnie martwe, nieruchome, jak ciało psa, który także niedawno życie tutaj zakończył i służył teraz za poduszkę nieżywemu człowiekowi.

Dwa trupy w mieszkaniu nie mogą nikomu być przyjemne, więc rozmyślał w umysłowem rozstrojeniu Wróbelkiewicz, co ma począć. O spoczynku mowy być nie mogło. Narobić alarmu, rozbudzić służbę, możeby i należało; ale przecież każdy zapyta, co za rację bytu między temi podwójnemi zwłokami ma on, Wróbelkiewicz, człowiek do koszuli rozebrany? Przyjdzie się tłumaczyć, usprawiedliwiać, ogromnie kłamać, bo prawdy wyznać

niepodobna, a choćby ją wyznał, nikt mu nie uwierzy. Ludzie wpadną na domysły, powezmą podejrzenia, Bóg wie jakie! A jutro, jutro rano będzie, naturalnie, jeszcze gorzej; śmierć sprowadzi śledztwo, przyjdzie się włóczyć po sądach, być może aresztowanym i uznanym za zabójcę... Kto wie, co być może? Pan Zeno miał w duszy jakieś niepewności, jakieś przeczucia, udręczenia i, jak zwykle bywa w takich razach, w sercu jego powstało pragnienie:

— Oh, żeby się też tak wydostać z tego przeklętego numeru!...

Ale jak tu wyjść w negliżu na świat Boży? Wszak to nieprzyzwoicie nawet i w nocy, a co gorsza, zimno. Bił się tedy Wróbelkiewicz z myślami, a było mu ciągle bardzo przykro pozostawać pod trzydziestym piątym numerem i życzenia ciągle unosiły myśli jego daleko od Słowiańskiego hotelu. Naraz jakieś natchnienie mu błysnęło; widocznie potrzeba, trudne okoliczności, podszepnęły mu logikę:

— Jeżeli ja, człowiek żywy, mogłem w tym numerze pozostawać bez ubrania, to przecież dla człowieka nieżywego sprawa tego rodzaju jest zupełnie obojętną. Zdaleka od głowy Nicefora leżała jego oryginalna, wysoka, śpiczasta czapka barankowa. Wróbelkiewicz ujął ją delikatnie palcami, podniósł, [illegible]rzał i przymierzył.

— Potrzeba mi tylko jak bądź się przyodziać, abym mógł umknąć z tej trupiarni!

Pomyślał i pożądliwy wzrok skierował na Nicefora. Kapota była bardzo dostatnia, a nieżywy człowiek był znacznie tęższy od Wróbelkiewicza, który znowu sobie pomyślał:

— Cóż mię w tej chwili może obchodzić krój sukni? Nie powinienżem raczej uczynić wszystkiego, co jest w mej mocy, ażeby jak najprędzej stąd uciec i dostać się do swego wygodnego mieszkania?... Przeklęty łotr, ten Bajeski, na co on mię naraził!

Tak mniej więcej rozmyślał pan Zenon, zabierając się do pozbawienia Nicefora kapoty i długich butów. Niebawem ubrał się, spojrzał po sobie i myślał, że należy już teraz wydobyć się z pod przeklętego numeru; ale zatrzymał się jeszcze przez chwilę, bo miał złudzenie, że ktoś po korytarzu przechodzi. Dotknął bocznej kieszeni kapoty i namacał pugilares, wziął go i przeglądał, rzucając niekiedy okiem podejrzliwem na Nicefora, zasypiającego snem wiecznym. W pugilaresie było nieco pieniędzy, a prócz tego mnóstwo jakichś papierków z notatami, których pan Zenon nie miał ochoty przeglądać.

Nareszcie wyszedł z numeru; na korytarzu słabo połyskiwała lampa; na dziedzińcu było ciemno. Nie poszedł do bramy, nie zadzwonił na szwajcara, ale uznał za właściwe zwrócić swe kroki ku tyłom hotelowych zabudowań, gdzie przy parkanie znajdował się niski budynek, a przy nim śmietnik. Po owym śmietniku Wróbelkiewicz wdarł się na daszek budynku i ujrzał przed sobą jakiś ogród, do którego zeskoczył. Odetchnął swobodniej, widząc się poza obrębem hotelu, i rozważył kierunek, w jakim mu dążyć wypadało, aby jak najrychlej dotrzeć do domu. Poszedł na lewo, [illegible] znowu inny parkan i znowu się dostał do [illegible] ogrodu; stamtąd wyszedł na dziedziniec, gdzie [illegible] samym środku stała pompa, a nawprost pompy ciemniała głęboka brama. Pan Zenon unikał tej bramy; a pomimo to wydobył się jednakże wreszcie na ulicę, także dzięki parkanowi.

Tymczasem Wawrzek Ananas, pożegnawszy Ni-

cefora w bramie hotelu Słowiańskiego, powracał do domu. Nie wiedział on atoli, iż od chwili, kiedy wyszedł z szynku przy ulicy Żelaznej, dwaj ludzie nieustannie kroczyli za nim i za Niceforem, znajdując się jednak w takiej odległości, aby nie być spostrzeżonymi. Kiedy zaś Wawrzek wpuścił już swego towarzysza do hotelu, ludzie ci ni stąd ni zowąd znaleźli się naprzeciw niego. Był to Salomon i Garwoliner. Pierwsi oni zaczepili Ananasa, witając go bardzo grzecznie i proponując wstąpienie gdzie bądź na szklankę wina. Tylko zakład pod „Kometą" był jeszcze otwarty i oświetlony w tej późnej porze; ale Wawrzek nie chciał wstąpić nigdzie, nie przyjął zaproszenia, zato okazywał najzupełniejszą gotowość do rozmowy. Chodził zatem po ulicach, żywo rozprawiając. Salomon i Garwoliner usiłowali drogą przekonywania odciągnąć Wawrzka od przymierza z Niceforem, który, jak twierdzili, przez swą głupotę, upór i pijaństwo, może nazawsze zgubić sprawę antysemityzmu polskiego, a przygotowaną na Boże Narodzenie judenhecę wniwecz obrócić.

Nie możemy tu przytaczać w szczegółach całej tej wielce ciekawej rozmowy, powiemy tylko, że dzięki wymowności agitatorskiej swoich antagonistów Wawrzek zachwiał się w opinjach dotychczasowych.

Już chmury rzedniały na niebie przed nadchodzącym świtem, kiedy nasi antysemici spotkali Tomcia, Misia i Ola. Złoci młodzieńcy właśnie wyszli byli z pod „Komety" w nadzwyczajnie wesołem usposobieniu, mówili głośno, śmiali się, podśpiewywali i widocznie poszukiwali sobie jakiegoś nowego przybytku szczęścia, aby zabić resztę dobrze rozpoczętej nocy. Pierwszy Bajeski, ujrzawszy Wawrzka, zatrzymał się i głośno zawołał:

— Ho, ho!... Lorenzo magnifice del' Ananaso!... Jak się masz, królu! Pójdź z nami, kupię ci kolację i wyjmę ze łba ćwieka, którego sobie głęboko zabiłeś, jak pan twój twierdzi!...

Ale Wawrzek ani słowa nie odpowiedział na tę przemowę i poszedł ze swymi towarzyszami dalej, a trzej przyjaciele nie zatrzymywali się też dłużej, lecz podążyli do swego celu, wykrzykując wesoło.

Wnet po tem zdarzeniu Ananas, Salomon i Garwoliner zwrócili się ku ulicy Marszałkowskiej i tutaj to spotkali znowu Wróbelkiewicza, przybranego w odzież nieboszczyka Nicefora. Bardzo charakterystyczna śpiczasta czapka, a może i kurta w pasie fałdowana, mocno uderzyła Wawrzka; zdawało mu się, że spostrzegł Nicefora, którego sprawę właśnie zdradzał, więc spiesznie pobiegł za idącym kilka kroków; ale niebawem się pomiarkował, że tylko przypadkowym sposobem ktoś jest ze stroju podobny do jego sprzymierzeńca.

I tak pan Zenon bez żadnych nadzwyczajnych przygód dostał się nareszcie nad samem ranem do mieszkania swego przy ulicy Kruczej. Zaledwie tu zadzwonił, a już mu drzwi otwarła służąca, niemało zdziwiona z powodu osobliwego kostjumu swego pana. Wróbelkiewicz zrzucił czemprędzej z nóg grube buty i przywdział miękkie pantofle; resztę też ubrania zamienił na dostatni a wytworny szlafrok. Mieszkał on wygodnie, lecz nie bogato. Przybywszy teraz do domu, widocznie nie zamyślał wypoczywać, bo się umył z wielką troskliwością i przed zwierciadłem starannie uczesał głowę, następnie zaś wyczyścił zęby oraz paznogcie, a ciało i odzienie skropił jakiemiś pachnącemi płynami. Służąca podała mu na tacy szklankę herbaty z cytryną. Wróbelkiewicz wydobył teraz z biurka

piękne cygaro, obciął je, zasiadł w fotelu, założył nogę na nogę i począł zwolna pić herbatę, puszczając z ust wgórę kłęby błękitnego dymu. Tak odpoczywając, wypił dwie szklanki herbaty. Skoro czynność tę ukończył, przyzwał do siebie służącą i polecił jej, aby mu wypakowała dwie wielkie walizy bielizną i garderobą, ponieważ wybiera się w podróż; następnie wypytywał się o różne szczegóły domowego gospodarstwa i zapowiedział, że około dziesiątej przybędzie pewien kupiec, żydek, który ma być natychmiast przyjęty i do mieszkania wpuszczony. Dopiero po daniu tych rozporządzeń pan Zenon wyciągnął się na szezlongu i zasnął lekko snem najsprawiedliwszego.

Biła dziesiąta godzina rano, kiedy do drzwi mieszkania Wróbelkiewicza przybył człowiek, zdradzający we fizjognomji swej semickie pochodzenie; miał nos zagięty jak pałasz, oczy zezowate, włosy na głowie kędzierzawe, na brodzie i wąsach lichy zarost; lat liczył najmniej czterdzieści pięć, nosił ubiór krótki. Służąca wpuściła go niebawem do domu i obudziła pana Zenona, jak jej to było zalecone.

— Jakże ci się tam powodzi? — zapytał Wróbelkiewicz, podając rękę przybyłemu izraelicie.

— Ciężkie czasy, bardzo ciężkie! Interesów się nie robi — odparł zapytany.

— No, ale przecież powydobywałeś moje pieniądze?

— Co ja z tem wszystkiem użyłem kłopotu!... Panie Wróbelkiewicz, wierz mi, za fatygę wart jestem więcej niż dwa procent.

— Hm, to też od moich pieniędzy zarobiłeś niezawodnie więcej niż trzydzieści.

— Jakem Icek Cokolwiek, tak nie wiem, czym zarobił na całym geszefcie tysiąc rubli.

— Gadaj mi, niby ja się nie rozumiem!... Ale co mi do tego? Ileś zarobił, toś zarobił, nikt ci grosza nie odbierze; ja także zarobiłem... Dzisiaj także ładny grosz dostaniesz, tylko żeby ten człowiek, który pójdzie z wekslem do banku...

— Aj, że też pan nigdy nie wierzy temu, co mówi Icek Cokolwiek!... Czy to jabym posłał lada kogo z wekslem do banku po tyle pieniądzów?

— Powiedz mi, kto on jest taki?

— Jużem panu powiedział, co on mój szwagier... Jemu taki interes mało znaczy!

— Jakto mało?... Dwadzieścia tysięcy rubli, to dla niego mało?... Jabym sobie i tobie w łeb strzelił, żeby on zrobił szwindla! — zawołał Wróbelkiewicz.

— Jakby pan sobie strzelił, toby się Icek Cokolwiek za pana modlił i dziękował Bogu, co pan nie miał czasu jemu wistrzelić... Ten mój szwagier — śliczne człowiek, mówię panu, panie Wróbelkiewicz! On pięć razy bankierot był — w Brodach, w Berdyciów, Lemberg, Krakau i zawsze dużo zarobił... Onby zrobił jakie paskudztwo, takie doświadczone człowiek?... Takie kopf?...

— No, no, obliczmy się tymczasem. Dzisiaj muszę mieć wszystkie swoje pieniądze w kieszeni...

— U mnie cały rachunek jest w głowie, a com pańskich pieniędzy jeszcze nie odebrał, to swojemi założę, aby tylko honoru nie stracić.

— A więc nie mogłeś widać odebrać wszystkiego?

— Ja panu powiem prawdę, że mi szkoda odbierać pieniędzy stamtąd, gdzie interes jest pewny... Kto dzisiaj da pięć od sta za miesiąc?... Poco odbierać kapitał?... Niech on sobie tam leży całe życie? Aj, aj!...

— To prawda, prawda! Tylko ja przecież takiego procentu nie brałem...

— Niech pan Bóg broni! Pan brał trzy procent na miesiąc, a ja brałem dwa; bo pan dawał gotówkę, a ja... *verstand* i fatygę.

— U kogóż zatem pieniądze pozostawiłeś?...

— Z przeproszeniem, pan się pyta, a pan wie, co ta pani ze Senatorskiej zapłacić nie mogła. Skąd ona ma brać? Mąż jej nie da, bo on skąpy, a ona musi mieć piękne suknie... Aj, jaka to kobieta! Jak łania...

— Tak, tak, masz rację, anioł piękności. Parę razy byłem w jej domu na wieczorze — rzekł Wróbelkiewicz, wpadając jakby w zamyślenie.

— Dlaczego pan nie miał być?... Ona tego nie wiedziała, co ma pożyczone pańskie pieniądze!... Pan mógł jeść i pić, ile sam chciał... Icek Cokolwiek nikomu nie pisnął, że pani Srebrowa bal wyprawia za pieniądze, pożyczone od pana Wróbelkiewicza. A co mnie do tego?

— Czy ty wiesz, że pieniądze u niej nie są pewne?... Mąż z nią niezawodnie pójdzie już teraz do rozwodu, a wtedy nie będzie się wahał zaprzeczyć swego podpisu na wekslu... Cóż będzie? Ona może iść do kozy; ale ty pieniądze stracisz.

— Co się panu dzisiaj stało? Pan tak mówi, jakby nie pan Wróbelkiewicz! Icek Cokolwiek ma pieniądzów stracić, a takie śliczne dame pójdzie do kryminału?... O tym rozwodzie, to już wszyscy wiedzą i wszyscy się cieszą, że taka godna osoba będzie miała teraz lepszego człowieka... Co ja panu powiem; ja u pani Srebrowej zostawiłem moje własne pieniądze, a ona mi dała taki podpis, co jest lepszy, niż jej męża... Bardzo godna, bardzo delikatna osoba!...

— I czyjże to jest ten podpis?

— Ja się najprzód dowiedziałem, dlaczego oni się rozwodzą... Onaby się nie rozwiodła, żeby jej

się lepszy nie trafiał; a ten drugi, co będzie jej mąż — to daleko lepszy, więc ona się poto rozwodzi... I pan mówi, że ona pójdzie do kryminału!... Jakby ona tylko chciała, toby pan sam, szanowny panie Wróbelkiewicz, zapłacił za nią tysiąc rublów Ickowi... Jakby ona pana pogłaskała, jakby powiedziała: mój kochany panie Wróbelkiewicz, ja ciebie będę kochać; ale ty za mnie zapłać! A co, czyby pan nie zapłacił?... Poco zaraz do kryminału?

— Uhm, uhm; rozumiem — masz na wekslu podpis tego jej przyszłego męża.

— Cóż pan myślał, żebym ja bez podpisu weksel przyjął? Albo brał weksel ze złym podpisem? Może on jej tego wekslu nie podpisał, może ona jego podpisała; ale on ją bardzo kocha, ja wiem... Jabym wolał, żeby ona jego podpisała, bo taki weksel jest najlepszy, kiedy boi się procesu.. Wtedy taki człowiek procenta płaci a płaci.

— Gdyby jednakże umarła, straciłbyś pieniądze.

— E, nie, nie! Po jej śmierci krewni oddaliby mi pieniądze, ażeby nie używała złego imienia.

— Prawda, prawda! Ona ma takich krewnych, którzy o jej opinję będą dbali dopiero po śmierci.

— Panby mi nie uwierzył, jakbym powiedział, co za biedakom ja pieniądze daję, a takie biedne — to najlepsze... Niech pana głowa nie boli, ja na swoją rękę ten interes biorę.

— Naturalnie, to już rzecz twoja, rób sobie, co chcesz ze swemi pieniędzmi!... Mnie musisz dziś oddać cały kapitał, który ci powierzyłem. Co do mnie, nie pożyczałbym nigdy takim ludziom, którzy nie mają czem płacić.

— Aj jaj!... Co pan mówi? Pan takie mądry człowiek, szanowny panie Wróbelkiewicz, a nie wie tego, co ta aktorka, ta panna Minia, warta z piętnaście tysięcy rublów, a Icek Cokolwiek dał

jej tylko tysiąc pięćset pięćdziesiąt... Ona będzie jeszcze dobra dziesięć lat, a potem może ona zostanie wielką panią... Ona ma wielką hipotekę i pani Srebro ma taką hipotekę. Z czegobym ja żył, żeby nie było takich ślicznych kobiet i biedaków?... Panowie, co dużo tracą, dają mało zarobić; wolą przehulać a procentów nie zapłacą... Ten Bajeski, Miś, Olo, toby oni samego biskupa podpisali na wekslu, żeby im dać pieniędzy... Co mi z tego? Wsadzę ich do kozy? A czy mi to koza odda pieniądze?... Oni mają krewnych, ale krewni nie chcą o nich słyszeć.

— Któż płaci za pannę Minię?

— Pan może myśli, że Bajeski? Co to, to nie! On sam pożycza na jej hipotekę, a wszystko to płaci jeden dziedzic, bardzo bogaty człowiek... Jak jemu Bajeski słówko napisze, co dla Mini pożyczył pieniądzów, bo Minia jest w biedzie, to zaraz przysyła procenta prosto do mnie... Rzetelny człowiek! A ja nie głupi, żeby on te procenta przysyłał mi przez Bajeskiego, ja taki warunek postawiłem...

— Ten człowiek nazywa się Potycki? — pytał Wróbelkiewicz zamyślony.

— No, jak on się ma inaczej nazywać? On się tak nazywa; jego weksle są bardzo pewne. Żebym ja miał tyle szczęścia, co jego ten Bajeski naciągnie!

Teraz nastąpiła w rozmowie pauza, w czasie której Icek Cokolwiek przyglądał się brylantowemu pierścionkowi, leżącemu na biurku Wróbelkiewicza.

— Ja ten pierścionek znam! — zawołał izraelita. — On dwa roki u mnie leżał za fant... To bardzo piękna sztuka... Pan wyjeżdża z Warszawy, niech mi to sprzeda na pamiątkę! Co panu szkodzi? Niech ja wiem, com z porządnym człowiekiem robił interesa!...

— Nie mogę — odparł ozięble pan Zenon, odbierając pierścień i wkładając go sobie na palec.

— Poco pan takie rzeczy nosi na palcu? To niedobrze, bo tego pierścionka szukali, opisywali go w „Kurjerze"; ja to panu mówię przez dobre serce...

Wróbelkiewicz się skrzywił, jakby był niezadowolniony.

Tymczasem Icek Cokolwiek brał ze stołu do rąk różne jeszcze przedmioty i oglądał ciekawie; potem zbliżył się poufale do pana Zenona, a klepiąc go po kolanie, rzekł znowu:

— Z przeproszeniem pana, szanowny panie Wróbelkiewicz; co mnie ludzie o panu na mieście mówili, com ja temu wierzyć nie chciał...

— Cóż znowu takiego? — zapytał pan Zenon, a twarz mu nieco pokraśniała.

— Niech się pan nie gniewa, co ja przez życzliwość do pańskich interesów zaglądam... Mnie zrobili tem gadaniem ludzie nieprzyjemnoszcz wielkie... Oni powiadali, co się pan chce z tą panną Minią ożenić... A ja sobie zaraz miślałem: poco panu Wróbelkiewiczowi taki ciężki widatek?... Teraz tom ja pańskie pieniądze dla niej pożyczał i pan miał z tego korzyszcz; ale jakby się pan z nią ożenił, toby pan już i procentu nigdy nie brał, i długi za nią musiał zapłacić...

— At, głupstwa pleciesz! z palca sobie ktoś plotkę wyssał... Nie powtarzałbyś lepiej takich niedorzeczności.

— Cobym ja tak pana nie kochał, tobym ja mu nie powtarzał.

— Ha, ha!... Nie uda ci się złapać mię na miłość, mój kochany! Róbmy oto obrachunek! — zawołał Wróbelkiewicz, spoglądając na zegarek.—Za co ty mógłbyś mnie kochać, tego ja już nie pojmuję...

— Jakto za co? Z pana mądry człowiek do interesu. Pan nie taki, jak inni; na panu można zarobić, sam pan też jeszcze więcej zarobi... Żeby się pan na mnie nie gniewał, tobym ja mu coś powiedział...

— Dlaczego się mam gniewać? Mów!

— Pan jest taki człowiek, jakby pochodził z naszych. Zrobić geszeft, to zrobić, a niczego się pan nie wstydzi, jak inni panowie...

Pan Zenon poruszył się niespokojnie na fotelu; ale niebawem przybrał bardzo poważną fizjognomję i rzekł:

— Masz rację, pracy żadnej się nie wstydzę, skoro praca daje mi kawałek chleba, utrzymanie... Jestem człowiek Zachodu! — mówiąc to, Wróbelkiewicz bardziej jeszcze spoważniał.

— No, a gdzie pan ma dzisiaj takich chrześcijan? — mówił izraelita z zapałem. — Czy ja mało muszę mieć czerpływoszczy za to, co niejednemu wygodzę, że pieniądzów daję? Czy mię panowie mało pozarywały? Na ten przikład, Bajeski, on nigdy koło mnie spokojnie nie przejdzie... Nu, on mię zarwał siedemset pięćdziesiąt rublów, jak grosz jeden, od kogo ja to odbiorę? Muszę zato teraz gorzej pracować, brać od ludzi większe procenta... Bo czy ja mam na nich stracić? Co żyd temu winien, że są chrześcijany?

— Mówiłem ci odrazu: Bajeski huncwot do interesu. Nie słuchałeś mnie, dobrze ci tak.

— Proszę pana Wróbelkiewicza, ja nie mogę powiedzieć, żebym na nim stracił; on mi dał innych ludzi w rękę, a za pana Potyckiego, tobym ja jemu jeszcze dwieście rubli bez straty dopłacił... Tylko żeby on mi oddał moje pieniądze, toby on był porządny człowiek, jabym wolał. Sprawiedliwie pan powiada, że on huncwot, on człowiek nie-

grzeczny, dobrego słowa mi nigdy nie da, a ja jestem cierpływy, coby mi Bajeski interesów nie popsuł.

— Żebyś ty jego mógł wsadzić na kilka lat do kryminału, zrobiłbyś na tem dobry interes — mówił Wróbelkiewicz, udając obojętność w głosie. — Toby nie było tak dalece trudne przy twoich stosunkach.

— Ktoby mi za to zapłacił? Ileby zapłacił?... Takie rzeczy dużo kosztują...

— Pomówno ze swoim szwagrem, może on ci da dobrą radę, skoro jest człowiek rozumny.

— Aj, joj! wsadzić Bajeskiego do kryminału!... Aj, joj! coby to było?... Pan Potycki, panna Minia, Miś, Olo... pół Warszawy; jakby oni się dowiedzieli, że to zrobił Icek Cokolwiek, jabym zbiedniał, stracił...

— Przecież ty jego nie lubisz, wiesz, że jest oszustem?...

— Z przeproszeniem pana, co takie oszustwo znaczy, jak on weksle podpisywał?... Teraz mu już na niczyj podpis nie pożyczy nikt ani grosza... Ja jego nie lubię, bo on ze mnie wydziwia. Spotyka mię na ulicy i pyta: — Gadaj, łapserdaku, co słychać? — Ja jemu odpowiadam grzecznie: — Źle, panie Bajeski, geszeftu niema! — A on zaraz: — Łżesz, kondlu, orzynasz, skórę z nich zdzierasz i jeszcze narzekasz! — No, a ja przecie pracuję, nietylko za siebie, ale i za pana Wróbelkiewicza, co jego pieniędzmi obracam; jemu trzy procent na miesiąc dać muszę, a sam dwa ledwie zarabiam...

— Jakto, powiedziałeś Bajeskiemu, że mojemi pieniędzmi obracasz? — spytał Wróbelkiewicz widocznie przerażony.

— Eee!... Com znowu miał powiedzieć! Ja tylko panu tak opowiadam, jak jest. Jakbym ja im powiedział o tem, toby oni jeszcze bardziej wydziwiali przez to, co pan katołyk.

— Błazny! — mruknął Wróbelkiewicz. — Ale skończmyż raz już tę gadaninę i zabierzmy się do obrachunku.

— Co to za obrachunek? Wielki mi obrachunek! Na palcach wszystko zrachować można!

Wróbelkiewicz wydobył z biurka jakąś notatkę, na wierzchu której stał napis: „niebezpieczne lokacje", wziął do ręki ołówek i, sumując, wypominał, co następuje:

Dla Mini na podpis Potyckiego	rs.	750
Dla radczyni Srebro na podpis Brylskiego . .	„	1000
Dla Misia Wielskiego na podpis prof. Gąsiorzyńskiego	„	450
Dla Mini na podpis Potyckiego	„	800
Dla Misia Wielskiego na podpis fabr. powoz. Morzkowicza	„	560
Dla Bajeskiego na podpis kanonika Mosińskiego .	„	750
Dla Ola Smoleckiego na podpis adwokata Lizowskiego	„	575
Razem	rs.	4885

Od tego procentu za pół roku rs. 879 kop. 30.
Należy mi się od Icka rs. 5864 kop. 30.

Icek Cokolwiek wydobył wielki pugilares, odliczył pieniądze i wręczył całkowitą sumę panu Zenonowi, który swoją drogą pozbierał jakieś weksle oraz kwity, a oddając je lichwiarzowi, rzekł:

— Zarobiłeś w ciągu roku na tych pieniądzach około tysiąca czterystu rubli, ponieważ obracałeś przez pół roku i procentem pięć od sta zgóry pobranym od dłużników.

— A czy moje ryzyko nic nie warte? Pańskie były pieniądze, ale pan mi zapowiedział, że ich mogę pożyczać tylko na swoją odpowiedzialność. Czy ja panu nie dałem swoich własnych weksli, które mi pan oto zwrócił?

Potem Wróbelkiewicz przez chwilę jeszcze robił inne jakieś rachunki z żydem; nareszcie, gdy skończył, odebrał znowu pieniądze i ulokował je w pugilaresie. Spojrzał na zegarek i zawołał:

— Gwałtu, czas na mnie wielki! Już kwadrans na dwunastą; aby szwagier twój dobrze się tylko popisał.

— Ja mam przeczucie — rzekł Icek — że pan zamierza jakiś wielki interes, kiedy tak zbiera wszystkie swoje pieniądze.

— Może się i nie mylisz — odpowiedział Wróbelkiewicz, spoglądając na izraelitę wzrokiem pełnym znaczenia.

— Co ja panu powiem, panie Wróbelkiewicz, kiedy w spółce jest żyd z chrześcijaninem, albo chrześcijanin z żydem, to taka spółka ma szczęście... Mam trochę pieniądzów, mogę dostać jeszcze więcej od swoich, zróbmy geszeft!

— No, no, potem o tem. Niech ja najprzód zobaczę, jak mi się popisze twój szwagierek, z którym się mam zejść u Stępkowskiego.

— Jak on się ma popisać? On panu przyniesie pieniędzy na weksel!.. Taki weksel, z takim podpisem, aj, waj!...

Pan Zenon pożegnał swego towarzysza, wyprzedził go jeszcze na schodach, wybiegł na ulicę, raz jeszcze spojrzał na zegarek, a snać pilno mu było, bo skinął na dorożkę, wsiadł do niej i wnet znikł z przed oczu Icka Cokolwiek, który spokojnie podążył przez ulicę Kruczą w kierunku Alej Jerozolimskich.

VI

HISTORJA NAUCZA POZNANIA CZŁOWIEKA

W Galicyjskiem mieście Przemyślu mieszkała pani Teresa Łuska, wdowa po urzędniku powiatowym; utrzymywała się ona wraz z córką Emilją ze szczupłej emerytury, jaką po śmierci męża otrzymywała od Cesarsko-Królewskiego rządu. Bo też wdowa nasza prowadziła życie nadzwyczajnie skromne. Jednego dnia przybył do Przemyśla niejaki pan Zenon Wróbelkiewicz, który w mieście owem wygłaszał wielkie ekonomiczne ideje; mówił on dużo o postępie, o stowarzyszeniach kooperacyjnych w celach konsumcji i produkcji, o kapitale, organizacji kredytu, a nieustannie powtarzał wyraz „statystyka" i jak z rękawa wytrząsał rozmaite cyfry, przerażające dowodnością jego słuchaczów.

Ludzie w Przemyślu, wbrew nazwie swojego miasta, nie przemyśliwali nigdy nad niczem, przeto pojawienie się tutaj takiego Wróbelkiewicza wywarło na ogół mieszkańców nadzwyczajne wrażenie. Cała miejscowa demokracja cisnęła się hurmem do proroka, zapowiadającego szczęście ludzkości, a w ludzkości raj ziemski dla miasta Przemyśla. Albowiem ten pan Zenon Wróbelkiewicz na wieczorzew resursie miejscowej wygłosił był pragnienie swe przekształcenia dotychczasowego systemu gospodarczego w Przemyślu i udowodnił jak najoczywiściej, że każdy obywatel czy obywatelka miasta mogą zostać bogatymi ludźmi, jeżeli tylko sami zechcą. Na woli pod tym względem nikomu nie zbywało, bo któżby się nie chciał zbogacić? Więc też owego pamiętnego wieczoru w resursie miejskiej wszyscy rozmawiali tylko o kapitale i o kredycie. Wróbelkiewicz opowiadał, iż do Przemyśla przyjechał prosto z Paryża, gdzie studjował sztukę zakładania banków, budowania fabryk, jako też wszystkie sposoby wytwarzania bogactw, czyli — robienia pieniędzy. Rozpowiadał on każdemu, kto go chciał słuchać, bardzo ciekawe rzeczy o swojem nadzwyczajnem powodzeniu na Zachodzie Europy; pokazywał różnym obywatelom miasta ordery, z których jednym obdarzyła go wspaniałomyślnie hiszpańska królowa Izabela, a drugim — papież Pius IX. O swoich stosunkach zaś wschodnich z królem greckim, z wicekrólem Egiptu i z wielkim wezyrem tureckim mówił ten człowiek tak stanowczo, iż nikt w świecie nie śmiałby o tem powątpiewać. A tak, Wróbelkiewicz, liczący może jakie trzydzieści dwa lat życia, poprzewracał w głowie wszystkim statecznym ludziom.

Nietylko rozumem i wymową imponował on Przemyślanom, ale także przedziwnym szykiem; nikt mu nie zdołał sprostać w sposobie noszenia głowy, rąk, stawiania nóg podczas chodu i ukłonu. Ubierał się bardzo wytwornie; w dziurce od czarnej żakiety nosił jakąś dwubarwną wstążeczkę, która, jak twierdził, miała daleko większe znaczenie, aniżeli tytuł prezesa rady powiatowej. Od dewizki zegarka zwieszał się znowu jakiś ornament, niby złoty sztylet. Atoli najwięcej biła wszystkich w oczy ta okoliczność, iż za Wróbelkiewiczem chodził zawsze i wszędzie młody chłopak w błękitnem ubraniu z dużemi srebrnemi guzami w piaskowej kamizelce, w świecącym czarnym cylindrze

i w długich lakierowanych butach; chłopca tego nazywał on swoim groomem. Ten groom nosił za swoim panem tekę z papierami, a nie kiedy pled i parasol; była to bardzo ambitna sztuka, ze zwykłymi służącymi w Przemyślu nie chciał wcale obcować, a pana swego tytułował ekscelencją.

Przez krótki tylko przeciąg czasu naczelnik biura podatkowego w Przemyślu wyrażał sam jeden nieufność dla ekonomicznych teoryj Wróbelkiewicza i z tego powodu całe towarzystwo tak się odstrychnęło od „nudnego" — jak mówiono — „tetryka", że stracił mir nawet u swoich trzech stałych partnerów od preferansa. Niebawem jednakże Wróbelkiewicz umiał się przypodobać także i owemu naczelnikowi od podatków, zjednał go sobie jak najzupełniej.

Zdawało się tedy Przemyślanom, że Opatrzność po długich latach prób ciężkich zesłała im nareszcie widzialne znaki niewidzialnej łaski swojej w osobie Wróbelkiewicza.

Jeden z nauczycieli języków klasycznych, znany głowacz i zwolennik pilzeńskiego piwa, codziennie udowadniał różnym ludziom w knajpie, jako Wróbelkiewicz ma zupełną rację, zamyślając o podźwignięciu Przemyśla, ponieważ wielu nawet w starożytności i w wiekach średnich odznaczało się taką potęgą, że stawiało opór nawet wielkim mocarzom świata. Tutaj pan profesor rozwijał szeroką erudycję, nauczając mądrych rzeczy, których uczniowie jego w gimnazjum wysłuchiwali zwykle z obojętnością i ziewaniem. Opowiadał o Tyrze i Sydomie, o Kartaginie, Syrakuzach, Medjolanie, Wenecji i t. d.; okazywał dowodnie, iż wcaleby się nie dziwił, gdyby Przemyśl stanął na nogi; albowiem rzeczone starożytne grody powstały z początków skromniejszych bez żadnego porównania.

— Jeżeli taka jedna kobieta, Dydona — mówił profesor klasyczności — potrafiła założyć miasto, które wysyłało okręty po bursztyn aż na morze Baltyckie, czemużby mężczyzna z głową, co się zowie, nie mógł podołać o wiele łatwiejszemu zadaniu?!!

Wszyscy przytomni kiwali głowami, dając w ten sposób do zrozumienia, iż sprowadzanie bursztynu do Przemyśla nadzwyczajnie im się podoba; zwłaszcza, że mogłoby się zupełnie obejść bez okrętów, gdyż na miejscu jest kolej żelazna.

Kiedy się tak po mieście już rozeszła sława Wróbelkiewicza, każdy chciał go oglądać, niby jakiego cudotwórcę, i każdy czuł się bardzo szczęśliwym, jeżeli został zaszczycony choćby jednem łaskawem słówkiem tego męża. Formalnie rozrywano go i wyrywano sobie w towarzystwach, zapraszano do domów i suto raczono. Że zaś był człowiekiem przystojnym, miłym, w obejściu bardzo gładkim, co w Przemyślu stanowiło nadzwyczajnie rzadki przymiot, przeto zjednał on sobie jak najzupełniej przychylność płci nadobnej. Żywo zabiły serca panien, wdów, nawet i niektórych mężatek; kobiety wpatrywały się w niego jak w tęczę i przepadały za owym czarodziejem, który nietylko że umiał zakładać banki, organizować stowarzyszenia, podnosić miasta do świetności, ale nadto — mówił poprawnie po francusku, na fortepianie grał bardzo biegle, śpiewał z nadzwyczajnem powodzeniem i deklamował jak pierwszorzędny aktor.

To też w mieście było teraz pełno bajek pomiędzy kobietami; sprzeczano się nieustannie na temat, która pani zakochała się w Wróbelkiewiczu i w której się Wróbelkiewicz znowu zakochał. Stąd poszły rozmaite skandaliczne opowieści bardzo nieprawdopodobne i dosyć prawdopodobne.

To wszakże pewna, iż żadnej zimy nie bawiono się w Przemyślu tak dobrze, jak to miało miejsce owego roku, kiedy tam przybył Wróbelkiewicz. Wyprawiano bale i baliki, sadzono się na przyjęcia.

Na jednym z takich wieczorów była też pani Łuska z córką, ośmnastoletnią panną Emilją, która wpadła w oko Wróbelkiewiczowi i tak mu się spodobała, że nieustannie z nią rozmawiał przez cały wieczór. Okoliczność ta rozbudziła ducha zazdrości w rozmaitych romansowych pannach.

Nazajutrz po zabawie stało się jeszcze coś gorszego, gdyż widziano pana Zenona, jak z groomem swoim podążał po raz pierwszy z wizytą do domu pani Łuskiej. W mieście prawie nikt się nie spodziewał, ażeby „ta Emilka Łuszczanka" mogła się spodobać tak dobrze wychowanemu człowiekowi; prawda, że była przystojna, świeża, ale biedna i źle ułożona, dziewczyna bez najmniejszych manier. A tu, jakby na złość, Wróbelkiewicz codzień chodził i chodził z odwiedzinami do pani Łuskiej. Wnet już plotka obwieszczała, że się nawet oświadczył o rękę panny Emilji. Niektóre ryzykowniejsze damy w Przemyślu utrzymywały, iż Emilka ciągnie do siebie nadzwyczajnego młodzieńca, iż pozornie tylko jest ona „cielątkiem", a w rzeczywistości zręczną kokietką i intrygantką, zastawiającą na mężczyzn sidła i usiłującą pana Zenona odsunąć od całego lepszego towarzystwa.

Pani Łuska lubiła pielęgnować kwiaty w doniczkach, miała w domu dużo geranij, mirtów, cyprysów, róż miesięcznych, kaktusów; wszystko to przesadzała i rozmnażała w znacznych ilościach. Jakież zdziwienie ogarnęło wszystkich, kiedy jednego dnia przybył do Przemyśla koleją żelazną transport kwiatów, formalna oranżerja, pod adresem Łuskiej! A były to rzadkie, nadzwyczajnie piękne kwiaty.

Każdy się już teraz domyślał, że Wróbelkiewicz to przygotował dla wdowy i jej córki tak miłą niespodziankę.

Dopieroż w Przemyślu z ust do ust szły obmowy, plotki, najwyszukańsze podejrzenia!

— Za co on jej dał takie piękne kwiaty? — rzuciła doniosłe pytanie żona nauczyciela języków klasycznych, której niegdyś na jednym tańcującym wieczorze Wróbelkiewicz prawił był bardzo dużo komplementów i poniekąd zawrócił głowę.

Pytanie tego rodzaju domaga się nieuchronnie odpowiedzi, a ponieważ odpowiedź ma na celu wykrycie tajemniczej przyczyny, więc pole dla domysłów jest tutaj nadzwyczajnie szerokie!

— Za co on jej dał te kwiaty? — powtarzała nieustannie pani profesorowa każdemu w szczególe i wszystkim w ogóle.

Kobieta owa tak była oblegana sprawą wysnucia przyczyny ze skutku, tak dalece nie mogła się oprzeć pokusie ciekawości, że jakkolwiek nigdy przedtem nie bywała u Łuskiej, wybrała się jednakże do niej pewnego dnia w odwiedziny.

Opowiadano o tych kwiatach cuda; jedni twierdzili, iż pochodzą z Paryża, drudzy, że z Erfurtu. Ale kiedy profesor klasycyzmu zrobił uwagę, iż tak w Paryżu, jak w Erfurcie flora nie przedstawia wielkiej różnicy w porównaniu z roślinnością w okolicach Przemyśla, kiedy zaakcentował silnie, że dopiero pomiędzy zwrotnikami znajdują się botaniczne osobliwości, wówczas zaczęto opowiadać, jako kwiaty dla Łuskiej są podzwrotnikowemi osobliwościami. Utarło się to przekonanie, zwłaszcza gdy żona pana naczelnika poczty powiedziała publicznie, że zwrotniki również nie należą do żadnych osobliwości, ponieważ na pocztę do Przemyśla nieraz już przychodziły listy podzwrotnikowe,

bardzo podobne do listów z Jasła, Drohobycza, Lwowa i t. d.

A jednak, pomimo to wszystko, pani profesorowa odwiedziła Łuską, dowiedziała się, że kwiaty pochodzą z oranżerji o milę odległej od Przemyśla i nie była z tego zadowolniona. Chociaż to były kwiaty galicyjskie, jednakże profesorowa znalazła w nich rzecz oburzającą, jak twierdziła, każdą uczciwą kobietę.

To też, jak tylko powróciła z wizyty, pobiegła natychmiast do różnych znajomych przyjaciółek i tak im mówiła:

— Wystawcie też sobie, że one mogły przyjąć od niego kamelję!.. Jakże można od mężczyzny przyjmować kamelję i to białą?.. Głupie gęsi, chyba one tego nie wiedzą, co znaczy kamelja!.. A żeby on mi złote góry obiecywał, to jabym przecież od niego nigdy i za nic w świecie kamelji nie przyjęła...

Kiedy zaś któraś ciekawa przyjaciółka zapytała, co może być tak bardzo zdrożnego w kamelji, wtedy pani profesorowa wykrzyknęła z entuzjazmem:

— Jakto, pani się pytasz, pani tego nie wiesz, co jest kamelja?.. Dama kameljowa?..

I tu profesorowa nachyliła się do ucha swej przyjaciółki, szepcąc jej objaśnienie znaczenia kamelji; przyjaciółka słuchała, mrugała z zadowoleniem oczyma, kiwała głową, potem nagle porwała się ze stołka i, rozkładając rękoma, wołała w oburzeniu:

— Aj, jej, jej!.. Bójcie się Boga, jakże ta Łuska może tak też kompromitować siebie, córkę, dom swój cały!..

Swoją drogą Wróbelkiewicz porobił liczne znajomości, bywał w domu u największych dygnitarzy miasta, jeździł z wizytami i w okolice Przemyśla,

zawarł zażyłe stosunki z domem hrabstwa Przecherskich, zjednał tam sobie wielką wziętość i oświadczył się o rękę hrabianki Amelji, przeszło czterdziestoletniej panny. Była to osoba tak bardzo nieurodziwa, że jakiś dowcipny młodzieniec z tego powodu powiedział:

— Gdyby mucha usiadła na buziaku panny Amelji, zdechłaby ze wstrętu.

Hrabstwo Przecherscy, jakkolwiek czystej krwi rodowcy, przyjęli Wróbelkiewicza, co mu zrobiło tem większy jeszcze rozgłos. Ślub miał się odbyć po powrocie pana Zenona z Wiednia i po uzyskaniu koncesji na bank w Przemyślu, do którego to banku pan hrabia, o ile nam się zdaje, miał bardzo pilny interes. Powyższa in spe koligacja Wróbelkiewicza, owo małżeństwo tak poważnie postawione, zamknęło wszystkim usta; tylko od wdowy Łuskiej i jej córki odwracano się teraz pogardliwie.

— Widzicie teraz już dokładnie, co znaczył podarunek z białej kamelji! — mówiła pani profesorowa do swych przyjaciółek, naigrawając się z wdowy i jej córki.

Tymczasem wśród nieustannych narad, projekt nadzwyczajnego banku pożyczkowego został przez Wróbelkiewicza szczęśliwie wykończony i złoty deszcz miał wkrótce lunąć na Przemyśl. Hrabia Przecherski i inni możnowładcy okoliczni wystosowali listy rekomendacyjne do różnych wysoko postawionych osób w Wiedniu, polecając Wróbelkiewicza, o którym znowu nie wątpiono na chwilę, że wiele dokaże dzięki swojemu wpływowi na dworach hiszpańskim, greckim i w Watykanie. Dwa stowarzyszenia spożywcze tak energicznie wespół konsumowały w Przemyślu, iż tusza członków znacznie się podniosła, a tu i ówdzie poczęto bąkać o bliskiem bankructwie kupców, sprzedających to-

wary kolonjalne. Były to już zasługi Wróbelkiewicza, stającego, jak mówił, odważnie do walki z wyzyskiwaczami i urywającego łeb hydrze głodu.

Oddawna też wybrano w Przemyślu delegację, złożoną z najcelniejszych obywateli miasta, a to w celu ostatecznego rozpatrzenia projektu banku i innych jeszcze instytucyj, proponowanych przez pana Zenona. Delegacja owa nietylko rozpatrywała rzeczone projekta, ile *wypośrodkowała* u siebie dwa komitety: jeden finansowy, a drugi dziękczynny. Zadaniem pierwszego było uchwalenie i zebranie funduszów, potrzebnych Wróbelkiewiczowi na koszta podróży do Wiednia, jako też na pobyt w tej wielkiej stolicy; drugi komitet miał znowu obowiązek uchwalić owację dla dobroczyńcy Przemyśla i wynaleźć sposób okazania wielkiej wdzięczności miasta dla tak bardzo bezinteresownego męża. Ponieważ atoli składek nie można było zebrać z powodu ubóstwa większej części mieszkańców, przeto komitet finansowy zaciągnął dług u kupca izraelity Kugelmachera; komitet zaś dziękczynny urządził przedewszystkiem wspaniałą ucztę, podczas której aż pięciu mówców zabierało głos, sławiąc rozum i cnoty szlachetnego ziomka, pana Zenona Wróbelkiewicza. Profesor klasycyzmu przyrównywał go w długiej przemowie do Tezeusza, poszukującego w ciemnych labiryntach nędzy, to jest Minotaura, i uwalniającego eo ipso Przemyśl od strasznego haraczu. Podczas tej właśnie przemowy komitet dziękczynny wręczył Wróbelkiewiczowi piękny pierścień z brylantem i odpowiednim napisem.

Pod wieczór tego samego dnia tłumnie odprowadzono na dworzec kolei żelaznej triumfującego pana Zenona, który w Przemyślu zasłużył sobie na powszechny szacunek stałych i niestałych mieszkańców miasta. Odjechał wśród okrzyków: „niech żyje!" Już z Krakowa telegrafował do prezesa komitetu finansowego, jako w drodze, a pod wpływem uczuć wdzięczności, powziął nowe, bardzo szczęśliwe, kombinacje co się tyczy mającej powstać instytucji; zapowiedział też, że z Wiednia nie omieszka co tydzień nadsyłać listów o postępie sprawy. Zrazu nikt nie spostrzegł, iż w ciągu tego samego tygodnia, w którym wyjechał z Przemyśla znakomity finansista, zniknęła także panna Emilja Łuska. Matka nikomu nic nie mówiła, może dlatego, że zerwała wszelkie stosunki. A jednak ktoś zauważył, jak wdowa w kościele na mszy świętej łkała, zalewając się gorzkiemi łzami.

Dwa lata upłynęło od powyżej opisanych zdarzeń, a Wróbelkiewicz nie powracał z koncesją, ani też żadnych listów nie pisywał do komitetu.

Przez ten czas pani Łuska nadzwyczajnie się postarzała i zmieniła do niepoznania.

W domu pozostały jej tylko rośliny w doniczkach, a pomiędzy niemi wyniosła biała kamelja okrywała się obficie pączkami i kwiatem. Były to jedyne pociechy biednej wdowy.

Jednego pięknego dnia wszedł do mieszkania listonosz i doręczył pani Łuskiej list; spojrzała na adres, zadrżała, zachwiała się na nogach, o mało nie upadła, poznała bowiem pismo córki.

List ów tak brzmiał:

„Droga Matko!

Nie śmiem Cię prosić o przebaczenie za to, żem Ci przyniosła hańbę. Wiem, że bardzo musisz z mego powodu cierpieć; ależ tę hańbę i ja przecie czuję — czuję i sama już za nią srogo odpokutowałam.

Nikczemnik, który mię nakłonił do opuszczenia Ciebie, jest niegodnym oszustem; poznałam, że się splamił niejednym już podłym czynem, a nowe

nikczemności gotów jest zawsze popełnić. Obwiózłszy mię po świecie, porzucił nareszcie w mieście obcem i z dzieckiem, któremu więc przez czyn taki wyraźnie odmówił swego ojcowstwa. Z biedą dowlokłam się do kraju, sprzedawszy z siebie prawie ostatnie odzienie. Obecnie zamieszkuję pod Krakowem na Podgórzu i stąd ten list mój piszę. Obyś czuła, droga moja matko, te gorzkie łzy żalu, które w tej chwili ronię! Jestem bardzo, bardzo nieszczęśliwa! Ulituj się nade mną, nad dzieckiem swojem! Kochałaś mię przecież wtedy, gdy miłości Twojej mniej potrzebowałam, niż dziś, w strasznem swem nieszczęściu... O, jeśli kobietą shańbioną pogardza każdy, nawet rodzona matka, to cóż mi już po takiem życiu. Lecz nie! Ty musisz mieć w swej duszy dla mnie takie same uczucie, jakie ja żywię dla mej nieszczęśliwej dzieciny!... Matko moja, Ty jedna na świecie jesteś w stanie mi przebaczyć i ze mną ten straszny błąd przecierpieć! Przebacz mi, przebacz wszystko, przebacz łzy, którem Ci z oczu wycisnęła.

U nóg Twych leży i błaga Cię — córka Emilja."

Łuska wpadła w jakiś straszny paroksyzm płaczu; zpoczątku łzy lały jej się potokiem z oczu; potem łzy oschły, a płacz nie ustawał, wstrząsał nią całą i podrzucał. Strasznie było patrzeć na ową niewiastę z wypłakanemi oczyma, z wypiekami gorączkowemi na policzkach, z ustami spalonemi. Musiała bardzo kochać swe dziecko, bo cierpiała za nie okropnie.

Cóż może zrobić słaba niewiasta, kiedy jest nieszczęśliwą?

Łuska rzuciła się na kolana, wgórę wzniosła złożone ręce, a jęcząc, tak się modliła:

— „O Boże, wielki Boże! Ty jeden widzisz, ile ja cierpię i żadnej pociechy nie mam tu na ziemi.

W życiu swojem straciłam już dwoje dziatek, straciłam męża, któregom kochała nad życie, a nigdy nie błagałam Cię, Panie, tak gorąco o pomoc, jak dzisiaj; bo wszyscy ci umarli nie sprawili mi jeszcze takiej okrutnej katuszy, strasznej męczarni, jakiej doznaję z powodu tej żyjącej... O, dodaj mi siły, ażebym zniosła brzemię najcięższe dla matki, brzemię strasznej sromoty, wiecznej hańby!".

Powstała z ziemi, snać jakieś postanowienie powzięła, bo niebawem poczęła się krzątać, zbierać manatki i jeszcze tego samego dnia nocnym pociągiem wyruszyła do Krakowa.

Gdy Łuska przybyła na Podgórze, znalazła tu córkę i jej dziecko w okropnej nędzy.

Smutne było powitanie dwóch tych kobiet; nie mówiąc nic do siebie, długo łkały i zalewały się łzami obiedwie.

Po kilkudniowym pobycie u córki wdowa wyjechała do Przemyśla, gdzie wyprzedała swoją dawną chudobę, o ile mogła, i sprowadziła się na stałe mieszkanie do Emilki; odtąd prowadziły one już wspólnie przez czas jakiś ciche, spokojne życie. Ale życie każdego człowieka jest szeregiem konsekwencyj, zależnych od tego, czem jesteśmy i jakie są nasze pierwsze kroki na widowni owego życia. Otóż, zdarzyło się raz, że Emilka poszła z jakimś interesem do Krakowa i tutaj, przechodząc przez rynek, spostrzegła, jak jej się ktoś kłaniał; kiedy się zaś przyjrzała, poznała w kłaniającym jej się człowieku owego grooma, który po Przemyślu nosił za Wróbelkiewiczem tekę, pled i parasol. Odwróciła się więc czemprędzej, ponieważ chciała mu zejść z oczu; on jednak przystąpił do niej, powitał ją bardzo uprzejmie i wszczął rozmowę. Młody ten człowiek okazywał wielkie zainteresowanie się losem Emilki, przedstawił jej Wróbelkie-

wicza w jak najczarniejszych barwach, opowiadał, że pan Zenon jemu samemu zwichnął życie, namówiwszy go do opuszczenia szkoły i odgrywania roli grooma.

— „Półtora roku — mówił ów młodzieniec — przyglądałem się rozlicznym sprawkom tego nikczemnego oszusta, aż raz w Wiedniu powiedziałem mu otwarcie, co o nim myślę i rozstaliśmy się ze sobą po bardzo przykrem zajściu".

Oprócz tego, były groom Zenona Wróbelkiewicza opowiedział, że rodzina jego jest osiadła w Proszowskiem, że on sam co tydzień przyjeżdża do Krakowa; jednakże niezadługo ma zamiar przenieść się do Warszawy. Nareszcie wyznał, iż rzeczywiste jego nazwisko jest Tomasz Bajeski.

Był to więc znany nam już skąd inąd Tomcio, przyjaciel Misia, Ola, Niunia i t. d.

Bajeski odprowadził owego dnia Emilkę do samego domu, a żegnając się z nią, prosił, ażeby wrazie jakiej bądź potrzeby nie zapomniała, iż zawsze gotów jest do oddania jej przysługi, ponieważ, jak mówił:

— „Łączą nas wspomnienia przeszłości i uczucia nienawiści do łotra Wróbelkiewicza".

Stosunek ten zdawał się być pożądanym dla Emilki, oddawna bowiem unikała ona ludzi w tem mniemaniu, że wszyscy nią pogardzają, że jakieś widoczne piętno hańby wyryte ma w oczach i na czole. Tymczasem Bajeski tak serdecznie, tak po przyjacielsku zbliżył się do opuszczonej, podawał jej w upadku rękę jej, która nie miała już w duszy dumy kobiety.

I odtąd spotykali się oboje w Krakowie dosyć często, może nawet za często.

VIII

WSZĘDZIE BYĆ MUSI CHOĆ SZCZYPTA MIŁOŚCI

Wawrzek Ananas, porzuciwszy służbę u Niunia Potyckiego, zamieszkał u szewca Gorajca, który z mieszkania swego odnajmował jedną izdebkę aż trzem lokatorom. Zamieszkiwał więc tutaj, oprócz Wawrzka, pan Cezar Lataszek, urzędnik spadły z etatu, i niejaki Damian Gąbczakiewicz, artysta-malarz, pozostający w ostatniej nędzy. Lataszek był człowiekiem nadzwyczajnie systematycznym i porządnym; całego dochodu miał on rocznie 120 rb., a przecież codziennie rano pijał szklankę kawy z bułką, jadł obiad, wypalał papierosa i wieczorem pił dwie szklanki herbaty. Resztę czasu poświęcał zachodom około łatania i doczyszczania swej garderoby; przytem był on wielkim zwolennikiem czytania książek, które sobie wypożyczał w drodze stosunków od różnych ludzi i czytywał na głos w szewckim warsztacie, aby tym sposobem oszczędzić wydatku na światło. Gąbczakiewicz znowu był człowiekiem zgryźliwym, gniewał się o wszystko, mówił zawsze prędko i z zapałem, oburzając się na każdego, kto cośbądź wobec niego twierdził. Człowiek ten nieustannie malował, rysował lub pisał; był tak biedny, że zwykle żył chlebem i serem, a popijał wodą. Jeżeli Lataszek przyszedł do domu z miasta i odważył się powiedzieć, choćby sam do siebie, że naprzykład dzień jest

bardzo piękny, pogodny, Gąbczakiewicz rzucał natychmiast swą robotę, przyskakiwał do eks-urzędnika z zajadłością osy i wymyślał mu za to nadzwyczajnie bezwzględnie.

— Albo się pan znasz na tem? Czy pan masz wyobrażenie, co to jest dzień piękny, światło?.. Czy pan widziałeś dzień w Neapolu?...

Lataszek kładł uszy po sobie i wysłuchiwał wtedy długich rozpraw Gąbczakiewicza o tem, jak się przedstawia dzień w krajach południowych. Najmniejsza uwaga, przerwanie owej rozprawy przyprawiały malarza o wybuch szaleństwa; wykrzywiał w takich razach usta, patrzał zajadle w przeciwnika, posuwając się nawet niejednokrotnie do obelg. Trzech podlokatorów Gorajca łączyło jedno uczucie — nienawiść dla żydów; byli to zdecydowani antysemici. Niejedna anegdota, niejeden dzisiejszy dowcip, opowieść, świadcząca o małej wartości synów Izraela, mają źródło swe na ulicy Szczyglej, a mało kto wie, że autorem tych dzieł był Gąbczakiewicz lub Lataszek. — Niechaj się nikt nie obraża, że do towarzystwa owych antysemitów należało także zwierzę, pies, nazywany przez Gąbczakiewicza Mośkiem, a nauczony przez Lataszka sztuki zrywania z głowy czapki każdemu *handlarzowi*, który za swym geszeftem przyszedł na dziedziniec domu.

W tem samem domostwie na facjatce mieszkał znowu stary eks-nauczyciel, pan Idzi Gąsiorzyński, który był niegdyś guwernerem Misia Wielskiego i dzięki temu stosunkowi figurował na wekslu u lichwiarza Icka Cokolwiek, opłacając sumiennie co miesiąc procenta. Jednego dnia, kiedy Cokolwiek przybył po odbiór procentu, Gąbczakiewicz poszczuł go znienacka Mośkiem; pies porwał lichwiarzowi czapkę i, warcząc złośliwie, uniósł ją

w podwórzowe ustronie, gdzie począł rozszarpywać gwoli uciechy widzów. Gąsiorzyński wypadł ze swej izby z długą linją, psa obił, czapkę mu odebrał, a widzów wyłajał. Wtedy Gąbczakiewicz rzucił się z furją na pana Idziego:

— Jak pan śmiesz bronić żyda?... Czy pan nie widzisz, że ten pies ma więcej rozumu od ludzi, którzy z żydami szachrują i przyjmują żydów u siebie?

Gąsiorzyński się wyprostował i trzymając linję, niby miecz przy boku, odrzekł spokojnie:

— Pies może być w porządku, gdy ludziom psotę wyrządza, ale nie ludzie, którzy psa takich rzeczy uczą... Tacy, mój panie, są daleko gorsi od każdego zwierzęcia!

Gąbczakiewicz skoczył za swym przeciwnikiem, ale ten, oddawszy Ickowi czapkę, przebiegł prędko schody i zamknął się w swej izdebce.

Przyczyny, dla których Wawrzek porzucił obowiązki lokaja u Potyckiego, tkwiły w tem, iż młody ów człowiek zawiązał był liczne stosunki w Warszawie, a nadto zamiłował się w czytaniu książek; zdawało mu się, iż służba, jaką dotychczas pełnił, należy do upośledzonych czynności w społeczeństwie. Wyobrażenie o równości wszystkich ludzi tak zaś silnie wpoiło się w surowy lecz dzielny umysł chłopskiego syna z Marzeńca, że niktby go już teraz nie był w stanie przekonać, iż on, jako taki, ma pod jakim bądź względem wartość mniejszą od swojego pana. Na tym punkcie Ananas posunął się bardzo daleko.

Nosił on bardzo często do Mini listy pisywane przez Niunia i przynosił panu odpowiedzi. Przy takiej żywej wymianie stosunków podczas pobytu Potyckiego w Warszawie koniecznością było, ażeby Wawrzek zawarł znajomość z pewną bardzo

miłą i dobrą dziewczyną, Petrynią, która od dwóch lat służyła u aktorki i cieszyła się jej najzupełniejszem zaufaniem. Ta Petrynia miała twarz gładką, kibić kształtną i była bardzo inteligentna; ubierała się ona czyściutko, począwszy od bieluchnych pończoszek, które jaśniały z pod krótkiej spódniczki, aż do cienkiej, a śnieżnie białej koszuli, nakrywającej pierś dziewczyny powyżej gorsetu; nosiła długi ciemny warkocz, była zgrabna, żywa, zalotna, a przeto pociągnęła zrazu do siebie Wawrzka. On jej bardzo się podobał.

Jednakże Ananas, wyzwoliwszy się raz już z przesądów służbowych, jednocześnie uczuwał jakoś coraz to mniej miłosnego afektu dla Petryni.

— Powiedz mi, panno Petronelo, co to znaczy, że u twej pani nieustannie przebywa tylu młodych ludzi? Przecież ona jest panną i powinna u siebie przyjmować chyba tego tylko, który ma zostać jej mężem?

— Eee, pan Wawrzyniec na takich rzeczach się nie zna! — zawołała Petrynia, spoglądając dosyć czule w oczy Wawrzaka. — Takie zwyczajne dziewczyny, jak ja, to co innego, a co innego panna Minia: ona jest przecież w teatrze, musi się wszystkim podobać, musi chcieć, żeby się wszystkim podobać. I to dla niej wielkie szczęście, że ją tak bardzo kochają. Inne aktorki nie są takie szczęśliwe; prawda, nie są one też takie piękne jak panna Minia!..

— O tak, tak, panna Minia jest piękna, bardzo piękna; piękniejszej od niej niema już chyba na świecie — mówił Wawrzek.

— Na świecie może gdzie jest piękniejsza; ale w Warszawie to niezawodnie ona jest nad wszystkie kobiety!

— A czy jej się też podobają ci młodzi panowie, których tu tylu bywa?

— Niektórzy muszą jej się podobać; ten Potycki, co u niego pan Wawrzyniec służył, niezawodnie jest u niej w łaskach. Czemużby nie, miły człowiek.

— Czy on jej się podoba ze swojej urody?

— Przecież, panie Wawrzyńcze, ja tego wiedzieć nie mogę! Nie śmiałabym się nigdy panny Mini zapytywać o takie rzeczy... Zresztą, różnie sobie sama nieraz o tem myślałam i bardzo być może, iż jej się taki najlepiej podoba, który ma dużo, dużo, bardzo dużo pieniędzy!... Bo moja pani ogromnie wiele potrzebuje pieniędzy; ona musi się pięknie ubierać, odbywać podróże; skądże ma brać na to wszystko?

— Ale jeżeliby naprzykład zamąż wyszła, nacóż jej pieniądze? Przecież mąż zarobi na nią i na siebie!

— Ho, ho!.. Mąż panny Mini musiałby mieć ogromne pieniądze!.. Bo teraz, to jak jeden straci, zjawi się drugi i znowu straci, później trzeci... Ale mąż musiałby sam jeden tracić i tracić przez całe życie. Gdzie znaleźć takiego?

— Potycki jest taki bogaty; on mógłby do śmierci tracić i tracić.

Minia wchodziła nieraz do izdebki swojej służącej i znajdowała tutaj Ananasa; uśmiechała się wtedy bardzo uprzejmie, on zaś brał jej piękną alabastrową rączkę, przyciskał do ust i całował. Jakaś zachwycająca woń biła na Wawrzka zawsze od tej kobiety, a duszę jego przejmowała zarazem uroczystość i rozkosz; sam nie umiałby sobie wytłumaczyć takiego stanu swojej wewnętrznej błogości, on wiedział tylko, iż chciałby zawsze taką Minię mieć przed sobą i przez całe ży-

cie całować jej rękę. Wawrzek ostatecznie przychodził już do Petrysi w tym tylko celu, aby mieć sposobność ujrzenia Mini, a jednak Petrysia tego nie spostrzegła. Czyż mogła nawet przypuszczać?

Zdarzyło się raz, iż Ananas podług zwyczaju przyszedł odwiedzić pokojową Mini i w domu jej nie zastał; drzwi do dalszych apartamentów aktorki były lekko uchylone, a od wewnątrz do uszu Wawrzka dolatywały echa jakiejś rozmowy; podszedł więc zcicha i słuchał:

— Jedyna moja, którą nad życie ubóstwiam! — były słowa jakiegoś męskiego głosu. — Wyrzeknij dzisiaj ostatnie słowo, powiedz, kiedy będę mógł przycisnąć twą rękę do swego serca i wierzyć, że jesteś już moją na wieki, moją jedną i jedyną!... Wszakże poza tobą ja nie mam nic na świecie...

Wawrzek powstrzymał dech w piersiach, ażeby usłyszeć odpowiedź na to wyznanie. Przez chwilę panowało milczenie, a potem ozwał się cichy, powolny a dźwięczny jak piękna muzyka głos Mini:

— Mężczyźni nie umieją być cierpliwymi w miłości i pan też takim jesteś!... Ale małżeństwo nasze w żaden sposób obecnie nastąpić nie może... Życie moje, biednej, słabej kobiety, jest tak trudne; swoją drogą muszę żyć dla sztuki, a oprócz tego, mam przecież obowiązki dla starej matki, dla rodziny... Ty wymagasz ode mnie postanowienia, ostatniego słowa; wierzaj mi, iż to nie jest łatwe... Trudno w jednej chwili coś postanowić na całe życie.

— Lecz, najdroższa, pomyśl: obowiązki twoje spadną na mnie, a choćby nawet były najcięższe, będę je spełniał z rozkoszą, będę pracował potrójnie; będę żył dla ciebie, będę robił wszystko ze szczęściem w duszy, którem ty mnie obdarzysz...

— Ufam twoim słowom, bo jesteś człowiek szlachetny, posiadasz duszę pełną wzniosłych ideałów;

jesteś również artystą, który sobie wytknął jasno cel: żyć dla sztuki! A żyć dla sztuki, to życiem własnem sztukę podnosić i w sztuce urzeczywistniać ideały własnej duszy. Oh, ja to rozumiem dobrze!... Pojmuję pana, bo jedne i te same uczucia nosimy w sercu, jedne pragnienia kierują naszemi czynami, jedne myśli nas ożywiają... Ale, powiedz pan, czyż my możemy patrzeć na uczucia miłości z tego samego punktu widzenia, jak zwykli ludzie to czynią?... Czyż szlachetne uczucie w piersi nie powinno być raczej siłą, która doda potęgi sztuce? Czyż my, bogaci w tę wielką wewnętrzną prawdę, nie jesteśmy wtedy rzeczywiście kapłanami?... Chcesz pan małżeństwa w pewnym oznaczonym terminie? Nie wystarcza ci więc silne uczucie własne, ta najlepsza cząstka człowieka?... Nie wystarcza ci wiara w moje przywiązanie?

W tej właśnie chwili powróciła Petrysia i Wawrzek odskoczył od nawpółuchylonych drzwi; był jakiś zapłoniony, oczy mu dziwnie połyskiwały; na powitanie dziewczyny sam nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Jest tam ktoś u panny Mini! — poszepnął tajemniczo, ukazując palcem na drzwi.

— Wielkie rzeczy! — odrzekła Petrysia. — To pewno Krokiewski, aktor, który się pani ciągle oświadcza, no i udręcza ją temi oświadczynami... On się chce z nią koniecznie ożenić; ale cóżby oni wtedy na świecie znaczyli?... Człowiek taki biedny, mało zarabia, ona także nie wyżyłaby przecież z pensji i benefisów!

— Pewnie Mini potrzeba dziś pieniędzy! Prawda, panno Petronelo? — mówił Wawrzek, zamyślony, jak gdyby o czemś marzył. — Gdyby ktoś miał dużo pieniędzy, toby go może kochała panna Minia?

— Skąd ja to mam wiedzieć? Ja tylko wiem,

że ona pieniędzy potrzebuje; ale czyby kogo za pieniądze kochała? Możeby i kochała! Każdy kocha drugich za to, czego sam potrzebuje.

— Za pieniądze panna Minia mogłaby kogo kochać, chociaż przez jeden dzień?

— Co też pan mówi! Czy takie kochanie cośbądź warte? — rzekła Petrysia.

— Jakby kto tego chciał, to warte! — odpowiedział Wawrzek.—Ci młodzi, którzy tu bywają, przychodzą zapewne po to, ażeby się doczekać miłości panny Mini choć przez dzień jeden. Toż ona wszystkich naraz kochać nie może?

Znowu innego dnia, kiedy Wawrzek przybył do Petrysi, dziewczyna ta właśnie otrzymała była od swej pani polecenie, aby odniosła jakiś list na Pańską ulicę, pod numer piętnasty. Ananas nieraz już w takich wypadkach wyręczał Petrysię, więc i teraz wziął na siebie obowiązek zaniesienia listu, gdzie należy. Na kopercie wyczytał adres: „Do pana Icka Cokolwiek, ulica Pańska Nr. 15". Zboku zaś dopisano: „bardzo pilno".

— Ach, Icek Cokolwiek, lichwiarz, który pożycza pieniędzy! Z Potyckim robił także interesa— mówił Wawrzek.

— Bardzo bogaty żyd; moja pani siedzi u niego w kieszeni.

— Fanciarz, wekslarz, lichwiarz, niegodziwiec!— zawołał Wawrzek.

— Panie Wawrzyńcze, trzeba się spieszyć z tym listem! — rzekła Petrysia. — Pani moja jest bardzo niecierpliwa, gdy jej pieniędzy potrzeba.

I Ananas poszedł na ulicę Pańską. Lichwiarza nie było w domu, ale żona jego namawiała Wawrzka, aby się chwilkę zatrzymał, gdyż mąż niebawem miał powrócić. Zatrzymał się przeto oddawca listu, a siedząc, w milczeniu rozglądał się po lichej izbie.

Jedna myśl oblegała go natarczywie — gdzie żyd ów, którego ludzie nazywali bogatym, może przechowywać swoje pieniądze? Stał w izbie duży czarny kufer, okuty żelaznemi obręczami; Wawrzek ułożył sobie, że to właśnie musi być bankierska kasa żyda, w której są przechowywane różne skarby.

Po niejakim czasie wrócił do domu Icek, odczytał list, a że pisać po polsku nie umiał, więc ustnie dał odpowiedź, przyobiecując niebawem stawić się na wezwanie Mini. Wawrzek nie ukrywał odrazy i wstrętu dla lichwiarza, zdradzał to wyraźnie całem swojem zachowaniem; natomiast Icek Cokolwiek przyjął go u siebie nadzwyczajnie grzecznie, a żegnając, wyprowadził na schody.

Ażeby uzupełnić opowiadanie, musimy na krótką chwilę zajrzeć do Słowiańskiego hotelu i zobaczyć, co się tam dzieje.

Po dniu, w którym zaszło tyle dziwnych zdarzeń pod trzydziestym piątym numerem, nastąpił dzień niemniej obfity w skutki tych wszystkich wypadków.

Rano przybył tutaj Wawrzek, stosownie do obietnicy danej Niceforowi, ale jakże bardzo się zdziwił, gdy o swym towarzyszu nie mógł powziąć żadnej wiadomości; nikt nie znał jego nazwiska. Klucze od trzydziestego szóstego numeru wisiały u odźwiernego na gwoździu, a pod numer trzydziesty piąty nie wpuszczano dzisiaj nikogo. W hotelu panował jakiś zamęt, wszystka służba miała fizjognomje zafrasowane i pełne tajemniczości. Marcin wałęsał się, postawał ciągle na dziedzińcu, zachodził do szwajcara i szeptał z nim coś pocichu. Pan Dziurowski, rządca hotelu, miał znowu ogromne kłopoty, ponieważ władza policyjna zrobiła mu zarzut, iż interesa zarządu hotelu są w nadzwyczajnym nieporządku; Dziurowskiemu zagrażało śledztwo są-

dowe, oczekiwała go duża odpowiedzialność za wszystko, co się stało.

Trup ludzki i trup zwierzęcy, znaleziony pod trzydziestym piątym numerem, poddane zostały oględzinom lekarskim, a oględziny owe wykazały, iż człowiek nieznany zmarł w hotelu wskutek nagłego *wylewu krwi w istotę mózgowia.* Co się tyczy psa, o tego nikt się nie troszczył, ponieważ na zwierzęciu człowiek może bezkarnie dopuszczać się zbrodni, zwłaszcza jeśli ta zbrodnia odpowiada jego interesom.

Na wszystkie strony badano tylko, śledzono i dociekano, dlaczego nieżywy człowiek pod trzydziestym piątym numerem nie miał na sobie ubrania; starano się odnaleźć jaki bądź ślad jego pochodzenia, jednakże do dziś pozostało to tajemnicą. Przyjechał o dziesiątej wieczór do Warszawy, zajechał do hotelu Słowiańskiego, dano mu mieszkanie pod trzydziestym szóstym numerem, rzeczy ze sobą nie miał żadnych; nie powiedział kim był, jak się nazywa, a na drugi dzień zwłoki jego znaleziono pod numerem trzydziestym piątym razem z nieżywym psem; — oto wszystko.

— Więc któż jest ten człowiek? — pytano nadaremnie.

Tajemnica mogłaby się była nieco rozjaśnić, gdyby Dziurowski i służba hotelowa zeznali byli na śledztwie, iż rzeczony trzydziesty piąty numer zajmowali poprzednio znani nam trzej złoci młodzieńcy. Że atoli Tomcio, Miś i Olo nigdy nie mieli nic wspólnego z meldunkami, że zawsze i wszędzie mieszkali, jak to mówią, bezprawnie, zatem w śledztwie szczegół ów nie wystąpił. Nie wspomniano wcale o nich, ani o rzekomym wypadku cholery i sprawa się jakoś utarła; tylko pisma warszawskie głosiły, że człowiek niewiadomego pochodzenia

i nazwiska zmarł nagłą śmiercią w Słowiańskim hotelu.

Pan radca Srebro wyczytał nawet w jednem z pism takich wiadomość ową, skreśloną w stylu barwnym, urywanym:

„Skądś przybył, zamieszkał i już zmarł!..

Gdzież jego matka i rodzic? Któż to wie?

A może tęsknią za nim, gorzkie łzy leją?

Może młoda jego żona smutne dni i smutniejsze jeszcze noce spędza?

Może dziatki, wyciągając drobne rączęta, pytają: gdzie jest nasz tata?

Co jest zacz człowiek w Słowiańskim hotelu, nikt nie wie.

Zmarł w sile męskiego wieku.

Znaleziono go bez ubrania.

O, jakże szczególne jest życie śmiertelnika na ziemi!

Wiedzieli już o tem Homer i Szekspir.

Pierwszy powiedział:

— Zmarł i leży.

Drugi:

— To be, or to not be!

— Chwałaż Panu Bogu! — powiedział sobie w duszy Srebro. — Miś nie mógł nic lepszego w życiu zrobić, jak umrzeć, a dobrze się stało, iż hotel miał tyle taktu i nazwiska zmarłego do gazet nie podał!

Powróćmy teraz do Wawrzka, który był politycznym przyjacielem Nicefora.

W przededniu wielkich społecznych wypadków, każdy energiczny działacz, jakkolwiek może mieć mniej lub więcej swoje ja na względzie, nie zatrzymuje się atoli na faktach takich, jak strata człowieka, z którym on bardzo sympatyzował. Idea bowiem powołuje umysł i rękę do obowiązku czynów. Dla Ananasa Nicefor Leciało zginął gdzieś bez

śladu. Wawrzek myślał, iż towarzysz jego zniechęcił się może tokiem rozmowy, przeprowadzonej w szynku przy ulicy Żelaznej, może go warszawska judenheca nie wabiła, więc odjechał, zniknął, jakkolwiek był zapowiedzianym apostołem sprawy. Ananas znowu miał duże zaufanie we własne siły, wierzył w siebie i był tego pewien, że potrafiłby jako prowodyr stanąć na czele tłumu, rozbijającego żydów; zresztą Salomon i Garwoliner wpłynęli nań i wytknęli mu rolę naczelnego ulicznego wodza. Wawrzek postanowił tedy oddać się całą duszą dziełu, ku któremu popychały go nietylko społeczne instynkty, ale także ambicja. On już nie rozmyślał, nie dbał o to, co się stało z Niceforem, nie zachodził już do hotelu Słowiańskiego; brak Nicefora stawiał go wyżej, otwierał mu szersze pole działania.

Jakkolwiek atoli Wawrzek był bardzo zajęty wstępnemi agitacjami, nie omieszkał jednak odwiedzać i Petrysi. Dziewczyna zakochała się w nim na dobre, zdawało jej się tylko, że Ananas nie jest dosyć śmiały i z tego powodu zwleka wynurzenie ostateczne swych uczuć; poczem należałoby mu już tylko iść do parafji i dać na zapowiedzi. A Wawrzek teraz właśnie mniej o tem myślał, niż dawniej. Judenheca leżała mu na sercu i na mózgu całym swoim ciężarem, z niecierpliwością wyczekiwał dnia oznaczonego, Petrysię zaś odwiedzał przez nałóg i zawsze ze skrytem pragnieniem zobaczenia tam Mini. Sam nie wiedział, dlaczego obraz pięknej aktorki stał zawsze w jego myślach; sen i spokój odbierała mu ta kobieta, mająca na sobie skórę jakby nie ludzką, jakby zrobioną z listków korony róży; woń bijąca od niej nieraz go zalatywała i dostawał zawrotu głowy; gdzieś w głębi duszy zdawało mu się nieraz posłyszeć dźwięk jakiś jej głosu, który zabrzmiał, rozbudził w nim dziwną tęsknotę.

pragnienie; przytem blask jej oczu błysnął mu niekiedy, niby blask gwiazdy.

Już, już judenheca wisiała w powietrzu, jej piorun miał spaść na Warszawę, a jeszcze wszystkie miejscowe organa prasy prorokowały, że gród ten nie splami się rozbojem, że żydzi, bądź co bądź, są ludźmi, a więc eo ipso jakieś prawa na kuli ziemskiej im przysługują. Prasa rzadko kiedy wie, co za rodzaj procesu społecznego rozgrywa się w danej chwili.

Wawrzek przybył jednego dnia do Petrysi; on tak bardzo pożądał zobaczyć Minię, lub ją usłyszeć, a Minia właśnie wtedy wyjechała z Warszawy. Petrysia sama nie wiedziała dokładnie, dokąd pojechała jej pani, jej się tylko zdawało, że do Krakowa. Ananas był nieswój, niezadowolniony, usiadł, zadumał się, a po chwili chciał odejść; ale dziewczyna go zatrzymała i poprowadziła do apartamentów swej pani. Mieszkanie Mini było to cacko, aksamitne pudełeczko, w jakie jubilerzy wkładają rozmaite cenne klejnoty. Na mahoniowym stoliku, zdobnym w bronzy, a wybitym zwierzchu błękitnym aksamitem, leżały piękne albumy z fotografjami oraz piękne ilustrowane księgi; stały tutaj dwa wspaniałe wazony, a w nich bukiety z rzadkich na ową porę kwiatów, arcydzieła Hozera. Dokoła spostrzegałeś rozkoszne kozety, sofy, krzesełka miękkuchne i tak delikatne, że możnaby ich prawie nie za sprzęty, ale za ozdoby używać. Na ścianach widniały sztychy, fotografje wyraziste, obrazy uderzające oko żywemi barwami. Pod stopami znowu słały się jak puch miękkie dywany, po których Wawrzek zaledwie śmiał stąpać, gdyż w Marzenieckim dworze nie znajdował nic podobnego. Z saloniku poprowadziła go Petrysia do sypialni Mini; był to uroczysty przybytek rozkoszy, pełen powabu,

woni, miękkości i gładkości. Ananas nie śmiał grubą swoją ręką dotykać tutaj rozmaitych delikatnych, wykwintnych przedmiotów. Wejście do sypialnego pokoju aktorki przyozdabiała przepyszna dekoracja, harmonizująca z ubraniem wielkiego, weneckiego okna; łóżko robiło wrażenie ołtarza, na którym jakiemuś bóstwu składa się ofiary; było tutaj tak pięknie, tak przyjemnie, tak czysto, że cały świat zresztą zdawał się posiadać nadzwyczajnie małą wartość w porównaniu z owem zacisznem ustroniem. U sufitu wisiała lampa barwy różowo mlecznej, zwieszona na pozłocistych drucikach. Cała toaleta zastawiona była prześlicznemi drobiazgami: pełno tu było pięknych, barwnych pudełeczek, misternych flakoników, słoików, figurek, przycisków, sprzętów niewiadomego użytku. Ananas z niejaką obawą wziął do rąk jedno takie pudeleczko, otworzył je i prawie się przestraszył, ku uciesze Petrysi, kiedy z pudełka jakiś wonny biały pyłek powiał na niego; był to puder. Więc zamknął czemprędzej pudełko, jakby z obawy, ażeby stąd nie uleciały obce dla niego tajemnice.

— Widzę, że pan Wawrzyniec przeląkł się tego pudru! — zawołała Petrysia, której lica przyozdobił zalotny uśmiech.

— Nie wiedziałem, że się to puder nazywa — odparł Wawrzek, a Petrysia wydała mu się w tej chwili bardzo miłą dziewczyną.

W tych apartamentach aktorki była ona rodzajem niezbędnie potrzebnego sprzętu.

Ananas wziął znowu machinalnie do rąk z toalety Mini jakiś flakon, wyjął z niego kryształowy korek i niebawem poczuł wkoło siebie woń przenikającą, ostrą, a jednocześnie bardzo przyjemną. Któż może wiedzieć, co to był za gatunek pachnideł?

W tej samej chwili i Petrysia wzięła w rękę

flaszkę z toalety i jakieś narzędzie z dwóch rurek kątowato zagiętych, przybliżyła się do Wawrzka i dmuchnęła mu prosto w oczy; rozeszła się balsamiczna woń jaśminu czy akacji, która owiała młodego człowieka, wniknęła weń, odurzyła go, dziwnie upoiła; on czuł tę woń wszędzie... Petrysia roześmiała się głośno; cieszyło ją to zakłopotanie Wawrzka i pełna ożywienia, wśród śmiechu padła prawie wznak na jedwabistą sofę, tak niską, iż zaledwie ćwierć łokcia wystającą nad posadzkę; tu z błyszczącemi oczyma, z zapłonionem licem, trzęsąc się cała od śmiechu, siedziała, nawpółleżąc, oparłszy na kolanach ręce, w których trzymała flakon z pachnidłem i refreszyser. Wawrzek był otumaniony, jak gdyby gdzieś w obłokach bujał, dziewczyna wyglądała jak zachwycająca czarodziejka, która poto istnieje, aby wabiła i pociągała ku sobie. On usiadł obok niej i poczuł, że mu serce bije bardzo głośno, bardzo mocno; pochwycił jej rękę, przycisnął do ust, pocałował. Wtedy Petrysia porwała się nagle, jak ptak w krzewinie, ustawiła na toalecie flaszkę z perfumami, postawiła na środku pokoju piękne złocone krzesełko, obite różowym atłasem, stanęła na niem i poczęła zapalać wiszącą lampę. Ananas przyglądał się tej czynności dziewczęcia, widział, jak się Petrysia wspinała na palcach, jak z małych pantofelków wysuwała się jej nóżka i szczególny jakiś zachwyt, jakieś uwielbienie dla niej się zbudziło; ona jeszcze nigdy dotąd nie miała dla niego tyle powabu. W wieczornym mroku błysnęło różowe światło, które zalało sypialnię Mini, jak ziemię zalewa poranna jutrzenka; w tem łagodnem świetle tkwiła jednak jakaś jaskrawość, od której się oko mruży, a usta mimowolnie do uśmiechu się układają. Wszystkie przedmioty w pokoju połyskiwały tym szczególnym blaskiem; oczy Petrysi świeciły

jego odbiciem, światło ślizgało się po jej białej koszulce, rumieniąc ją lekko, świeciło w jej włosach, krasiło szyję, nadawało ustom żywość. Wawrzek był zachwycony i z lubością przyglądał się dziewczynie.

— Panie Wawrzyńcze, a czy pan lubi muzykę? — zapytała Petrysia, ciągle uśmiechnięta i, nie czekając odpowiedzi, pobiegła do salonu, skąd przyniosła grające album, nakręciła je i album grać poczęło.

Teraz usiadła ona znowu na sofie obok Wawrzka, żywo, świegotliwie opowiadając mu o swoich upodobaniach. I o czemże rozmawiali?

Oto, ona mówiła mu, że bardzo lubi cukierki, poziomki, wiśnie, ciastka; przedstawiała mu, jak to ona lubi się bawić, tańczyć, a czasu na to niema. Szczerze się też spowiadała, iż bardzo a bardzo chciałaby ubierać się tak pięknie, jak jej pani, no, ale na takie rzeczy potrzeba dużo pieniędzy.

Wawrzek wysłuchiwał owej mowy; w uszach jego dźwięki muzyki i dźwięki głosu dziewczęcia zlewały się w jedno; on słyszał melodję, ale jakoś nic nie rozumiał znaczenia wyrazów. Dokoła siebie uczuwał jedwabistą miękkość sofy, w powietrzu dyszały aromatyczne upajające wonie; różowe światło, choć tak łagodne, raziło go jednak i drażniło, a ta spokojna cicha muzyka zdawała się go czarować... Pełen dziwnego niepokoju, porwał się, chciał z sofy powstać, bo twardy, energiczny organizm chłopa buntował się przeciwko takiej zniewieściałości. Atoli sofa była zbyt niska, podnieść się z niej było trudno; rozkosz więziła go niby i przykuwała do miejsca. — On czuł, że tak dłużej pozostawać nie może, męska jego energja szamotała się, dążąc do wyzwolenia. Krew uderzyła mu do głowy i mimowolnie rękę przesunął po czole,

jak gdyby coś z głowy chciał usunąć; w tejże chwili Petrysia spojrzała nań zalotnie, zbliżyła ku jego piersi swą główkę i rzekła:

— Panie Wawrzyńcze, co panu jest?... Pan się widać nudzi ze mną?

On jej nie dał odpowiedzi, lecz ręką objął wpół, przytulił do siebie, całował oczy, usta, szyję — i ona wcale się nie broniła, była potulna, spokojna...

Albumowa pozytywka przygrywała, różowe światło lampy oświecało ich oboje, niby mitologiczną grupę kochanków, powietrze pełne było woni, miękkość pieściła ich zewsząd. Oddali się więc zupełnie pieszczotom miłości.

Nareszcie pozytywka grać już przestała, zmroczyło się światło lampy, a oni oboje jeszcze, tuląc się do siebie, szeptali coś, oddawali sobie nawzajem pieszczoty.

Pierwszy Wawrzek powstał, a najpierwszy przedmiot, który mu się teraz w oczy rzucił, było to bielejące w mroku łóżko Mini; wstrząsnął się, jak gdyby wszedł do bardzo zimnego lochu i rzekł:

— Musi już być bardzo późno!

Petrysia pochwyciła świecę, zapaliła ją, poskoczyła do drugiego pokoju i spojrzawszy na zegar, rzekła przycichłym głosem:

— Jeszcze jedenastej niema!...

— Od 3-ej do 11-ej, to osiem godzin przesiedziałem tutaj — rzekł Wawrzek, jakby sobie wyrzucał stratę czasu.

— Czy panu Wawrzyńcowi żal tylu godzin? — spytała Petrysia, spoglądając figlarnie jednem okiem na Ananasa.

IX

JUDENHECA

Zabłysnął dzień Bożego Narodzenia; tło jego było zamglone, szare; posępnie jakoś odbijały na tem tle dachy domów i druty telegraficzne, ubielone szronem. Od wczesnego rana po ulicach oślizgłych uwijali się ludzie w odświętnych strojach, każdy widocznie przejęty uroczystością dnia. Wyraz fizjognomji mieszczanina w takich razach daje się mniej więcej tak oznaczyć: „Dzisiaj wspaniale użyję dóbr duchowych i doczesnych; mam zamiar dużo się modlić, a potem jeść i pić obficie".

Jak zwykle w dni takie, kościoły formalnie wezbrały i dzisiaj narodem, którego fale wylewały do przedsionków świątyni, na korytarze, chodniki, ulice. Pomimo przenikliwie zimnej temperatury, niejeden pocił się w kościele, twarze pałały rumieńcem, a podniecenie owo zdawało się pomnażać żarliwość wiernych w nabożeństwie. Tłumu było jak nabił, wszędzie pełno, tak, że z wielkim tylko trudem mógł się ktoś przecisnąć, nawet poprzez boczne kaplice. Szczęśliwi ci, którzy pierwsi przybyli, dotarli do stopni ołtarzy, uklęknęli tutaj lub wieńcem obsiedli dokoła stopnie, opierając się z jednej tylko strony natłokowi ciżby. Właśnie w liczbie takich znajdowała się w kościele Świętokrzyskim pokojowa Mini, Petrysia. Z książką do nabożeństwa w ręku, zapatrzona w boski wizerunek, modliła się ona dzisiaj szczerzej, cieplej, niż zwykle. Może

prosiła Boga, ażeby przyspieszył jej małżeński związek z Wawrzkiem, a może wyznawała jakieś swoje winy i błagała niebios o przebaczenie.

Ktoby był uważnie rozpatrywał się po kościele, spostrzegłby tu człowieka, który się nieustannie przeciskał z jednego miejsca na drugie; zdawał on się czegoś upatrywać, robił jakiś przegląd. A był to znany nam z szynku przy Żelaznej ulicy, Garwoliner. Ten niski, chudy a energiczny człowieczek umiał się wcisnąć w tłum i prześlizgiwał się niby węgorz; czarnemi oczyma niespokojnie rzucał dokoła, czasami przystanął, jakgdyby coś wietrzył. Już był w kaplicy na prawo, już znowu defilował tuż około wielkiego ołtarza, a niebawem znalazł się w lewej bocznej kaplicy. Tutaj podszedł do ołtarza i zpodełba rozpatrywał położenie rzeczy. Przypadkiem stanął on za Petrysią, zauważył, że dziewczyna jest jak najzupełniej zatopiona w modlitwie i nie zwraca uwagi na nic, co się dokoła niej dzieje. Oto, na podniesienie właśnie uderzyły dzwonki, na chórze umilkły pienia i tylko głuchy odgłos organów rozlegał się, jakby odległy huk fali; lud wiernych obliczem padał na ziemię, korzył się. Garwoliner także uklęknął, pochylił głowę ku ziemi, pięścią uderzał w pierś swoją, robił wszystko, co inni; ale oprócz tego wykonał on jeszcze coś więcej. W rękach jego znalazło się pudełko z zapałkami; jedną z nich wydobył, zapalił i przyłożył do sukni schylonej Petrysi; potem powstał, począł się znowu przez tłum przeciskać. Po kościele rozszedł się swąd spalenizny, który wyraźnie można było wyróżnić śród woni kadzideł, spalonych na ofiarę Panu. Jeszcze Garwoliner nie dotarł do środka kościoła, a już powstał krzyk i zamęt.

— Jezus, Marja, Józefie święty, gore! — krzyknął ktoś bardzo głośno.

— Gore, gore! — powtarzano z głuchym jękiem na wszystkie strony.

Nie widziano pożaru, lecz powtarzano bezmyślnie wieść o nim w najwyższem przerażeniu. Ludzie walili się ścianą ku wyjściu; ci, przed chwilą tak pobożni, cisi i pokorni, stali się teraz zuchwałymi; silniejsi rozpychali słabszych, deptali po nich, byleby prędzej dostać się na ulicę. Garwolinera porwała fala narodu i on w tej fali nie utonął; wyniesiono go do drzwi prawie na głowach. Przy wyjściu z kościoła popłoch bynajmniej się nie zmniejszał; był tutaj rozwinięty ruch nadzwyczajny. Widziano ludzi bladych jak widma z trwogi, z wytrzeszczonemi oczyma. Tam uchodził jakiś mężczyzna z rękawem urwanym od surduta; inny znowu ciskał się zuchwale, gdyż mu oberwano kołnierz i połę; wypadały na ulicę kobiety z rozczochranemi włosami, w sukniach, z których wisiały tylko strzępy. Jakiemuś dzieciakowi wybito oko i wrzeszczał przeraźliwie; gdzie indziej rzemieślnik znowu ze zranionem czołem gniewliwie i bezwzględnie kułakował każdego, kto się nań tłoczył. Obok zemdlonej matki staruszki łzami zalewała się strapiona córka, wzywając o pomoc; a opodal zepchnięto ze schodów wysokiego ganku jakiegoś starca, który cicho los swój znosił, wydając tylko jęk głuchy, podczas gdy na jego białych jak śnieg włosach błyszczały krople krwi purpurowej...

Daremniebyśmy się tu silili, ażeby przedstawić straszny obraz tego popłochu. Tłumy wylały się nareszcie na ulicę i poczęto wynosić z kościoła ludzi uduszonych, lub tylko omdlałych; starano się, aby nieszczęśliwym nieść pomoc, o ile było można. Wawrzek pracował tutaj bardzo czynnie. Jakże strasznem było jego przerażenie, kiedy poskoczył na ratunek kobiety, którą właśnie dwóch jakichś mężczyzn wynosiło z kościoła, i poznał w niej Petrysię. Dziewczyna już nie żyła. Rysy jej twarzy były wykrzywione bólem, usta miała zacięte i skrzepłą krwią nabiegłe.

Widok zwłok uduszonej przyjaciółki jak grom uderzył w Ananasa; on jej przecież nie uprzedził o tem, co miało nastąpić; nie dał dobrej rady, ażeby w dzień Bożego Narodzenia nie szła do kościoła Świętego Krzyża. Doznał więc ciężkiego wyrzutu sumienia i zapomniał o roli, jaką winien był odegrać w czasie judenhecy, bo łza gwałtownie cisnęła mu się do oka. Teraz szczerze uczuł, iż nienawidzi Salomona i Garwolinera, rzeczywistych sprawców dramatu, który się odegrał w kościele. Lecz trudno, stało się, niewinna Petrysia pierwsza padła, jako ofiara dzieła, które przygotowywał jej kochanek, narzeczony.

W mgnieniu oka około zwłok dziewczyny zebrała się spora gromada ludzi i w tej gromadzie dawały się słyszeć przekleństwa, szmery niezadowolnienia, groźby. Zarówno mężczyźni jak kobiety mieli w oczach wyraz zgrozy i na wszystkie strony dawały się słyszeć słowa:

— Żydzi, żydzi!

W tym szmerze, w tych wykrzykach zdawało się brzmieć wiekowe dziejów przekleństwo. Jedno słowo streszczało w sobie kilkowiekową historję wzajemnego stosunku dwóch ras. I ponuro brzmi to słowo w ustach chrześcijanina, jak zawsze ponuro brzmi wyrzut, który człowiek człowiekowi czyni z powodu pochodzenia...

Wśród okrzyków: „żydzi, żydzi!" wynoszono z kościoła innych jeszcze ludzi poranionych lub uduszonych; wrażenie było straszne. Fale narodu przypływały i odpływały na wszystkie strony, a z niemi szło w świat, jak dżuma zaraźliwe, uczu-

cie nienawiści dla rzekomych sprawców niecnej zbrodni.

Trzeba było uważnie śledzić ów wzrastający niepokój, ów ruch uliczny, a obserwator poznałby jego przyczynę, wykryłby tutaj pobudzające czynniki, spostrzegłby ludzi, których widzieliśmy już w szynku przy Żelaznej ulicy. Nie wiemy na pewno, czy w owem krzewieniu uczuć zemsty brał udział i Salomon. Co się tyczy Garwolinera, ten zaraz po wyjściu z kościoła zniknął bez śladu. Być może, iż uderzająca jego fizjognomja zanadto wybitnie zdradzała semickie pochodzenie; on o tem wiedział i obawiał się bliższego zetknięcia z tłumem.

Zdarzyło się, iż w chwili opisanego powyżej wzburzenia przedzierał się przez Krakowskie Przedmieście w kierunku Aleksandrji jakiś izraelita w długim chałacie. Lekarze i felczerzy krzątali się z energją; rannych oraz uduszonych przenoszono do szpitala Świętego Rocha; gromady więc ludzi pozostały na ulicy ze swemi uczuciami, które gdzieś wyzwolić musieli.

Jakiś człowiek z gromady, która przed chwilą otaczała Petrysię, krzyknął:

— Patrzcie, żyd! Żyd psia wiara!...

I palcem ukazywał na przechodzącego żyda, który prawdopodobnie o niczem nie wiedział. Zgromadzony tłum począł się pilnie przyglądać, jakgdyby widok żyda był dla niego jakiemś nadzwyczajnem zjawiskiem.

Wnet inny znowu człowiek wypadł z tłumu, poskoczył do żyda i w twarz mu plunął, gwoli niezmiernej uciesze wszystkich. Żyd otarł twarz i niezmiernie przestraszony szedł dalej. Atoli od strony Aleksandrji zabiegł mu drogę jakiś podrostek i zawołał:

— Dlaczegoś nie zdjął przed kościołem czapki, łajdaku?...

Izraelita drżał ze strachu, nie zdołałby zapewne znaleść słowa odpowiedzi, więc tylko usiłował ominąć napastnika; ten jednakże podniósł rękę i żyda potężnie uderzył w głowę, zrzucając mu czapkę na ziemię. Tak liczne i tak smutne wypadki zdarzyły się dopiero co, a jednak tłum znalazł śmiech w sobie i urągał żydowi. Niektórzy schylili się, wyrywali kamienie z bruku i poczęli niemi dosyć gęsto miotać w żyda. Teraz wystąpił znowu młody chłopak z zuchwałą twarzą, podszedł znienacka do żyda i pięścią zadał mu silny cios w kark, powalając na ziemię. Plac przed domem ongi Staszyca, gdzie stoi pomnik chluby narodu, męża nieśmiertelnej sławy, był widownią tej sceny wstrętnej i przerażającej barbarzyństwem. Człowieka bezbronnego bito i szarpano na wszystkie strony; ile razy żyd powstał z ziemi, to zawsze jeszcze znalazł się taki, który go znowu powalił. Tym razem widok krwi ludzkiej nie zdawał się przerażać i oburzać, owszem, podniecał.

Naraz wśród gromady chłopaków, która co tylko pobiła żyda na placu Kopernika, ukazał się Ananas; rozległo się gwizdanie, krzyk, i cała zgraja z niezmiernym zgiełkiem powędrowała w kierunku Tamki. Wawrzek szedł na czele tego wrzaskliwego motłochu, będącego ślepem narzędziem cudzej świadomości; ubrany był w obszerną, szaraczkową kurtę, szyję miał grubo obwiązaną różnobarwnym szalikiem, na nogach — buty z cholewami do kolan, na głowie — granatowy kaszkiet. Ananas rozglądał się po szyldach; nagle stanął przed narożnym szynkiem, zapartym przy wielkiem święcie na potężne żelazne zapory; tutaj podszedł i pięściami począł drzwi rozbijać. Gromada rzuciła się z niezmiernym

zapałem i w jednem mgnieniu oka jedni drzwi wysadzili i rozwalili, inni wyrwali okiennice wraz z oknami. Wtargnęli wewnątrz, a za nimi słychać było tylko łomot, trzask, szczęk i brzęk rozbijanego szkła. Wyraz dzikości oraz okrucieństwa wypiętnował się na fizjognomjach przy wykonywaniu tego pierwszego dzieła zniszczenia. Sam Wawrzek, który szlachetniej wyglądał od swych towarzyszy, miał teraz oczy lśniące i jakąś złość na ustach. Wpadł jak szalony do szynku, pochwycił butelkę z wódką i długo z niej ciągnął; najłatwiej być okrutnikiem, gdy się jest pijanym.

Obecnie gromada rosła już ciągle w liczbę, dzieliła się ona na odnogi i rozlewała na wszystkie strony. Co chwila jedni znikali w głębi rozbitych sklepików, a drudzy pojawiali się, jakby z pod ziemi. Wrzeszcząc, hucząc, szli oni dalej i dalej z roziskrzonemi oczyma, z rozpłomionemi twarzami. Taki pisk, zgiełk, wrzawę, trzeba koniecznie słyszeć na własne uszy, aby mieć o nich wyobrażenie. Judenheca srożyła się już z jednej strony w ulicy Ordynackiej, z drugiej — w Browarnej.

Od Solca szedł znowu na czele, z gromadą chłopaków i obdartych bab, znany nam Klimek Anioł; trzymał on w ręku ogromny drąg, istny taran do rozbijania sklepów żydowskich, a ustami od czasu do czasu wydawał długi, przeciągły świst, który ogłuszał przechodniów. Widocznem było, iż banda Klimkowa dokonała już skutecznie niejednego dzieła. Ananas i Anioł, dwaj wodzowie, spotkali się teraz, wymieniając między sobą znaczące spojrzenia. Wawrzek podszedł pierwszy i szepnął coś Klimkowi na ucho; potem skinął na najbliższych ze swej gromady, skierował się na Ordynacką ku Nowemu Światu, a cały rój zdążał za nim; on sam szedł środkiem ulicy z głową

wgórę wzniesioną, krzykliwa zaś jego armja rozpierzchła się i rozsypała po chodnikach, pomieszana z tłumem polujących na wrażenie gapiów. Było tutaj mnóstwo tych dzieci dużego miasta, co to w dziesiątym roku życia są już ludźmi dojrzałymi w przewrotności. Z ukrycia powychodziły na światło dzienne postacie ludzi ponurych, z nogami owiązanemi w łachmany, z włosami posklejanemi w strąki, ukazały się baby, istne megiery ze złośliwemi twarzami, opuchłe, podrapane, brudne. Po drodze rozbito z nadzwyczajnym pośpiechem dwa sklepy, jeden antykwarski z książkami, drugi z damskiemi gorsetami i tiurniurami. Niektórzy z chłopaków ubrali się w gorsety, niby w pancerze, inni znowu zawiesili sobie tiurniury na piersiach; tak przystrojeni, z Świętokrzyskiej ulicy przeszli przez Marszałkowską, a następnie weszli na Wielką. Tutaj także rozbito jeden i drugi sklepik z papierosami, uczestnicy zaś wyprawy zapalili sobie cygara. Wtargnięto znowu do szynku przy ul. Pańskiej, gdzie znaleziono znaczne zapasy spirytusów i uraczono się obficie. Zdawałoby się, że taki Ananas traktował judenhecę jako społeczną konieczność, jako ideę i kwestję, a przecież i on, przybywszy na ulicę Pańską, wszedł wraz z innymi do rozbitego szynku, pochwycił tutaj butelkę z rumem, przyssał się do niej ustami i pił długo, on, który bynajmniej nie był pijakiem. Kiedy już wyssączył z pół butelki napoju, uderzył flaszką o szafę pełną rozmaicie przygotowanego alkoholu i szkło poleciało po izbie. Na takie hasło inni poczęli także rzucać butelkami, a cała szynkownia niebawem była zasłana kawałkami szkła i przesiąkła wyziewami spirytusu.

— Hej, słyszycie! — krzyknął Wawrzek. — Pójdziemy teraz pod numer piętnasty! Za mną!

Tak wołał, a oczy dziwnie mu się iskrzyły i twarz pałała.

Przeraźliwy, przeciągły świst i łoskot rozbijanych doreszty sprzętów szynkowych odpowiedziały na owo wezwanie wodza. Ananas wybiegł z szynku, pozostawiając tam część swojej armji, i niebawem pospieszył pod piętnasty numer, gdzie, jak wiemy, zamieszkiwał lichwiarz Cokolwiek. Tutaj około domu zrobiło się formalne oblężenie; podczas kiedy jedni rozbijali i plondrowali na dole jakiś sklepik, inni wpadli do oficyny, zamieszkanej przez ubogą ludność żydowską; rozbijano drzwi, wpadano do izb oniemiałych z trwogi biedaków, rozpruwano bety, wyrzucano za okna stołki, stoły, łóżka oraz inne przedmioty. Wawrzek w nielicznem towarzystwie podążył do mieszkania lichwiarza. Znalazł tu drzwi zamknięte, a kiedy zapukał, nie otrzymał żadnej odpowiedzi; uderzył potężnie pięściami, lecz i to nadaremnie; wtedy jął się oburącz, począł drzwi wyłamywać. Pęknęły zamki, drzwi padły i Ananas zuchwale wtargnął wewnątrz, a za nim poskoczyło paru chłopaków. Skulona, prawie zdrętwiała, wybladła, z oczyma strasznie przerażonemi siedziała Ickowa w kącie na dużym czarnym kufrze, obitym żelaznemi obręczami. Wawrzek zbliżył się do niej i wezwał ją, ażeby ustąpiła; ale żydówka nie uczyniła zadość żądaniu, nie odpowiedziała ani jednego słówka, nie ruszyła się z miejsca. Wtedy to Ananas popchnął ją tak silnie, że upadła z jękiem na ziemię, a wlokąc się na kolanach, objęła kufer obiema rękoma. Wówczas znowu któryś z napastników kopnął żydówkę nogą, a inny jeszcze uderzył ją kijem w rękę, ażeby zmusić do opuszczenia kufra; ona jednakże nie poruszyła się z miejsca. Rozdrażniło to doreszty Ananasa, który był pijany i rozjuszony. Pochwycił

wpół żydówkę i wyrzucił ją za drzwi na schody, podczas gdy towarzysze jego przypuszczali energiczny szturm do kufra. Nic nie pomogły żelazne obręcze ani trwała budowa; olbrzymia ta skrzynia nie wytrzymała ataku, rozpadła się i ukazała swoje wnętrze z całą zawartością. Widocznie w kufrze był skład fantów lichwiarza. Poowijane w kawałki płótna, znajdowały się tutaj aksamitne i atłasowe suknie, mantyle, srebrne tace, półmiski, wazy, złote bransolety, naszyjniki, medale i numizmaty. Ickowa przez rozbite drzwi widziała, co się w izbie dzieje; musiała ją boleć gospodarka rabusiów w kufrze, bo wpółsiedząc, wpółleżąc na pierwszych schodach sieni, załamywała rękę i wrzeszczała wniebogłosy. Ananas wyrzucił na ziemię z kufra wszystkie rzeczy, przetrząsał je starannie i zdawał się tu czegoś poszukiwać: towarzysze jego, jakby na pamiątkę świetnego triumfu, rozchwytywali rozmaite kosztowne łupy; zawiniątka zaś ze szmatami tak świetnemi roztrzęśli po izbie, już też powyrzucali za okno. Wawrzek podniósł z ziemi wspaniałą aksamitną suknię, ubraną w przepyszne koronki, istny symbol marnotrawstwa jakiejś wykwintnej elegantki warszawskiej; przy wyciętym gorsie uderzył go tu bilet wizytowy, przyczepiony do sukni zapomocą szpilki, przeczytał: „Z hrabiów Wielskich Amelja Srebrowa".

— Wielski! Wielski! — pomyślał. — Znam Wielskiego, to Potyckiego przyjaciel!

I rzucił suknię na ziemię. Teraz znowu uderzyła go inna wspaniała szata, która leżała pomięta i zdeptana w kącie, a jednak bił od niej jakiś blask na brudną izbę; była to balowa suknia także z etykietą, przyczepioną na szpilce; Ananas wziął w rękę ten świecący łachman i poczuł od niego woń, którą niedawno wdychał w sypialni Mini, kiedy

tam był sam na sam z Petrysią... Przeczytał na kartce: „Emilja Łuska".

— Suknia Mini — rzekł sam do siebie i miał chęć ucałować tę wonną, piękną suknię. Ale kiedy ją podniósł z ziemi, uderzyło go to, iż suknia jest niezmiernie ciężka, choć pozór jej był bardzo eteryczny, zapowiadający lekkość. W sukni widocznie znajdował się przedmiot, który ją ciężką czynił. Gdyby to nie była suknia Mini, Wawrzek porzuciłby ją niezawodnie; ale znana woń, ale jakieś wspomnienia przykuwały go do tego błyszczącego łachmana. Pod palcami poczuł, iż w spódnicy sukni zaszyta jest szkatułka czworograniasta, wielkości książki in quarto. Wydarł ją stamtąd; szkatułka była nadzwyczajnie ozdobna, obita srebrem, pokryta jakiemiś herbowemi cyframi. Ananasowi rozpogodziła się fizjognomja; zdawało się, że poszukiwał tutaj tego właśnie przedmiotu i nareszcie go znalazł, bo wsunął szkatułkę pod klapy surduta, przycisnął ją rękami do piersi i wyszedł czemprędzej z izby lichwiarza. Kiedy zbiegał ze schodów, Ickowa leżała na nich zemdlona i nie dawała żadnego znaku życia, była jak martwa. Na dole panował ogromny rwetes, wszędzie było pełno zniszczenia; kawałki połamanych sprzętów, skorupy potłuczonych naczyń, strzępy poszarpanej odzieży poniewierały się na każdym kroku, a pierze z wyprutych pierzyn i poduszek unosiło się w powietrzu po całej ulicy, jak gdyby obfity śnieg padał. W oddaleniu wrzał zgiełk, huczały okrzyki, słychać było łomot nowych rozbojów.

Wawrzek nie poszedł już teraz ze swoją bandą, której dotychczas przewodził; zdawał się nawet unikać z nią spotkania. Bocznemi ulicami pospieszył on do domu, w którym zamieszkiwał, jako podlokator u szewca Gorajca. Tutaj w całem mieszkaniu nie zastał nikogo, z wyjątkiem gospodyni; wszyscy rozbiegli się po mieście tego dnia pamiętnego; Lataszek, Gąbczakiewicz, majster i czeladź, wszyscy byli nieobecni, wszyscy obchodzili wielką uroczystość antysemityzmu, święto rasowej nienawiści, większe zaprawdę, aniżeli święto miłości.

Wawrzek wpadł do izdebki, którą zamieszkiwał z dwoma współziomkami, zamknął się tutaj i natychmiast rozpoczął badanie misternej szkatułki. Kiedy ją z trudem otwarł, znalazł w niej zbiór istnych arcydzieł sztuki złotniczej. W szkatułce bowiem znajdowała się znaczna ilość klejnocików, pozawijanych w cieniuchny papier; a każdy z nich przytem oznaczony był liczbą, oznaczającą taksę istotnej wartości. Widocznie były to fanty, pozastawiane u lichwiarza przez różnych ludzi, gdyż w szkatułce znajdował się także rejestrzyk nazwisk z opisem klejnotu i wymienieniem sumy, jaką nań pożyczono. Ananas był olśniony temi kosztownościami, wysypał je wszystkie na stolik i rozpatrywał kolejno, policzył i miał zamiar ukryć; atoli naraz uderzyła go ta okoliczność, że szkatułka jest jakoś nieproporcjonalnie płytka w stosunku do swej wysokości; opukał, zmierzył wysokość palcami i wszystko mu mówiło, że ma do czynienia z dnem podwójnem, że więc wnętrze skrzyneczki nie jest jeszcze należycie zbadane. Po wielu próbach i wysiłkach przekonał się, iż górne dno można wysunąć na bok ze szkatułki. Zaprawdę, warto było się trudzić, ponieważ całą przestrzeń między dolnem a górnem dnem wypełniała gotówka. Mianowicie też leżał tutaj list zastawny Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego na trzy tysiące rubli, a oprócz tego cztery paczki storublówek, w dwa rzędy ułożone obok siebie. Prawdopodobnie był to kapitał, przeznaczony do obrotu na wypożyczenie. Waw-

rzek począł liczyć pieniądze i w każdej paczce naliczył sto pięćdziesiąt sztuk tęczówek, stanowiących jakby dobrze wyprasowane u introligatora, trzystastronicowe zajmujące książeczki. On wpatrzył się w te pieniądze i przez czas jakiś rozmyślał nad niemi; nareszcie zgarnął je ze stołu, ułożył w takim samym porządku w szkatułce, w jakim je tutaj znalazł; potem schował do swego kufra i na klucz zamknął.

Mrok padł na ziemię, której przez cały dzień słońce nie oświeciło swemi pięknemi promieniami, jak gdyby je zawstydzały czyny ziemi. Na ulicach Warszawy ponurą była ta noc pierwszego święta Bożego Narodzenia. Patrole snuły się tu i owdzie, a niekiedy jak cień przesunął się człowiek, którego kroki odbijały w nocnej ciszy smętne jakieś echo po tak rozgłośnym całodziennym gwarze.

Wawrzek wyszedł na ulicę, był teraz trzeźwy, zdawało mu się, że judenheca trwa już bardzo długie lata, tyle wrażeń doznał w ciągu dnia jednego. Smutek, niepokój, może nawet wstręt do samego siebie uczuwał Ananas. Chciałby był chwili spoczynku, wytchnienia; ale gdzież to mógł znaleźć? Gdyby Petrysia żyła, poszedłby do niej niezawodnie. Być może, iż dzięki takiemu właśnie wspomnieniu, mimowolnie skierował swe kroki ku szpitalowi świętego Rocha. Wszedł tam i bardzo prosił, aby mu pozwolono obejrzeć zwłoki Petrysi; kiedy go spotkała odmowa, prosił jeszcze usilniej, tak, iż wreszcie zyskał pozwolenie. Czego nie czynił wobec żywej, Wawrzek padł na kolana przed umarłą dziewczyną. Zdawało mu się, że Petrysia z nieba spogląda na niego, że jest gniewna i czyni mu wyrzuty; wspomniał, iż go kochała, że był taki czas, kiedy i on ją szczerze miłował. Zresztą, nigdy w życiu nie uczuwał w sobie takiej potrzeby modlitwy, jak w tej chwili, przeto modlił się gorąco, nie wiedząc sam, dlaczego to czyni, o co się modli... Wyszedł stąd nieco uspokojony; ale ciągle stała mu na myśli to Petrysia, to Ickowa omdlała, to świetna balowa suknia Mini, szkatułka z klejnotami i pieniędzmi, to znowu Minia... Myśli jego nieustannie potykały się o te tylko przedmioty.

Przechodził około domu, w którym mieszkała Minia i wspomniał sobie, że ona wyjechała z Warszawy, myślał, iż gdy powróci, będzie bardzo żałowała Petrysi; postanowił też roztoczyć na drugi dzień troskliwą opiekę nad mieszkaniem aktorki, ażeby się szkoda jakaś nie stała.

Kiedy szedł przez ulicę Ordynacką, spostrzegł, iż w jednym ze sklepów, które banda jego rano rozbiła, przez szparę okiennicy błysnęło światło; zajrzał i spostrzegł człowieka, pochylonego ku ziemi, ze świeczką w ręku, zbierającego troskliwie jakieś rzeczy. Przyjrzał mu się i rozpoznał jakoby rysy Garwolinera. W każdym razie był to człowiek, który nocą, jak hjena, przybył po łupy na plac boju. Ananas poruszył zepsutą okiennicą, wstawioną widocznie przez policję po rozbiciu sklepu; światło natychmiast zgasło i słyszał tylko odgłos kroków człowieka, uchodzącego w głąb mieszkania.

X

W REDAKCJI „ZWIASTUNA"

Nazajutrz, po wypadkach powyżej opisanych, w redakcji „Zwiastuna" zebrało się grono literatów i wydawców w celu narady, jak się powinna zachować warszawska prasa wobec wichrzącej burzy antysemickiej. Rozmaite były zdania tych mężów. Redaktor „Zwiastuna", Anastazy Marudziński przemówił najprzód do zebranych.

— Prasa, szanowni panowie, ma przed sobą wielkie posłannictwo, jest ona bowiem sercem i umysłem społeczeństwa; mówię: sercem i umysłem, a przeto chcę powiedzieć, iż w niej się odbijają najwznioślejsze popędy, uczucia oraz myśli społeczeństwa. Naprzeciw nas stoją oko w oko bardzo smutne wypadki, przynoszące ujmę cywilizacji XIX wieku, obrażające humanizm, świadczące wyraźnie już dzisiaj, że materjalistyczny prąd chwili gotów jest podeptać najdroższe tradycje i interesa społeczne... Panowie, myśmy sami winni! Tolerowaliśmy bowiem i dotąd tolerujemy naleciałość, stokroć gorszą od zarazy, hydrę stugłową, filozofję pełną wstrętnego naturalizmu i materjalizmu, tak zwany postęp. Serca młodzieży skamieniały i już nie biją dla wzniosłych ideałów, bo hasłem czasu jest walka o byt. Widzimy teraz, jakie to rezultaty wydają owe zgubne prądy. Mojem zdaniem, panowie, potrzeba tu lekarstwa radykalnego; kiedy organizmowi grozi gangrena, ranę należy wypalić;

trzeba usunąć tę część organizmu, która całości zagraża. Obowiązkiem naszym jest wypowiedzieć walkę zgubnym zasadom tak zwanej prasy postępowej, która konsekwentnie wiedzie społeczeństwo nasze do bankructwa.

— Proszę o głos! — odezwał się redaktor „Puszczy" Wilgotnicki, a powstawszy, tak mówił: — Podzielam w zupełności przekonania poprzedniego mówcy, pana redaktora Marudzińskiego, i proponuję pomieszczenie we wszystkich uczciwych organach prasy jednobrzmiącego artykułu, który będzie niejako aktem oskarżenia, skierowanym przeciwko tak zwanym pozytywistom. Bo widoczna, iż oni to są przyczyną nieszczęścia, jakie nawiedziło stolicę naszą; my zaś powinniśmy wziąć silnie w rękę ster opinji publicznej, dzierżyć go i nie popuszczać!

— Tak! tak! O, tak! — wołano na wszystkie strony.

— Panowie! — odezwał się pan Rosenstein, wydawca „Zwiastuna". — Zdaje się, iż przemówienia panów Marudzińskiego i Wilgotnickiego, dwóch powag naszej literatury, są tak przekonywające, że treść ich nie pozostawia najmniejszej wątpliwości. Tak jest, panowie, obyczaje narodowe znikają, wiara przodków słabnie. Ja mogę pod tym względem złożyć najlepsze dowody. Czy panowie uwierzycie, że od czasu, jak zaczął wychodzić „Postęp tygodniowy", ja zmuszony jestem ograniczać się w wydawaniu książek do nabożeństwa?... Mało nam było jednego wroga wiary, powstał drugi równie bezecny organ... Dawniej — mówił ze wzruszeniem Rosenstein — tłoczyliśmy „Jęku duszy" pięć wydań rocznie, a każde wydanie w pięciu tysiącach egzemplarzy; obecnie robimy jedno wydanie w trzech tysiącach egzemplarzy, a i tego zostaje około pięciuset egzemplarzy. Cóż to znaczy? Oto, ludzie

mało się modlą. A dlaczego się mało modlą? Bo mało mają wiary. Gdzie się podziała ich wiara? Pozytywizm ją wydarł!...

— Okropność! — zawołał współpracownik, pisujący w „Zwiastunie" feljeton pod pseudonimem Gołębia. — Ależ, na Boga, ja nie miałem dotąd wyobrażenia o tak zgubnych wpływach darwinizmu!... Cyfry, przytoczone przez szanownego pana Rosensteina, są przerażające. Tu trzeba działać, działać szybko, wyrywać chwasty, zasiewać czyste ziarno!...

— Więc, moi panowie, działajmy! — odezwał się Marudziński. — Jeżeli chodzi o artykuł, bijący we wroga, jak taranem, nikt się z takiego zadania nie wywiąże godniej od naszego nieoszacowanego Wróbelkiewicza... On bowiem sam był niegdyś w błędzie i zapisał się pod zgubny sztandar; ale poznał niebawem prawdę i ma wielką zasługę, że się umiał zrzec fałszu. Zato może być użytecznym, jak wytrawny człowiek, znający słabe strony przewrotnej doktryny.

— Ja za taki artykuł zapłacę panu Wróbelkiewiczowi po dwadzieścia kopiejek od wiersza i zrobię oddzielną odbitkę — zawołał zentuzjazmowany Rosenstein.

Wtedy podniósł się feljetonista Gołąb i mówił z nadzwyczajną powagą:

— Niestety, czcigodni panowie!... Muszę wam powiedzieć wieść smutną; ale obowiązek sumienia jest dla mnie najpierwszy, a przeto milczeć nie powinienem, choć to zrani wasze szlachetne serca... Wróbelkiewicz... Wróbelkiewicz... Wróbelkiewicz jest... oszust!... Sfałszował on na wekslu podpis hrabiego Pstrokońskiego i udał tak dobrze rękę barona Lasspecha, że potrafił w błąd wprowadzić jego kasjera...

Całe towarzystwo zostało jakby gromem porażone. Tylko Rosenstein, z ręką włożoną w kieszeń pantaljonów, podszedł do Gołębia i rzekł mu półgłosem:

— Co pan mówi, panie Gołąb?... Czy to wszystko tylko jest prawda?

— Święta prawda! — wykrzyknął Gołąb z zapałem. — Widziałem dowody, czarne na białem!

— A wiele on mógł na tym szwindlu zarobić? — pytał ciekawie Rosenstein.

— Około trzydziestu tysięcy rubli! — zawołał Gołąb.

Rosenstein oblizał się po górnej wardze i rzekł:

— Ładna suma!... To on nie głupi tu siedzieć...

— Od czterech dni już go niema w Warszawie — powiedział Gołąb.

— Jakie to szczęście dla nas, że Wróbelkiewicz należał kiedyś do obozu pozytywistów! — mówił z natchnieniem Marudziński.

— Możemy im go oddać! — rzekł Wilgotnicki, uśmiechając się ironicznie. — Jednakże sądziłbym, iż wobec takiego faktu, artykuł przeciw pozytywistom nie jest na czasie, przynajmniej artykuł, pisany ekstensywnie, występujący z oskarżeniem.

— Jestem wprost przeciwnego zdania! — zaakcentował Marudziński. — Obrońcy wiary i tradycji nie powinni się lada czem zrażać... Wróbelkiewicz, odkąd się dopuścił niecnego czynu, do nas już nie należy, a ja biorę na siebie delikatne zaznaczenie tej okoliczności w najbliższym numerze „Zwiastuna".

— Nasz Marudziński to majster! — szepnął Wilgotnickiemu na ucho Rosenstein. — Zawsze sobie da radę i umie nawierzch wypłynąć.

— Do napisania artykułu przeciw pozytywistom sądzę, że najodpowiedniejszym będzie pan Gołąb, który z właściwem sobie serdecznem ciepłem

rzek począł liczyć pieniądze i w każdej paczce naliczył sto pięćdziesiąt sztuk tęczówek, stanowiących jakby dobrze wyprasowane u introligatora, trzystronicowe zajmujące książeczki. On wpatrzył się w te pieniądze i przez czas jakiś rozmyślał nad niemi; nareszcie zgarnął je ze stołu, ułożył w takim samym porządku w szkatułce, w jakim je tutaj znalazł; potem schował do swego kufra i na klucz zamknął.

Mrok padł na ziemię, której przez cały dzień słońce nie oświeciło swemi pięknemi promieniami, jak gdyby je zawstydzały czyny ziemi. Na ulicach Warszawy ponurą była ta noc pierwszego święta Bożego Narodzenia. Patrole snuły się tu i owdzie, a niekiedy jak cień przesunął się człowiek, którego kroki odbijały w nocnej ciszy smętne jakieś echo po tak rozgłośnym całodziennym gwarze.

Wawrzek wyszedł na ulicę, był teraz trzeźwy, zdawało mu się, że judenheca trwa już bardzo długie lata, tyle wrażeń doznał w ciągu dnia jednego. Smutek, niepokój, może nawet wstręt do samego siebie uczuwał Ananas. Chciałby był chwili spoczynku, wytchnienia; ale gdzież to mógł znaleźć? Gdyby Petrysia żyła, poszedłby do niej niezawodnie. Być może, iż dzięki takiemu właśnie wspomnieniu, mimowolnie skierował swe kroki ku szpitalowi świętego Rocha. Wszedł tam i bardzo prosił, aby mu pozwolono obejrzeć zwłoki Petrysi; kiedy go spotkała odmowa, prosił jeszcze usilniej, tak, iż wreszcie zyskał pozwolenie. Czego nie czynił wobec żywej, Wawrzek padł na kolana przed umarłą dziewczyną. Zdawało mu się, że Petrysia z nieba spogląda na niego, że jest gniewna i czyni mu wyrzuty; wspomniał, iż go kochała, że był taki czas, kiedy i on ją szczerze miłował. Zresztą, nigdy w życiu nie uczuwał w sobie takiej potrzeby modlitwy, jak w tej chwili, przeto modlił się gorąco, nie wiedząc sam, dlaczego to czyni, o co się modli... Wyszedł stąd nieco uspokojony; ale ciągle stała mu na myśli to Petrysia, to Ickowa omdlała, to świetna balowa suknia Mini, szkatułka z klejnotami i pieniędzmi, to znowu Minia... Myśli jego nieustannie potykały się o te tylko przedmioty.

Przechodził około domu, w którym mieszkała Minia i wspomniał sobie, że ona wyjechała z Warszawy, myślał, iż gdy powróci, będzie bardzo żałowała Petrysi; postanowił też roztoczyć na drugi dzień troskliwą opiekę nad mieszkaniem aktorki, ażeby się szkoda jakaś nie stała.

Kiedy szedł przez ulicę Ordynacką, spostrzegł, iż w jednym ze sklepów, które banda jego rano rozbiła, przez szparę okiennicy błysnęło światło; zajrzał i spostrzegł człowieka, pochylonego ku ziemi, ze świeczką w ręku, zbierającego troskliwie jakieś rzeczy. Przyjrzał mu się i rozpoznał jakoby rysy Garwolinera. W każdym razie był to człowiek, który nocą, jak hjena, przybył po łupy na plac boju. Ananas poruszył zepsutą okiennicą, wstawioną widocznie przez policję po rozbiciu sklepu; światło natychmiast zgasło i słyszał tylko odgłos kroków człowieka, uchodzącego w głąb mieszkania.

X

W REDAKCJI „ZWIASTUNA"

Nazajutrz, po wypadkach powyżej opisanych, w redakcji „Zwiastuna" zebrało się grono literatów i wydawców w celu narady, jak się powinna zachować warszawska prasa wobec wichrzącej burzy antysemickiej. Rozmaite były zdania tych mężów. Redaktor „Zwiastuna", Anastazy Marudziński przemówił najprzód do zebranych.

— Prasa, szanowni panowie, ma przed sobą wielkie posłannictwo, jest ona bowiem sercem i umysłem społeczeństwa; mówię: sercem i umysłem, a przeto chcę powiedzieć, iż w niej się odbijają najwznioślejsze popędy, uczucia oraz myśli społeczeństwa. Naprzeciw nas stoją oko w oko bardzo smutne wypadki, przynoszące ujmę cywilizacji XIX wieku, obrażające humanizm, świadczące wyraźnie już dzisiaj, że materjalistyczny prąd chwili gotów jest podeptać najdroższe tradycje i interesa społeczne... Panowie, myśmy sami winni! Tolerowaliśmy bowiem i dotąd tolerujemy naleciałość, stokroć gorszą od zarazy, hydrę stugłową, filozofję pełną wstrętnego naturalizmu i materjalizmu, tak zwany postęp. Serca młodzieży skamieniały i już nie biją dla wzniosłych ideałów, bo hasłem czasu jest walka o byt. Widzimy teraz, jakie to rezultaty wydają owe zgubne prądy. Mojem zdaniem, panowie, potrzeba tu lekarstwa radykalnego; kiedy organizmowi grozi gangrena, ranę należy wypalić;

trzeba usunąć tę część organizmu, która całości zagraża. Obowiązkiem naszym jest wypowiedzieć walkę zgubnym zasadom tak zwanej prasy postępowej, która konsekwentnie wiedzie społeczeństwo nasze do bankructwa.

— Proszę o głos! — odezwał się redaktor „Puszczy" Wilgotnicki, a powstawszy, tak mówił: — Podzielam w zupełności przekonania poprzedniego mówcy, pana redaktora Marudzińskiego, i proponuję pomieszczenie we wszystkich uczciwych organach prasy jednobrzmiącego artykułu, który będzie niejako aktem oskarżenia, skierowanym przeciwko tak zwanym pozytywistom. Bo widoczna, iż oni to są przyczyną nieszczęścia, jakie nawiedziło stolicę naszą; my zaś powinniśmy wziąć silnie w rękę ster opinji publicznej, dzierżyć go i nie popuszczać!

— Tak! tak! O, tak! — wołano na wszystkie strony.

— Panowie! — odezwał się pan Rosenstein, wydawca „Zwiastuna". — Zdaje się, iż przemówienia panów Marudzińskiego i Wilgotnickiego, dwóch powag naszej literatury, są tak przekonywające, że treść ich nie pozostawia najmniejszej wątpliwości. Tak jest, panowie, obyczaje narodowe znikają, wiara przodków słabnie. Ja mogę pod tym względem złożyć najlepsze dowody. Czy panowie uwierzycie, że od czasu, jak zaczął wychodzić „Postęp tygodniowy", ja zmuszony jestem ograniczać się w wydawaniu książek do nabożeństwa?... Mało nam było jednego wroga wiary, powstał drugi równie bezecny organ... Dawniej — mówił ze wzruszeniem Rosenstein — tłoczyliśmy „Jęku duszy" pięć wydań rocznie, a każde wydanie w pięciu tysiącach egzemplarzy; obecnie robimy jedno wydanie w trzech tysiącach egzemplarzy, a i tego zostaje około pięciuset egzemplarzy. Cóż to znaczy? Oto, ludzie

mało się modlą. A dlaczego się mało modlą? Bo mało mają wiary. Gdzie się podziała ich wiara? Pozytywizm ją wydarł!...

— Okropność! — zawołał współpracownik, pisujący w „Zwiastunie" feljeton pod pseudonimem Gołębia. — Ależ, na Boga, ja nie miałem dotąd wyobrażenia o tak zgubnych wpływach darwinizmu!... Cyfry, przytoczone przez szanownego pana Rosensteina, są przerażające. Tu trzeba działać, działać szybko, wyrywać chwasty, zasiewać czyste ziarno!...

— Więc, moi panowie, działajmy! — odezwał się Marudziński. — Jeżeli chodzi o artykuł, bijący we wroga, jak taranem, nikt się z takiego zadania nie wywiąże godniej od naszego nieoszacowanego Wróbelkiewicza... On bowiem sam był niegdyś w błędzie i zapisał się pod zgubny sztandar; ale poznał niebawem prawdę i ma wielką zasługę, że się umiał zrzec fałszu. Zato może być użytecznym, jak wytrawny człowiek, znający słabe strony przewrotnej doktryny.

— Ja za taki artykuł zapłacę panu Wróbelkiewiczowi po dwadzieścia kopiejek od wiersza i zrobię oddzielną odbitkę — zawołał zentuzjazmowany Rosenstein.

Wtedy podniósł się feljetonista Gołąb i mówił z nadzwyczajną powagą:

— Niestety, czcigodni panowie!... Muszę wam powiedzieć wieść smutną; ale obowiązek sumienia jest dla mnie najpierwszy, a przeto milczeć nie powinienem, choć to zrani wasze szlachetne serca... Wróbelkiewicz... Wróbelkiewicz... Wróbelkiewicz jest... oszust!... Sfałszował on na wekslu podpis hrabiego Pstrokońskiego i udał tak dobrze rękę barona Lasspecha, że potrafił w błąd wprowadzić jego kasjera...

Całe towarzystwo zostało jakby gromem porażone. Tylko Rosenstein, z ręką włożoną w kieszeń pantaljonów, podszedł do Gołębia i rzekł mu półgłosem:

— Co pan mówi, panie Gołąb?... Czy to wszystko tylko jest prawda?

— Święta prawda! — wykrzyknął Gołąb z zapałem. — Widziałem dowody, czarne na białem!

— A wiele on mógł na tym szwindlu zarobić? — pytał ciekawie Rosenstein.

— Około trzydziestu tysięcy rubli! — zawołał Gołąb.

Rosenstein oblizał się po górnej wardze i rzekł:

— Ładna suma!... To on nie głupi tu siedzieć...

— Od czterech dni już go niema w Warszawie — powiedział Gołąb.

— Jakie to szczęście dla nas, że Wróbelkiewicz należał kiedyś do obozu pozytywistów! — mówił z natchnieniem Marudziński.

— Możemy im go oddać! — rzekł Wilgotnicki, uśmiechając się ironicznie. — Jednakże sądziłbym, iż wobec takiego faktu, artykuł przeciw pozytywistom nie jest na czasie, przynajmniej artykuł, pisany ekstensywnie, występujący z oskarżeniem.

— Jestem wprost przeciwnego zdania! — zaakcentował Marudziński. — Obrońcy wiary i tradycji nie powinni się lada czem zrażać... Wróbelkiewicz, odkąd się dopuścił niecnego czynu, do nas już nie należy, a ja biorę na siebie delikatne zaznaczenie tej okoliczności w najbliższym numerze „Zwiastuna".

— Nasz Marudziński to majster! — szepnął Wilgotnickiemu na ucho Rosenstein. — Zawsze sobie da radę i umie nawierzch wypłynąć.

— Do napisania artykułu przeciw pozytywistom sądzę, że najodpowiedniejszym będzie pan Gołąb, który z właściwem sobie serdecznem ciepłem

umie traktować takie kwestje i ujmuje czytelnika — ciągnął dalej Marudziński.

Gołąb zarumienił się nieco ze wzruszenia, podczas gdy Rosenstein szepnął znowu do ucha Wilgotnickiemu:

— Trzeba jednak przyznać, że ten Wróbelkiewicz miał pióro!... Przecież ja Gołębiowi nie zapłacę po dwadzieścia kopiejek za wiersz i nie głupim robić odbitki... Ludzie mówią, że wszystko, co on pisze, to woda.

— No, a jakże, panie wydawco, czy ogłosimy w „Zwiastunie" składki na nieszczęśliwe ofiary?— pytał Marudziński, zwracając się do Rosensteina.

— Ja panu byłem wdzięczny, panie redaktorze, iż pan tej drażliwej sprawy dotąd nie poruszał — odrzekł Rosenstein. — Bo „Zwiastun" jest pismo katolickie, więc to bardzo delikatna kwestja. Trzeba wprzód zbadać opinję. Zresztą, ja będę dzisiaj u księcia M., u hrabiego Z., zobaczymy, zobaczymy...

I z temi słowy wydawca ściskał za ręce wszystkich zkolei literatów, poczem opuścił lokal redakcji „Zwiastuna". Wielu też innych wyszło za nim.

Teraz dopiero powstał redaktor „Puszczy", Wilgotnicki i tak mówił:

— Powiem otwarcie, że się nic tak zdrożnego znowu nie stało z tem pobiciem żydów... Wielkie rzeczy!.. Przetrzepano ich trochę, to będą szelmy przezorniejsze i ostrożniejsze. Na zawadzi przytrzeć rogów bezczelnym arogantom. Przecież i ten Rosenstein, choć to niby żyd oswojony, a jaki on nieznośny!. Moi panowie, judenheca jest walką rasy z rasą. Jeżeli żydzi zwyciężą, to my zginiemy; jeżeli oni w jaki bądź sposób przepadną, zwycięstwo przy nas zostanie. Nie mogłem tego wszystkiego wypowiedzieć przy Rosensteinie, bo cóż na to począć, skoro wszyscy od niego zależymy...

— Jaki on tam żyd! — odezwał się Gołąb. — Taki sam, jak i Polak!...

— Otóż to właśnie chciałem powiedzieć, że żyd biedny jest zawsze tylko żydem, a gdy się zbogaci, nie należy do żadnej narodowości; jest obojętny i poza pieniędzmi nic nie widzi — prawił Wilgotnicki. — Cóż więc dla nas za pociecha z takiego żywiołu?

— Dajcież pokój, dajcież pokój — zawołał Marudziński, widocznie niezadowolniony ze wszczętej rozmowy. — Przecież ludzie, którzy przez tyle lat pozostawali razem z nami na jednej ziemi, muszą być uważani za obywateli kraju...

— Właśnie, że żydzi moralnie nie posiadają prawa do obywatelstwa! — zawołał Wilgotnicki. — Oni zawsze kraj tylko wyzyskiwali, a nie solidaryzowali się nigdy, ani się nie solidaryzują z interesami plemienia, wśród którego żyją. Jakiż jest cement między nimi a nami? Gdzie jaka wspólność dążności?

— Czemu pan redaktor nie piszesz tego wszystkiego w swoim dzienniku? — pytał Gołąb. — My bo jesteśmy tu skrępowani tysiącznemi względami...

— Co, jabym to miał pisać? — oburknął się Wilgotnicki. — Ja, który biorę papier do swego pisma na kredyt z żydowskiej fabryki? Ja, który na kredyt od żyda wziąłem drukarnię i mam czterystu prenumeratorów żydów?.. O nie, nie! Jestem tylko prywatnym antysemitą...

— Więc widzicie, panie redaktorze, że żydzi coś u nas robią, skoro sami ciągle polegacie na stosunkach z żydami — mówił znowu Marudziński.

— A, robią, robią! Obdzierają nas ze skóry! — odparł z goryczą Wilgotnicki. — Tem gorzej, że w owej spółce my sami jesteśmy skrępowani względami finansowemi, towarzyskiemi, moralnemi i t. d.,

które to względy ich nic a nic nie obowiązują. Pan, panie Marudziński, jesteś tak samo zależny...

— Dać pokój! — rzekł Marudziński. — Rosenstein jest w gruncie uczciwym człowiekiem.

— Gdyby ta jego uczciwość była coś warta, zamieniłby ją już dawno na ruble.

— A więc cały antysemityzm skrupi się na pozytywistach! — zawołał Gołąb. — Idę zaraz do domu i piszę ognisty artykuł.

— Nie mogąc bić nikogo, nie mogąc z nikim wystąpić do walki, bijemy samych siebie — mówił Wilgotnicki. — Oh, ta prasa nasza, prasa!.. Wszystko robi się w niej wręcz przeciwnie przekonaniom i interesom.

I tak rozeszli się główni przedstawiciele literatury krajowej.

XI

BABUNIA i WNUCZEK

Pozostawiliśmy panią Łuską na Podgórzu pod Krakowem i tam ona dotąd zamieszkuje w małym parterowym domku. Na wielkim świecie szeroko toczą się dzieje spraw ludzkich, a cicha, spokojna jakaś dusza żyje w samotności, poświęca się szlachetnie, nareszcie znika i świat o niej zapomina; bo jej nie znał, nikt mu o niej nie opowiadał.

Łuska była to już dzisiaj staruszka pochylona, z oczyma zamglonemi, z twarzą, pokrytą zmarszczkami i tą wypłowiałą szarością, którą starość ubarwia nietylko ludzi, ale i rzeczy. Z pod czepka jej wysuwały się kosmyki siwych włosów, nogi się pod nią uginały, trzęsły się wychudłe ręce, a przytem ślepła, głuchła — słowem niedołężniała. Łuską przedwcześnie opadała zgrzybiałość.

Mieszkanie staruszki składało się z dwóch małych, bardzo skromnych, ale nadzwyczajnie czystych izdebek i z kuchenki. Zamiłowanie do kwiatów i teraz jeszcze dało się spostrzegać w mieszkanku wdowy z Przemyśla, jak ją pospolicie nazywano na Podgórzu. Do usługi miała Łuska babinę garbatą, zezowatą, kulawą i dobrze już podstarzałą, lecz bardzo uczciwą.

Wdowa z Przemyśla coraz mniej mogła chodzić, i to o lasce tylko, przeto wysiadywała nieraz całemi dniami na krześle, szepcąc pacierze. A po pokoiku, u stóp jej igrał mały, złotowłosy chłopczyk, z bardzo

inteligentnemi, dużemi, niebieskiemi oczami; nieustannie szczebiotał on, jużto sam ze sobą, z różnemi rzeczami w izdebce, już ze staruszką, którą nazywał babcią, już ze służącą Barbarą.

Wszyscy sąsiedzi nadzwyczajnie lubili owego malca i litowali się nad nim, mówiąc, iż go samotnica staruszka przy sobie zamęcza. O, bo ona była bardzo poważna; jakaś ostrość czy gorycz wypiętnowała jej się na licach i nawet do tego miłego dziecka nigdy się nie uśmiechała, jakkolwiek była dla niego wielce dobrą.

Od czasu do czasu z krzesełka babci dolatywały do uszu Henia słowa:

— Heniu, bądźże grzeczny!

Albo:

— Heniu, zdaje mi się, że ty hałasujesz!

A Henio częstokroć odpowiadał:

— Proszę babci, ja siedzę w kąciku i nic nie robię.

— Heniu, pójdź tu bliżej do mnie, powtórz mi, coś powiedział, bom nie dosłyszała i nie widzę cię.

Wtedy Henio przybiegał i mówił głośno:

— Proszę babci, ja siedzę w kąciku i nic nie robię...

Niekiedy w bardzo pogodne dni wychodziła Łuska na krótką przechadzkę w towarzystwie Barbary i Henia; jednakże przechadzka taka widocznie ją niezmiernie utrudzała; wolała ona przeto siedzieć w swojem krześle, mechanicznie prawie klepiąc rozmaite modlitwy, litanje, koronki i t. d.

W takich razach Henio brał sobie jaki kawałek drzewa, obracał go w rękach i prowadził z nim zupełną rozmowę:

— Słyszysz! — mówił. — Ty jesteś Henio, a ja twoja babcia!... Siedźże spokojnie, bądź grzeczny, nie hałasuj, bo ja się modlę, mówię paciorek.

I chłopczyk żegnał się, mówił pacierz, naśladując szeptanie babuni.

— Heniu, Heniu! — wołała Łuska. — Pójdź-no do mnie!

Dziecię przybywało z szeptaniem na ustach, a ona znowu pytała:

— Co ty mówisz?... Zdaje mi się, że mruczysz?

— Mówię paciorek, tak jak babcia...

— To dobrze, dobrze!... Mów paciorek, módl się, chłopcze, do Pana Boga, proś Go, aby ci błogosławił.

— On musi babci bardzo błogosławić, kiedy się babcia ciągle do niego modli?...

— Moje dziecko, Pan Bóg mi sił dodaje!... Tyś jeszcze mały i nie wiesz tego, że życie jest ciężkie.

— O, przepraszam, wiem, moja babciu! Nieraz mi się tak przykrzy, że sobie rady dać nie mogę...

— To się trzeba zająć, trzeba coś robić! Powinieneś iść do Barbary i pomóc jej... Mógłbyś naprzykład bułeczkę trzeć na tarce, kawy umleć...

Henio słuchał, a szafirowe jego żywe oczy patrzały gdzieś w głąb, zdradzały owo zamyślenie tak częste u inteligentnych dzieci.

— Proszę babci powiedzieć mi, czy mi Pan Bóg da to, o co Go będę prosił?

— Jeżeli tylko będziesz prosił o rzeczy dobre, to ci je Pan Bóg da niezawodnie.

— O, tak, tak! Ja go poproszę o bardzo dobre rzeczy—mówił chłopczyk.

I szedł Henio do swego kącika; zasiadał tu w sposób podobny jak babcia, i modlił się:

— Mój Boziu, jakeś dobry, zrób to dla mnie, daj mi konika takiego samego, jakiego ma Kazio z tej wysokiej kamienicy!... Daj mi także taki bacik, jaki ma ten mały Adaś państwa Kolskich!... Wiesz, Boziu, ten biczyk z gwizdkiem na jednym końcu!...

Poczem zerwał się Henio i biegł do babci z zapytaniem:

— Babciu, a kiedy mi Bozia do to wszystko, o co Go prosiłem?

Da ci wtedy, kiedy zechce... A o cóż prosiłeś?

— O konika i o biczyk!

— O takie rzeczy się Boga nie prosi, mój chłopcze,

— Babciu, to są bardzo dobre rzeczy...

Malec przestał się modlić, znowu powędrował do kącika i rozmawiał ze swoim kijem:

— Ty będziesz Adasiem, a ja — twoim ojcem, panem Kolskim!...

— Adasiu! — mówił, naśladując głos człowieka dojrzałego.—Jesteś już duży chłopczyk! Miejże rozum i pamiętaj, że nie trzeba biegać po trawnikach, nie trzeba kwiatków zrywać...

— Babciu, dlaczego ja nie mam tatki?

— Pan Bóg ci go nie dał—rzekła Łuska jakimś drżącym głosem.

— A dlaczego dał tatkę Adasiowi i Kaziowi?... Czy oni Go o to prosili?

— Nie wiem! — odparła pani Łuska, a twarz jej lekko spłonęła.

— Czy ja byłem kiedy taki malutki, tyli jak ten Wojtuś stróżki Łukaszowej, który ciągle w kołysce leży i rączkę w buzi trzyma?

— Byłeś, byłeś!—odpowiedziała pospiesznie babunia, jak gdyby chciała pozbyć się natręta i uniknąć dalszych pytań.

On jednakże wypytywał dalej:

— Kto mię wtedy kołysał, babciu?

Ja cię kołysałam...

— Czy babcia umie tak samo śpiewać, jak mama Wojtusiowa?

— Umiałam kiedyś... Teraz jestem już do śpiewania stara.

— A ja będę kiedy taki stary, jak babunia?

— Będziesz, będziesz! Rozumie się, że będziesz.

— Dlaczego moja mama ze mną nie mieszka, tak jak mamy innych dzieci?

— Mama nie może tu z nami mieszkać...

— Co mama robi w Warszawie?

— Pracuje...

— Czy ona się także tak modli, jak babcia?

— Musi się modlić.

— Babciu, a skąd ja się wziąłem?—pytał znowu malec.

— Pan Bóg cię stworzył.

— A kto Pana Boga o mnie prosił? Czy babcia?

Tu panią Łuską porwał jakiś ciężki, suchy kaszel, poczęła się krztusić, aż jej łzy w oczach stanęły.

— Babcia tak często płacze — mówił Henio. — Dlaczego babcia płacze? Czy babcię co boli?

Pani Łuska znów nic nie odpowiedziała dziecku; ale gdy Henio bardzo nalegał, rzekła:

— Bo mi smutno, mój Heniu!

Innego dnia znowu malec zabiegł do kuchenki i wdał się w rozmowę ze służącą Barbarą:

— Czy Barbara wie, o com ja dzisiaj prosił Pana Boga? — pytał chłopczyk.

— Skądżebym ja miała wiedzieć takie rzeczy?

— To niech Barbara zgadnie!

— Pewnie o zdrowie dla babuni?

— O nie, nie!—zawołał chłopczyk.—Ja prosiłem Bozi, żeby mi dał braciszka albo siostrzyczkę, bo mi się samemu bardzo przykrzy... Kiedy babunia jest chora, to nie może nigdzie wychodzić, a Barbara znowu nie ma czasu...

Barbara pobiegła do Łuskiej, rozpowiadając:

— Wie też pani, co to dziecko wygaduje? On się modlił, żeby mu Pan Bóg dał braciszka albo siostrzyczkę, bo powiada, że się nie ma z kim bawić.

Wdowa chciała coś powiedzieć, ale ją porwał gwałtowny kaszel i aż do łez wymęczył.

Henio przysłuchiwał się każdej rozmowie babci z Barbarą, przyglądał się tym dwóm kobietom, zżył się z niemi i ze sprzętami owego szczupłego mieszkania, był tutaj, rzec można, jedyną istotą, która blask swego życia roznosiła po wszystkich kątach.

I w taki sposób mniej więcej schodził każdy dzień wdowie z Przemyśla.

Kiedy się obudziła rano, opowiadała zwykle Barbarze swoje sny nocne, przypisując im zawsze jakieś prorocze znaczenie, a Barbara wywzajemniała się pani, siląc się nadto na przerozmaite komentarze.

— Szczególny sen miałam dzisiaj — mówiła jednego razu Łuska. — Śniło mi się, żem już umarła i że jakieś bardzo maleńkie nowonarodzone dzieciątko prowadziło mię do nieba; czułam wyraźnie, iż mię drobną swą rączką trzyma za rękę...

— O, to niedobrze, kiedy się śnią małe dzieci!— wołała Barbara, wstrząsając głową.—Ale znowu, jak się śni śmierć, to na życie, a kiedy się niebo komu przyśni, to znaczy nawiedzenie Boskiej Opatrzności.

— Moja babciu, czemu mnie się nigdy nic nie śni? Czy Bozia nie chce? — pytał malec.

— Niech będzie chwała Panu na wysokości, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli! — szeptała Łuska i niebawem rozpoczynała swe pacierze.

Od czasu do czasu przynoszono Łuskiej jakiś list z warszawską marką pocztową, wtedy staruszka wstawała z krzesła, szła drżącym krokiem pod okno, wkładała na nos okulary i sylabizowała słówko po słówku. Zbliżył się wówczas i Henio do niej, zapytując:

— Babcia ma list od mamy?... Niech mi babcia opowie, co mama pisze.

A kiedy mu staruszka odczytała ustęp, w którym była mowa o nim, kiedy posłyszał wymienione swoje imię, radował się niezmiernie, wołając:

— Moja mama jest dobra!... Niech mi babcia da pióro i papieru, napiszę zaraz list do mamy.

Potem Henio biegł do swego kącika i rozmawiał głośno sam ze sobą, udając, iż pisze list do matki w te słowa:

— Już mi się tak bardzo przykrzy bez dzieci i bez zabawek, że prosiłem Pana Boga o zabawki, a potem znowu o siostrzyczkę albo braciszka. Niech mama także poprosi, to Bozia może prędzej mamy posłucha... Babci się kiedyś śniło, że umarła i poszła do nieba, Barbara powiada, że to niedobrze... Henio prosi mamy przyjechać zaraz do niego...

Pewnego dnia sprowadziła się z Krakowa na Podgórze jakaś kobieta w średnim wieku, z maleńkiem dzieciątkiem u piersi i wynajęła mieszkanie w tym samym domku, gdzie zamieszkiwała Łuska. Kobieta owa, nazwiskiem Katarzyna Klatczyńska, niebawem zawarła znajomość z Barbarą, a i staruszkę też poczęła odwiedzać. Nowa sąsiadka wprowadziła znaczne pierwiastki rozmaitości w jednostajny sposób życia Łuskiej oraz małego Henia. Chłopczyk biegał do Klatczyńskiej, o ścianę tylko sąsiadującej, i bawił się z malutką Leonką, która leżąc w kołysce, rozgrzebywała pościel nóżkami, albo ssała pierś Katarzyny. Małe niemowlę formalnie przepadało za Heniem; jak tylko spostrzegło chłopczyka, nie spuszczało już z niego oczu, a kiedy odchodził, wyciągało za nim rączki i częstokroć płaczem wyrażało swe niezadowolenie z tego powodu. Henio też w krótkim czasie bardzo się przywiązał do Leonki. Gdy wstał rano, gdy się ubrał, zmówił pacierz i zjadł śniadanie, już najpierwszą jego myślą było iść powitać dziewczynkę; wtedy

rozmawiał on z nią tak, jak zwykł był rozmawiać sam ze sobą lub z kawałkiem drewna w kąciku; stawiał Leonce pytania i odpowiadał za nią. Bardzo ucieszne to bywały owe rozmowy, wyrażające marzenia i pragnienia dziecięcej duszy.

— Jak się masz, Lońciu!—mówił chłopczyk, zbliżając się do kołyski i biorąc drobniutką rączkę dziewczynki, aby ją ucałować.

A ta Lońcia, tłuściutka i bieluchna, topiła w nim swoje czarne oczęta i uśmiechała się częstokroć maleńkiemi usteczkami. Henio był wtedy zachwycony, biegł czemprędzej do pani Katarzyny i wołał głośno:

— Moja pani, patrz, patrz!... Lońcia się śmieje, moje prześliczne bobo!

Nieraz jednak nie wystarczało Heniowi takie podzielenie się uczuciami radości z Klatczyńską; więc biegł jeszcze z wieścią do babuni, a po drodze opowiadał też w kuchni Barbarze, że się Leonka uśmiechnęła.

— Babciu, czy Lońcia może być moją siostrzyczką? Czy mi ją Bozia dać może?

— Wszystkich ludzi uważać należy za braci i za siostry, Pan Bóg wszystkich kochać przykazał— mówiła z powagą Łuska.

Niekiedy atoli pomiędzy dziećmi powstawało inne zjawisko; mianowicie też Leonka, może zbyt mocno ściśnęta za rączkę przez Henia, krzywiła się; kąciki jej ust wznosiły się wtedy do góry, czoło pokrywały zmarszczki oraz rumieniec, mrużyła oczka, z pod powiek wypływały duże krople łez i w kołysce płacz się rozlegał. Trzeba było wówczas widzieć chłopczyka. aby pojąć, ile go kosztowało takie zajście, któremu kres stawiała zwykle Klatczyńska, podając Leonce pierś pełną pokarmu. Mała prędko przepominała o swej boleści, a raz się uspo-

koiwszy, niebawem odwracała główkę i znowu oczkami poszukiwała Henia.

Chłopczyk pokazywał jej rękami przeróżne figle, wyskakiwał przed nią wesoło, całował w usteczka, śmiał się serdecznie i rozbawiał Leonkę jak mógł najlepiej. Czóż to za radość była dla malca, kiedy dziewczynka, raz tak rozweselona, poczęła wyciągać do niego rączki, a potem gruchać jak gołąbek i nareszcie roześmiała się jakoś głośno.

— Moja złota ślicznota! Jak ona się śmieje, jak do mnie mówi! — wołał Henio uszczęśliwiony, biegnąc powszędy i opowiadając wszystkim to pamiętne zdarzenie.

XII
MINIA

W zimny grudniowy wieczór, po godzinie dziewiątej, na pośpieszny pociąg kolei Warszawsko-Wiedeńskiej zdążało mnóstwo ludzi. Przed dworcem kolei stawały liczne powozy, a z nich formalnie się sypali wszyscy ci, którzy mieli zamiar opuścić dzisiaj Warszawę na odchodzącym właśnie sznelcugu. I był ruch ogromny; posługacze z nadzwyczajną skwapliwością zrzucali walizy oraz pakunki, porywali je i unosili.

Oto z powozu wysiadła jakaś kobieta w bardzo dostatnim stroju zimowym, a tak szczelnie otulona i zakryta, że rysów jej wcale nie można było dojrzeć. Posługacze w mgnieniu oka pochwycili jej pakunki, ona zaś sama niebawem zniknęła z tłumu przed dworcem i udała się do sali, przepełnionej oczekującymi na pociąg. Gdy tam weszła, usiadła w najciemniejszym i najodludniejszym zakątku, starając się widocznie, ażeby nie była spostrzeżoną. Jeszcze ostatni dzwonek niezupełnie wygłosił swoje hasło, a już tajemnicza dama opuściła salę i powierzyła się panu konduktorowi, prosząc go usilnie, aby do odbycia podróży zechciał jej wyznaczyć miejsce, o ile się da, jak najbardziej odosobnione.

Teraz pojawili się już tylko spóźnieni pasażerowie, w największym pośpiechu dobijający się do wagonów, niby zbłąkane mrówki, które we właściwym czasie nie zdołały dotrzeć do mrowiska. Wśród

takich znalazł się właśnie jakiś mężczyzna, który nadaremnie w różnych wagonach szukał dla siebie miejsca, a musiał on się już teraz dobrze śpieszyć, gdyż był ostatnim z wsiadających na pociąg. Konduktor nie mógł sobie z nim dać rady, ponieważ pasażer ów poszukiwał miejsca również, o ile można, jak najbardziej odosobnionego.

— Ależ, panie, trzeba wsiadać, gdzie się uda, trudno już w tej chwili być wybrednym; czasu nie mamy!

— Może przynajmniej w przedziałach damskich jest mniej natłoku; jeżeli będzie o to chodziło, mogę wcale nie palić cygara.

Konduktor zafrasowany uderzył się w czoło, pomyślał krótką chwilkę i rzekł:

— Prawda, prawda!... W ostatnim wagonie jest jedna tylko dama; ale ona także prosiła mię, aby była sama... Co ja tu zrobię z państwem?

— Toż ja jej bynajmniej nie zakłócę spokoju, możesz pan tego być pewnym...

Konduktor był człowiekiem snać grzecznym, zrobił jeszcze ustępstwo; wszedł do wagonu i w bardzo uprzejmych słowach przedstawiał zawoalowanej damie, jako jednego jedynego pasażera nie podobna mu nigdzie umieścić.

— Po drodze — mówił — będzie nam ubywało osób, a wtedy znowu pani będzie mogła mieć zapewniony osobny przedział.

Skończyło się na zgodzie i nowy gość wszedł do przedziału, który dotychczas zajmowała jedna tylko kobieta.

Lampa tak słabe rzucała światło, że przy jej blasku para współtowarzyszów podróży zaledwie się wzajemnie widzieć mogła w jak najogólniejszych konturach.

Kobieta siedziała wsunięta zupełnie w kąt wa-

gonu, w którego drugim kącie jak najodleglejszym, zasiadł nowoprzybyły mężczyzna. Ten ostatni, gdy wszedł, zdjął kapelusz, ażeby wdziać czapkę, jakiej zwykle używają podróżni, kiedy mają zamiar spać w wagonie; tajemnicza kobieta drgnęła teraz i zerwała się, jakby pragnęła przyzwać konduktora i odwołać przyzwolenie, dane na współpodróżowanie z przybyłym; niebawem jednakże uspokoiła się i tylko głębiej jeszcze wsunęła w kąt głowę.

Późno już w nocy przybył pociąg do granicy, gdzie się trzeba było przesiadać do innych wagonów i ulec rewizji pasportów. Pasażerowie znowu zajęli swe miejsca i znowu do przedziału, zajętego przez odosobnioną damę, wszedł ten sam mężczyzna, który z nią przyjechał tu z Warszawy. Po przejrzeniu pasportów zwracano je podróżnym; wtedy do drzwi wagonu podszedł żandarm i wymienił nazwisko: „Emilja Łuska", a potem „Feliks Wawrzyński".

Mężczyzna ze zdziwieniem spojrzał teraz na kobietę, robił wrażenie człowieka, dotkniętego przez prąd elektryczny. Rozległ się dzwonek, a pociąg ruszył i przejechał granicę.

Pierwszy mężczyzna zabrał głos i przemówił z nieśmiałością:

— Dziwny zbieg okoliczności! Niech mi pani przebaczy, że sobie pozwolę tę podróż naszą przyrównać do maskarady... Nie rozumiem, jak się to stało, że ja mogłem pani dotychczas nie poznać.

— Owszem, porównanie to uważam za bardzo właściwe. Jeśli mię ucho nie zawiodło, maska pańska w pasporcie niejednego zapewne omyli.

Mężczyzna ugryzł się w wargę, milczał przez chwilę, a potem znów mówił:

— Chciałem tu przecież tylko zaznaczyć, że istotnie szczególny zbieg okoliczności skojarzył nas dzisiaj ze sobą.

Kobieta zrzuciła teraz z twarzy zasłonę, ukazała piękne, gniewem nieco zapłonione czarne oczy i z ironicznym uśmiechem na ustach rzekła:

— Szczerze wyznaję, że ten dzisiejszy zbieg okoliczności, jak go pan nazywasz, jest dla mnie równie nieprzyjemny, jak był niegdyś przykrym i ów, który nas ze sobą rozdzielił na zawsze.

Nastała znowu chwila milczenia.

— Pani jedzie do Krakowa? — pytał mężczyzna.

— Nie mam potrzeby ukrywać celu swej podróży, więc odpowiadam panu: tak. Ale zapytuję jednocześnie, dlaczego mi pan stawia to pytanie? Cóż pana może obchodzić, dokąd jadę?

— O pani, zwątpiłaś zupełnie już w uczucia, którym ja istotnie raz się przeniewierzyłem, a jednak los twój obchodzi mię więcej, niż kiedykolwiek bądź...

— Zdaje mi się, że się pan sztucznie zapalasz, przecież, pomimo to, i tego rodzaju zapał stanowi kwestję ciekawą dla aktorki. Mów pan, z jakiego to powodu mój los leży ci dziś na sercu!

— Będę mówił szczerze, a choćbyś pani zdeptała wszystkie moje uczucia, nie masz jednakże żadnego prawa powątpiewać o ich szczerości.

— Prawo na swobodę wszelkich wyznań jest przy panu; ale prawo wiary w ich szczerość zmuszona jestem sobie samej zachować.

— Prawda, prawda, że postępowaniem swojem nie zasłużyłem bynajmniej na ufność; ale przyznaj pani, że oddawna staram się usilnie odzyskać choćby część tego zaufania, które mi niegdyś dawało szczęście... Dziś pani gardzisz moją skruchą i nie chcesz pozwolić na poprawę winy.

— Panie Zenonie, nasze winy są to cudze krzywdy i ktoś skrzywdzony może nam winy przebaczyć, lecz to nie znaczy, że krzywdy zostały naprawione.

Winę przebaczyć można z miłości, jeśli się miłość ma w sercu; ale pokrzywdzony może mieć przecież w sobie inne uczucia, on może także pogardzać...

— Słowa, które z ust pani wychodzą, tchną okrucieństwem... Potępiasz mię bezwzględnie, bezwarunkowo, a ja wiem przecież najlepiej, że cię kocham, i jeśli się miłość płaci pogardą, nie ma się wtedy prawa mówić o nienaprawionej krzywdzie. Wielka pogarda tyle warta, co wielka krzywda, która pogardę wywołuje...

— Ha, ha, ha!.. Styl redakcji „Zwiastuna"... Wybornie, panie Zenonie! Nauczyłeś się w Warszawie retoryki, która w tem mieście jest płaszczem dla sumienia. Wy, literaci, wiecie, jakich się używa wyrazów na oznaczenie uczuć rodzinnych, obywatelskich, ludzkich i macie nadzieję, że wszyscy uwierzą w istnienie owych uczuć u was... Ale nie pozostawaj pan w błędzie i nie mniemaj, że ja cię uważam za kogo innego, ponieważ w pasporcie zmieniłeś swoje nazwisko. Toż ta okoliczność właśnie mówi jak najwyraźniej, iż dopóki żyjesz, jesteś Zenon Wróbelkiewicz!

Wróbelkiewicz, bo on to był w rzeczy samej, wykonał ruch niespokojny, jak gdyby się przestraszył, słysząc wymówione głośno własne nazwisko; a Minia tak mówiła dalej:

— Należysz pan do rzędu tych ludzi, którzy tylko w sobie samych szukają usprawiedliwienia dla własnych czynów i zawsze usprawiedliwienie takie znajdują... Bardzo lekko sądząc i ostrożnie się wyrażając, ja nazywam człowieka tego rodzaju egoistą. Widziałam pana pod różnemi kryptonimami, a jednak nie wzięłam cię nigdy za kogo innego... Doprawdy, serdecznie śmiać mi się chce, kiedy pan mówisz o miłości.

— Pani, drwić można ze wszystkiego i podobno

wszystko już na świecie ludzie obracali w śmieszność!... Jeżeli jednak człowiek posiada w sobie złe pierwiastki, to przecie posiada i dobre, a jeśli za złe cierpi, to tylko dlatego, że dobre posiada... Bronić się przed panią nie mogę, bo jedyny oręż, jaki jeszcze posiadam, jest miłość dla ciebie. Kiedy zaś bóstwo czcią i hołdem gardzi, to cóż czcicielowi pozostaje? Ty jednem skinieniem mogłabyś zmienić życie moje, uszlachetnić mię swoją ufnością!

— Mój panie, dary za dary! Gdy mowa jest o jakiejś zamianie, obie strony powinny być zadowolnione. Wszakże już w Warszawie czyniłeś mi pan propozycje, które ja odrzuciłam, jako niebezpieczne dary greckie. Wyznaję, że gdyby one były dla mnie przyjemne, przyjęłabym je, pomimo ich niebezpieczeństwa... Zresztą, powiem otwarcie: pochlebia mi to, iż gardząc panem, zyskuję czciciela; wszakże, kiedy ja cię wielbiłam i czciłam, tyś mną pogardził; rachunek więc pomiędzy nami jedynie na tej drodze został wyrównany. Ja tak rzeczy pojmuję: miłość za miłość płaci, pogarda za pogardę. Zresztą, wspomnienia moje tak się wycierają, jak pieniądz, który przez długi czas z rąk do rąk przechodzi; zczasem nic tam odczytać nie będzie można, coby świadczyło o wartości naszego stosunku, więc mogłabym nawet dojść do obojętności dla pana... Tak daleko sięgnąć może mój obowiązek przebaczenia. I na tem koniec.

— A przecież jest jeszcze coś, jest fakt, który nie w świecie idealnym, lecz w rzeczywistym ma miejsce; jest niezatarte świadectwo naszego dawnego stosunku; jest istota, względem której my oboje...

— Mówisz pan o Heniu? — przerwała Minia. — Zdajesz się być bardzo troskliwym, ażeby ten malec kiedyś w przyszłości miał zadowolenie szczycić się metryką swego pochodzenia... Eh, nie! Wierz

pan, że gdyby mu tylko to jedno jedyne szczęście sądzono było na świecie, to jeszczebym się wahała, ażeby mu je przygotować.

— Zapominasz pani, że ja również mam swoje prawa, że mogę pragnąć szczęścia dziecka, że to może sobie nawet zaznaczam jako cel życia...

— Doprawdy? Co ja słyszę?... Dalibóg muszę podziwiać ten nagły wybuch rodzinnych uczuć w sercu pańskiem! Gdybym wyznanie takie przeczytała w jakimś romansie, powiedziałabym sobie: jest to przypuszczenie autora, usiłującego okazać, że niektóre uczucia wyższe, bądź co bądź, są wspólne wszystkim ludziom. Ale, panie Zenonie, ja przecież mam do czynienia z rzeczywistością! Ja to wyznanie słyszę z ust pana, którego znam tak dobrze, i przeto nie mogę robić żadnych przypuszczeń, bezwarunkowo żadnych podobnych...

— Pani sama w nic nie wierzysz, stąd pochodzi twoja skwapliwość, aby zawsze i wszędzie potępiać człowieka, który niekiedy tylko i pod pewnemi względami na potępienie zasługuje... Zwątpiłaś w ludzi, ponieważ ich nie znasz, a takie zwątpienie prowadzi nas do niewiary w siebie samych.

— Nie rozumiem wywodów, które nie polegają na osobistem doświadczeniu; nie pojmuję mistrza, wygłaszającego zasady przeciwne swoim czynom. Toż drogę, po której kroczę, pan mi wskazałeś— mówiła Minia, pilnie przyglądając się Wróbelkiewiczowi.

— Siła jednego bolesnego wspomnienia pozostała dla pani jedynym bodźcem sądów i uczuć; jeżeli chcesz coś oceniać podług sprawiedliwej miary, to wspomnienie takie nie jest dostateczne... Zapomnij pani o tem, a będziesz inną; gdy się zaś inną staniesz, to ja może także ci się wtedy przedstawię jako inny człowiek.

— Mój panie, gdyby wsród ludzi była sprawiedliwość taka, o jakiej pan tu mówisz, to przecież nie istniałaby miłość ani nienawiść — dwa wielkie uczucia, bez których życie człowieka nie posiadałoby żadnej wartości, nie miałoby najmniejszego uroku... Nie obrażaj się pan, że ja, nie obwijając nic w bawełnę, odpowiem panu z własnego punktu widzenia. Otóż wyobrażam sobie, że gdybym kiedykolwiek w życiu wzięła pióro do ręki, musiałabym koniecznie napisać historję twego życia, panie Zenonie; to życie dla mnie jest tak czytelne, tak dobrze znam jego szczegóły, że niezawodnie odtworzyłabym rzeczywistość w świetle moich własnych uczuć, które przecież są takim dobrym faktem, jak i twoje czyny. Ale wiesz pan, co ja myślę?... Byłaby to historja nas obojga, a ludzkość, czytając ją, spaliłaby się ze wstydu, gdyż odkryłaby w gatunku swoim wszystkie ujemne strony. Przeklętoby autorkę powieści i jej bohatera... Dlaczego? Ponieważ wszystko byłoby rzeczywistością, prawdą.

— Więc pani sądzisz, że...

— Rzeczywistość, prawda szczera obudza nienawiść w ludziach, podczas, gdy miłość rozwija się pod wpływem omamienia, złudzeń. Ażeby poznać ludzi, potrzeba patrzeć na nich przez teleskop i mikroskop nienawiści. Widz obojętny nie zdoła nic spostrzec w duszach swych bliźnich.

Minia przemawiała tak jakoś dobitnie i szczerze, w oczach jej świeciło tyle wiary w to wszystko, co mówiła, że Wróbelkiewicz pozostawał najzupełniej pod jej wpływem; spuścił głowę, zdało mu się, iż w duszę własną patrzy, spowiada się i uczuwa drgające niejako sumienie. Wielkie, czarne oczy Mini zdradzały tłumioną wewnętrzną walkę, olśniewały i urzekały pana Zenona; on spojrzał w nie, uczuł w swej duszy jakiś żal, który wywołały te

przeszywające spojrzenia; przygniatało go jakieś straszne brzemię i zdawało mu się, że ta kobieta jedna na świecie posiada olbrzymie siły, ażeby z niego zrzucić ów ciężar. On był do niej jakby przykuty całem swojem jestestwem, a ona odpychała go od siebie.

— Nie przypuszczasz pani — rzekł — ażeby we mnie tlała jeszcze choć jedna z tych iskier, które się w ciągu długich a długich wieków rozniecały w duszy ludzkiej... Ciężko jest dla mnie usłyszeć ten wyrok, ponieważ poddać mu się muszę. Pani jedna przecież masz zupełne prawa sądzić mię surowo. Uczucia, któreś dzisiaj przede mną wyjawiła, nauczyły mię, że od miłości do nienawiści droga jest utarta; ale uczucie, które we mnie samym dziś dojrzało, otwiera mi inną drogę życia... Czy zdołam pójść po niej? Może już za późno! Wszakże zdeptałem wszystko, cokolwiek szanują ludzie.

— Podług mnie, tylko żyć można cnotliwie; ale cnotliwie marzyć jest dzieciństwem—mówiła Minia głosem oschłym.—Panu się zdaje, że mię kochasz, ponieważ cię nienawidzę; wyobrażasz sobie, że cię wznoszę na jakieś wyżyny szlachetności, ponieważ cię poniżam... Ale, mój panie, to są tylko sposoby twej własnej duszy, ażeby się jak bądź ocalić. Występny człowiek, który opowiedział swoje niecne czyny i wysłuchał wyrzutów, nic a nic nie wymazał ze swego życia; on jednak łudzi się, że może na nowo rozpocząć życie. W tej chwili dusza twoja, panie Zenonie, zapisana jest dla ciebie hieroglifami, których ty odczytać nie zdołasz! Dopiero przy sposobności uwydatni się znaczenie tych hieroglifów.

— W tej chwili ja jedno wiem z pewnością! — zawołał Wróbelkiewicz. — Wiem, że cię kocham.

I mówiąc to, usiłował pochwycić rękę Mini; ale

ona rękę usunęła. Był zgnębiony, porwał się i padł przed nią na kolana, modlił się do niej:

— Jedyna i najdroższa moja na świecie! Miej dla mnie chociaż cokolwiek współczucia! Upadłem, stałem się nikczemnym, zdradziłem cię, zawiodłem, a jednocześnie jestem bardzo nieszczęśliwy!..

Minia spojrzała nań wzrokiem zdumionym, w którym zrazu przebiło się jakby zadowolenie; niebawem jednakże wzrok ten nabrał surowego wyrazu i rzekła ze stanowczością:

— W tej postawie nie możesz pan pozostawać przede mną! Nie jestem kobietą, polującą na zdobycz chwilowych ubóstwień; pogardzam hołdem, który jest śmiesznym jakimś nałogiem, pojawiającym się zawsze w chwili zapomnienia, bezmyślności i którego celem jest wywołać bezmyślność u kobiety... Wstań pan!

Wróbelkiewicz powstał, był blady, wzruszony; usiadł.

— O gdybyś mi pani dała przynajmniej odległą nadzieję, że kiedyś zasłużę sobie na twe względy, że odzyskam to, co lekkomyślnie z własnej winy utraciłem...

— Nigdy nie spodziewałam się odkryć w panu tyle romantyzmu, a przecież, chociaż to dzisiaj odkryłam, bynajmniej się nie dziwię, jak pan widzisz... Tylko zawód aktorki daje mi pod tym względem przewagę nad innemi kobietami.

— Pani, miłość przecież musi mieć swój własny wyraz, swoje uśmiechy i swoje łzy...

— Tak, być może! Ja jednak, gdybym je pragnęła, to bez takiego obowiązującego kodeksu, dobrego dla gołębi i indyk.

Podróżnych już tylko połowa stacji oddzielała od Krakowa.

— Panie Zenonie — odezwała się Minia — mam

do pana prośbę, którą powinienbyś spełnić, jako człowiek rządzący się zasadami sprawiedliwości... O ile wiem, nie powinieneś w Krakowie długo pozostawać.

Ostatnie wyrazy wymówiła z akcentem.

— Ale nie o długość tego pobytu mi chodzi; ja sobie życzę, abyś mię wcale nie odwiedzał i nie dowiadywał o miejscu mego pobytu...

— Nie pojmuję, dlaczego to pani łączysz z pojęciem moich zasad sprawiedliwości?

— Pytanie pańskie mię zadziwia, bo przecież to jest jedyna prośba, jaką do ciebie zaniosłam, odkąd się znamy... No, a pańskich próśb wysłuchałam przecież tak wiele w życiu i zwykle się do nich zastosowywałam. Nie jestże więc sprawiedliwem, abyś ty raz jeden uczynił coś dla mnie?...

— Ponieważ pani rozkazujesz, więc wolę twą spełnię... Pragnąłbym jednakże wiedzieć, czy będziesz zamieszkiwała u matki i z Heniem?

— To sprawa na czysto moja własna, uczynię, jak sama zechcę.

— Ach, bo ja życzyłbym sobie zobaczyć dziecko — rzekł Wróbelkiewicz nieśmiało.

— Takie życzenie jest wysoce komiczne; ani on pana nie zna, ani pan jego... Skądże tkliwość? Nie może tu być tęsknoty, więc pragnienie jest jakiemś urojeniem, kaprysem...

Wróbelkiewicz ściął usta i milczał teraz; nagle uderzyła go myśl jakaś, a twarz pokrył mu bardzo złośliwy uśmiech. Nastąpiła widocznie reakcja; on, dotychczas pokorny, uległy, wzniósł teraz do góry głowę, jakby zamierzał szydzić z całego świata i rzekł z naciskiem:

— Pojmuję, pani masz także swoją tajemnicę...

— Przynajmniej odzyskałeś pan nareszcie właściwy sobie charakter i to już wolę—rzekła Minia.

— Poco było udawać mizdrzącego się dudka, kiedy się jest krukiem? Zmuszasz mię pan, abym wyrazy powtarzała jak papuga, więc ci powiadam: ja, panie Zenonie, nie dotykam twej ostatniej tajemnicy, choć ją znam dokładnie; ale nie naruszaj ty mojej!..

Pociąg stanął nareszcie w Krakowie.

Minia wynajęła fiakra i kazała się wieźć na Piaski; zajechała przed mały, bielutki domek, otoczony prawie wkoło ogrodem. Gdy tutaj weszła, przyjęła ją uprzejmie kobieta, mogąca liczyć nieco więcej nad trzydzieści lat wieku o miłych rysach twarzy; ta widocznie oczekiwała dzisiaj na przybycie Mini.

— Jakże się ma kochana pani Klatczyńska?— mówiła aktorka, witając się z gospodynią.

— Dobrze się mam, dobrze, proszę pani. Odebrałam wczoraj telegram, więc dzisiaj oczekiwałam pani napewno; przygotowałam wszystko, jak się należy... Tamte oto dwa pokoiki z oknami od ogrodu można zaraz zająć. U mnie tu cicho, spokojnie, jak na pustelni.

— To najgłówniejsze; ciszy i spokoju bardzo pragnę.

Podczas gdy do izby wnoszono rozmaite walizy i pakunki z fiakra, naraz dał się słyszeć głos dziecka, kwilącego w kolebce, które się widocznie rozbudziło wskutek sprawionego zgiełku. Minia drgnęła i zdziwionym wzrokiem spojrzała na swą gospodynię.

— Niech się pani nie obawia, będzie wszystko dobrze! To moje małe, które teraz skrzeczy, oddam do jednej znajomej kobiety na Krowodny; dzisiaj nie mogłam tego jeszcze zrobić... Ale on w nocy śpi spokojnie, nie robi nigdy wrzasku, więc pani nie będzie przeszkadzał.

Kletczyńska pochwyciła malca, przytuliła go do siebie, wsunęła mu pierś w usta i uspokajała:

— Cicho, Wicuś, cicho!...

Jakoż chłopak niebawem się uspokoił.

Minia rozlokowała się też natychmiast w swoich pokoikach.

Tymczasem rzucimy zasłonę na pobyt warszawskiej aktorki w domu pani Katarzyny Klatczyńskiej na Piaskach, a przeniesiemy czytelnika na Podgórze do domu wdowy z Przemyśla.

Prawie dwa miesiące już ubiegły od czasu przybycia Mini do Krakowa i zamieszkania jej na Piaskach, kiedy znowu Klatczyńska przybyła na Podgórze i zamieszkała tutaj z maleńką Leonką w sąsiedztwie pani Łuskiej. Widzieliśmy, już że te sąsiedzkie stosunki zpoczątku były dla wszystkich bardzo przyjemne; później rozwinęły się one lepiej jeszcze w tym samym kierunku. Bo też Katarzyna Klatczyńska była to dobra kobieta, na ranę ją przyłożyć. Opowiadała ona Barbarze i każdemu, kto jej chciał posłuchać, że posiada własny domek na Piaskach, lecz go odnajęła za dobre pieniądze, a sama woli za tańsze gdzie indziej mieszkać. Rozpowiadała także, iż przed miesiącem umarł jej na dyfteryt mały synek, Wicuś, i ilekroć o tem mówiła, zawsze się niezmiernie spłakała. Zarówno Barbara, jak Łuska pocieszały ją, przedstawiając, że się nie powinna trapić, ponieważ ma drugie jeszcze dziecko, małą Leonkę; ale Klatczyńska wzdychała i pocieszenie owo nie bardzo brała do serca; raz nawet rzekła:

— Oj, żeby nie ta mała, mój Wicuś żyłby dotąd!...

A jednak do maleńkiej Leonki kobieta ta była nadzwyczajnie przywiązaną.

Trudno napewno powiedzieć, czy Klatczyńska była wdową, rozwódką, czy może nawet wcale nie miała męża. Jakaś niejasność nastręcza się tutaj

pod tym względem. Tylko jeden jedyny raz rozgadała się przed Barbarą i wspominała jakiegoś wojaka armji cesarsko-królewskiej, który się zdawał bardzo ją blisko obchodzić.

W krótkim czasie stosunek pomiędzy domem Łuskiej i pani Katarzyny Klatczyńskiej nabrał charakteru dużej zażyłości. Klatczyńska wraz z małą Leonką całemi dniami przesiadywała u wdowy z Przemyśla, a obustronne opowiadania snuły się bez końca.

Łuska bo codziennie zdawała się podupadać na zdrowiu; podczas surowej tegorocznej zimy przedewszystkiem wzmógł się nadzwyczajnie jej kaszel, a przytem coraz więcej głuchła ona i ślepła.

Zdarzyło się, iż jednego dnia staruszka wstała rano jakaś niespokojna i pomieszana; nie szło jej nawet zwykłe odmawianie pacierzy. Dopiero około południa rozgadała się i opowiedziała Klatczyńskiej, iż miała sen okropny, którego w żaden sposób zapomnieć nie może. Dla owego wąskiego zakresu życia wdowy z Przemyśla sny miały także swoje znaczenie. Z pewną tajemniczą trwogą, żegnając się nieustannie, opowiedziała Łuska sąsiadce, jako się jej śniło, że czart w całej swej piekielnej szpetności wszedł do domu z zamiarem porwania Henia.

— Ah, szamotałam się strasznie! — mówiła. — Zasłaniałam dziecko przed jego napaścią i nagle się zbudziłam... Potem nie mogłam już zasnąć, tak mi wyraźnie ten obraz stał ciągle przed oczyma. Niedobry sen, moja pani Katarzyno, niedobry!... A mnie się zawsze wyśnią sny, które miewam nad ranem, więc się bardzo boję czegoś.

Klatczyńska, jakkolwiek sama nie miała żadnego złego snu, jednakże pozostawała pod wpływem przerażenia Łuskiej i napoczekaniu odmówiła też jakąś skuteczną modlitwę.

Po obiedzie Łuska najprzód odbyła małą

drzemkę na swojem krześle; gdy się ocknęła, przyzwała do siebie Henia i rzekła:

— Idź do pani Katarzyny, proś jej, żeby tu przyszła do nas z Leonką.

— Dobrze! dobrze! — zawołał malec.—Babci się przykrzy tak, jak i mnie.

I chłopczyk spiesznie pobiegł, albowiem rad był zawsze wykonywać takie polecenia; żywo wpadł do Klatczyńskiej, oznajmił jej życzenie babuni, a przytem nie omieszkał wycałować Leońci. Ale wnet znowu powracał, bo sobie przypomniał, że nie dokończył zaprzągania do stołka dwóch starych trzewików, będących w jego przekonaniu końmi. W sieni spotkał jakiegoś zupełnie nieznanego sobie pana, który rozpoczął bardzo uprzejmą rozmowę:

— Powiedz mi, mój chłopczyku, po której tu stronie mieszka pani Łuska?

— Moja babunia tu oto mieszka — odrzekł Henio, ukazując na drzwi ręką.

Nieznajomy bardzo uważnie przyglądał się chłopczykowi, głaskał go po włoskach, wypytywał o imię, czy mu się nie przykrzy i czy ma dużo zabawek. Na wszystko to Henio odpowiadał bardzo śmiało; poczem nieznajomy wręczył dziecku sporą paczkę z przerozmaitemi cackami. Malec uważał teraz znowu za rzecz najwłaściwszą wpaść do Leonki i skarby te jej pokazać.

Pocichu i z nieśmiałością wszedł nieznajomy człowiek do p. Łuskiej, która, samotnie siedząc w kreśle, szeptała pacierz.

Stanąwszy we drzwiach, zapytał jakimś lękliwym głosem, czy go staruszka przyjmie; ale ona go nie widziała i nie słyszała. Podszedł bliżej i powtórzył pytanie.

— Kto tu jest?—zapytała Łuska jakimś ostrym, przerażonym głosem. — Kto tu jest?

Wtedy nieznajomy podszedł blisko i tak począł mówić:

— Szlachetna kobieto, przychodzę upaść do nóg twoich i błagać cię o przebaczenie za ciężką krzywdę, którą ci niegdyś wyrządziłem...

Staruszka zdawała się jednakże i teraz nic nie widzieć i nic nie słyszeć, jej zamglone oczy poruszały się z niespokojnością, a twarz wyrażała jakąś nieokreśloną trwogę.

— Kto tu jest?... Kto tu jest? — wołała głosem stłumionym, który bojaźń zdawała się więzić w jej piersiach.

Nieznajomy człowiek widocznie mocno się zaniepokoił tem przyjęciem i z pochyloną głową podszedł do samego krzesła, z którego zabrzmiało znowu pytanie:

— Kto tu jest?

— Jestem Zenon Wróbelkiewicz!... Przychodzę odwiedzić panią i mojego syna...

Łuska nie dosłyszała wszystkich tych wyrazów w całości; ale wyrazy owe częściowo musiały jej wpaść w ucho, a resztę ich już dorobiła wyobraźnia, wykończyły zbudzone nagle wspomnienia...

Staruszka porwała się naraz z krzesła, stanęła wyprostowana i sztywna, jak gdyby w ziemię wrosła; oczy rozwarła szeroko, usta jej zadrgały, jakby chciała coś mówić; lecz z głębi piersi najprzód wybiegł tylko jakiś pisk, potem rozległo się krztuszenie podobne do szczekania psa... Łuska zachwiała się i całem ciałem upadła na ziemię.

Kiedy Henio, opakowany zabawkami, powrócił do babuni, prowadząc ze sobą panią Katarzynę i Leonkę, zastali tutaj tylko martwą już zupełnie Łuską.

Na trzeci dzień około południa widziano zwolna postępujący karawan, zaprzężony w jednego konia, a za karawanem, chromając i zalewając się

łzami kroczyła Barbara; obok niej szedł Henio, bledziutki i smutny. Za tą parą znalazła się pani Klatczyńska, niosąca na ręku Leonkę, troskliwie otuloną w chustki. Pierwsze promienie wiosennego słońca lały się suto z nieba na ziemię. Orszak zdążał w kierunku cmentarza.

Smutno było w domku na Podgórzu nazajutrz po pogrzebie. Henio, zwykle tak ruchliwy i ożywiający ten spokojny zakątek, nie bawił się teraz ani sam ze sobą, ani z Leonką; chłopczyk był jakiś zamyślony i ciągle siedział przy oknie. Barbara krzątała się po mieszkaniu gorliwie, zajęta robieniem porządku, a ilekroć spojrzała w kierunku krzesła, na którem zwykle życie swoje pędziła nieboszczka Łuska, zalewała się łzami i wybuchała rozpaczliwem łkaniem. Klatczyńska także sposępniała nadzwyczajnie, wzdychała od czasu do czasu, mówiąc do Barbary:

— Nieboga! Pamięta Barbara, jak ona się tego snu wystraszyła?

A Barbara potrząsała głową, wyzbierała starannie wszystkie rozrzucone po całej izbie zabawki, które Henio otrzymał od nieznanego sobie człowieka i poniosła je do kuchni, aby spalić w ogniu.

— Niedobra sprawa! — mruczała, żegnając się przytem pobożnie.

Jedna tylko Leonka uśmiechała się, rzucała oczkami, poszukując Henia i rączki ku niemu wyciągała.

Prawie w samo południe przed skromnym domkiem stanął powóz, a z niego wysiadła piękna kobieta, ubrana w strój żałobny, wykonany podług przepisów ostatniej mody.

Była to Minia, czyli Emilja Łuska.

XIII

PO POWROCIE Z KRAKOWA

Nareszcie Minia wróciła do Warszawy; była ona teraz jakoś zmieniona, przybladła, jednakże we wdziękach swoich nie straciła bynajmniej owego powabu, który jej zjednywał bardzo licznych czcicieli i wielbicieli. A iluż to ludzi kochało ją otwarcie i ile serc wzdychało do niej skrycie.

Nikogo nie odstręczała ona stanowczo, przyjmowała wszelkie hołdy uwielbień, wysłuchiwała mnogich miłosnych wyznań; jednym ze swych zwolenników wyrażała podziękowanie spojrzeniami, innych obdarzała uściskiem ręki, a zawsze każdemu — stosownie do swego uznania — pozostawiała otworem pole do czynienia dalszych zabiegów, ukazując mu jakąś bliższą lub odleglejszą nadzieję. W Warszawie panował formalny kult Mini. Któż się bo nie kochał w tej zachwycającej aktorce, mającej na zawołanie i do swego rozporządzenia możność odtwarzania charakterów różnych najsympatyczniejszych niewiast z dziejów ludzkości? Kiedy zechciała, brała na siebie rolę dumnej rozkosznicy, która z wysokości tronu miłością świat obdarza; innym razem roztaczała znowu wszystkie wdzięki niewinnej, naiwnej dziewicy, która nigdy jeszcze nie sięgnęła ręką po owoc, dojrzewający na drzewie wiadomości złego i dobrego; ale jeżeli jej było potrzeba, stawała się znowu wielką damą, głęboko przeświadczoną o swej godności rodo-

wej i społecznej. Marja Stuart, czy Nauzikaa, Aspazja, pani Roland, Ofelja — wszystko jej było jedno, bo ona wszystkie te charaktery miała w sobie i wszystkie te role umiała dobrze odgrywać na wielkiej scenie życia. Minia była wybornym materjałem na wszechświatową znakomitość teatralną, a jeśli nią nie została, to tylko dzięki specjalnym warunkom; talent potrzebuje do rozwoju, jak roślina, dużo ziemi i dużo nieba. Ta kobieta, szeroko biorąca życie, kurczyła się nieraz i uginała pod naciskiem potrzeb, niejednokrotnie brak pieniędzy czuć jej się dawał dotkliwie. A nie była stworzona na buduarową kochankę, którąby się paniczowi lub bankierowi sprzedała na wyłączną własność i tym kosztem opędzała swoje potrzeby, zadawalniała różne zachcianki. Wprawdzie ona nie lekceważyła ani modnego panicza, ani bogatego bankiera, ale to tylko dlatego, że potrzebowała wszystkich tych, którzy dla ludzkiego świata mieli jakąś dobrą firmę. Uczony, literat, artysta, był przez nią dobrze widziany, jak wykwintny salonowiec lub wystawny bogacz.

Bardzo piękną ona nie była, ale zawsze umiała być piękną w pewnym jakimś rodzaju, umiała pochwycić i wyrazić te właśnie cechy, które głównie ów rodzaj charakteryzują. Nie mamy tu bynajmniej zamiaru obmawiania Mini, że była zupełnie świadomie obłudną. Nie!... Ona w naturze swojej miała już temperament. Niech ją za to potępia, kto chce, my tylko zdejmujemy jej psychiczny portret. W gruncie rzeczy była ona skrytą, a jednak na otoczeniu robiła nieraz wrażenie kobiety najszczerszej pod słońcem. Jeżeli się dobrało towarzystwo mężczyzn dowcipnych, wolnomyślnych i wolnomównych, Minia wtedy nie krępowała się bynajmniej, lecz była na całej wysokości swoich towa-

rzyszy. Luźne więzy etykiety rozrywała z wielką łatwością, a niekiedy znowu podnosiła je do godności praw bardzo surowo obowiązujących. Lekkomyślność i powaga, skrytość i szczerość zmieniały się tu nieustannie w różnych proporcjach, co też może stanowiło jej klucz tajemnicy oddziaływania na ludzi.

Będąc bóstwem chwili, Minia potrzebowała wspaniałego ołtarza i całej okazałości w ceremonjach nabożeństwa. Jakżeby się ona mogła obejść bez pięknych strojów i tego, złożonego z mnóstwa drobiazgów komfortu życia, który jest niezbędnym warunkiem bytu każdej światowej kobiety? Ażeby podnieść swą osobliwość, swą nadzwyczajność, rzadkość, człowiek musi posiadać rzeczy osobliwe, nadzwyczajne, rzadkie; ale przedmioty tego rodzaju są bardzo kosztowne. Z tego też powodu aktorka nasza miała bardzo dużo uciążliwych długów. Są całe stany ludzi, zmuszonych żyć ciągle w piekle, przygotowanem na ziemi przez innych ludzi, nazywających się wierzycielami. Wybawienie zaś z onego piekła może im przynieść jeden tylko przypadek, i on je czasami rzeczywiście przynosi. Nie wdając się w wywody o znaczeniu trafu w uszczęśliwianiu rodzaju ludzkiego, sprowadzamy przypadek, jako uśmiech losu, do tych kategoryj: małżeństwo, spadek, dar, loterja. Kto ma szeroko uorganizowane stosunki, ten też ma piękne widoki zdobycia sobie sympatji losu. Przyjaciele Mini żenili się, dostawali spadki, wygrywali na loterji i otrzymywali dary; więc część uśmiechów losu i jej przypadała w udziale. Lecz bóstwo, mające świat pod stopami, którego stosunki z ludźmi są jak najszczersze, potrzebuje trafem rządzić tak, jak rządzi ludźmi.

Minia nie mogła zadawalniać się tem, że wśród swoich wielbicieli znajdowała gotowych rujnować

się na nią; bo przedewszystkiem w owem rujnowaniu się mężczyzn dla kobiet, czy na kobiety, jest ogromnie dużo hipotezy; ale gdyby się ktoś nawet i rujnował, to przecież pod takim czy owakim względem rujnuje się współcześnie i kobieta, a ruina może mieć tylko nadzieję stanowczego upadku. Aktorka o tem wiedziała, przeto chętnie zgodziłaby się na takie tylko zrujnowanie kogoś, któreby ją przynajmniej ocaliło, a uczyniło cennym pomnikiem, godnym ochrony oraz szacunku. Ona była dziś w tem położeniu, że mogła rękę swoją oddać komuś godnemu tego, mogła sprzedać swą wziętość, powodzenie, sławę, wdzięki; ale nigdy za cenę niższą, niż to wszystko było warte. Potrzebowała więc nazwiska ze współczesnem stanowiskiem, a nadto takiej kasy, z któreiby można było czerpać, czerpać i długo czerpać. Tylko jeden Niunio Potycki, jeden jedyny, miał pod tym względem zupełnie odpowiednie kwalifikacje; był to bowiem człowiek bardzo bogaty, potomek znakomitej rodziny, a przytem wychowany przez kobiety i przeto podatny, jako narzędzie, w rękach zdolnej, energicznej małżonki.

Sława aktorki, to przecież mara, która nie ma w sobie nic rzeczywistego; kiedy raz pęknie, zostają po niej tem przykrzejsze wspomnienia, im świetniejsze było powodzenie. A sława pięknej kobiety jest jeszcze zawodniejsza.

Rzeczywiście dobrej roli nikt właściwie nie odegra na świecie bez rzeczywistego stanowiska społecznego i bez rzeczywistych środków. Dobra aktorka musiała o tem koniecznie wiedzieć.

Bajeski wystarczał jej, kiedy po raz pierwszy potrzebowała wystąpić na arenę; później też okazywał on się niezbędnym, ile razy chodziło Mini, aby jej oddawał przerozmaite mniejsze i większe

usługi. Ale taki człowiek bez fortuny, z dobrze podszarzaną reputacją, nie mógł przecież stanowić dla niej żadnego gruntowniejszego oparcia. Ona mogła być dla niego nieraz kotwicą, lecz on nie zdołałby jej wynieść wyżej. Zresztą Minia względem tego złotego młodzieńca wcale nie była niewdzięczną; niejeden daleko większe położył zasługi, a w części nawet nie otrzymał za nie nagrody tak sutej, jak Tomcio. To też i on sam wybornie rozumiał położenie rzeczy. Ta para ludzi zeszła się ze sobą i rozchodziła w najspokojniejszy sposób; on nie wymagał od kochanki stałości czy wierności, gdyż to byłoby dla niego wielkiem brzemieniem. Znał dokładnie całą historję życia Mini, widział, że ta kobieta szybko jedzie naprzód, że on jako towarzysz nigdy jej nie sprosta; pojmował, iż tak mu jest dobrze, ponieważ się blisko Mini znajduje; we własnem swojem przekonaniu wobec niej znikał.

Tomciowi bynajmniej nie było tajnem, że Niunio Potycki jest bardzo zakochany w aktorce i że bardzo mało brakuje do tego, aby z nią poszedł na ślubny kobierzec. Więc Bajeskiemu nie pozostawało nic innego, jak starać się przyśpieszyć związek dwojga ludzi, których szczęście prawdopodobnie zwiększyłoby tylko sumę jego własnego powodzenia na tym padole płaczu. Przecież Tomcio nie miał żadnych złudzeń, nie żywił już żadnych jakichś ideałów; był to najnormalniej rozwinięty typ zepsutego człowieka.

Tak stały sprawy w chwili, kiedy Minia z Warszawy wyjechała, a równocześnie z nią za fałszywym pasportem Zenon Wróbelkiewicz; na tym samym też punkcie znajdowało się wszystko, gdy w parę miesięcy Minia powróciła, a o Wróbelkiewiczu zaprzestano już mówić.

Nieobecność aktorki w syrenim grodzie była dla niej jednym szeregiem takich samych triumfów powodzenia, jakie ją spotykały tutaj w czasie pobytu!

Wiemy, że przebywała w Krakowie, zamieszkując na Piaskach w domku pani Katarzyny Klatczyńskiej, a jednak organa miejscowej prasy opiewały zupełnie co innego o tej zagadkowej podróży Mini; mianowicie też z rozmaitych stolic Europy przybywały podobno telegramy i korespondencje, zawiadamiające o niezmiernem powodzeniu naszej artystki na obczyźnie. Obszernie rozpisywano się, jak sobie pozyskiwała wziętość u panujących, jak sobą zachwycała ogniska wielkiej cywilizacji. Jeden telegram wieścił, że Minia nauczyła się po hiszpańsku i cały Madryt wprawiła w zdumienie, występując tam na scenie; w innym znowu można było wyczytać, iż kardynał Pellerini zaszczycił ją wizytą, a królowa włoska obdarzyła godnością nadwornej swej artystki dramatycznej. Kto ma szczęście, ma je dopóty, dopóki nie zniknie przyczyna szczęścia.

I ta piękna gwiazda szczęścia, błyszcząc na niebie życia, uśmiechała się Mini nadzwyczajnie rozkosznie.

Artystka powróciła do Warszawy incognito i odrazu wzięła się do odegrania bardzo wdzięcznej dla siebie roli, tym razem roli — pustelnicy; ona potrzebowała tego, ponieważ głucha wieść o jej powrocie, szerząc się po mieście z ust do ust, sprawiała wrażenie daleko lepsze, aniżeli wjazd huczny, pełen triumfalnych okrzyków.

Pierwszym znajomym człowiekiem, który się Mini nastręczył, był Wawrzek Ananas. Zaledwie go poznała, tak bardzo źle wyglądał; na jego bladej i jakby pomiętej twarzy wyraźnie można było

czytać jakieś cierpienie ukryte; czarne oczy zapadły mu się gdzieś głęboko i skryły pod czołem, świecąc dziwnym, gorączkowym ogniem. W czasie nieobecności Mini Wawrzek przychodził codziennie do jej mieszkania, aby się dowiedzieć, czy jeszcze nie powróciła; parę razy znalazł on tu listy z różnemi poleceniami, adresowane do Petrysi; po niejakiem wahaniu się otworzył jeden z tych listów i wskazane polecenia ściśle wypełnił; później osądził, że i inne listy powinien odczytać, gdyż mogło w nich chodzić o niezwłoczne załatwienie ważnej jakiejś sprawy.

Ananas opowiedział przedewszystkiem aktorce wszystkie zdarzenia, jakie miały miejsce podczas judenhecy. Obraz śmierci Petrysi odmalował z takiem uczuciem, że oczy Mini napełniły się łzami; wzięła ona bardzo do serca tę stratę dzielnej dziewczyny, a swoją drogą opłakiwała zapewne w zmarłej dobrą i wierną służącą. Minia uważała sobie nawet za pewien obowiązek okazywanie wyższego stopnia ubolewania i współczucia wobec Wawrzka, jako mniemanego narzeczonego swojej pokojowej. Wszakże odegranie dobre i tej roli mogło jej zjednać jeszcze jedno więcej serce ludzkie.

Ananas widocznie narzucał się aktorce, pragnąc być użytym do wypełnienia jakich usług; jej zaś było to w danej chwili bardzo na rękę.

— Mój panie Wawrzyńcze — mówiła — dopóki się nie zniosę z ludźmi, póki sobie nie znajdę służącej, bądź tymczasem mym opiekunem, sama nie będę mogła dać sobie rady, a mam liczne i pilne interesa; bądź więc dobry i chciej mi pomóc.

Wawrzek był tak uszczęśliwiony tą propozycją, że mu serce biło jak młotem, a bladą jego twarz oblał lekki rumieniec; toż Minia mówiła do niego swoim pięknym melodyjnym głosem, toż on patrzał

w jej piękne, czarne oczy, czuł od niej woń upajającą, był z nią sam na sam i poufale rozmawiał. Czyż to nie były dla niego dostateczne już powody, aby się nie posiadać z radości?

Pierwszem poleceniem, jakie Ananas otrzymał od Mini, było odniesienie listu na ulicę Pańską a pod adresem Icka Cokolwiek; następnie szło o znalezienie Bajeskiego i zawiadomienie go o jej powrocie do Warszawy.

Zaledwie Wawrzek spostrzegł na kopercie imię i nazwisko lichwiarza, wstrząsnął się cały i nie wiedział co ma począć. Pomięszanie to jego spostrzegła niebawem aktorka i rzekła z pewnem zdziwieniem:

— Powiedz mi szczerze, panie Wawrzyńcze, może ja niewłaściwie postępuję, obarczając cię swojemi interesami? Wszakże możesz mieć pilne własne zajęcia? — i z temi słowy wyciągnęła rękę, jakby chciała list ów odebrać.

— Oh, nie! — zawołał Wawrzek. — Ja skrupulatnie wykonam wszystko, co mi pani rozkaże; ale ten list...

— List jest dla mnie nadzwyczajnie ważny! — powiedziała Minia z naciskiem.

— Ja nie wiem — jąkał Wawrzek. —Nie śmiem pani powiedzieć, że mógłbym ten interes, o którym w liście jest mowa, załatwić może bez żyda...

— Nie rozumiem, o co ci chodzi, panie Wawrzyńcze; wytłumacz się jaśniej—rzekła znów Minia.

— Oto, mnie się zdaje, że skoro pani pisze list do lichwiarza, to chyba w tym celu, ażeby pożyczyć pieniędzy...

— Jakto, znasz pan Icka?

— Znam go bardzo dobrze i dzisiaj jestem w takiem położeniu, że mógłbym jego miejsce zastąpić...

— Co? pan możesz mi pożyczyć pieniędzy? — pytała Minia.

— Tak jest! — odrzekł Wawrzek uszczęśliwiony. — Nie wiem tylko, czy posiadam taką sumę, jakiej pani potrzeba.

Aktorka przyjrzała się Ananasowi i rzekła:

— Dziś, jutro—potrzebuję koniecznie sześciuset rubli.

— O, ja przyniosę pani zaraz daleko więcej — zawołał Wawrzek.

Minia uśmiechnęła się uprzejmie i spojrzała na Wawrzka tym wzrokiem, do którego już nie potrzeba dodawać wyrazu „dziękuję". Potem przybrała fizjognomję piętnastoletniej dziewczynki, która się pieści z ojcem, aby od niego otrzymać przysmak i rzekła:

— Ależ, panie Wawrzyńcze, ty jesteś dla mnie w tej chwili prawdziwym aniołem opiekuńczym!... Dajże mi jak najprędzej tych pieniędzy!

Ananas wyszedł w tej chwili, a nie upłynęła godzina czasu, gdy znowu powrócił; w kieszeni przyniósł on ze sobą gotówkę, którą znalazł był w misternej szkatułce, zabranej z mieszkania Icka Cokolwiek.

Na widok pieniędzy aktorka wpadła w zachwyt; ściskała ona ręce Wawrzka i nazywała go swoim dobroczyńcą. Poczęła śpiesznie liczyć i przekonała się, że rozporządza sumą sześciu tysięcy rubli.

— To duże pieniądze!... Może mi pan nie chcesz wszystkich powierzyć? — mówiła. — Nigdy panu nie zapomnę tej wielkiej przysługi i obawiam się tylko, czy będę mogła kiedybądź okazać ci swoją wdzięczność...

— Gdybyś pani tylko zechciała, uczyniłabyś to z łatwością — rzekł Wawrzek. —Mógłbym być bardzo szczodrze wynagrodzony...

— A to w jaki sposób?—spytała Minia, zdziwiona entuzjazmem młodego człowieka.

— Ja pragnę pozostać tu przy pani, być zawsze na usługi, spełniać wszystkie rozkazy... wtenczas byłbym szczęśliwy.

— Rozumiem — pomyślała aktorka. — Ten szlachetny młodzieniec przez pamięć dla swojej Petrysi chce mi ją zastąpić; kochali się widać bardzo...

I wyciągnęła swą piękną rękę ku niemu, a odgrywając wybornie rolę wzruszonej, rzekła z zapałem:

— Szanuję, panie Wawrzyńcze, twe szlachetne uczucia!... Jakkolwiek oryginalnie będzie to wyglądało, iż mężczyzna...

Spuściła oczy z naiwnym uśmiechem.

— Zgadzam się jednak.

A potem z wielką godnością dodała:

— Mnie zrobić to wolno!...

Wawrzek skwapliwie pochwycił podaną sobie rączkę i złożył na niej dużo tak szczerych pocałunków, że każdy z nich co do swojej wartości wyrównałby może ogólnej sumie wszystkich, jakie na tej ręce Mini miłość już składała. A ona była wspaniałomyślną i pozwoliła mu swą rękę całować dopóty, dopóki sam zechciał.

Odtąd Wawrzek wysiadywał już całemi dniami u Mini, spełniając wszystkie jej rozkazy, oczekując na nie zwykle w pokoiku, który niegdyś zajmowała nieboszczka Petrysia.

Nie upłynął jeszcze cały tydzień od powrotu aktorki do Warszawy, a już poczęły ją nawiedzać ciągłe procesje stęsknionych wielbicieli. W następnym zaś tygodniu cały tryb życia powrócił do normalnego przebiegu. Na przywitanie nie pojawił się tylko Niunio Potycki; częste listy jego, pełne tęsknoty i miłości donosiły, że pan Wit Potycki jest bardzo niebezpiecznie chory i przeto bratanek musi przy nim nieustannie przebywać.

Jednego dnia z rana Minia siedziała jakaś strapiona, a przed nią na stoliku leżał telegram, kiedy wpadł Tomcio niezwykle ożywiony.

— Coś smutna dziś pani jesteś — zawołał—a ja przybywam do ciebie właśnie z bardzo dobrą wiadomością, tak dobrą, że gdybyś była bogatą, musiałabyś mi za to suto zapłacić.

— Czy pan wiesz co o Niuniu?—pytała aktorka, nie podnosząc oczu. — To mi mów, bo zaczynam się niecierpliwić na tego chłopaka. Ciągle pisywał do mnie zagranicę listy, jakby nadzwyczajnie stęskniony, błagał, zaklinał, abym czemprędzej powracała, a teraz tylko mi donosi, że stryj chory... Przecież nie jest lekarzem i mógłby na parę dni przybyć.

— Ależ przyjedzie, przyjedzie najniezawodniej!— zawołał Bajeski. — Choroba stryja stanowiła dla niego istotnie bardzo ważną przyczynę; znam dobrze te stosunki i wiem, że przybyć nie mógł... Wątpić zaś o tem żadną miarą nie można, że jego jedyną myślą jest obecnie Minia. Dałbym dużo, gdybym był w stanie kochać tak, jak kocha Niunio...

— Więc jakaż to jest wesoła nowina, którą mi pan przynosisz? W obecnem mojem strapieniu nie wiele rzeczy pocieszyć mię może — rzekła Minia.

— Tym razem, wyjątkowo, ostatni akt tragedji jest wesoły — mówił Tomcio, przechadzając się po pokoju z dobrą miną. — Odzyskasz pani dobry humor, gdy się dowiesz, że stryjaszek, pan Wit Potycki, ma obecnie już do czynienia tylko ze świętymi.

Z temi słowy Bajeski wydobył z kieszeni telegram i podał go aktorce, która odczytała, co następuje:

„Wczoraj w nocy stryj skończył życie; rozumiesz więc, dlaczego nie mogę na skrzydłach ptaka przylecieć do Warszawy, jak tego całem sercem pragnę Proszę cię, uspokój ją, pokaż ten telegram".

— Szczególne zdarzenie, że dzisiaj drugą wiadomość o śmierci odbieram — powiedziała Minia bardzo smutnym głosem.

— Któż jeszcze umarł?

Aktorka milczała, a po chwili odrzekła wzruszonym głosem:

— Moja matka!... Dzisiaj muszę koniecznie wyjechać do Krakowa.

— Niezawodnie nie ma pani pieniędzy?... A po tych awanturach z żydami jednego szeląga nigdzie dzisiaj dostać nie można. Głupia hołota, nam tylko narobiła kłopotów... Czy pani wiesz, że tego naszego Icka nanic zniszczyli?

— Ach panie, nie jestem dzisiaj usposobiona do prowadzenia rozmowy!

Tomcio wzruszył ramionami, przeszedł się po pokoju parę razy, a potem znów mówił, jakby sam do siebie:

— Tak jest, zniszczyli Icka Cokolwiek! Łotr jeden, obdzierał, obdzierał, aż przyszła nań kreska; w dodatku dostał teraz bzika, zwarjował i włóczy się po ulicach, zagląda przechodzącym ludziom w oczy, poszukując rzezimieszka, który go w Boże Narodzenie urządził... Wszystko mi się zdaje, że on miał spółkę z Zenonkiem...

— Jakie to szczególne, jakie to smutne! — powiedziała Minia w zamyśleniu.

Potem otrząsnęła się, podniosła głowę i rzekła:

— Mówiłeś pan o Icku? Rozbili go?.. Jestem mu nawet winna dosyć pieniędzy.

— Nie będzie się upominał, bo mu podobno zniszczono wszystkie weksle i skradziono fanty.

— Były u niego moje weksle i moje zastawy — mówiła Minia, jakby zniechęcona rozmową, przeciąganą przez Bajeskiego.

— I moje weksle były; ale ja już dawno nic

sobie z wekslów nie robię. Wszystko mi jedno, czy on tam ma moje weksle, czy ich nie ma... Ale, ale, co to znaczy, że ja tu u pani ciągle widzę tego Loranza?

— Jak to, co znaczy? Naturalnie, że jest moim służącym, wyborny człowiek!

— Aha, trzyma go pani w swoim domu dlatego, żeby ci przypominał Niunia!.. Wcale dobry pomysł, dla naszego małego będzie to niezmiernie przyjemne, gdy do Warszawy przyjedzie... A jeżeli pani dzisiaj wyjedzie, kiedyż nastąpi powrót?

— Odpowiem panu pod tym warunkiem, że mię opuścisz, gdyż potrzebuję koniecznie być samą.

— Odpowiedz pani, gdyż mi to jest potrzebne; oddalę się natychmiast. Dobrze, iż sobie pani ze mną nie robisz ceremonji... Przecież nie od dziś się znamy.

— W Krakowie zabawię dwa dni najwyżej!—rzekła Minia z niecierpliwością.

— No, o ile przybyłem tu wesoły, o tyle odchodzę niezadowolniony — powiedział Tomcio, ściskając podaną sobie rękę aktorki.

Kiedy Bajeski już wyszedł, Minia uchyliła drzwi do pokoiku, w którym przebywał Wawrzek i rzekła nadzwyczajnie uprzejmie:

— Mój dobry panie Wawrzyńcze, chcę być samą i nikogo w domu dzisiaj nie przyjmować... Za kilka godzin zaś muszę znowu wyjechać z Warszawy

Wawrzek stanął przed Minią i nieśmiałym głosem przemówił w te słowa:

— Wstydzę się bardzo, kiedy mię pani nazywa panem Wawrzyńcem, jestem Wawrzkiem...

Aktorka uśmiechnęła się pięknie, skłoniła i zniknęła w swojem mieszkaniu.

XIV

NIEMIŁE ZDARZENIE

Na skrzydłach czasu śmierć zawsze przelatywała ponad głowami ludzi, a ci, co zgaśli, zamknęli księgę swych czynów. Umarł Wit Potycki i umarła wdowa z Przemyśla, pani Łuska.

Dla tych, którzy pozostali, wartko pędzi potok życia; jedni przebywają w ciemnych jego mętach, gdzieś przy dnie, bez promieni słońca, a inni przeglądają się w niebie lazurowem i piękne gwiazdy nawet zdają im się losu zazdrościć.

Mini teraz jeszcze lepiej było na świecie; gdyby łzy potrzebowała ronić, znaleźliby się tacy, coby je za nią chętnie wylewali; gdyby swoje błędy życiowe chciała okupić pokutą, to i pokuty nie potrzebowałaby sama odbywać. A że jej zależało tylko na szczęściu własnem, więc dobrzy ludzie pomnażali szczęście. Ubóstwianie aktorki stało się powszechną modą w mieście, lepiej może powiedzieć— zarazą, która od pałaców przechodziła do suteryn. Jeżeli się dowiedziała lub przeniknęła, że jej ktoś nie sprzyjał, zbliżała się do niego i niebawem wroga zamieniała na swego serdecznego przyjaciela.

Nastała faza występów na scenie, co można porównać chyba z pochodem bogini miłości poprzez krainy wiernych swoich czcicieli. Minia nie zmarnowała wówczas ani jednego uśmiechu, ani jednego spojrzenia, ani łzy, ani ruchu; za to wszystko przecież zyskiwała sympatję, pełną najwyższego

entuzjazmu; zdawało się, że kwiatom świeżym przyjemnie jest u stóp jej spoczywać.

Miała występować właśnie w roli Adrjanny Lecouvreur, aktorka w roli aktorki; miała ona zebrać na scenie ostatnie jeszcze triumfy, a potem oczekiwało ją życie rodzinne obok tkliwego męża. Niunio Potycki bowiem dawno już był zjechał do Warszawy, a o niczem teraz więcej nie marzył, jak o połączeniu się ze swą ukochaną i uwiezieniu jej daleko od zgiełku dużego miasta, aby mógł sam wyłącznie kochać i być wyłącznie kochanym. Narzeczeni ułożyli się między sobą co do dnia ślubu; dla wszystkich innych stanowiło to tajemnicę. On bo nierad był tym ostatnim występom na scenie swej przyszłej małżonki; ale Minia koniecznie pragnęła zostawić po sobie w Warszawie świetne wspomnienia, a kiedy tak chciała, jakżeby można było stawić jej opór?

Dom aktorki przybrał obecnie zupełnie inną fizjognomję; nie jedna, ale dwie służące zajęły teraz miejsce zmarłej Petrysi, a Wawrzek Ananas ciągle pozostawał w swoim charakterze przyjacielskiego powiernika, niejako sekretarza i intendenta dworu. Człowiek ten spełniał bardzo rozliczne obowiązki: był gońcem, pokojowym, lokajem, a często doradcą. Niejednokrotnie atoli robił wrażenie niezadowolnionego ze swego stanowiska; posępniał, robił się zgryźliwym, a przytem z każdym dniem stawał się podobnym do człowieka, którego trawi ciężka, wewnętrzna choroba. I istotnie choroba go trapiła; wewnątrz odzywały się wyrzuty sumienia, których ukąszenie ilekroć poczuł, był bojaźliwy, smutny.

— Ukradłeś pieniądze i klejnoty! — wołał nań jakiś głos potężny.

Ale nie była to jedyna przyczyna duchowego

upadku jego. On kochał piękną Minię, a z jednej strony spostrzegał, że nie może mieć nadziei wzajemności, z drugiej strony nabierał znów przeświadczenia, iż przedmiot jego uczuć ma bardzo małą wartość moralną. I to go oburzało nieraz, że aktorkę ze wszystkich stron spotyka cześć oraz uwielbienie; chwilami bywał o tę kobietę ogromnie zazdrosny, nienawidził wszystkich jej wielbicieli. Za tę cześć oskarżał przed sobą samym to ludzi, to Minię.

— Dlaczego oni ją tak miłują? — stawiał sobie nieraz pytanie.

Jeżeli się jednak zdarzyło, iż miał sposobność dłużej rozmawiać z Minią, napatrzeć się w jej oczy, w piękne usta, jeżeli mu podała rękę do pocałowania, wtedy znikały wyrzuty sumienia, ustępowały kwasy życia i Wawrzek się ożywiał, nabierał jakiejś dziwnej nadziei. Wówczas był on już innym człowiekiem, aż do chwili, gdy mu się znowu zdarzało spostrzec, że aktorka jest kobietą obłudną, gotową na zawołanie śmiać się lub płakać; albo gdy zauważył, iż chęć posiadania pieniędzy, pragnienie błyszczenia przez stroje odgrywają najgłówniejszą rolę w jej duszy. W takich razach wstręt go jakiś ogarniał do niej; wyobrażał sobie, że jest zimnym i obojętnym na wdzięki aktorki, że nawet nią pogardza do pewnego stopnia. Ale zawsze coś takiego się stało, iż i to usposobienie ustępowało niebawem miejsca uwielbieniu. Bo niech tylko ujrzał Minię na scenie w całej pełni zachwycających wdzięków, posłyszał jej głos tak miękki, melodyjny, a już się całkiem przeobrażał. Cóż dopiero, gdy się zerwała istna burza oklasków, grzmoty okrzyków, pełnych entuzjazmu, albo gdy ze wszystkich stron słyszał szmery podziwu i uwielbienia, gdy w oczach i rysach twarzy wszystkich widzów spostrzegał zachwyt! Uczucia masy wnikały wtedy

w niego, uczuwał małość swoją, wydawało mu się, że jest marnym prochem, a ona nieskończenie wielką, wspaniałą; i był zgnębiony, i stawał przed nią korny jak niewolnik, a szczęśliwy jak dziecko, jeżeli mu dała możność spełnienia nowych swoich rozkazów.

Długo oczekiwany Niunio Potycki, obecnie już zupełnie samowolny i samodzielny, pan wielkiego majątku, przybył nareszcie do Warszawy, a bardzo częsty pobyt jego u Mini, jak gdyby we własnym domu, przykro oddziaływał na Ananasa. Wawrzkowi dawny jego pan zawsze wydawał się być lalką pięknie uczesaną i bardzo strojną; już jako służący lekceważył on sobie Niunia, jako człowieka bez męskiej energji i stanowczego charakteru. A przecież Minia robiła tyle widocznych wysiłków, aby się przypodobać Potyckiemu, aby go przykuć do siebie; wobec niego była ona zawsze tak piękną i zachwycającą, iż przewyższyła wszystkie najlepsze role, jakie kiedykolwiek bądź odegrała na scenie.

Zważmy przytem, że Niunio, jakkolwiek z natury swej bardzo dobroduszny, jednak w stosunku do Wawrzka zachowywał obejście wielkiego pana, co mogłoby być zupełnie naturalnem dla innych służących, ale nie dla tej kategorij, do której należał właśnie Ananas. Dawny lokaj zbyt dotkliwie odczuwał każde zadraśnięcie miłości własnej, wymierzone przez dawnego pana i za lekceważące traktowanie zgóry sowicie się nieraz wywzajemniał. Cóż z tego, kiedy Niunio miał widocznie zapewnione wszystkie widoki powodzenia u aktorki, a on, Wawrzek, był na jakimś ostatnim planie.

Bywały sceny wyraźnego zuchwalstwa Ananasa w stosunku z Potyckim, na co Minia poczęści patrzyła przez szpary, łagodząc, o ile mogła, tę ciężką sprawę swoim wszechwładnym wpływem.

— Dokądże mię zaprowadzi to wszystko? — myślał Wawrzek. — Czyż nie widzę wyraźnie, że ona kocha tylko bogatych ludzi? Ja dopuściłem się dla niej kradzieży; ale ukradłem widać tak mało, że jej to nie może wystarczyć.

Czasem przesuwała mu się przez głowę myśl:

— Potyckiego mógłbym zabić...

Lecz myśl ta bardzo tajemna pojawiała się w umyśle Wawrzka jak błyskawica i szybko znikała.

Godnem jest uwagi to, iż na palcach aktorki pojawiły się jednego dnia niektóre pierścionki, które widzieliśmy jako niewykupione fanty w szkatułce lichwiarza, złupionej przez Ananasa podczas judenhecy.

— Dzisiaj więc po raz ostatni ukażę się na scenie! — mówiła Minia do Potyckiego. — Czy wiesz, mój drogi, że ten ostatni występ wydaje mi się być bardzo ważnym? O, bardzobym bolała, gdyby mię dziś spotkało powodzenie mniejsze, niż zwykle.

— Ta odrobina sławy, kilka oklasków mniej lub więcej nie powinnyby cię już obchodzić — odpowiedział Niunio. — Przecież to wszystko jest niczem w porównaniu z miłością, jaką serce me żywi dla ciebie! I ja, gdybym wiedział, że mi cały świat pokłon złoży, to jednak nie sięgnąłbym po ten zaszczyt, albowiem miłość jest tak czystem źródłem szczęścia, że go niczem mącić nie należy.

Minia podała rękę Potyckiemu i zostawiła ją w jego dłoniach, a on pochwycił tę rękę z zapałem, przyciskał do ust, gorącemi okrywał pocałunkami. Para oblubieńców, siedząc tuż obok siebie, prawie odczuwając wzajemne uderzenia serc swoich, w pieszczotach lubych używała rozkoszy.

— Dzisiaj potrzebuję czuć w sobie całą potęgę miłości — mówiła znowu Minia. — Ludzie muszą zadrżeć, gdy przed nimi zdradzę tajemnicę własnego serca!

A potem dodała:

— Ale żebym dobrze odegrała rolę Adrjanny, miłość powinna być podniecana przez uczucie zazdrości. Bo tylko miłość silna, namiętna może wywołać wielkie wrażenie.

Mówiąc te słowa, aktorka, siedząca rozkosznie na niskiej kozetce obok Niunia, rzuciła przelotne spojrzenie w zwierciadło, jakby się chciała przekonać, czy rysy jej w tej chwili dobrze oddaja fizjognomję zakochanej kobiety.

To krótkotrwałe spojrzenie wystarczyło, że Minia w rogu przeciwległego zwierciadła spostrzegła odbitą portjerę drzwi bocznych, a pomiędzy festonami portjery owej odrysowała się w cieniu głowa Ananasa. Była to blada twarz, oświetlona blaskiem dwojga fosforycznie migocących oczu, z których na świat wyglądać się zdawały: zazdrość i przerażenie.

Na ten widok aktorka porwała się raptownie z kozety i zrobiła ruch w kierunku portjery; głowa zniknęła teraz nagle w zwierciadle.

Coż to miało znaczyć?

Wawrzek tego dnia właśnie, dnia ostatniego występu Mini na scenie, od samego rana był bardzo czynny; biegał on z rozmaitemi zleceniami do krawców, szwaczek, jubilerów, fryzjerów, ażeby wszystko potrzebne było na oznaczony termin przygotowane dla aktorki; wybór kwiatów do bukietu, z którego Adrjanna czerpie jady śmiertelnej trucizny jemu także pozostawiono. Udał się więc do Bardeta i przygotował kwiaty, godne wdzięków tej, w rękach której znaleźć się one miały. Ale zaledwie opuścił ogród i cieplarnię, kiedy tuż przy samych drzwiach spotkał się oko w oko z Ickiem

Cokolwiek. Nie był to dzisiaj już ten sam lichwiarz, któregośmy widzieli w odwiedzinach u Wróbelkiewicza; miał on twarz przekrzywioną na jedną stronę, jak gdyby przez paraliż tkniętą, wychudłą i sczerniałą; w nieładzie rozrzucone włosy zupełnie mu posiwiały, a postać zgarbiła się ku ziemi. Za ubranie służył mu bardzo lichy łapserdak, dziurawy i zanieczyszczony; nagie palce zaś wyglądały z obuwia. Przebiegał on ulice i podejrzliwym wzrokiem zaglądał przechodniom w oczy, zastępując im nieustannie drogę; niekiedy zatrzymywał się i odpoczywał, przystając na boku, lub usiadłszy na murku przed bramą domu; oddychał wtedy z trudnością, mrugał oczyma, z których mu ciecz jakaś płynęła.

Spotkawszy teraz Wawrzka, Icek, zaledwie mu się przyjrzał, naraz się wyprostował, jego oczy nabrały żywości i połysku, znękaną twarz okrył rumieniec ożywienia i żyd ten z nadzwyczajną energją rzucił się teraz na Ananasa, usiłując go zatrzymać przemocą.

— Stój! — wrzasnął ochrypłym głosem. — Rabuś! Złodziej!.. Okradłeś mię! Żona mi opowiedziała, jak ty rozbijałeś!.. Ona umarła, tyś ją zabił! Mam cię! Ratuj, ratuj!.. Oddaj mi pieniądze!

Ludzie poczęli się gromadzić na ulicy, chciwi widowiska; ten i ów mówił, że zna żyda, który oddawna cierpi obłęd. Ktoś z tłumu krzyknął:

— Ha, to ten wilk, ta pijawka, lichwiarz Icek Cokolwiek!.. Widzieliście, jak to pan Bóg skarał łajdaka; nanic widać zmarniał!

Wawrzek zrazu przeraził się niezmiernie; żyd stanął przed nim, jakby urzeczywistnienie strasznego widma, podpowiadanego wyobraźni przez sumienie. Ale kiedy posłyszał głosy w tłumie przeciw lichwiarzowi, ocknął się ze swego przestrachu, bo dodało mu to otuchy, i z całej siły odepchnął

żyda; wydarłszy się zaś z tych rąk, pospiesznie wracał do domu aktorki, aby jej zdać sprawę z załatwionych zleceń.

Icek otrzymał pięścią uderzenie w piersi, zatoczył się i głową padł na mur domu, krwawiąc sobie skronie. Tłum różnie usposobionych ludzi rozszedł się, niezadowolniony z tak prostego rozwiązania przygody. Jakiś izraelita tylko przyskoczył do Icka, chcąc mu okazać współczucie, a może i nieść pomoc; ale eks-lichwiarz odskoczył od swego ziomka i chwiejnym krokiem, o ile mógł spiesznie, podążał za uchodzącym Ananasem. W tej pogoni żyd robił nadzwyczajne wysiłki, a widocznie już mu siły nie dopisywały; upadły ze znużenia, ciężko oddychał i gdy wreszcie zaledwie krok za krokiem mógł stawiać, wytężał tylko wzrok, aby mu Wawrzek nie zniknął z oczu. Ananas wszedł w bramę domu i żydowi się wydawało, że dom ten zauważył; więc znowu zebrał siły, biegł dalej, aż się dowlókł do upatrzonego kresu; ale doszedłszy, prawie już nie mógł oddychać, przeto usiadł w bramie na progu i odpoczywał.

Otóż, wtedy to właśnie Wawrzek, przerażony swojem spotkaniem z Ickiem, przybiegł do mieszkania Mini, a wszedłszy cicho, stanął we drzwiach za portjerą i ujrzał aktorkę, odbierającą pieszczoty od Potyckiego. Kiedy go atoli spostrzeżono w zwierciadle, uznał za właściwe opuścić mieszkanie, więc znowu wybiegł i spotkał siedzącego na progu żyda. Tym razem Ananas przeraził się bardziej jeszcze, niż poprzednio; ogarnął go jakiś strach niewysłowiony i począł bezmyślnie uciekać. Ale żyd nie pobiegł już teraz za nim, popatrzył tylko i pokiwał smutnie głową.

Odpocząwszy, Icek po niejakiej chwili powstał i ociężałym krokiem zawlókł się do mieszkania

aktorki. I on, podobnie jak Wawrzek, wszedł pocichu, wszedł jakby jakie widmo i niepostrzeżony stanął za portjerą; w milczeniu rozpatrywał mieszkanie, przyglądał się parze kochanków, którzy między sobą rozmawiali szeptem, oddawali się słodkiej pieszczocie i słodszym jeszcze marzeniom o przyszłości. Minia, nie powstając z kozety, poczęła przepowiadać sobie rolę, w której miała wystąpić za kilka godzin:

— Otwarłam szkatułkę, uczułam dreszcz po wszystkich żyłach... Była to przepowiednia ciosu, który mię ugodził.

A potem:

— Mój bukiet! Poznaję go, trzymałam go wczoraj w ręku w chwili jego przybycia, chciał, żeby mu go oddać... Dałam jako zakład miłości. Mógł nim wzgardzić, zapomnieć, odrzucić! Ale odsyłać go umyślnie; ale przydawać zniewagę do pogardy!..

Odwróciła się teraz do Potyckiego i rzekła:

— Mało mam dzisiaj w sobie zapału, nie wiem, czy wybrnę szczęśliwie.

— Najlepiej grasz, Miniu, w ostatnim akcie, kiedy, padłszy na krzesło i trzymając w ręku bukiecik, masz zamiar nim się otruć — rzekł Niunio.

— Wątłe kwiaty, wczoraj tak świetne, dziś zwiędłe a jednak trwalsze, niż przysięgi! Biedne kwiaty, przyjął was z radością i upojeniem, dlatego nie mogłyście dłużej pozostać przy tem sercu, z którego mię inna wygnała! Wypędzone, wzgardzone, jak ja! Nie zostało i śladu tych pocałunków, któremi was on okrył!... Ja was ucałuję na ostatnie i wieczne pożegnanie... Tak, tak, to jest pocałunek śmiertelny!.. Gińcie razem z moją miłością...

Mówiąc te słowa, Minia rzuciła przeciągłe spojrzenie w zwierciadło i ujrzała w rogu za portjerą głowę żyda z błędnym wzrokiem i twarzą tak strasznie wykrzywioną, że drgnęła, porwała się i odskoczyła na ten widok.

— Co to jest? Co to jest? — wołała, jak gdyby nie wierzyła oczom swoim, jak gdyby nie dowierzała, iż z rzeczywistością ma do czynienia.

Na ten jej głos Icek zdawał się ocknąć z jakiejś zadumy, bo wystąpił z za portjery i chwiejnym krokiem, trzęsąc się cały, szedł ku kozetce, na której siedział jeszcze zdziwiony Potycki. Przez chwilę panowało milczenie. Żyd utopił w Niuniu swoje szklane oczy, z ciekawością obejrzał go całego od stóp do głowy, chciał coś powiedzieć, lecz kiwnął tylko głową, wargi mu opadły i zdawało się, iż usta odmówiły posłuszeństwa, zaniemiały. Potem odwrócił głowę i począł się przyglądać Mini, stojącej opodal w osłupieniu.

Trudno wiedzieć, czy aktorka poznała lichwiarza, to pewna, iż pozostawała ona pod wpływem jakiegoś przestrachu; zdawało się, iż owo widmo okropne, goniące resztkami życia, przysiadło jej pierś i oddech w niej zatrzymało.

— Czego chcesz ode mnie? — krzyknęła Minia głosem trwożnym.

Żyd spojrzał jej w oczy swym tępym wzrokiem i coś jakby drgnienie uśmiechu przebiegło około ust jego. Ożywiał się, począł bełkotać głosem cichym, niewyraźnym, prawie szepcącym, a usta mu się szpetnie śliniły:

— Nic nie chcę... Weksli niema... zginęły!... Przyszedłem panią zobaczyć... To ja, Icek Cokolwiek... Zginęło wszystko... żona umarła... To on, złodziej zabrał wszystko!...

I z temi słowy Icek ukazał palcem na Potyckiego:

— On... lokaj...

Widocznie mówić nie mógł.

Niewiadomo dlaczego twarz Mini oblał purpu-

rowy rumieniec; może sobie właśnie przypomniała pożyczkę, którą zaciągnęła u Wawrzka, no i pierścionki, niewykupione jako fanty, cudem zapewne nie dostały się na jej rękę... Minia chciała może ukryć swój niepokój, bo obiema dłońmi twarz sobie zasłoniła. Jednakże, zaledwie to nastąpiło, kiedy oczy żyda dostrzegły naraz jakiś pierścień z brylantem na palcu. I ten Icek, przed chwilą tak niedołężny, w jednem mgnieniu oka rzucił się jak kot do ręki aktorki; brylant był widocznie życiodajną różdżką czarodziejską.

— Oddaj! — krzyknął rozdzierającym, teraz już donośnym głosem.—Oddaj! Pierścionki moje! Moje, moje... skradzione!

I począł szarpać rękę aktorki, ciągnął ją gwałtownie ku sobie, oczy mu się roziskrzyły, zgrzytnęły zęby.

Teraz dopiero oprzytomniał Potycki i, widząc co się dzieje, w obie ręce pochwycił zapienionego żyda, wstrząsnął tą wątłą szmatą i z wielką łatwością rzucił nim o ziemię. Zrobił się zgiełk nadzwyczajny; żyd zrazu wściekły i szalony w furji, podniósł się, usiadł na ziemi, potem zaczął szlochać, łkać, zanosił się od płaczu; ale i ten stan jego przeminął. Chciał się porwać z ziemi, stanąć na nogi, lecz nie mógł, więc kilkakrotnie z całej siły uderzył głową o posadzkę, na szczęście wyłożoną wszędzie miękkiemi dywanami. Znowu usiadł, mając nogi założone pod siebie, wyrzekał straszliwie, groził i przeklinał. Twarz mu nabrzękła, oczy wybiegły na wierzch i krwią zaszły. Wysunął się na środek nieco, dziko spoglądał na aktorkę, wyciągnął ku niej rękę, trzęsącą się, jakby była bez kości, i wołał głosem drżącym, przerywanym, chrapliwym, jak u pijaka:

— Niech Bóg zsyła na ciebie przez całe życie wszelkie nieszczęścia!... Bodajeś nie spotkała nigdy

przyjaciela!... Umrzyj pod płotem, opuszczona przez wszystkich, w ostatniej nędzy; a jeśli dzieci będziesz miała, niechaj ci w oczy plują! A ty, ty, panie Potycki, panie bogaty!... Bodajeś zmarniał i był większym ode mnie nędzarzem!... Bodaj ci ludzie wtedy nie podali okrucha chleba, ani kropli wody!... Boś bił biednego człowieka za to, że chciał odebrać skradzioną własność!... Niech cię Bóg skarze, zemści się za mnie! Niech cię zdradza żona! Bodajeś cudze dzieci za własne uważał!... Niech wszystkie pioruny spadną na was i niech was palą przez całe życie!... Wy, goje!...

Był spieniony, przerażający. Zaledwie skończył swoje przekleństwa, kiedy się pochylił, ustami padł na ziemię i porwał go straszny, epileptyczny atak; słychać było tylko jakieś sapanie, chrapanie i stuk ciała, rozbijającego się po ziemi. Niebawem też w mieszkaniu Mini pojawili się słudzy porządku publicznego, chorego zabrano i przekazano zapewne służbie publicznego zdrowia.

W parę godzin można było czytać na afiszach teatralnych, rozlepionych po rogach ulic: „Z powodu nieprzewidzianych wypadków nie będzie miało dziś miejsca przedstawienie Adrjanny Lecouvreur".

Minia leżała w łóżku, była bardzo zmieniona; przy niej klęczał Potycki i z niepokojem wpatrywał się w jej lica. Różowe światło lampy drgało po przedmiotach sypialni, woń pachnideł unosiła się w powietrzu, dokoła było miękko, jak gdyby kto puch rozsypał.

Z za portjery od drzwi sypialni wysunęła się blada twarz Wawrzka, oświetlona blaskiem pary oczu, fosforycznie migocących. Stanął na progu, popatrzał i rzekł uroczystym głosem.

— Za kwadrans doktór przyjedzie!

XV

CO BYŁO DO PRZEWIDZENIA

— Ciekawe rzeczy, dlaczego dzisiaj nie grają Adrjanny Lecouvreur? zapytywano na wszystkie strony popołudniu w cukierni Loursa, dokąd przybył zapewne niejeden z tych, którzy mieli iść tego dnia do teatru.

— Nie rozumiem, jak można robić publiczności taki zawód! — odezwał się ze zgorszeniem jakiś adwokat, którego fizjognomja i cała powierzchowność wyrażały pełne zadowolnienie ze stosunków społecznych.

— Istotnie, to jest coś gorszego niż lekceważenie; powiedziałbym — niegodziwość! — rzekł doktór medycyny, którego recepty były bardzo w modzie.— Ja wybierałem się już od tygodnia na tę sztukę i mam oto fatalny zawód!

— U nas, mój panie, zawsze tak bywa, zawsze zawód! — mówił głosem jednostajnym, jak głos indyczki, jakiś stary jegomość, który, wzdychając, wycierał sobie okulary i przygotowywał się widocznie do czytania gazet.

— Czy wiecie państwo, że od trzech dni nie było w kasie ani jednego biletu do sprzedania — powiedział inny doktór medycyny, którego recepty zupełnie wyszły z mody i oddawał się jedynie czytywaniu gazet w cukierni.

— Nic dziwnego — mówił modny lekarz, wyciągając się na kanapie — miał to być ostatni występ

Łuskiej... Mnie nawet delegowano, abym jej w imieniu medycyny wręczył dzisiaj album.

— Co kolega mówisz, w imieniu medycyny?— zawołał niemodny lekarz. — Przecież i ja do medycyny należę; pisuję artykuły w gazecie lekarskiej.

— Bhi, bhi!... Artykuły! Cóż tam znaczą artykuły!

— No, a prawnicy mieli jej dzisiaj ofiarować pierścień zasługi! — rzekł z wielką powagą adwokat, wkładając za kamizelkę około pachy swój wielki palec. — Ale wyobraźcie sobie, panowie, jakie to u nas jeszcze małe uznanie dla sztuki: składka była najprzód po dwadzieścia pięć rubli i zaledwie się dwudziestu prawników znalazło, którzy w niej wzięli udział; obniżyliśmy więc na piętnaście i znowu przybyło dwudziestu, a potem jeszcze na dziesięć rubli i znowu przybyło dwudziestu.

— Jakto? tutejsi prawnicy składkę robili dla aktorki?— zapytał stary jegomość, który już miał na nosie okulary i gotów był rozpocząć czytanie. — Toć do licha i ja jestem magister; ale dobrze, że nikt do mnie nie przysłał po składkę...

— Magister, magister, magister! — powtarzał adwokat i zasadził sobie drugi wielki palec pod kamizelkę.

— Wszystko mi się zdaje, że to oznacza upadek charakteru—powiedział stary magister, a zwróciwszy się do niemodnego lekarza, zapytał: — Cóż konsyljarz o tem mówisz?

— Hm, widzisz, sędzia dobrodziej, to zależy od tego, jak stoją czyje interesa — odparł zapytany.

— Co tu mówić o charakterze? — rzekł adwokat. — Trzeba iść z duchem czasu; jak nie będziemy popierali sztuki, cóż nam zostanie?... Literaci też z Marudzińskim na czele mieli ją wieńczyć laurem. Taki Marudziński, to przecież charakter, solidny człowiek!

— Mniejsza o to!—zawołał modny lekarz, zniecierpliwiony rozmową o charakterze.—Garson, pst, pst!... Niema tu u was dzisiaj kogo z prasy?

— A jest pan Wilgotnicki—rzekł chłopiec—gra na górze w szachy.

— O, to, to, to! Wilgotnicki! Wybornie. Zanieśno mu mój bilet i proś go, żeby się tu do nas pofatygował, jak tylko skończy partję.

— Kiedy, proszę pana, on partji nie skończy.

— Jakto, nie skończy?

— No, może skończy, ale pojutrze.

— Przecież wy cukiernię w nocy zamykacie?

— Ha, to oni zanotują partję w książeczce i idą do domu; w domu myślą, a jutro znowu przyjdą i będą dalej grali.

— Doprawdy, podziwiam tego Wilgotnickiego!—zawołał modny doktór. Co za genjalny łeb, jaka szalona praca! Toż to jest pierwszorzędny publicysta, nowelista, feljetonista, szachista...

— Pomyślcie, panowie, że w takich stosunkach jeszcze się u nas ludzie rodzą—mówił stary magister, nie odrywając oczu od gazety.—Oj, dobrą my krew mamy w sobie!

— Gdyby stosunki były u nas inne — odezwał się uśmiechem lekceważenia adwokat — toby się o Wilgotnickim dało powiedzieć, że to jest turysta, minjaturysta, optymista, egoista, a może i kapitalista, karjerzysta...

Niektórzy w milczeniu uśmiechnęli się lekko z dowcipu.

— Żart na stronę! — rzekł znowu adwokat, wyjąwszy z za kamizelki jedną rękę i bębniąc palcami po stoliku.—Może kto z panów wie, dlaczego odłożono przedstawienie Adrjanny Lecouvreur?

— Nie odłożono, ale zawieszono!—odezwał się ktoś zboku.—Słyszałem z bardzo dobrego źródła,

iż się spostrzeżono, że sztuka jest djabelnie niemoralna...

Ten Maurycy jest przecież bękartem, a do teatru przychodzą także i młodziutkie panny...

— Eh! co znowu! — zawołał modny lekarz. — O ile wiem... Ale prosiłbym tylko panów o sekret... gdyż artystce najmniejsza rzecz może zaszkodzić. Otóż, słyszałem od mego dobrego kolegi, który był wezwany na konsyljum, że Minia się skaleczyła... Jeszcze raz sobie sekret zastrzegam.

— Z czegoż tutaj robić sekret!—zawołał niemodny lekarz.

— Rozumie się, że z tego, gdzie się skaleczyła—rzekł lekarz modny.

— Bo jeżeli się skaleczyła naprzykład w kolano—podchwycił odwokat—w takim razie pański kolega był tak szczęśliwy, że ją na kolanie uzdrawiał... Więc, zapewne, do pewnego stopnia mogłoby to pozostać tajemnicą; ale że aktorką, kobietą publiczną, cały świat się zajmuje...

— Mój panie, tu niema żartów! — rzekł z powagą modny doktór. — W sztuce wszystko się odbija...

Tymczasem choroba Mini już na drugi dzień zupełnie przeszła, a powyżej opisana przygoda z Ickiem Cokolwiek sprawiła tyle, że narzeczeni postanowili sobie przyspieszyć dzień ślubu. Jakoż zaledwie artystka nasza opuściła łóżko, a już rozpoczęły się przygotowania do podróży; stanął bowiem układ, że ślub odbędzie się cicho i skromnie w Częstochowie; następnie nowożeńcy mieli się udać zagranicę, a stamtąd—powrócić na wieś i zamieszkać w Potyłowie, majątku, który na Niunia spadł w spuściznie po nieboszczyku stryju, panu Wicie. W tym Potyłowie znajdował się wielki dwór staroszlachecki, a nowy dziedzic polecił go przero-

bić i urządzić odpowiednio do najnowożytniejszych wymagań.

Mimochodem wypada tu dodać, że szlachetne opiekunki Niunia, damy z Marzeńca, nic a nic nie wiedziały ani o matrymonjalnych postanowieniach swego pupila, ani o jego poleceniach przeobrażenia Potyłowskiego dworu. Zwolna poczęły się one oswajać z myślą, że kochanek ich Niunio musi jednak samodzielnie coś robić na świecie. On swoją drogą troskliwym się stawał o swe opiekunki i wyprawiał często listy do Marzeńca, a w listach donosił, że jest bardzo obarczony interesami. A rzeczywiście, miłość obstoi za najcięższe interesa; nie daje ona bowiem człowiekowi ani spać, ani czuwać spokojnie.

Oblubieńcy ułożyli się w Warszawie pomiędzy sobą, iż tylko dwie osoby z całego grona znajomych zostaną powiadomione o dniu, jako też miejscu ślubu. Ci dwaj wybrani byli to: Tomcio Bajeski i Wawrzek Ananas. Pierwszego o ważnym fakcie postanowił zawiadomić Niunio, drugiego wzięła na siebie Minia.

Bajeski bo przyjął nowinę z wielkiem zadowoleniem.

— No, wyobrażam ja sobie — mówił do Potyckiego poufnie i z lekką ironją—jacy wy szczęśliwi będziecie oboje ze sobą! Toż twoją miłość mogliby opisać poeci... Dalibóg, Niuniu, powinienbyś się nazywać Konstanty, bo jesteś *Constant à l'amour!*...

Potycki już teraz nie był naiwnym młodzieniaszkiem; samodzielność i znaczna fortuna czyniły go częstokroć śmiesznie poważnym, jak się to zawsze zdarza u młodych paniczyków, udających umysłową dojrzałość i szyk wielkiej arystokracji. Zanadto się Niuniowi kłaniano w Warszawie, ażeby nie poznał tego, iż jest personat. To też wszelkie komplementy Bajeskiego brał on serjo i słuchał ich, jako należnego sobie hołdu. Miłość Niunia dla aktorki należała do rzędu tych amatorskich uczuć, wskutek których niejeden magnat kupił sobie żonę od szewca, kramarza i t. d., podobnie jak się kupuje rasową klacz, pięknego charta, a rzadko kiedy — obraz.

— Postanowiłem sobie skorzystać z chwili, w której jesteś tak szczęśliwy — mówił znowu Tomcio — i prosić cię o wyświadczenie mi maleńkiej przysługi. Trzeba ci wiedzieć, że przyszły na mnie bardzo a bardzo ciężkie czasy... Fortuna moja dawno się stopiła i żyć z czego dziś nie mam... Ba, nie sam jeden jestem przecież na świecie! Wprawdzie Jowisz nie obdarzył mię rodziną, lecz mam na głowie Misia i Ola, dwóch chłopów tęgich, których muszę żywić i odziewać, a którzy bez mojej opieki zmarnowaliby się najniezawodniej...

— Oh, ja to rozumiem najzupełniej! — zawołał Niunio. — Byłeś zawsze wybornym kolegą, a koleżeńskie stosunki każdego kosztują... Potrzeba ci pieniędzy, powinienem się był tego domyśleć; ale przebacz, zapomniałem jakoś w natłoku różnorodnych zajęć... Jednakże w ostatnich czasach miałem tak dużo wydatków, że nie mogę ci znaczniejszej sumy dostarczyć.

— Daj, ile możesz najwięcej!—rzekł Bajeski z rubasznym uśmiechem.—Resztę zostaniesz mi dłużny, a ja lubię długi odbierać...

Potycki wydobył z pugilaresu paczkę papierowych pieniędzy i, ściskając się z Tomciem po przyjacielsku, wcisnął mu ją do ręki. Poczem nastąpiło pożegnanie na czas dłuższy, gdyż Bajeski oświadczył, że do Częstochowy nie może jechać na ślub przyjaciela; wymawiał się od tego zręcznie.

— A to smok jakiś!—mówił w parę godzin potem Tomcio do Misia i Ola. — Wystawcie sobie, że on mi śmiał pożyczyć pięćset rubli za tyle mo-

ich kłopotów, jakie miałem w życiu z nim i z tą jego dzisiejszą babą... O, źle na świecie! Zaczynają mię, widzę, ludzie lekceważyć. Nie mogę na to pozwolić. Cóżem ja już wart, jeżeli taki Potycki, taki Krezus, na prośbę moją wyraźną pożycza mi tylko pięćset rubli? To już jasne, jak słońce, że kiedy mu drugi raz zaproponuję pożyczkę, da mi dwieście rubli; potem znowu — da sto, potem jeszcze — dziesięć, nareszcie — rubla. O źle! Takiego rachunku być nie może...

— Czego tu robić takie awantury? — odezwał się Miś!—Djabli wiedzą za co dostał pięćset rubli i jeszcze się gniewa. Po pierwsze, zamawiam sobie u ciebie rs. czterdzieści, po wtóre, wyprawiasz nam dzisiaj uczciwą kolację, a jutro—śniadanie i obiad; po trzecie, gdy się ciągle naprzykrzają ci przeklęci rządcy...

— O, głupi knocie!—zawołał Olo.—Ileż ty bzików masz we łbie od jednego razu!... Wydrukowali mu w „Zwiastunie" nędzną ramotę, coś w rodzaju ody do księżyca, dostał za to pięć rubli kopiejek czternaście i myśli, że jest wielki człowiek; siedzi teraz po całych dniach nad bazgraniną jakichś konkursowych powieści i gniewa się, iż rządca nachodzi... Przecież mnie ani Tomciowi rządca wcale nic nie szkodzi. W naszem położeniu komorne płacić? Zwarjowałeś?

— I ty, Olo, także jesteś pyszny!—rzekł Tomcio.— Czego się zżymasz? Rzecz aż nadto dobrze wiadoma, że dziś w Warszawie każdy głupiec i niedołęga zostaje literatem... Ja może nawet talent Misia użytkuję, może zrobię z niego małego Wiktora Hugo i zastawię go u żyda wydawcy. No, ale to sobie zostawiam na wszelki wypadek... Tymczasem, pamiętaj, Misiu, że ja nie myślę pracować na kamieniczników i zbierać dla nich pieniędzy, więc komornego nie zapłacę. Jeszcze czego! Tych pasorzytów ludzkości trzeba zmuszać, aby przynajmniej od czasu do czasu zrobili coś dla porządnych ludzi.

— Zdaje mi się jednak, że twój genjusz do urządzania kawałów upada i niknie, mój Tomciu— rzekł poważnie Olo — zczasem stępiejesz zupełnie i wtedy oczekuje nas wszystkich trzech bardzo smutna dola; cała nadzieja w towarzystwie dobroczynności.

— Pusta paro, łysy młokosie! Nie trwoń słów i próżnem brzęczeniem trutnia w ulu nie przeszkadzaj w usiłowaniach pracowitej pszczole,—mówił Bajeski.—Przedewszystkiem muszę Niunia nauczyć moresu. Paniczyk zabawił się ze mną w fanfarona; ale go to będzie kosztowało drogo! Póki żył stryjaszek, siostrzeniec był porządnym chłopcem; teraz zagarnął fortunę i nietylko nosa zadziera, ale się jeszcze kurczy... Ho, ho, ho! Toż on w tydzień po ślubie gotów Mini na pończochy skąpić... Ale nie na to wydałem dziewczynę zamąż, żebyśmy się oboje oblizywali, patrząc zdaleka na dostatki Potyckich. Czekaj, robaku, co chleb toczysz; dam ja tobie za te pięćset rubli. Zobaczymy, czy mi dziś jeszcze nie przyślesz cztery razy tyle!

— Jaki to wspaniały monolog! — zawołał Miś drwiącym głosem. — Tomcio przez stosunki swoje ze światem teatralnym staje się czasami podobny do Hamleta, ale najlepiej wygląda w takich rolach, jak Franciszek Moor, Szajlok... wogóle czarne charaktery lepiej mu się udają

Bajeski udał, że nie słyszy uwag towarzysza, usiadł przy stoliku i począł pisać do Mini list następującej treści:

Najdroższa Pani!

„Dowiedziałem się właśnie, że za chwilę bę-

dziesz już szczęśliwą małżonką; oczekuje cię przyjemne życie rodzinne, szacunek ludzki, a nadewszystko — dostatki. Wspomnij sobie, pani, jednak owe chwile, kiedym Cię spotkał w Krakowie, biedną i opuszczoną kobietę, kiedy posłuchałaś mej rady i wyjechałaś do Warszawy. Tutaj znowu, idąc za mojemi wskazówkami, pozyskałaś sobie imię, głośne na kraj cały i możność prowadzenia bardzo wesołego życia; ostatecznie zaś, dzięki moim usiłowaniom głównie, dostajesz, pani, za męża wybornego człowieka. Ale role, droga pani, zmieniły się zupełnie! Ja straciłem kredyt u ludzi, a przynajmniej wyczerpałem go całkowicie; jestem opuszczony, znikają przyjaciele, bo i Ciebie przecież, najlepszą przyjaciółkę, tracę dziś na zawsze. Więc niech Panią nie zadziwia, że oto kołatam do Twego serca, a kołatając po przyjacielsku, nie wątpię na chwilę, iż obudzę współczucie dla siebie. Do głowy mi nawet nie przychodzi myśl, bym potrzebował kłaść jakiś nacisk...

Niunio zrobił mi zaszczyt i zaprosił na ślub do Częstochowy. Nie mogę jechać, droga Pani. Ja także Cię kochałem przecież i odbierałem dowody twej miłości. Zrzekam się wszystkiego dla twojego szczęścia! Roześmiejesz się niezawodnie i pomyślisz: Poco on się tak rozpisuje? — I w samej rzeczy, spostrzegam, że list jest za długi. Znamy się bowiem oboje nawskroś i tak dokładnie, że powinienem był tylko napisać: potrzeba mi koniecznie bagateli, dwóch tysięcy rubli; inaczej nie zdołam się wydobyć z ciężkiego położenia. Tyle—mówię—powinienem był napisać, a wszelkie uzasadnianie tego żądania tkwi w twojej domyślności. Lecz cóż, żądania ludzkie są jak weksle — dobre wtedy, gdy się je we właściwym terminie przedstawia. Termin mojego żądania przypada akurat przed ślubem. Bo

zechciej sobie, Pani, wyobrazić, że nasz dobry znajomy, Icek Cokolwiek, odzyskuje przytomność umysłu i dowiaduje się, iż zabrane mu przez Loransa pieniądze oraz kosztowności znajdują się w depozycie u pewnej damy — to czyż on ma czekać, aż dama ta poślubi człowieka, który ją uwiezie w głąb Europy.

Jestem w podobnem położeniu. Potrzeba mi bagateli, dwóch tysięcy rubli, i sumę tę muszę otrzymać przed ślubem.

Cóż ja mam zrobić? Gdybym miał zamiłowanie do literackich zajęć, napisałbym „Tajemnice wielkości teatralnej", a znany wydawca Rosenstein zapłaciłby mi może dwa tysiące rubli. Lecz nie! Zamiast trzechtomowej powieści, wolę raczej dłuższy list do Pani napisać, zważywszy, iż dla mnie będzie ten sam rezultat.

Potrzeba mi bagatelki, dwóch tysięcy rubli! Jest to zwrotka, którą powtarzam na końcu każdej strofy mej pieśni, ażebyś Pani oceniła, jak bardzo mi potrzebne i że koniecznie tę bagatelę mieć muszę!...

Ufny, iż sercu twemu, droga Pani, nie potrzeba innych pobudek, jak przypomnienie niedoli przyjaciela, kończę mój list i pozostaję

Pełnym tkliwej sympatji a posłusznym
na skinienie Pani,
Tomasz Bajeski."

List Tomcia, jakkolwiek widocznie tonem groźby tchnący, nie wywarł jednak na Minię wielkiego wrażenia. Za dobrze ona znała swego przyjaciela, ażeby go się obawiała, iż jej szkodzić zechce. Bajeski bowiem miał system wyzyskiwania pieniędzy zapomocą zdumiewania ludzi swoją znajomością najskrytszych ich tajemnic. Aktorka jednej rzeczy mogła się tutaj obawiać, mianowicie, iż Tomcio

w razie odmowy z jej strony chwyci się jeszcze jakiegoś nowego środka i postawi nowe, o wiele wyższe wymagania. Prócz tego, bardzo nieprzyjemnie oddziaływało na Minię to wyraźne oskarżenie jej o posiadanie pieniędzy, zagrabionych lichwiarzowi przez Ananasa. Zresztą, bystry umysł aktorki tak skombinował całą sprawę: Bajeski zastawił sidła na bogatego Niunia, a jej używa tylko jako naganki; więc albo wypada Potyckiego ochronić od złapania się w sidła, albo napędzić. To drugie wydało się Mini odpowiedniejszem, gdyż w przeciwnym razie łowy mogły przybrać daleko niebezpieczniejszy charakter.

Skończyło się na tem, że Potycki dał pieniądze, nie wiedząc nawet na jaki cel daje. Aktorka napisała jeszcze list tej treści:

Drogi Panie!

„Istotnie za dużo sobie robisz ceremonij z przyjaciółką! W odpowiedzi na żądanie, przedstawione w zupełnie właciwym terminie, płacę weksel i walutę w gotowiźnie przysyłam. Dołączam nadto życzenie jak najlepszego powodzenia!"

I znowu Wawrzkowi przypadło poselstwo w tej sprawie.

Bajeski pewny był swego, jak dwa a dwa — cztery, przeto nie wychodził z domu i sam jeden oczekiwał na skutki listu. Na widok Wawrzka ucieszył się niezmiernie, przeczytał list, schował pieniądze i rzekł:

— Wybornie! Pani Potycka wspaniałomyślnie rozpoczyna karjerę damy wielkiego świata, gdyż opłaca należycie przestępstwa kryminalne swoich służących... To bardzo szlachetnie ze strony tej pani. Nieprawdaż, panie Wawrzyńcze?

Wawrzek, który od czasu swego spotkania z obłąkanym żydem bardzo podupadł na duchu

i był jak przybity, spojrzał teraz podejrzliwie w oczy Tomcia i rzekł:

— Nie rozumiem, co mi pan przez te słowa chcesz powiedzieć?

— No, proszę — nie rozumiesz! A przecież mówię wyraźnie, że pani Emilja Potycka zapłaciła dwa tysiące rubli za to, iż ktoś posiada tajemnicę, dotyczącą kradzieży, popełnionej u lichwiarza, Icka Cokolwiek, w dzień Bożego Narodzenia. Czegóż tu można nie rozumieć?

Wawrzek spojrzał zrazu na Tomcia jakimś obłędnym wzrokiem, ale niebawem krew mu nabiegła do czoła i oczy się zaiskrzyły.

— Panie Tomaszu Bajeski! — zawołał. — Nikczemnikiem był ten żyd, który przez długie lata okradał ludzi, ciągnąc z nich lichwę; nikczemnikiem również jest człowiek, który ograbił lichwiarza i do szaleństwa go doprowadził; ale od obu nikczemniejszym jest człowiek, który pokarm dla siebie wyciąga z brudów takich potworów!... Mówię i ja wyraźnie, więc nie powinieneś pan mieć wątpliwości, kto jest tym najnikczemniejszym...

To rzekłszy, Ananas opuścił mieszkanie Tomcia, zanim ten ostatni zdołał mu dać odpowiedź.

— Patrzcie, jaki sprytny cham! — rzekł Bajeski sam do siebie. — Wypalił taką mówkę, jak gdyby się w szkole uczył retoryki. Szkoda, że mi umknął, bobym mu był chętnie kupił butelkę wina za te kilka wcale dobrych frazesów.

Wawrzek powrócił do domu Mini, która była już zupełnie przygotowana do podróży, a oczekiwała tylko na Niunia, mającego za chwilę przybyć, ażeby z nią razem wyruszyć na dworzec kolei Warszawsko-Wiedeńskiej.

Ananas stanął przed aktorką wzruszony i jak

widmo blady; scena z Bajeskim odbijała się w całej jego fizjonomji.

— Wypada mi już tylko pożegnać panią — rzekł drżącym głosem.

— A przecież zobaczymy się w Częstochowie? Będę bardzo szczęśliwa, mając przyjaciela za świadka swego ślubu.

— Nie, pani!... Moja rola przyjacielska już się skończyła, a teraz czeka mię inna...

Wtem wbiegł Niunio w ubraniu podróżnego; Minia na pożegnanie podała rękę Wawrzkowi, który ją ucałował z mniejszym niż zwykle zapałem. Narzeczeni wsiedli do oczekującego na nich powozu, a konie żwawo ruszyły z kopyta.

KSIĄŻNICA PODLASKA im. Łukasza Górnickiego Nr 1051 A KS. ARCHIWALNY w Białymstoku

SPIS RZECZY

		str.
I.	Figlarze	5
II.	Dobrzy znajomi	28
III.	Z księgi rodzaju	36
IV.	Niunio Potycki i Wawrzek Ananas	50
V.	Wawrzek kształci się na człowieka	63
VI.	Człowiek, który sobie dobrze robi	76
VII.	Historja naucza poznania człowieka	92
VIII.	Wszędzie być musi choć szczypta miłości	105
IX.	Judenheca	122
X.	W redakcji „Zwiastuna"	136
XI.	Babunia i wnuczek	143
XII.	Minia	152
XIII.	Po powrocie z Krakowa	169
XIV.	Niemiłe zdarzenie	182
XV.	Co było do przewidzenia	194

Miejska Biblioteka Publiczna
2197
w Białymstoku